

P. 97.86 chr. Arch,

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/165 - 8/166 1961



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Zb. BRZEZIŃSKI i W. E. GRIFFITH :
**O NOWĄ POLITYKĘ WOBEC EUROPY
WSCHODNIEJ**

B. MIECZKOWSKI :
OCENA GOSPODARKI POLSKIEJ

D. MOSTWIN : **TESTAMENT BŁAŻEJA**

SPIS RZECZY

Zbigniew Brzeziński i William E. Griffith:	<i>O nową politykę wobec Europy Wschodniej</i>	3
Paweł Hostowicz:	<i>Notatnik niespiesznego przechodnia</i>	17
Witold Gombrowicz:	<i>Fragment z dziennika</i>	29
Czesław Miłosz:	<i>Przygody poezji nowoczesnej</i>	39
Oskar Miłosz:	<i>Kilka słów o poezji</i>	43
Konstanty Kawafis:	<i>Wiersze</i>	46
Kazimierz Wierzyński:	<i>Wiersze</i>	51
Danuta Mostwin:	<i>Testament Błażeja</i>	57

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Rewolucja przeciw rewolucji</i>	101
Aleksander Kawalkowski:	<i>Francja 1961</i>	109
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	121

KRAJ

XYZ:	<i>List z kraju</i>	127
Bogdan Mieczkowski:	<i>Ocena gospodarki polskiej</i>	132

SĄSIEDZI

Koslas Żukas:	<i>Nieznany szczegół</i>	158
Auberon Herbert:	<i>Ukraińcy w Kanadzie</i>	161

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Józef Wiatr:	<i>Możliwości przygotowania do wojny w okresie 20-lecia</i>	167
--------------	---	-----

KRONIKA KULTURALNA

Zbigniew Jordan:	<i>O Kazimierzu Ajdukiewiczu</i>	181
K.A. Jeleński:	<i>Prekursor anachroniczny</i>	190
—	<i>Wokół „Pornografii” i Gombrowicza</i>	193
—	<i>Kronika</i>	194
	a) <i>Konkurs teatralny</i>	194
	b) <i>Konkurs na projekt pomnika Tarasa Szewczenki</i>	195
	c) <i>Polskie cmentarze we Włoszech</i>	197

KSIAŻKI

Tymon Terlecki:	<i>Tom III Makiety „Historii”</i> ..	199
Tymon Terlecki:	<i>Zelwerowicz w Łodzi</i>	202
Jan Konkolewski:	<i>Historia P.P.K.</i>	206
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	209

BIBLIOGRAFIA

Jan Kowalik:	<i>Polska prasa emigracyjna 1939-1959 (2)</i>	211
Szczepan K. Zimmer:	<i>Polska Bibliografia Literacka na rok 1956</i>	217

J. Bielatowicz, Z. Buczewski, A. Chciuk, O.W. Ciniewicz, J. Czapski, J. Hoffman, S.K. J., Cz. Straszewicz, St. Sep-Szarzyński, ks. E.K. Trzeciak, K. Wędziagolski, J. Zajac:	<i>Listy do Redakcji</i>	221
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień – Juillet-Août 1961

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Jerzy Kawka, Stockholm, (Szwecja)	9.00 NF
Irena Skrobikowa, Montreal, Que (Kanada) po raz piąty	30.00 „
Z.H. Kuźma, Amsterdam (Holandia)	11.50 „
Anonimowo, Paryż	30.00 „
J. P. Pietrasz, Salem, Mass. (USA)	20.00 „
Józef Fryd, Rzym (Włochy)	490.00 „

DZIEKUJEMY

"ZESZYTY HISTORYCZNE"

Redakcja „Kultury” zdecydowała się na publikowanie corocznie (niezależnie od kontynuowania działu *Najnowsza Historia Polski*) dwóch dużych tomów, zawierających każdy ok. 240 stron, w serii ZESZYTY HISTORYCZNE. Żeby zapewnić temu wydawnictwu niezbędną ciągłość chcemy je oprzeć na prenumeracie, z tym że każdy prenumerat „Kultury” będzie otrzymywał te dwa tomy za dodatkową opłatą 3 dolarów, (NF 15 — 22 sh.). W sprzedaży księgarskiej cena ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH będzie dwukrotnie wyższa to jest dolarów 3, lub równowartość, za każdy tom.

Zgłoszenia na prenumeratę ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH przyjmujemy również od subskrybentów „Politycznej Historii Polski” Wł. Pobóg-Malinowskiego.

Z chwilą zebrania minimum 1000 prenumerat ukaże się pierwszy tom ZESZYTÓW.

Zgłoszenia na prenumeratę przyjmuje Redakcja KULTURY i jej przedstawicielstwa.

O nową politykę wobec Europy Wschodniej

Artykuł Zbigniewa Brzezińskiego (profesora nauk politycznych w Columbia University) i Williama E. Griffitha (lektora nauk politycznych w Centrum Studiów Międzynarodowych w MIT, Cambridge, Mass.) jest niewątpliwie zapowiedzią zachodzących przemian w polityce Stanów Zjednoczonych wobec Europy Wschodniej. Wskazuje na to zarówno osobista pozycja obu autorów, jak i fakt, że artykuł ten ukazuje się jednocześnie w „Foreign Affairs”.

Możemy z przyjemnością stwierdzić, że szereg tez, zawartych w artykule, znanych jest czytelnikom „Kultury”, gdyż były one przez nas lansowane już od dłuższego czasu. Niewątpliwie niektóre tezy prof. Brzezińskiego i Griffitha są dyskusyjne, niektóre wymagają obszerniejszego rozpracowania. Tak np. największym brakiem wydaje się nam ograniczenie się jedynie do demokracji ludowych, bez uwzględnienia przemian zachodzących w całym bloku, a przede wszystkim problematyki narodów Związku Sowieckiego, tj. państw bałtyckich, Ukrainy, Białorusi czy narodów muzułmańskich. Do tych spraw wrócimy w najbliższej przyszłości.

Mimo tych zastrzeżeń trzeba z największym naciskiem podkreślić kapitalne znaczenie tego artykułu, dającego nam nadzieję, że polityka amerykańska zaczyna wychodzić z impasu. (Red.).

Stany Zjednoczone nigdy nie miały realistycznej i skutecznej polityki zagranicznej w Europie Wschodniej. Podczas drugiej wojny światowej oficjalne stanowisko amerykańskie sprowadzało się do odkładania rozwiązania problemów wschodnioeuropejskich do układu pokojowego. Była to więc zasadniczo nie tyle polityka zagraniczna co uzasadnienie jej braku. Kiedy obszar

Reprinted in translation by special permission from „Foreign Affairs”, July 1961. Copyright by the Council on Foreign Relation Inc., New York”.

wschodnioeuropejski znalazł się po wojnie (w pewnej mierze dzięki bierności Zachodu) pod panowaniem sowieckim, amerykańskie zainteresowanie Europą Wschodnią podporządkowane zostało polityce tzw. *containment*. Polityka ta miała na celu powstrzymanie dalszej ekspansji komunistycznej i jako taka jedynie pośrednio dotyczyła obszarów będących już we władaniu Sowietów. Rezultatem był brak jakiegokolwiek próby ze strony Zachodu podważenia kontroli sowieckiej nad Europą Wschodnią w latach 1948-53. Następnie Administracja Eisenhowera wystąpiła z polityką wyzwolenia (*liberation*). Rozwój wypadków wykazywał jednak coraz dobitniej że polityka ta była nieprzemyślana i nierealna; wkrótce też stała się ona pustym hasłem. Powstania ludności w Berlinie w 1953 roku i na Węgrzech w 1956 pogrzebały ją ostatecznie.

Po roku 1956 cele i środki polityki amerykańskiej w Europie Wschodniej nie rysowały się jasno. Wszyscy mniej więcej zgadzają się już dzisiaj, że sytuacja na tym obszarze jest bardziej różnorodna niż za czasów, o wiele prostszego w swej jednolitości, stalinowskiego wzorca. Przyznaje się również, że ta nowa sytuacja nie tylko stanowi wyzwanie dla wolnego świata, ale i nadzieję. Stąd celem tego artykułu jest omówienie zadań polityki amerykańskiej w Europie Wschodniej i najskuteczniejszych środków ich osiągnięcia.

Polityka amerykańska w Europie Wschodniej musi być dwutorowa. Musi brać pod uwagę zarówno reżymy komunistyczne jak i rządzoną przez nie ludność. Skoncentrowanie się na jednym tylko z tych dwóch elementów nie tylko utrudnia ocenę sytuacji ale prowadzi do zaprzepaszczenia istniejących możliwości. Polityka komunistyczna wobec obszarów pozostających poza blokiem sowieckim kierowała się zawsze zasadą wielopłaszczyznowości, widząc w tym nieodzowny warunek powodzenia. Podobnie polityka amerykańska w Europie Wschodniej działać musi na dwóch płaszczyznach.

II

Obecna sytuacja w Europie Wschodniej stoi pod znakiem dwóch procesów: słabnięcia napięć, które wybuchły z taką siłą w 1956 roku podczas gdy trwa spór chińsko-sowiecki. Wzajemne oddziaływanie na siebie tych dwóch czynników zasadniczo zmieniło widowisko wschodnioeuropejską. Od zakończenia drugiej wojny światowej aż do chwili obecnej kraje wschodnioeuropejskie miały do czynienia tylko ze Związkiem Sowieckim — dziś, po raz pierwszy, uzyskały swobodę manewru między Związkiem Sowieckim a Chinami. Kierownictwo partyjne większości tych krajów związało swe losy z Rosją — komuniści polscy i węgierscy z entuzjazmem, wschodni Niemcy i Bułgarzy nieco chłodniej. Albania natomiast, jak się zdaje, stanowczo

wybrała Chiny — ale — i to właśnie stanowi owo *novum* w sytuacji — czyniąc tak pozostała nadal wewnątrz bloku.

Innym elementem jest zasadnicza zmiana jaka zaszła w atmosferze politycznej Europy Wschodniej. Opinia publiczna jest tam obecnie przekonana, że ani Stany Zjednoczone ani Związek Sowiecki nie pragną wojny (choć mogą jej pragnąć Chiny), że nie dojdzie do obalenia wschodnioeuropejskich reżymów komunistycznych (przez Zachód) i że dalsze zmiany uzależnione są od ewolucji zarówno poszczególnych krajów na tym obszarze jak i całego bloku. Niektóre reżymy zaczęły wykazywać większą pewność siebie w swych stosunkach ze Wschodem i Zachodem.

Biorąc pod uwagę stosunki wewnętrzne, rządy wschodnioeuropejskie stają obecnie przed problemem kryzysu pokoleń. Pokolenie przedwojennych komunistów składa się z ludzi co najmniej po pięćdziesiątce, a nawet po sześćdziesiątce. Istnieje więc między nimi a młodymi powojennymi karierowiczami poważna różnica wieku. Szczególnie, z chwilą śmierci czołowych komunistów, do czego prawdopodobnie dojdzie już w najbliższym dziesięcioleciu, problem następstwa natychmiast połączy się z kryzysem pokoleń. Sytuację pogarsza fakt, że zarówno Chruszczow jak i Mao są w tym wieku, że mogą w każdej chwili zejść ze sceny.

Do powyższego trzeba dodać, że wypadki z 1956 roku w Polsce i na Węgrzech rozwiały wiele z ortodoksyjnych wierzeń komunistycznych. Na ich miejsce, szczególnie wśród młodszych komunistów, przyszyły nie tak dogmatyczne i mniej określone, choć nadal marksistowskie poglądy, przypominające pod pewnymi względami zachodnią socjal-demokrację, które jednak ostrożniej będzie określić mianem „marksistowsko-leninowskiego reformizmu”. Przyjmuje się nadal niektóre z podstawowych pojęć marksistowskich z zakresu społeczno-ekonomicznego, ale bez fanatyzmu. Również podstawowe zarysy socjalistycznego *Welfare State* zakorzeniły się w Europie Wschodniej, której doświadczenia z inicjatywą prywatną i kapitałem zagranicznym nie były zbyt szczęśliwe. Nawet nieugięci anty-komuniści przyjmują zasadę społeczeństwa planowanego, w którym sektor państwowy gra rolę dominującą.

W tej sytuacji wydaje się, że Stany Zjednoczone winny przyjąć politykę, którą można by określić mianem pokojowego zaangażowania się w Europie Wschodniej. Polityka ta winna: 1) dążyć do wspomagania dalszego procesu powstawania rozbieżności w bloku komunistycznym, 2) zwiększając w ten sposób prawdopodobieństwo uzyskania przez kraje wschodnioeuropejskie wyższego stopnia niezależności od Związku Sowieckiego, 3) i doprowadzając dzięki temu do powstania neutralnego pasa państw, które podobnie jak Finlandia, cieszyłyby się prawdziwą swobodą wyboru w polityce wewnętrznej, nie będąc równocześnie wrogiem wobec Rosji i nie należąc do zachodnich sojuszków wojskowych. Wreszcie, polityka amerykańska musi się sta-

nowczo odżegnać od jakiegokolwiek przypuszczenia, że sprzyja przywróceniu w Europie Wschodniej systemu gospodarczego wzorowanego na systemie zachodnim.

Taka linia polityczna nie stoi w żadnym wypadku w sprzeczności z długofalowym dążeniem amerykańskim do wolnego i pluralistycznego świata, w którym istnieć mogą obok siebie różne struktury polityczne i społeczne. Jest ona także zgodna z interesami narodów Wschodniej Europy, a potencjalnie z interesami niektórych przynajmniej z rządzących nimi elit. Na koniec, nie akceptując obecnego dążenia Moskwy do utrzymania swego panowania na tym obszarze (nawet więcej — poszerzenia go i na inne obszary), proponowana polityka nie jest sprzeczna ze zrozumiałymi wymogami bezpieczeństwa Związku Sowieckiego — a w szczególności z obawą aby ten obszar nie znalazł się w sferze wpływów jakiegokolwiek wrogiemu ugrupowania polityczno-wojskowego.

Polityka pokojowego zaangażowania się w Europie Wschodniej nie powinna zawierać żądania wycofania się Związku Sowieckiego z tego obszaru (*liberation*), szczególnie gdy stać nas jedynie na słowne protesty wtedy, kiedy Rosja używa sił zbrojnych dla podtrzymania swej władzy. Natomiast nasza polityka zarówno ze względów politycznych jak i moralnych winna łączyć nieustanne domaganie się prawa samostanowienia w Europie Wschodniej z dążeniem do pokojowego przeobrażenia obecnych, firmowanych przez Sowiety, reżymów komunistycznych w system rządów socjal-demokratycznych, ściśle związanych z rozwojem społecznym i gospodarczym całej Europy.

Reżymy wschodnioeuropejskie nie cieszą się poparciem ludności; istnieją one poza tym na zasadzie złamania szeregu międzynarodowych zobowiązań, podjętych przez Związek Sowiecki. Stany Zjednoczone mają więc pełne prawo i obowiązek odmawiać im swej aprobaty. Uczulenie sowieckie w tym wypadku nie powinno powstrzymać nas przed wyrażaniem naszego potępienia tych reżymów, tym bardziej że Rosja rości sobie równocześnie prawo do mieszania się w sprawy Zachodu, czemu — zdaniem sowieckim — nie stoi na przeszkodzie tzw. pokojowa koegzystencja.

Abstrahując od moralnej strony zagadnienia, Stany Zjednoczone muszą upierać się przy zasadzie samostanowienia dla Wschodniej Europy, chociażby tylko dlatego, by nie dopuścić do gwałtownego zwrotu opinii publicznej w tych krajach przeciwko Zachodowi, gdyby powstało przypuszczenie że zgadzają się one na kontrolę sowiecką nad tym obszarem, lub zdają się zakładać stałość reżymów komunistycznych. Niespełnienie tego warunku nadwątliloby ducha demokracji, który istnieje tam mimo bierności demokracji zachodnich w 1956 roku. Wzmocniłoby ponadto spoiwość świata komunistycznego, kompromitując zasady dotychczasowej polityki amerykańskiej i osłabiając znaczenie Stanów Zjednoczonych jako symbolu wolności i samostanowienia.

Niemniej, to ogólne stanowisko nie aprobowania reżymów wschodnioeuropejskich nie musi wcale oznaczać, że nie powinno się czynić prób polepszenia naszych stosunków politycznych, gospodarczych i kulturalnych z państwami wschodnioeuropejskimi. W płaszczyźnie politycznej, winniśmy dążyć do utrzymania względnie poprawnych stosunków, w niektórych wypadkach idąc nawet na pewną współpracę z tymi krajami, o ile ich stosunek do nas będzie również poprawny. Nie widzę, na przykład, powodu dla którego niektórzy z przywódców wschodnioeuropejskich nie mieliby odwiedzić Stanów Zjednoczonych na zasadzie wymiennej. Mieszkańcy Europy Wschodniej są na pewno dostatecznie subtelni by rozróżnić między utrzymywaniem formalnych stosunków z reżymami które nimi rządzą, a aprobatą tych reżymów połączoną ze zmniejszonym zainteresowaniem się ich losem. Entuzjastyczne przyjęcie, jakie Warszawa zgotowała wiceprezydentowi Nixonowi, nie miało nic wspólnego z formalnymi stosunkami między St. Zjedn. a reżymem komunistycznym w Polsce; ani mu one nie pomogły ani nie przeszkodziły. Przyjęcie to było po prostu spontanicznym odzewem ludności na to, co uznała za dowód niesłabnącego zainteresowania Ameryki Polską.

Na płaszczyźnie gospodarczej nie widać żadnego istotnego powodu, dla którego Ameryka nie miałaby pomóc w rozwoju gospodarczym niektórych państw komunistycznych w Europie Wschodniej. Nie wydaje się słuszne przekonanie, że kryzysy ekonomiczne doprowadzą do upadku reżymów komunistycznych; teoria „im gorzej, tym lepiej” przestała odpowiadać rzeczywistości (choćby prawdopodobnie była słuszną w okresie stalinizmu). Związek Sowiecki pomaga rozwojowi gospodarczemu krajów nie-komunistycznych, rządzonych — w jego rozumieniu — przez „burżuazyjnych nacjonalistów”, którzy „subiektywnie” są wrogami Związku Sowieckiego. Powinniśmy przyjąć podobną postawę wobec Europy Wschodniej. Narody wschodnioeuropejskie nastawione są do nas przyjaźnie; pragną też polepszenia swego bytu. Polepszenie ich warunków gospodarczych, częściowo przy naszej pomocy, może leżeć w naszym interesie.

Wolne społeczeństwo z samej swej natury i we własnym interesie winno popierać kontakt i wymianę idei i ludzi. Reżymy komunistyczne były temu zawsze przeciwne. Polityka amerykańska powinna z zadowoleniem powitać wszelkie rozszerzenie kontaktów, niezależnie od ich rodzaju, z krajami wschodnioeuropejskimi. W związku z tym trzeba stwierdzić dwie rzeczy: Po pierwsze, wymiana ograniczająca się wyłącznie do personelu technicznego i artystycznego winna być uznana za niezadawalającą podstawę do porozumienia. Powinniśmy się upierać przynajmniej przy równomiernym przekroju obejmującym przedstawicieli nauk humanistycznych i społecznych. W przeciwnym wypadku wymiana kulturalna może stać się po prostu metodą wyrównywania przez komunistów różnic naukowych i technicznych między Wschodem a Zachodem. Po drugie, pokojowa

koegzystencja w rozumieniu komunistycznym znaczy wiele rzeczy — łącznie z intensyfikacją walki ideologicznej, o czym przypomniał nam niedawno Chruszczow. Tak, Chruszczow ma rację. Z tego względu winniśmy dążyć do rozbudowy nieformalnych ale regularnych kontaktów z elitami Europy Wschodniej, może biorąc za wzór niedawne spotkania między angielskimi i rosyjskimi intelektualistami w Dartmouth i inne.

Równocześnie powinniśmy zachęcać naszych sojuszników, by zajęli bardziej pozytywne stanowisko wobec krajów wschodnioeuropejskich. Niektórych z nich łączą tradycyjne więzy przyjaźni z tymi krajami. Francuzi i Brytyjczycy mogliby znacznie dopomóc Stanom Zjednoczonym w nawiązaniu bliższych stosunków z Polską i Czechosłowacją. Natomiast w wypadku tych dwóch krajów Niemcy jeszcze pewnie przez parę dziesięcioleci nie będą w stanie działać wiele w tym kierunku poza złagodzeniem odczuwanej wobec nich wrogości. Byłoby jednak krokiem naprzód, gdyby rząd w Bonn mógł zaofiarować odpowiednio wysokie odszkodowania ofiarom nazistowskim w tych krajach, co z powodzeniem uczynił w wypadku Izraela. Możliwość niemieckie w wypadku Węgier, Rumunii i Bułgarii w dziedzinie stosunków politycznych, gospodarczych i kulturalnych są dużo większe. Francuzom udało się już wiele osiągnąć na polu kulturalnym — zadanie do którego doskonale się nadają — a ich możliwości są jeszcze większe. Włochy posiadają już znaczne wpływy gospodarcze i kulturalne w Jugosławii i mają chyba szansę powolnego rozszerzenia ich na inne kraje bałkańskie.

W związku z tym wszystkim, wydaje się, że nadszedł czas, aby rząd Niemiec Zachodnich przemyślał sprawę swego dosyć sztywnego stanowiska odrzucającego możliwość nawiązania stosunków dyplomatycznych z jakimkolwiek krajem uznającym rząd wschodnioniemiecki. (Kiedy Jugosławia uznała w 1957 roku reżym wschodnioniemiecki, Bonn natychmiast zerwał z nią stosunki dyplomatyczne, których do dziś nie odnowił). Ta postawa, znana pod nazwą doktryny Hallsteina, została zresztą naruszona w wypadku Związku Sowieckiego. W oczach niemieckich wyjątek ten ma swoje uzasadnienie, skoro Rosja okupuje część Niemiec. Niemniej, na liczne sugestie nawiązania stosunków dyplomatycznych z Warszawą i Pragą, rząd Niemiec Zachodnich odpowiadał dotychczas odmownie utrzymując, że oznaczałoby to uznanie Niemiec Wschodnich przez około 20 państw afrykańskich i azjatyckich, od czego wciąż powstrzymuje je zastosowana wobec Jugosławii doktryną Hallsteina.

Może byłoby dobrze gdyby Niemcy zastanowiły się poważnie nad możliwością rozróżnienia między narodami wolnymi a zniewolonymi. Rząd Niemiec Zachodnich mógłby oświadczyć, że doktryna Hallsteina odnosi się jedynie do narodów wolnych, posiadających swobodę wyboru, nie zaś do narodów zniewolonych, satelitów Związku Sowieckiego. Gdyby któryś z wolnych narodów postanowił uznać reżym wschodnioniemiecki, Niemcy Zachodnie mogłyby natychmiast zerwać z nim stosunki dyplo-

matyczne i zastosować sankcje gospodarcze. Groźba sankcji gospodarczych powstrzymałaby prawdopodobnie bardziej niż cokolwiek innego większość państw przed powzięciem takiego kroku. Takie rozróżnienie nie zaszkodziłoby więc poważnie interesom niemieckim, dając równocześnie Niemcom pewną swobodę ruchów w stosunku do Europy Wschodniej, swobodę, której Niemcy obecnie nie posiadają.

Powinniśmy oprócz tego zachęcać wszystkich naszych sojuszników europejskich, aby zapraszali do współdziałania w zachodnich przedsięwzięciach gospodarczych i kulturalnych wszystkie lub przynajmniej niektóre z państw wschodnioeuropejskich. Zaproszenia takie pozostaną prawdopodobnie bez odpowiedzi, lub będą z miejsca odrzucone, ale powinno się je nieustannie ponawiać tak, aby nawet po odrzuceniu, drzwi były nadal otwarte. Szczególnie powinno się je natychmiast ponawiać z chwilą jakichkolwiek oznak trudności gospodarczych, zmuszając tym samym reżymy komunistyczne do brania pod uwagę reakcji ludności, która usilnie pragnie stać się ponownie częścią Europy i doskonale zdaje sobie sprawę kto temu stoi na przeszkodzie.

Pamiętajmy — a to jest ostatnia ogólna wytyczna — o ważności utrzymywania jak najszerszych kontaktów między Zachodem a ludnością krajów wschodnioeuropejskich. W wyniku rosyjskiego złamania umów w Jaltie i Poczdamie, Zachód ma prawo i obowiązek utrzymywania bezpośrednich kontaktów z narodami, których te układy dotyczyły, i nieustannego informowania ich o sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej.

Reżymy komunistyczne próbują naturalnie monopolizować ośrodki informacji i oddziaływania, bez czego nie mogłyby przekształcić tych krajów w społeczeństwa totalitarne. W programach radiowych, nadawanych do narodów zniewolonych, Zachód spełnia jedną z funkcji wolnej opozycji demokratycznej, do powstania której nie dopuszczają Związek Sowiecki i reżymy komunistyczne. Cena zaprzestania tych programów nie może być byle jaka. Właściwie jedynym ustępstwem ze strony Zw. Sowieckiego usprawiedliwiającym zaprzestanie tych programów byłoby wprowadzenie w życie uprzednio podjętych zobowiązań, dotyczących wolnych wyborów, swobody prasy i słowa. W każdym innym wypadku kompromis, w wyniku którego nastąpiłoby zawieszenie audycji informujących ludność wschodnioeuropejskich krajów o panujących u nich stosunkach wewnętrznych, byłby niekorzystny dla Zachodu.

III

Zastanówmy się teraz w jaki sposób by można pomóc narastającym w poszczególnych krajach wschodnioeuropejskich rozbieżnościom i tendencjom do uniezależnienia się, tak aby nie wyglądało to na próbę wyrwania ich z rosyjskiej sfery wpływów.

Polska. — Jest to największy, najważniejszy i najbardziej skomplikowany kraj, z którym sugerowana przez nas polityka amerykańska mieć będzie do czynienia. Nasz stosunek do Polski dotyczy bezpośrednio jednego z naszych sojuszników — Federalnej Republiki Niemieckiej. Powodem jest oczywiście sprawa granicy na Odrze i Nysie. Ponieważ jest to zagadnienie kluczowe dla stosunków polsko-niemieckich, amerykańskie stanowisko w tej sprawie musi być jednym z podstawowych czynników polityki amerykańskiej wobec Polski. Brak wyraźnego określenia oficjalnego stanowiska amerykańskiego w sprawie granicy na Odrze i Nysie wykorzystywany jest skutecznie przez komunistów, zainteresowanych w utrzymaniu kontroli sowieckiej nad Polską. Ponieważ osłabienie więzi między Polską a Moskwą leży w interesie zarówno Waszyngtonu jak i rządu w Bonn (bez tego zjednoczenie Niemiec jest bowiem nie do pomyślenia), jest jasne, że w interesie obu krajów leży również zmniejszenie naturalnych obaw polskich w tej sprawie.

Inicjatywa wyjść ze strony Stanów Zjednoczonych, gdyż obecny klimat niemieckiej opinii publicznej uniemożliwia to jakimkolwiek demokratycznie wybranemu rządowi. Wywołałby bowiem wrażenie, że jest bardziej skłonny do ustępstw w tej sprawie niż jego zachodni sojusznicy. Byli mieszkańcy ziem na wschód od Odry i Nysy stanowią wpływowy element wyborców niemieckich i już samo to oznacza, że byłoby samobójstwem politycznym gdyby rząd niemiecki z własnej inicjatywy szedł po linii formalnego uznania obecnej granicy polsko-niemieckiej. Ci „wysiedleńcy” powołują się na prawo ludzkie i moralne w swych żądaniach powrotu do domów, z których zostali wygnani (z inicjatywy sowieckiej, za zgodą amerykańską i brytyjską) pod koniec drugiej wojny światowej. Uważają także, że są w pełni uprawnieni do zadecydowania, po powrocie na te ziemie, o tym czy powinny być one ponownie przyłączone do Niemiec. Obecni polscy mieszkańcy tych ziem (między Odrą i Nysą a zachodnią granicą Polski z 1939 r.) także zostali wygnani z przedwojennych wschodnich kresów Polski, których Związek Sowiecki nie ma najmniejszego zamiaru Polsce zwrócić. A — jak się to zawsze słyszy w Warszawie — naród polski nie może żyć na kółkach. Poza tym, Polacy w dużej mierze odbudowali i w pełni baludnili te terytoria. W rzeczywistości, obecna granica nie może być zmieniona inaczej, niż przy użyciu siły. Użycie siły oznaczałoby zaś powszechną wojnę, bez wątplenia atomową. Z czego wynika, że obecna granica na Odrze i Nysie jest granicą stałą.

Polski reżym komunistyczny, przy pełnym poparciu Związku Sowieckiego, wyciąga maksymalne korzyści polityczne z obecnej niewyjaśnionej sytuacji prawnej, jaka wytworzyła się wokół sprawy polskiej granicy zachodniej. Ukrywa on przed narodem polskim fakt zachodzenia głębokich zmian w społeczeństwie Niemiec Zachodnich, przemilcza rozwój ustroju demokratycznego i przede wszystkim europeizację Niemiec. Czynniki komunistyczne cynicznie stawiają znak równania między Adenaue-

rem a Hitlerem. Podsycają uczucia niepewności wśród osiedleńców na byłych ziemiach niemieckich w celu zdobycia pewnej popularności w masach. Godne ubolewania ale zdarzające się wypadki zajmowania przez dawnych wpływowych nazistów ważnych stanowisk w Niemczech Zachodnich są natychmiast komentowane, podczas gdy odbywające się rozprawy sądowe i wyroki na przestępców wojennych są przemilczane. Wszystko to ma wyraźny cel polityczny: chodzi o przedstawienie reżymu komunistycznego w roli obrońcy i opiekuna narodu polskiego przed zakusami niemieckiego rewizjonizmu, a Rosji sowieckiej jako nieodzownego sojusznika Polski.

Nie ma prawie Polaka, który nie ucierpiałby osobiście pod okupacją niemiecką. Większość Polaków poważnie obawia się zarówno tego, że Niemcy ponownie użyją przeciwko nim siły jak i tego, że odbędzie się to przy pomocy, lub przy cichej zgodzie Stanów Zjednoczonych. Myślący Polacy, zdający sobie sprawę że obawa ta jest w tej chwili nieuzasadniona, boją się czegoś innego: boją się, że zjednoczone Niemcy mogą któregoś dnia wyrzucić na Polskę polityczny i gospodarczy nacisk, za zgodą lub nawet zachętą amerykańską (a być może nawet i sowiecką). Innymi słowy, obawiają się oni, że Polska, będąc państwem małym, znajdzie się znowu w sytuacji, kiedy granice jej wytyczone będą pod naciskiem zewnętrznym.

Obawa ta, mimo że wydaje się dzisiaj nieprawdopodobna, może stać się z biegiem czasu bardziej realna. Stąd też każde posunięcie Ameryki, zdążające do jej rozwiania, miałyby równocześnie efekt zmniejszenia obaw polskich odnośnie użycia siły przez Niemców. Generał de Gaulle, poważny sojusznik Ameryki i Niemiec i przywódca kraju mającego historyczne powiązania z Polską, złożył już oświadczenie stwierdzające, że obecna granica na Odrze i Nysie nie może podlegać zmianie. Podobną opinię wyraziły autorytatywne osoby w Wielkiej Brytanii. Choć w obu wypadkach reakcja demokratycznych przywódców niemieckich była powściągliwa, nie należy przypuszczać, że byłaby ona równie powściągliwa w wypadku uczynienia podobnego kroku przez Stany Zjednoczone, jako że Ameryka jest głównym sojusznikiem Niemiec.

Jakie są wnioski z powyższych faktów dla polityki amerykańskiej? Formalne uznanie granicy na Odrze i Nysie nie wydaje się w tej chwili możliwe, gdyż w prawie międzynarodowym oznaczałoby to albo uznanie przez St. Zjedn. granicy państwa, które oficjalnie nie istnieje — tzn. zjednoczonych Niemiec (a do zjednoczenia Niemiec jesteśmy zobowiązani), lub uznanie granicy Niemiec Wschodnich, których nie uznajemy. Krok taki byłby więc politycznym ryzykiem. Obliczenie strat w Niemczech w porównaniu z zyskiem dla polityki amerykańskiej w Polsce nie jest możliwe; można by z powodzeniem dowodzić, że ryzyko jest zbyt wielkie. Stąd mamy do wyboru dwie alternatywy: albo zaangażować się po stronie wysiłków niemieckich zmierzających do rewizji granicy na korzyść Niemiec, lub pozostać

przy obecnej polityce nieangażowania się do czasu układu pokojowego ze zjednoczonymi Niemcami.

Pierwsza z tych alternatyw jest niepożądana, ponieważ zawiera próbę osiągnięcia, celu który osiągnąć można jedynie siłą. Na płaszczyźnie politycznej oznaczałaby ona sojusz każdego rządu polskiego (i czechosłowackiego) z każdym rządem w Moskwie, niszczyłaby ponadto wielki kapitał przyjaźni do Stanów Zjednoczonych w obu tych krajach. Z moralnego punktu widzenia polityka taka byłaby trudna do obronienia, nie mówiąc już o jej skutkach w wewnętrznej polityce amerykańskiej. Druga alternatywa — kontynuowanie obecnej polityki mglistego niezaangażowania — jest zła z każdego punktu widzenia: nie pomaga nam w naszych stosunkach z Niemcami Zachodnimi, poważnie osłabia naszą pozycję w Polsce i daje w ręce rosyjskich i polskich komunistów skuteczne narzędzie podtrzymywania polskich obaw przed odrodzonymi Niemcami oraz podejrzeń co do naszego stanowiska w sprawie granicy na Odrze i Nysie.

Jak zwykle bywa z tego rodzaju problemami, nie ma jakiegoś jednego, doskonałego rozwiązania. Pewien rodzaj wyjścia można jednak znaleźć: mianowicie, można wybitnie zmniejszyć polskie obawy co do możliwości spowodowania przez Niemcy rewizji granicy zachodniej (co w rzeczywistości nie nastąpi), co w rezultacie osłabi wpływy komunistyczne w Polsce i zwiększy wpływy zachodnie, szczególnie nasze własne. Dlatego też Stany Zjednoczone winny wyraźnie dać do zrozumienia zachodniemieckiej opinii publicznej, że zjednoczenie Niemiec jest nieosiągalne bez istotnych zmian w stosunkach polsko-sowieckich. Z tego punktu widzenia zwrot w amerykańskim stanowisku wobec granicy na Odrze i Nysie może być uważany za zgodny z długofalowymi interesami Niemiec. Ten punkt jest niezwykle ważny, ale niestety wciąż jeszcze słabo rozumiany zarówno w Niemczech jak i w Ameryce. Dopóki nie dojdzie do wyrównania różnic polsko-niemieckich, w pełni zjednoczona Europa jest nie do pomyślenia. Dalsze zaś istnienie tych różnic odbić się może niepomyślnie na stosunkach między Niemcami a ich zachodnimi sąsiadami. Ponieważ Bonn zobowiązał się już formalnie do pokojowego załatwienia sprawy z Polską, bez użycia siły, Stany Zjednoczone winny, we własnym imieniu i jako członek NATO, całkowicie podpisać się pod tym zobowiązaniem, deklarując gotowość przeciwstawienia się każdej próbie naruszenia go i zobowiązując się do włączenia go do przyszłego układu pokojowego z Niemcami. Oba kraje oraz NATO winny zgodzić się, że w przyszłych rokowaniach pokojowych z Niemcami Polska nie będzie ani zmuszana ani naciskana do przyjęcia jakichkolwiek zmian w swej obecnej granicy zachodniej, które uzna za sprzeczne z jej interesem narodowym. Stany Zjednoczone, jako symboliczny gest wskazujący na to, że nie przewidują ani nie pragną takiej zmiany (choć formalnie nie musi to być powiedziane) winny również zastanowić się nad otwarciem konsulatu w Szczecinie lub Wrocławiu.

Granica na Odrze i Nysie nie jest jedynym problemem w amerykańskiej polityce wobec Polski. Stany Zjednoczone winny kontynuować pomoc gospodarczą, i nawet ją zwiększyć. W Polsce nagromadziły się pokaźne sumy, które mogłyby być użyte na miejscu. Powinno się rozpocząć rokowania nad znalezieniem sposobu użycia ich, który byłby do przyjęcia dla obu stron, z pożytkiem dla narodu polskiego. Budowa Biblioteki Narodowej i Archiwów w Warszawie jest może jednym z lepszych projektów. Powinno się także rozszerzyć wymianę kulturalną z Polską, szczególnie w ramach różnych amerykańskich fundacji, z utrzymaniem istniejących warunków wspólnego wyboru stypendystów przez władze polskie i czynniki amerykańskie. Z powodzeniem też można by udzielić Polsce pomocy technicznej materialnej w celu podniesienia stanu jej rolnictwa. Wszystko to oparte jest na przypuszczeniu, że obecna sytuacja w Polsce nie ulegnie gwałtownej zmianie na gorsze.

Czechosłowacja — jest krajem o kulturze zachodniej, uprzemysłowionym, ale rządzonym przez neo-stalinowski reżym odznaczający się dużą stabilizacją wewnętrzną. Czesi są antyniemieccy, tradycyjnie byli też zawsze pro-rosyjscy, ale dzisiaj nastawienie pro-rosyjskie jest już zapewne mniejsze. Słowacy są katolikami, stają się coraz bardziej uprzemysłowieni, są na ogół anty-czescy i mniej anty-niemieccy a bardziej anty-komunistyczni niż Czesi. Czesi mają te same obawy wobec Niemiec co Polacy, szczególnie że roszczenia niektórych wysiedleńczych organizacji Niemców sudeckich nie pozwalają zapomnieć o Monachium i zniszczeniu państwa czechosłowackiego. Tak się jednak szczęśliwie składa, że zarówno Bonn jak i Waszyngton uznają granicę czesko-niemiecką z 1937 r. Niepokój wśród Czechów powodują natomiast nieustanne oświadczenia niektórych przywódców wysiedleńczych, że Niemcy sudeccy winni mieć prawo nie tylko wrócić na swe dawne ziemie ale decydować również o ich przynależności. Chociaż ani Waszyngton ani Bonn nie popierają tych roszczeń, byłoby dobrze z amerykańskiego punktu widzenia, gdyby oba rządy wyraźnie stwierdziły, że roszczenia te nie reprezentują oficjalnej polityki amerykańskiej czy niemieckiej.

Byłoby bardzo pożądane, gdyby udało się odnowić tradycyjne więzi łączące Czechosłowację z Francją i Ameryką, na początek przynajmniej na płaszczyźnie kulturalnej. Z uwagi też na rosnące znaczenie Czechosłowacji w dziedzinie pomocy technicznej dla krajów opóźnionych w rozwoju, powinniśmy wystąpić do Czechosłowacji z podobną propozycją, z jaką wystąpiliśmy już do Rosji, przyłączenia się do międzynarodowych planów rozbudowy gospodarczej tych krajów w ramach Narodów Zjednoczonych. W tym, jak i w innych wypadkach, wszystko co prowadzi do podważenia marksistowsko-leninowskiej tezy o zasadniczo antagonistycznym charakterze przemian światowych, może wyjść jedynie na dobre.



Rumunia i Bułgaria. — Oba te kraje bałkańskie mają charakter przeważnie rolniczy i raczej słabe tradycje demokratyczne. Dla Rumunii historycznymi sojusznikami była zawsze Francja i Niemcy, dla Bułgarii — Rosja i Niemcy. Rumuni są anty-rosyjscy i anty-węgierscy; Bułgarzy tradycyjnie prorosyjscy, antyjugosłowiańscy i anty-grecy. Na Zachodzie nie raz kpi się ze zniewieściłości i korupcji Rumunów — warto jednak pamiętać, że rewolucja węgierska spotkała się z zupełnie niezwykłym oddźwiękiem właśnie w Rumunii; gdyby nie jej szybkie zgniecenie, mogłoby się okazać, że następnym na liście państw zbuntowanych byłaby Rumunia. Obecnie reżymy komunistyczne w obu krajach siedzą w siodle mocno i stosują wyjątkowo ostry ucisk. O ile nie zagra jakaś siła odśrodkowa (w rodzaju ponownego zbliżenia sowiecko-jugosłowiańskiego lub w wyniku sporu chińsko-rosyjskiego), na szybkie lub drastyczne zmiany raczej się nie zanosi. Niemniej, z zadowoleniem trzeba powitać podpisane niedawno porozumienie w sprawie wymiany kulturalnej między Stanami Zjednoczonymi a Rumunią i odnowienie stosunków dyplomatycznych z Bułgarią po przeszło dziesięcioletniej przerwie. Wzmocnienie kontaktów kulturalnych daje najlepszy sposób wpływania na poglądy i nastawienia elit rządzących w tych krajach, otwierając im oczy na fakt, że przemiany społeczno-ekonomiczne świata są organicznym, ewolucyjnym procesem nie dającym się wyjaśnić bez reszty dychotomiami marksizmu-leninizmu.

W pewnym sensie można dowodzić, że za udzieleniem pomocy ekonomicznej Rumunii i Bułgarii przemawiają silniejsze argumenty niż w wypadku jakiegokolwiek innego kraju wschodnioeuropejskiego z wyjątkiem Polski. Czechosłowacja i Wschodnie Niemcy są krajami uprzemysłowionymi i stosunkowo bogatymi, Węgry są wypadkiem specjalnym. Bułgaria i Rumunia są nadal biedne i opóźnione w rozwoju; ich ludność głęboko zdaje sobie sprawę ze swego położenia i coraz bardziej traci cierpliwość. Z powodzeniem można by zaoferować pomoc w rozbudowie gospodarczej — czy to amerykańską czy lepiej nawet — niemiecką, już to chociażby po to, by ułatwić Bułgarom i Rumunom uzyskanie większej pomocy od Rosji.

Węgry, Albania i Niemcy Wschodnie. — Reżymy tych krajów są słabe i dlatego widzą niebezpieczeństwo w złagodzeniu stosunków wewnętrznych i zwiększonych kontaktach z Zachodem.

Reżym węgierski próbuje pośredniej drogi między rewizjonizmem a neo-stalinizmem. Obecność kardynała Mindszientiego w poselstwie amerykańskim, dalsze trzymanie w więzieniach więźniów politycznych, a przede wszystkim nasz obowiązek pamiętania o rewolucji węgierskiej, wszystko to stwarza specjalne problemy. Gdyby znormalizowanie naszych stosunków z Budapesztem okazało się możliwe w sposób przynoszący pożytek ludności węgierskiej (przez zwiększone kontakty z Zachodem i częściowe przynajmniej złagodzenie terroru policyjnego), mogłoby być w naszym interesie przywrócenie ambasady w Budapeszcie. Jednym z warunków winno być zwolnienie więźniów politycznych osadzonych za udział w rewolucji węgierskiej. Gdyby do tego doszło, może dałoby się, żeby Niemcy wystąpiły z propozycją pomocy gospodarczej, a Zachód z propozycją rozszerzenia kontaktów kulturalnych. Niemniej, dopóki Związek Sowiecki zbija kapitał na arenie międzynarodowej występując w roli antykolonialnego mocarstwa, Stany Zjednoczone winny utrzymać sprawę węgierską na agendzie Narodów Zjednoczonych.

Albania jest stalinowska, pro-chińska i antyjugosłowiańska. Stany Zjednoczone nie utrzymują z nią stosunków dyplomatycznych i jest raczej nieprawdopodobne żeby do nawiązania stosunków wkrótce doszło. Reżym Hodży rozgłasza, że istnieje przeciwko niemu spisek jugosłowiańsko-grecko-włosko-amerykański, którego celem ma być rzekomo rozbiór Albanii. Stany Zjednoczone winny jasno powiedzieć, przy pomocy licznych audycji radiowych, że powyższy zarzut jest wyssany z palca po to, by ukryć fakt nieudanego zamachu sowieckiego na władzę Hodży. Nasze informacje o Albanii i analiza sytuacji wewnętrznej są niewystarczające i powinno się temu zaradzić.

Reżym Ulbrichta w Berlinie Wschodnim, złożony ze stalinowskich quislingów, rządzi z ramienia Moskwy jedną trzecią Niemiec. Jego pozycja jest trudna, z uwagi na wyludnienie kraju, spowodowane masową ucieczką na Zachód i nienawiść ludności; stąd wywieranie przez Ulbrichta nacisku na Moskwę aby sprowokowała kryzys berliński. Rząd w Bonn jest stanowczo przeciwny jakimkolwiek posunięciom ze strony państw zachodnich które stwarzałyby wrażenie uznania reżymu Ulbrichta za legalny. Podobne stanowisko zajmują Stany Zjednoczone. Choć *status quo* daleki jest od doskonałości, jest jeszcze dla nas rozwiązaniem możliwie najlepszym i musi być utrzymany. Nawiasem mówiąc, warto zauważyć, że Związek Sowiecki odrzucając tzw. „politykę dwóch Chin”, domaga się abyśmy uznali jego wschodniemiecki sektor okupacyjny za pełnoprawne państwo.

IV

Często twierdzi się, że położenie Wschodniej Europy zależy w dużej mierze od statusu stosunków amerykańsko-sowieckich. Te stosunki z kolei zależą jednak bezpośrednio z jednej strony od tego, że Rosja nieustępliwie stara się traktować ten obszar po prostu jako obszar satelicki, z drugiej zaś od obaw sowieckich że Stany Zjednoczone odrzucą *status quo* i zechcą przekształcić ten obszar w antysowiecki, zachodni przyczółek, być może nawet pod dominacją niemiecką. Polityka pokojowego zaangażowania

się zaprzeczy zarówno temu, że Europa Wschodnia jest obszarem satelickim, jak i temu, że knujemy stworzenie zachodniego przyczółka. Na dalszą metę, polityka ta stopniowo zwiększając niezależność Wschodniej Europy, bez zagrażania bezpieczeństwu Sowietów, ale i bez pozostawiania tego obszaru na łasce Sowietów, może nawet przyczynić się do polepszenia stosunków amerykańsko-sowieckich.

Zbigniew BRZEZIŃSKI
i
William E. GRIFFITH

(Tłumaczył: Bogdan Czaykowski)

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

ROZMÓWKI OLLENDORFA

Przed wielu laty — przypominam to sobie jak przez mgłę — do nauki niemieckiego używano ułożonych przez niejakiego Ollendorfa rozmówek, które były źródłem zabawy starszych i młodzieży. Zrazu przerażająco banalne, rozmówki te, w miarę wrastanie zapasu słów uczących się, stawały się dziwaczne, wyrwane z jakichś trudnych do wyobrażenia sobie sytuacji. „Gdzie jest nasz sąsiad? — Nasz sąsiad jest na dachu”. „Na czym usiadł mój siostrzeniec? — Twój siostrzeniec usiadł na twojej peruce”. W innych okolicznościach przerzucanie się takimi kwestiami wyprowadziłoby niejednego z cierpliwości, w danym wypadku jednak treść pytań i odpowiedzi była ostatecznie obojętna; chodziło o nauczenie się pewnej ilości słów i zwrotów, mogących później służyć do prawdziwej rozmowy.

Ileć się myślę o rozmowach polsko-rosyjskich na emigracji, przypominają mi się rozmówki Ollendorfa. Przed rokiem rosyjski numer „Kultury” otworzył nowy sezon konwersacyjny. Kilku publicystów rosyjskich stanęło do rozmowy, ale wyniki jej były na ogół mało zachęcające. Autorzy, którzy odnieśli się do inicjatywy „Kultury” życzliwie, byli lakoniczni i wymijający. Mniej życzliwi okazali się bardziej wymowni. Kilku z nich, dotkniętych widocznie tym, co współpracownicy „Kultury” pisali o złych wspomnieniach pozostawionych w Polsce przez panowanie rosyjskie, stare i nowe, przypominało — wspomnienie za wspomnienie — że i Polacy byli kiedyś nieproszonymi gośćmi w Moskwie. Gdy się wchodzi na drogę wzajemnych rekryminacji, nawet taki stary epizod historii, utrwalony w operze Glinki *Żiżń za caria*, może zyskać niespodzianą aktualność. Drugim kamieniem obraży okazało się zainteresowanie rozmówców polskich losami Krajów Bałtyckich, Białorusi i Ukrainy. Kilka milionów żyjących obecnie Polaków — i większość współpracowni-

ków „Kultury” — urodziło się w tych krajach i trudno sobie wyobrazić, aby mogli łatwo wykreślić je z swojej pamięci. Część rozmówców rosyjskich nie okazała dla tego zjawiska zrozumienia, widząc w nim wtrącanie się do spraw wewnętrznych Rosji. Po tej wymianie komplementów rozmowy skończyły się i znów zapadło milczenie.

W roku bieżącym sezon rozmów zapoczątkowany został przez „Posiew” z 22 stycznia. „Posiew” wychodzi w Frankfurtie n. M. i jest organem raczej prawicowej grupy „rosyjskich solidarystów”, szerzących swe poglądy za pośrednictwem jednej z radiostacji amerykańskich w Niemczech. „Posiew” nosi podtytuł: „Głos rosyjskiego ruchu rewolucyjnego”. Słowom tym towarzyszy następujące objaśnienie: „Do rosyjskiego ruchu rewolucyjnego należą wszyscy, którzy stawiają sobie za cel obalenie władzy komunistycznej w trybie rewolucyjnym i dążą do tego celu bądź w drodze walki indywidualnej, bądź też przez organizację kółek, grup i zrzeżeń. N.T.S. (*Narodnotrudowej Sojuz*) rosyjskich solidarystów posiada rewolucyjną ideologię i strategię, prowadzi rewolucyjną walkę i sprzyja przez to rozwojowi i organizacji rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. „Posiew” wyraża i rozwija idee solidarystów, walczy o realizację celów politycznych rosyjskiego ruchu rewolucyjnego i wychodzi przy czynnym udziale N.T.S.” Program więc jak najbardziej rewolucyjny.

W numerze z 22 stycznia rb. znajduje się dodatek zatytułowany „Polski numer Posiewu, za waszą wolność i naszą”. Na czele jego znajduje się deklaracja N.T.S., z której wyjmujemy kilka charakterystycznych ustępów:

„Na drodze do wzajemnego zrozumienia i przyjaźni polsko-rosyjskiej stoją dwie przeszkody: przeżytki nienawiści narodowej i nieufność Polaków do Rosji jako do niebezpiecznego i potężnego sąsiada. Pragnąc szczerze wyjaśnienia i poprawy stosunków sądzymy, że za podstawą wzajemnego zrozumienia przyjąć należy następujące zasady: 1) Należy położyć kres wzajemnej wrogości. Do tego co było nie ma powrotu. Błędem przeszłości winne są obie strony. Nie budujmy przyszłości na wspomnieniach krzywd historycznych, aby nie wpaść w stare błędy. 2) Rosyjska partia komunistyczna nie jest Rosją, ani Zjednoczona Partia Robotnicza — Polską. 3) Nowe warunki historyczne wymagają nowych decyzji. Polska i Rosja ujarzmione są przez tego samego wroga — przez komunizm. Z wspólnym wrogiem należy walczyć wspólnie, licząc przede wszystkim na własne siły”.

Myśli zawarte w powyższej deklaracji rozwijane są w kilku artykułach, z których jeden omawia „możliwości konkretnej współpracy”.

Polski numer „Posiewu” zwraca się do Polaków w kraju raczej niż do emigrantów, proponując im nie tyle rozmowy co udział w działalności rewolucyjnej, mającej na celu obalenie rządów obecnych w Rosji. Artykuł o możliwościach konkretnej współpracy wylicza zadania, jakie N.T.S. chciałby powierzyć Polakom, mającym łatwiejszy dostęp do Rosji niż skupieni w

Niemczech emigranci. Jest to przede wszystkim propaganda i kolportaż druków w garnizonach sowieckich w Polsce, na drugim zaś miejscu propaganda rewolucyjna w samej Rosji.

Głos „Posiewu” porusza we mnie bardzo stare wspomnienia. Przypominam sobie rozmowy i kontakty z rewolucjonistami rosyjskimi sprzed 1914. I wówczas między nimi i Polakami nie brakło różnic zdań i rozbieżności celów. Były jednak też kontakty trwałe, wytrzymujące próby i obciążenia. Nie bez pewnego wzruszenia myślałem w moich młodych latach, że wśród milionów nieznanymi, zaludniających niezmiernie obszary imperium, i nawet wśród noszących mundury wojskowych i urzędników, mam rozsianych wszędzie towarzyszy, czytających te same książki i myślących to samo co ja w sprawach zasadniczych. Poznać ich było nie trudno już po kilku minutach rozmowy. Inteligencja rosyjska witała wówczas radośnie znaki nadchodzącej rewolucji i wyciągała rękę do wszystkich domniemanych sojuszników. Bez magii rewolucyjnego koleżeństwa nie umielibyśmy sobie wytłumaczyć, w jaki sposób tyłu Polaków zostało wciągniętych w szeregi partii bolszewików. Podobne okoliczności sprzyjają powstawaniu podobnych zjawisk, i kto wie, czy pod surową dyktaturą proletariatu nie wytworzą się kiedyś warunki do takich samych jak wówczas kontaktów polsko-rosyjskich.

Na tle tych wspomnień głos „Posiewu” podobny jest do arii z opery, której początku i końca nie znamy. N.T.S. wysuwa bowiem swe propozycje tak, jak gdyby wyniki głoszonej przezeń rewolucji były wiadome lub przynajmniej również obiecujące dla obu stron. Tymczasem wszystko tu jest niejasne i wątpliwe. Trudności — żeby to jakoś nazwać — w stosunkach polsko-rosyjskich nie mają swego źródła w komunizmie, i nic nie wskazuje na to, aby miały się skończyć z nim razem. Wyobraźmy sobie dla przykładu, że obecny rząd na Kremlu został obalony przez spisek wojskowy. N.T.S. byłby wówczas już bliski od celu swej rewolucji, Polacy natomiast mogliby łatwo pozostać równie odlegli od wolności jak przedtem. Rzecz w tym, że pod rządami komunistów Rosja rozszerzyła swe panowanie na pół Europy, swe wpływy na pół świata i urosła do potęgi, mogącej pretendować do rządzenia globem ziemskim łącznie z jego księżycem. Czy nowi władcy Kremla — jak niegdyś Napoleon Bonaparte — nie uznałiby za swe pierwsze zadanie utrzymania i pomnożenia zdobyczy poprzedniego reżymu? Taki obrót rzeczy wydawałby się dziś najbardziej prawdopodobny. Aby mogło być inaczej, musiałyby się spełnić warunki, o których niżej.

Bez obejścia dokoła w rozmowach wszystkich tych możliwości i prawdopodobieństw propozycje współpracy pozostają zawieszane w próżni, pozbawione przedmiotu. Publicyści „Posiewu” musieli sobie zdawać z tego sprawę, bo ich polski numer wygląda raczej na gest niż na coś innego. Można nawet przypuszczać, że nie liczyli na odpowiedź. „Posiew” znany jest zapewne policji sowieckiej i warszawskiej zanim znajdzie się w rękach innych czytelników. Czy więc zaproszenie do kolportażu

nielegalnych druków, ogłoszone na rynku przez trębacza, może liczyć na odpowiedź? Dla podróżnego, który istotnie chciałby przewieźć w kieszeni numer „Posiewu”, byłaby to raczej przestroga niż zachęta.

W tymże numerze znajdujemy również zdanie, o którym nie wiadomo nawet co myśleć. Na str. 6 czytamy mianowicie, że „znaczna część literatury rosyjskiego ruchu rewolucyjnego przenika do ZSSR przez Polaków jeżdżących na Zachód, a jest ich niemało”. Trudno sobie wyobrazić, aby „Posiew” zamierzał denuncjować w ten sposób Polaków przewożących druki NTS do Rosji. W organie „ideologów i strategów rewolucji” zdanie to jest zapewne świadomym kłamstwem, mającym na celu odwrócenie uwagi nadzoru od prawdziwych dróg penetracji „Posiewu” do Rosji. Ale i przy tej interpretacji pokazywanie palcem na polskich podróżnych wożących nielegalne druki, zwłaszcza w numerze zwracającym się do Polaków, nie mogło się tym ostatnim podobać. Niektórzy rozgniewali się nie na żarty, jak można wnosić z listu Kazimierza Okulicza w „Wiadomościach” z 7 maja rb. Ale mniejsza o to. Polscy podróżni czytający „Posiew” — jeżeli w ogóle są — nie są dziećmi i z lektury tej wyciągnęli już zapewne użyteczne dla siebie wnioski.

„Posiew” powołuje się na dekabrystów, zwraca się do Polaków tonem przyjaznym, a jednak nie liczy na odpowiedź, jak gdyby w przeczuciu, że nie spełnił jakiegoś warunku niezbędnego dla każdej wymiany zdań. Zresztą wszystkie próby rozmów z braćmi Słowianami na emigracji utykają na wstępnych przeszkodach. Co kilka lat odzywa się jakiś głos: „Dobrze byłoby porozmawiać” i następuje kłopotliwe milczenie. Czytając co napisałem widzę, że i ja sam utknąłem na jakiejś mieliznie i zapewne też nie zachęcam do rozmowy.

Wracając pamięcią do czasów sprzed 1914 mam wrażenie, że Rosjanie i Polacy — jeżeli w ogóle dochodziło między nimi do dyskusji — byli wówczas bardziej rozmowni. Spotkania były nieraz burzliwe, ale prowadziły do wymiany zdań, do sformułowania argumentów i do wyjaśnienia zajmowanych stanowisk. Każda, nawet banalna rozmowa wymaga posiadania pewnej ilości wspólnych pojęć. Usiłuję więc przypomnieć sobie, jakie wspólne pojęcia łączyły ówczesnych rozmówców. Wydaje mi się dziś, że najważniejszym z nich było jasne rozpoznanie współzależności między Rosją i Polską. Publicyści rosyjscy na emigracji mówią często o zależności Polski od ewolucji wewnętrznej Rosji. Rozmówcy rosyjscy sprzed 1914 mówili jednak często także o zależności ewolucji wewnętrznej Rosji od losów Polski. Przypominam sobie nawet ich słowa. „Wolność w Rosji — mówił jeden — możliwa jest tylko za cenę wyrzeczenia się Polski”. Drugi wyrażał tę samą myśl bardziej beceremonialnie: „Przed wszystkim musimy odczepić się — *otdielatsa* — od Polski; bez tego wolność jest u nas nie do pomyślenia”.

Opinia ta opierała się na następujących przesłankach. Prowadzenie nad tyłu opornymi ludźmi wymagało od Rosji posiadania

rządów silnych, autokratycznych, ekspedycyjnych, szybkich w decyzjach, nie liczących się z parlamentem ani ze zdaniem większości. Polacy byli najliczniejszym i najoporniejszym z tych ludów. Jak długo więc posiadanie Prywislńskiego Kraju zajmowało w hierarchii celów rosyjskich pierwsze miejsce, tak długo Rosja nie mogła sobie pozwolić na zastąpienie autokracji przez formę rządów dającą więcej praw i swobód ludności. Dlatego „odczepienie się od Polski” wydawało się niezbędnym warunkiem wewnętrznej ewolucji Rosji w kierunku demokracji i wolności.

Sytuacja ta nie zmieniła się wcale; zarysy jej są tylko bardziej ostre i widoczne. Rosja panuje dziś nad jeszcze większą ilością ludów krnąbrnych i opornych, wymagających nieustannego nadzoru i szybkości represji. Posiadanie imperium mogącego grozić reszcie świata i rozszerzającego się od Erfurtu do Władystoku jest główną, jeżeli nie jedyną, satysfakcją, jaką władcy Kremla mają do ofiarowania swym poddanym. Ale czy posiadanie groźnej potęgi i panowanie nad tyłu krajami jest na pewno więcej warte od wolności?

Sceptycy powiedzą zapewne, że Rosja posiadała od niepamiętnych czasów i po wahaniach powracała zawsze do rządów najlepiej przystosowanych do obrony i rozszerzania granic imperium i z tej przyczyny nie mogących ofiarować poddanym więcej wolności; że zatem hierarchia wartości, w której potęga stoi wyżej od wolności, jest tradycyjnym rysem cywilizacji rosyjskiej. Jest to być może prawda, ale hierarchie wartości nie są niezmiennie. Mamy tego świeże i wymowne dowody. Przed kilku laty uczony historyk niemiecki tłumaczył mi, dlaczego zjednoczenie Niemiec, figurujące w programie wszystkich stronnictw, budzi w rzeczywistości umiarkowane zainteresowanie obywateli. Za cenę połowy wolności — mówił — Niemcy Zachodnie mogłyby zapewne połączyć się z Zoną Wschodnią i stać się znów najsilniejszym państwem Europy Zachodniej. Przed 30-40 laty ogromna większość Niemców nie wahałaby się nad wyborem. Hierarchia wartości zmieniła się jednak od tamtych czasów. Niemcy obecni cenią wolność wyżej od zjednoczenia. Podobną rewizję pojęć widzimy również w krajach, posiadających niegdyś imperia kolonialne. Oznaki takich przemian w Rosji byłyby faktem nierównie donioślejszym od przewrotów rewolucyjnych, do których zmierza „ideologia i strategia” NTS.

Jaki mógł być los Rosjan, których przed blisko pół wiekiem słyszałem mówiących o współzależnej wolności Rosji i Polski? Byli ode mnie starsi, być może mniej przezorni w słowach; przypuszczam, że nikt z nich nie żyje. Nie wiem, czy przekazali komuś swą myśl i ocenę wolności. Być może jednak zostawili spadkobierców, trochę bardziej samotnych i ostrożnych, rozsiąanych po niezmiarzonej przestrzeni. Chciałbym ich kiedyś spotkać. Jestem pewien, że rozmowa nasza byłaby przyjazna i prosta.

GDZIE UMIEŚCIĆ CZYCZA

Wydaje się, że największą sensacją literacką w Polsce było tej wiosny opowiadanie Stanisława Czcza pt. *And*, ogłoszone w marcowym numerze „Twórczości”. Krytyków pragnących, aby wszystkim było jak najlepiej, oburzyły w nim obrazki ze zjazdu młodych pisarzy. W „Polityce” z 29 czerwca czytamy: „Opowiadanie Czcza wywołało popłoch. Podobno — jak twierdzą świadkowie — zjazd młodych poetów w Poznaniu (jesień ub. roku) rzeczywiście był jakimś nieskoordynowanym galimatiasem wyczynów różnego autoramentu, był sam w sobie bełkotem i wobec tego opowiadanie Czcza, ukazujące ten zjazd, jest jakoś adekwatne w stosunku do modelu”. Dla krytyka „Polityki” opowiadanie jest „zwyczajnym bełkotem”, „karykaturą”, nieudanym eksperymentem, wydrukowanym w „Twórczości”, aby czytelnicy mogli się nań „wściekać”.

Do wściekania się jest tyle ważniejszych powodów, że trudno sobie wyobrazić, jakby opowiadanie drukowane w „Twórczości” mogło wpisać w ten stan czytelników. Jeżeli Czyczowi to się uda, dokona istotnie czegoś niezwykłego.

Redaktor „Twórczości”, Jarosław Iwaszkiewicz, przewidywał jednak coś podobnego, bo w tymże numerze prosi o wyrozumiałość dla młodego autora.

Prawdziwe czy domniemane aluzje Czcza do współczesnej rzeczywistości zostawmy jednak na później. Opowiadanie jego jest utworem literackim i jako takie wywołało też pewną ilość komentarzy. Sądząc z listów i rozmów, część czytelników uważa opowiadanie krakowskiego pisarza za jeden z najciekawszych utworów ostatnich lat lub przynajmniej za bardzo obiecujący debiut. Przyjrzyjmy się więc stronie literackiej opowiadania.

Forma jego znana jest z wzorów zachodnich. Jest to kilkadziesiąt stronik zwartego jak płynąca woda majaczenia, którego prąd niesie strzępy obrazów, wspomnień, refleksji i rozmów. Infabulacja jest niezłożona: dwaj przyjaciele — autor i *And* — jadą na zjazd młodych pisarzy, gdzie przeżywają kilka znaczących przygód, po powrocie zaś *And* odbiera sobie życie. Środkiem ciężkości opowiadania są refleksje i odruchy obu przyjaciół, wyrażające głębokie niezadowolenie z bezsensowności i pustki egzystencji.

W przedstawianiu tych stanów opowiadanie Czcza nie ustępuje najlepszym wzorom. Autor „*Anda*” okazał tu rzetelny talent i pomysłowość. Wirtuozi tego rodzaju literackiego przedstawiali zazwyczaj nudę i pustkę wewnętrzną w formie soliloquiów. Jeżeli się nie mylę, Beckett pierwszy powziął genialną myśl rozłożenia tej ponurej pieśni na kilka głosów. Myśli Becketta pojął i wykonał cudnie Czycz, rozwijając je i uzupełniając. Najlepszym wynalazkiem jego wydaje się opisywanie od zewnątrz gestów i sposobów zachowania się odpowiadających nudzie i pustce wewnętrznej. Technika ta daje jego słowom wielką

siłę perswazji, stwarza niemal złudzenie rzeczywistości. Co zrobimy z tym złudzeniem? Bez niego opowiadanie Czcza byłoby tylko szczęśliwą wariacją na znany temat, złudzenie rzeczywistości natomiast stawia nas wobec nowych, niepokojących pytań.

Zanim spróbujemy je sformułować, rzućmy okiem na kilka scen ze zjazdu literatów, które krytyk „Polityki”, ulegając widocznie wzmiarkowanemu złudzeniu rzeczywistości, wziął za opis zjazdu młodych poetów w Poznaniu.

„Były jakieś przemówienia w tej sali, to było koło południa; a jeszcze wcześniej ta zupełnie nieciekawa dziwa była oburzona sposobem, w jaki próbujemy z nią rozmawiać, może nawet samym faktem, że chcemy z nią rozmawiać...”

„Po obiedzie, w naszym pokoju hotelowym, robiliśmy próbę śpiewu; „w krzyżu cierpienie” na dwa głosy; potem, gdy uznaliśmy, że śpiewamy już dobrze, graliśmy w pokera, ponieważ żaden z nas nie miał najmniejszej ochoty na grę w pokera;

graliśmy więc w pokera do wieczora a potem poszliśmy do teatru, gdzie Początkujący mieli czytać swoje teksty. I byliśmy już chyba zupełnie trzeźwi, a w teatrze Początkujący — większość ich, o ile nie wszyscy — byli pijani, pijani byli nawet tacy, o których nie można powiedzieć, że przedtem znali smak wódki, więc *And* powiedział, że nie powinniśmy się wylamywać, nie warto tutaj popisywać się indywidualnością, i poszliśmy się napić;

a później leżeliśmy na schodach (właściwie jeden z nas leżał — nie wiem kto — drugi siedział), na schodach teatru i ludzie już zaczęli wychodzić, przyglądali się nam — może myśleli, że to też jest jednym z numerów programu, bo to przecież nie było bardziej niezrozumiałe niż te teksty których wysłuchiwali, niż ta cała impreza; więc już zaczęli wychodzić z teatru i bardzo się nam przyglądali, a w dodatku było nam zimno; i poszliśmy za innymi Początkującymi na kolację;

tam zaraz zobaczyliśmy tę Mużę, tę Piękność Zjazdu Początkujących, siedziała w towarzystwie paru Młodych Zapowiadających Się; i znowu mówiliśmy do niej, chcieliśmy ją wziąć do naszego stolika — a więc oczywiście musieliśmy być już za bardzo pijani — *And* chwycił ją za rękę, może pociągnął ją, albo ona, wyrwijąc rękę, wywróciła szklankę z kawą, i jeden z Siedzących Z Nią poderwał się, powiedział, że któryś z nas chce chyba dostać w mordę...”

Więc zorem przyjaciele robią na ten temat następujące refleksje:

„*And*, rozbierając się, mówił, że właściwie szkoda, iż któryś z nas nie dostał w mordę od tamtego Towarzyszącego Mużie, Poderwanego, bo to byłoby pięknie męczyć się całonocną jazdą i tym wszystkim tutaj po to tylko, aby dostać w mordę, i że gdyby ktoś z nas rzeczywiście dostał, to mógłby już spokojnie wracać do domu, już by miał załatwione to, po co tutaj przyjechał...”

Nuda i pustka wewnętrzna nie oszczędzają nawet wzajemnego stosunku obu przyjaciół. Posłuchajmy ich rozmowy:

„...z początku jeszcze coś mówiliśmy, ta rozmowa niewiele różniła się od rozmów poprzednich, ale słowa teraz już bez uśmiechów, więc chyba

miały znaczenie; słowa, poszczególne zdania, bo cała treść rozmowy nie była może ważna, nie pamiętam jej, ale myślę, że nie była ważna; więc tylko to, że słowa miały znaczenie, swój normalny sens; a potem And przestał mówić, zrobił tylko minę idioty...”

„Wyciągnął jakiś wiersz, jej wiersz, jak mówił, czytał go głośno, potem pytał, czy ładny... zamykały mi się oczy; chciało mi się spać tak bardzo, że już wreszcie nie mogłem udawać; „to prześpij się”, powiedział And; jeszcze nie usnąłem, kiedy szarpnął mnie za rękę: „gramy”...”

Przyjaciele nie liczą już na to, aby przez jakąś szczęśliwą inwencję udało się im ożywić łączącą ich pustkę. Aby ująć jej konsekwencji, starają się uprościć, zamknąć w mechanicznych gestach. Mają wciąż w rękach karty, grają w pokera, w oko, w „wychodek”, ale i to nie pomagają.

And „w pewnej chwili otworzył okno, wyrzucił karty, „bo — powiedział — do gry w karty nie dorastamy, tak, intelektualizm tej rozrywki przerasta nas; wymyśliłem, przypomniałem sobie coś innego, odpowiadającego naszemu intelektowi, coś naprawdę dla nas”, tak; gra w guziki, pomysł bardzo mi się podobał, miałem do Anda przyjechać zaraz, gdy wstanę, „więc jutro, u mnie, z guzikami; jak najwcześniej, nie powinniśmy tracić czasu, marnować zapału młodości”...”

Tajemnica ich przyjaźni odsłania się dopiero w ostatniej rozmowie:

„...And mówił, że właściwie ten nasz wyjazd miał sens, a jeżeli nie miał, to i ten fakt ma znaczenie, może nawet większe, niż gdyby to miało sens, i że powinniśmy już zawsze tam jeździć razem, tym bardziej że jemu się z nikim tak dobrze i tak zupełnie nie cierpi jak ze mną...”

Następnego dnia And nie żył. To brutalne, niespodziane, a być może od początku oczekiwane i nieuniknione zakończenie ukazuje właściwy, zrazu niewidoczny sens opowiadania. William Faulkner, swoim zwyczajem, umieściłby to zakończenie na pierwszej stronie. Czyż każde wrócić do początku opowiadania. Jego istotnym zamiarem było napisanie *requiem* dla zmarłego przyjaciela, odtworzenie krok za krokiem jego ostatniej podróży i odczytanie rozszianych wzdłuż drogi złowróżbnych znaków. Rozumiemy teraz ściszone, matowy ton opowiadania, w którym nawet chuligańskie wyrazy brzmią *con sordini*.

W tym miejscu złudzenie rzeczywistości osiąga najwyższy punkt. Jako *requiem* dla przyjaciela, przedsięwzięcie Stanisława Czycza jest bardziej serio niż to się mogło wydawać. Towarzyszył przyjacielowi aż do samego brzegu przepaści. Zatrzymał się, gdy tamten zrobił jeszcze jeden krok naprzód.

Jak to się stało? Trochę światła rzuca na tę okoliczność znajdujący się w środkowej części opowiadania chaotyczny monolog o strzępach nędznego życia oprawianych w złote ramki. Zakończenie pozwala w tych niejasnych stronicach odróżnić kilka zrozumiałych znaków.

„...w tej całej historii z Andem idzie między innymi, a może i głównie, właśnie o takie, o bardzo podobne ramki; i podobny jest cały cykl, od

czegoś w rodzaju zobaczenia, a następnie, ciepłutkiej jeszcze z początku, gry wyobraźni, poprzez, niepojęty dla mnie, urągający wszelkiemu rozsądkowi a pochłaniający wreszcie zupełnie, poryw budowania lub raczej dobudowywania, aż do momentu, gdy to zaczyna miażdżyć swego twórcę.

choć przedtem — lecz często już trochę za późno — mogą być próby... ucieczki, wydarcia się z tej całej budowli; miała być zabawą, miała sprawiać najwyższą radość (aha, jak powiedziałem... zaraz na początku: nie o nim, nie o Andzie, lecz o sobie... bo on poszedł w tym wszystkim trochę dalej...

A z początku... jego twórca sądzi, że to, ten obłęd, te ramki, że te ramki mu służą, podlegają jego władzy, skoro je przecież zrobił sam...

a później... gdy próbuje się tym ramkom wymknąć... jest mu ich żal, jednocześnie wątpi, czy uda mu się z nich wydostać... bo jego myślenie już całe jest tylko ramką, i już nie to, że nie potrafi inaczej, ale nie chce inaczej myśleć; więc, że jeżeli już nie zdola wyjść, to niechże to, w czym siedzi... niech będzie czymś naprawdę świetnym...”

Jeżeli dobrze odczytaliśmy te stronicę, dostrzeżemy w nich — na razie w formie majaczenia — odległe światło, mogące wyprowadzić opowiadającego z koszmarnych ciemności. Jedy- nym sensem jego życia i przyjaźni z Andem było dotąd cierpienie („z nikim się tak dobrze i tak zupełnie nie cierpi”). Czyż nie przeczy słuszności tego rozpoznania. Jedy- nym sposobem uchylenia się od jego konsekwencji byłaby próba transmutacji, sublimacji tego cierpienia na coś „naprawdę świetnego”. Jeżeli ta próba się uda, będziemy wiedzieli, dlaczego autor opuścił przyjaciela, dlaczego powstrzymał się od ostatniego kroku. Czyż ma wątpliwości i zastrzeżenia: obawia się, że będzie to tylko „złoceniem ramek”, że utraci jasność rozpoznania i swobodę wyboru, jakie posiadał do końca jego przyjaciela. Odkąd jednak został sam, jest to jego jedyna szansa. Jego *requiem* dla przyjaciela musi posiadać znamiona czegoś „naprawdę świetnego”.

Sytuacja ta pozwala w opowiadaniu Czycza odróżnić, oprócz literatury, także elementy apologii, obrony przed zarzutem opuszczenia przyjaciela, elementy świadectwa złożonego *in extremis* i supliki do najwyższej instancji Parnasu o darowanie życia. Złudzenie rzeczywistości, jakie daje czytelnikowi ten tekst, wynikałoby więc nie tylko z techniki autora, lecz także z obecności przytoczonych elementów pozaliterackich.

Głębinowe uczucie niezadowolenia i lęku towarzyszące egzystencji człowieka jest jednym z głównych wątków literatury współczesnej. Najślawniejsi autorzy naszych czasów nachylali się nad tą otchłanią. Książki ich zamykamy z błogim uczuciem, że wszystko to jest przecież tylko literatura. Opowiadanie polskiego autora nie zostawia tej pewności. Kto wie, czy za drutami i strażnikami linii demarkacyjnej *taedium vitae* nie należy do rzeczywistości raczej niż do fikcji literackiej? Czy nie jest zjawiskiem wynikiem — jak np. po tej stronie granicy *prosperity* — z całokształtu warunków życia? Za przypuszczeniem takim przemawiałyby także okoliczność, że opowiadanie Czycza ma wybitny kolor lokalny, pewien osobliwy klimat, jakiego nie

można sobie wyobrazić poza Polską. Mam tu na myśli nie całonocne podróże koleją i morze wypitej gorzalki, bo takie rzeczy można znaleźć także w rozkładzie jazdy i roczniku statystycznym, ale niezliczone drobne szczegóły wywołujące u czytelnika nieprzetłumaczalne, arcywłoskie asocjacje. Czytając np. o „Zapowiadających Się”, myślimy o Gombrowiczu, czytając o majstrowaniu koło rozporzeka, przypominamy sobie Witkiewicza, gdy mowa o poecie chodzącym na rękach, uświadamiamy sobie, że z wszystkich żyjących poetów potrafi to tylko jeden Broniewski.

Co wobec tego zrobić z Czyczem? Do jakiej klasy rzeczy pisanych zaliczyć jego opowiadanie? Czy jest to dokument opisujący położenie młodych pisarzy, nie mogących brać na serio rzeczywistości ukształtowanej przez pokolenie poprzednie? Czy tragiczny rozrachunek autora z samym sobą? Czy wreszcie utwór literacki, posługujący się zręcznie różnymi rodzajami tworzywa dla wywołania złudzenia rzeczywistości? „And” jest może tym wszystkim po trosze. Na pytania nasze odpowie zapewne najlepiej sam autor gdy, po tym zajmującym debiucie, napisze coś „naprawdę świetnego”.

DO KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO

Kochany Panie Kazimierzu,

wiersze czytam tylko na osobisty użytek i mój stosunek do poezji jest tak pozbawiony obiektywizmu, że o „Tkance ziemi” mogę napisać chyba tylko w formie listu. Zacznę od tego, że ten nowy tom wierszy jak żaden inny zbliżył mnie do Pańskiej Muzy.

Nie wiem, jak ustaliło się mniemanie, że zdolność do pisania wierszy jest przywilejem młodości. Byłem sam jeszcze bardzo młody, kiedy spostrzegłem powierzchowność tego sądu, i kiedy obudziła się we mnie ciekawość tego, co Muza szepcze poetom widzącym już z bliska strefę graniczną, na której sprawy ludzkie się kończą i za którą więcej nic nie ma. Przed tą granicą Muzy najczęściej opuszczają w popłochu poetów. Jeżeli przy nich zostają, jest to wielkie wyróżnienie. Wówczas dopiero w szepcie ich ukazują się słowa nikomu dotąd nie znane, ostateczne, które się długo pamięta.

Klimat strefy granicznej sprzyjał zawsze wielkiej sztuce. Widać to najlepiej w muzeach, gdzie nawet portrety notują chwilę, gdy model ich przestawał być sobą i stawał się formą malarską, rzeczą należącą do innej kategorii przedmiotów, o innym sensie i trwaniu. Literatura współczesna eksploatuje systematycznie tę strefę, orze ją i zasiewa, lecz wschodzą w niej dziś same niemal przekleństwa i złorzeczenia, słowa pozbawione błogosławieństwa Muz.

Do czytania poetów mam swoją metodę; zaczynam od wierszy typu „Do Muzy” i wierszy późnych, potem dopiero czytam

inne. Według tego systemu zatrzymałem się oczywiście od razu na „Słowie do orfeistów”, którego pierwsza strofa wydała mi się pełna niezwykłego uroku:

*Kto za mną staje, nie wiem, ale wiem że tam jest,
Co mówi, nie wiem, ale powtarzam to za nim,
Nie słyszę tych słów, ale napisać je umiem,
I to jest tak ważne że o nic więcej nie pytam.*

Potem zatrzymała mnie „Ballada o kąciku za piecem” będąca jak gdyby drugim profilem „Słowa”:

*Na wiosnę między szybami donice
W jesieni wódka z dereni,
Zimą podściółka z mchu...*

*Tu chce się schować, tu chce ocaleć,
Ten dom — myśli sobie — to Boży palec
Jeden jedyny widoczny w mgle.
Tu sobie znajdziesz kącik za piecem,
Rozłożysz manatki, zapalisz świecę,
Gazetę poczytasz,
Nie tak źle.*

Przy bliższym czytaniu tom jest pełen szczęśliwych *trouvailles*, jak Nike szumiąca w kamieniu i „pomóście biednym wilkom”.

To co w „Tkance ziemi” zostało z Pańskiego dawniejszego hellenizmu jest też trochę inne, przemyślane na nowo, bliższe wierszy antycznych, do których najczęściej powracam myślą. Motywy greckie — jak wspomnienie Dryopy w „Glicyniach” i nimfy uciekającej od miłości w „Romansie” — są szlachetne i zwiewne. Jest w nich coś z klasycznej esencji Bakchylidesa i Teokryta.

Mam Pana, kochany Panie Kazimierzu, za poetę szczęśliwego i cieszę się z ukazania się „Tkanki ziemi”, która pomogła mi odkryć Pana na mój użytek. Szczerze oddany P. H.

Parweł HOSTOWIEC

CZASY I LUDZIE

JADWIGA ZAMOYSKA

WSPOMNIENIA

Rękopis opracowała, poprzedziła wstępem, zaopatrzyła

w przypisy i indeksy

MARIA CZAPSKA

Jadwiga z Działyńskich Władysława Zamoyska, autorka świeżo wydanych przez nas „Wspomnień” była żoną jednego z czołowych przywódców Wielkiej Emigracji, gen. Władysława Zamoyskiego. Brała udział — u boku męża — w życiu wielkiego świata za Drugiego Cesarstwa w Paryżu, przeżywała liczne przygody w Turcji, gdzie towarzyszyła mężowi w czasie wojny krymskiej, utrzymywała ożywione stosunki z domami arystokracji angielskiej, pełniła służbę kurierską w 1863. Książka ma wartość cennego dokumentu historycznego, zawierającego mnóstwo informacji o Wielkiej Emigracji, szczególnie o działalności Hotelu Lambert i jego czołowych przywódców z księciem Adamem Czartoryskim na czele. „Wspomnienia” Jadwigi Zamoyskiej to kopalnia informacji o faktach, ludziach i obyczajach z połowy ub. wieku oraz zapytywaniach panujących w Polsce, zachodniej Europie i na Bliskim Wschodzie w okresie od powstania listopadowego do powstania styczniowego.

Piękny język, szczerść wypowiedzi i głęboka kultura autorki nadają temu dziełu wartość literacką wysokiej próby.

Stron XXXII + 434 + 14 ilustracji

na kredowych wkładkach

Oprawa płócienna-ochronna obwoluta: 48/- lub \$ 7.00

broszura: 42/- lub \$ 6.00

przesyłka: 1/9 lub 25 c.

Zamówienia prosimy kierować do najbliższej księgarni polskiej lub obcej — lub wraz z należnością bezpośrednio do wydawcy:

B. ŚWIDERSKI 20A, Queens Gate Terrace
LONDON S.W.7

Wyłączne przedstawicielstwo we Francji:

LIBELLA - 12, rue St-Louis-en-l'Île, PARIS IV^e

NA ŻĄDANIE WYSYŁAMY BEZPŁATNIE SZCZEGÓŁOWY PROSPEKT O KSIĄŻCE oraz o innych WYDAWNICTWACH W SERII „CZASY I LUDZIE”.

Fragment z dziennika

Sroda

Ranek wywabiający, wiosenka rozwałęsana, pyłki tańczące w smugach i słoneczne strugi — oooch, aooch, nakładałem spodnie radosne z myślą, że na spacer, na spacer, odetchnę, pochodzę — ale dzwonek, Irmgard poszła otwierać drzwi i za chwilę wszedł Simon.

Wobec tego: — Hola, a ty czego tutaj, o tak rannej godzinie? Siadaj, *companionero!* Na co odpowiedział: — Jak się masz? — i usiadł — usiadł — i usiadł chyba za łatwo, a może za prędko, a może o to poszło, że na najbliższym krześle — dość, że z punktu odstręczył mnie nieobecnością przeraźliwą.

Znow coś zagadałem — on do mnie — ale ta rozmowa była i nie była — co zaś do niego, to tak wyglądało, jakby „zapomniał wziąć siebie ze sobą”. Był niby to... ale tak właśnie, jakby nie był. Bo ja wiem, zresztą... Uśmiecham się i dalej coś mówię, kiedy nagle drgnęła mu górna warga, ale jakoś nie-dobrze, niedobrze, niedobrze.

Spojrzał.

I wyjaśnił.

Kadź.

Kadź z wrzątkiem.

Córeczka.

Kadź z wrzątkiem wylewa się na có...

No... tak... A że to „już sporo godzin trwa i jeszcze się nie skończyło” i że on „nie może sobie znaleźć miejsca” i „na nic nie może się przydać”, więc przyszedł. I przeprasza za nachodzenie o tak wczesnej porze. — Ależ nic nie szkodzi! Owszem, naturalnie!... Jednakże zamilkłem, on zamilkł i siedzieliśmy, że tak się wyrażę, nos na nos. Ręka w rękę. Noga w nogę. Kolano w kolano. Sam na sam. Aż mnie drażnić zaczęła ta tożsamość głupia w tym pokoju moim i myślę, jak to jest że on mnie powtarza, ja jego powtarzam, sam na

sam — wtem sparzenie dziecka sparzyło mnie ażem syknął — i wtedy, widzę, choć tacy podobni, nic tu nie wysiedzimy i w ogóle lepiej nie siedzieć a wyjść, wyjść, wyjść, wyjdźcie, jakiegokolwiek, wydalenie się, oddalenie, stało się nagłace, pałace!... I mówię: — Przejdziemy się? Od razu wstał bez żadnych trudności i wyszliśmy, naprzód ja: a za mną on z tą swoją córeczką. Zefir.

Wyszliśmy i to, żeśmy wyszli, było w sam raz. Idziemy tedy. Ruszyłem od razu w prawo, choć mogłem i w lewo — ulice, domy, chodniki, ruch, gwar, rozdzwonienie, roztrąbienie, patrz, ktoś do tramwaju wskakuje, ktoś schyla się, ktoś czekoladę gryzie, ktoś coś od baby kupuje — od razu stało się nam lżej i lepiej na widok całego tego rojowiska z rękami, z nogami uszami, jak my, ale obcego, jakby niewinnego... I cóż za łaska!.. bo, gdy w nas ta rzecz zła, pałaca, tam na rogu z daleka się nawołują! Z daleka się nawołują!

Wybieierałem najludniejsze ulice żeby się zgubić w tłumie i zatracić — i kombinowałem, że to wyścig z czasem, córka nie może bez końca umierać, musi się to jakoś skończyć, Simon się odcepi. Zupełnie nie wiedziałem, co w nim, pożar czy mróz — szedł obok. Słonko. Owocarza na rogu zobaczyłem, jabłka ważył i jakoś mi się spodobało, że on o niczym nie wie, kilo jabłek odważa, rozmawia z klientką... tak mi przypadła do gustu ta jego niewiedza, że, myślę sobie, też kupię jabłek i chociaż chwilę z tym człowiekiem odetchnę, wypocznę, tam gdzieś u niego, daleko... — Kilo? — powiedział owocarz. — Już się robi. Kupują wszyscy, bo słodkie jak gruszki.

Ja na to nagle, ni z tego, ni z owego, powiedziałem: — Temu panu zdarzyło się nieszczęście, ma czteroletnią córeczką, ale umierającą.

Ugryzłem się w język... po co?! Już się rzekło! Nic. Jabłka ważył. Stałem się pokorny w tym milczeniu i cześć mnie nawiedziła, niczym guma ścierająca wszystko, Co też pan mówi — powiedział owocarz. — Nieszczęście!

Kiedy to usłyszałem spiętrzyło się we mnie, sprężyło, skoczyło, zawyło i w jednej sekundzie przekroczyło granicę... Krzyknąłem:

— Zabieraj pan te jabłka, zabieraj!

Piorun. Ruszyłem naprzód, na oślep, jak opętany! Za mną Simon z córeczką, jak opętany! I znów byliśmy sam na sam, on i ja, ja i on, ale tym razem już tajemnica została zdradzona, wojna wypowiedziana, trąby i bębny, już się zaczynał marsz!

I w teże chwili, uważacie, zaszczekał pies (ja go nie widziałem, tylko słyszałem szczekanie).

Tramwaje! Autobusy! Przechodniów rój! Ulica stała się, jak dywan, ja idę, za mną on, a z nim córeczka! Idziemy w krzyku moim, tym krzyku do sprzedawcy owoców, który ujawnił zdradził i ogłosił... i już nie wiele pomagało żeśmy się w tłum zagłębiali, krzyk mój szedł z nami a z nim okropność... a z nią coś, jak zwierzę, dlaczego przyplątało się zwierzę? Zwierzę?

Mam na myśli szczekanie psa. No, pies nie tygrys... ale w każdym razie to szczekanie przyplątało się wtedy do mojego krzyku, krzyk mój, teraz sobie uprzytamniałem, rozległ się razem z tym szczekaniem i jak gdyby może wskutek tego zezwierzęcił się nieco, no, bo ja wiem, dość że zwierzę już było, już się przyplątało, pies nie pies. Zwierzę. Idziemy. On idzie, idę ja. Jak z rogu obfitości domy, okna, ulice, rogi ulic, szyldy, wystawy i ludzki rój, w który zagłębiamy się coraz śpieszniej, żeby się zgubić... co zrobić? dokąd idziemy? co począć?... ale idziemy Floridą, gdzie tłok największy i przedzieramy się, pchamy, ocieramy. Aż przystanęliśmy, bo przejeżdżający omnibus nas zahamował; i zagadnął Simona starszy jegomość, bardzo grzecznie:

— Przepraszam... Corrientes? W jakim kierunku?

Simon spojrział na niego i nie odpowiedział.

Wówczas trochę stropiony pan do mnie się zwrócił ze swoim pytaniem. A ja spojrzałem na niego — nie odpowiedziałem. NIE. Zgadzałem się, nic jaskrawego, pewnie pomyślał, że trafił na cudzoziemców, nie znających języka... a jednak, zrozumcie, to było NIE i pchnięcie w nic... jak nożem uciął. To była ODMOWA, odmowa w tym jasnym słońcu ciemna, czarna, głucha. I ruszyliśmy naprzód, jak wściekli, a jednocześnie doszedł nas krzyk papugi, nie wiedzieć skąd, może z przejeżdżającej taksówki, ten krzyk z moim uprzednim krzykiem połączony odnowił tamto, uprzednie, szczekanie psa... a Zwierzę znów dało znać o sobie i nagle wdarło się nam w nasz brak odpowiedzi! Nic. Ja wciąż nie wiedziałem, co w nim, w Simonie, choć taki sam byłem jak, on i sam na sam z nim! On też nie wiedział o mnie. Ale już związani naszym krzykiem i naszym brakiem odpowiedzi, już wyodrębnieni i napiętnowani — jak zbrodniarze przyspieszyliśmy kroku aby przepaść w tłumie, gdy wtem zamajaczył przede mną koniec — koniec, mówię, od którego zrobiło mi się niewyraźnie...

Mianowicie, Florida się kończy. Przed nami plac — plaza San Martin — jak na półmisku.

Zawracać Floridą? Ależ nie... bo myśmy z pośpiechem szli, jakby do celu, więc to by zdradziło kłamstwo naszego ruchu!

Wkroczyć na plac? Tylko, że tam ludzi prawie nie było. Cóż my na tym placu — we dwóch i sam na sam?

Za późno na namysł. Już przez sam środek placu idziemy — chłodno, cicho, świeżo i przewiało nas z daleka. Dalekość nagła prawie nogi nam podcięła. Ten plac był wyniosły, nad portem i rzeką górował jak balkon, i tam w dali, w sinawych wody, mgły, nieba białawego zespoleniach, snuły się dymy pełzające lub sterczące statków, które na rzece bez ruchu leżały; a ten bezruch statków na rzece nieruchomej w połączeniu z kamiennym szkieletem portu, wyrazistym, i z grzbietami zabudowań — stąd, z góry — tchnął zastygnięciem i zahamowaniem. Zwolniliśmy kroku. Cicho. Pusto. Spokój. Klus nam się

załamał w tej nieruchawości — i stanęliśmy. Spacer wyczerpał się nagle do cna.

Co?

Sam na sam. Ale pojęcia nie miałem, co on tam w sobie wyprawia — może nic, a może coś — pojęcia nie miałem. Staaliśmy, on trochę bokiem do mnie — i staliśmy, a tam, w oddaleniu, działało się jakieś zasnuwanie nieruchome i narastające między taflą wody szklistą a wodnistym niebem z pary, mgły, kłębow, dymów, w ciszy statków o niezaznaczającym się płynięciu w martwym zarysie portowych obwarowań. Cisza, cisza, ale wtem papier u naszych stóp zaszeleścił, wiatrem potrącony. Ja wtedy na mego towarzysza spojrzełem spod oka — końcem buta papier przytrzymał i w ziemię miał oczy białe. Znow zaszeleścił papier. Ja oczy w papier wbitem, on oczy w papier wbitem.

Znow zaszeleścił papier. Wtedy na mnie spojrzeł z czołem namarszczonym, w takim natężeniu i tak przenikliwie, że wyglądało jak gdyby w najwyższym pośpiechu gotował się do przekazania czegoś najpilniejszego, najważniejszego, decydującego... ale nic nie powiedział, papier zaszeleścił, on papier nogą przytrzymał i na mnie spoglądał, a tam daleko trwało, narastało i snuło się... Pomyślałem, co będzie jeśli znowu papier zaszeleści?

Sam na sam. Wołałem na niego nie patrzeć i tak, nie patrząc, zacząłem się zastanawiać, czy aby nic mi nie grozi... czy on mnie?...

Zależy mi na uzasadnieniu tej myśli, ona nie była wcale taka fantastyczna, pragnąłbym aby nie pomawiano mnie o brak rozsądku... Zgódźmy się: człowiek podlegający takiemu ciśnieniu, mógł wybuchnąć, nieprawdaż, że mógł wybuchnąć? Ale sam wybuch mniej mnie niepokoił, bardziej — natura wybuchu. Gdyż, zgódźmy się, nie wiedziałem, co się w nim działo, a dziać się mogło... no, dziać się mogło o wiele więcej, niż przewidują nasze obyczaje i nawet można było zapytać, czy ten torturowany przebywał jeszcze obiema nogami w naszym, ludzkim, świecie... i w ogóle cała ta historia była nad wyraz ryzykowna i śliska, tak, śliska... ale jabył może się tak nie zaniepokoił, gdyby nie papier, tak, gdyby nie papier, który trzepotał mu pod nogą, jak żywy, jak zwierzę, uważacie, zupełnie jak krzyk zezwierzęcony, wskutek czego zwierzę znow się przypłatało, ale tym razem, jakby tu powiedzieć, nisko, u samego spodu, bo już nie z psa, z papugi, a z papieru, z martwej rzeczy, i tam, nisko, odezwało się Zwierzę z dzieckiem, dziecko-zwierzę... I głowiłem się, głowiłem, dlaczego dziecko nam się zezwierzęca, ale nie było rady, trzeba było wytrzymać — tylko, że dość nieufnie wskutek tego odnosiłem się do „człowieka”, który tu stał w pustce, obok, któremu zdarzyło się zezwierzęcenie dziecka umierającego i który nosił to w sobie. W diabła nie wierzę. Simon z przyrodzenia był dobry, muchy by nie skrzywdził. Tylko że... tym razem...

Nigdzie naokoło nie było łaski. Ani za grosz.

Cóż więc mógł... jeśli znowu papier zaszeleści? (Z papierem to było związane). Ale wietrzyk ucichł. Wołałem zanadto mu się nie przyglądać. Najgorzej, iż nieznamy mi był, nawet w przybliżeniu, gatunek, rodzaj tego zwierzęcia, ale już fakt, że ono się wzięło z dziecka, skojarzonego z psem i z papugą i z papierem, nie wypełniał zaufaniem. Tam na krańcach rośły dymy i smugi zamglone. Dziecko? Zwierzę? Jakie? Nie powinienem był, w każdym razie, wychodzić z nim na przechadzkę, to było naprawdę nieopatrne, a teraz trzeba by jakoś dać nura, odczepić się — póki nie będzie za późno — i zresztą cóż my tutaj tak, na tym placu wyniosłym, sami, sam na sam, bez nikogo prócz nas... trzeba się odczepić. Ale jak się odczepić? Prędko, prędko, bo w każdej chwili może zaszeleścić papier... doprawdy śmieszne było, że choć taki podobny do mnie, nos w nos, uszy w uszy, noga w nogę, ja nic nie wiedziałem, czego można się po nim spodziewać!

Wykalkulowałem, że jeślibym znieacka odszedł, upłynęłaby chwila zanim on by się ruszył — w ciągu której osiągnąłbym schodki i mógłbym zbiec szybko na sam dół. Tylko... jakże odejść, tak znieacka?... Zamilkłem wewnętrzne — a wtedy pod wpływem mojego milczenia powróciło mi tamto milczenie, milczenie jakim przyjeśliśmy tego jegomościa, co to się pytał o Corrientes; to ówczesne milczenie nasze powróciło mi wraz z ową głuchotą, ślepotą i w tej głuchocie, ślepotcie, ja rozbrat z nim wzięłem, znieacka odszedłem!

Już jestem na schodkach. Zbiegam. Ta ucieczka była, jak wyzwanie! Bo ja uciekałem, jak od złego ducha. I on tam za mną pozostał, jak zły duch! Naraz piekielne zło znalazło się między nami. Moje nadzieje na tym polegały, że dopadnę stacji i zgubię się w niej — pędzę, wbiegam, zanurzam się w jej rojowisku i w końcu staję w ogonku do kasy, jakiegokolwiek kasy, jakiegokolwiek linii, byle stanąć. — Dokąd? — pyta urzędnik w okienku. — Do Tigre — wymieniam pierwszą stację, jaka mi przyszła do głowy, bo i wszystko jedno, grunt żeby wsiąść do pociągu, oddalić się. Ale za sobą usłyszałem:

— Do Tigre. — I był to jego głos.

To mnie nie na żarty przestraszyło!

Choć co prawda, nic tak rażącego — we dwóch wyszliśmy na spacer, we dwóch kupujemy bilet na podmiejski pociąg... no, tak, tylko, że ja uciekałem... a on, żeby mnie dogonić, też musiał bieć i ten bieg za mną był pościgiem... W każdym razie znowu przyczepił się do mnie. I tym razem już nie można było uciekać, możliwość ucieczki już została wyczerpana. Poszliśmy zatem razem, ramię w ramię, z biletami naszymi oczekiwać pociągu w wielkiej hali ze szkła i żelaza, stanęliśmy nad linią połyskującą szyn, gdzie powoli skupiali się pasażerowie — czekaliśmy na pociąg.

Który nie nadchodził. Czekaliśmy. Nic nie mówił. Mnie nie było wiadomo, co w nim, jaki on jest teraz, gdzie przebywa, o tej twarzy wpatrzonej w szyny ja nic nie wiem, zero! —

a zarazem, w miarę przybywania ludzi rosła nasza poufałość, nasza znajomość, zmuszająca do stania obok, tworząca z nas parę. Kim był ten stwór obok mnie i jakie było to jego zezwierżenie mu dziecka — które miał z sobą? Mój rozsądek, tak zdrowy przecież, nie opuszczał mnie ani na moment w tych obsesjach trwogi i z dziesięć razy zwracałem się rozścieszony przeciw fantazjom moim i chimerom... ale... jednak... ale... gdy raz pójdzie w drzazgi fasada zwyczajności, umieszczenie nasze w kosmosie staje się tym, czym jest w istocie, mianowicie czymś bezdennie niepojętym, a więc zawierającym możliwość *wszystkiego*. Zresztą i tym nie przejmowałbym się zanadto — gdyby nie pewien szczegół drastyczny, gdyby nie pewien gad, kryjący się w ciemnym łonie bytu — gdyby nie Ból — tak, gdyby Chimerą nie zadawała bólu!

Ból! To tylko ważne — ślepią okrutną Bólu w tej czarnej studni — ból, boli! — ten palec bezlistosny przemieniał wszystko, czego się dotknął, w rzeczywistość — nawet fantazja stawała się prawdą w zetknięciu z tą rzeczą rzeczywistą, bólem. Gwizdałbym na wszystko, gdyby nie bolało; ale przecież byłem już powiadomiony o bólu dziecka w szpitalu, okropnym bólu, który bolał tutaj, tuż obok mnie, w tym człowieku — i ta okropność nie była złudą, to przecież bolało! — a ja byłem tuż, tuż... i to już może na mnie poczynało zerkać, to... zwierzę dziecka palonego... Robiłem co mogłem żeby uitać to przed sobą, czy też siebie przed tym, ale nie dawała się powstrzymać myśl rozpedzona o zezwierzczeniu dziecka, myśl niedobra... Zwierzę? Jakie zwierzę? Szczeknięcie psa, papuga, szeleszczący papier, ach, ja z byle czego haftowałem moje arabski głuche, nieme, ślepe i one byłyby takie niewinne, gdyby nie boli, boli, ból, ból, boli! — dziecka, podtrzymującego moje sny!

Tymczasem ludzi coraz przybywało, wycieczkowiczów niedzielnych z torbami i mimo wszystko ich zwykłość jakoś uśmierzała naszą niezwykłość — aż wtoczył się pociąg w ogrom hali żelazno-szklanej, z gołębiami u stropu — i wraz z innymi wsiedliśmy, on i ja — i uwięźliśmy w przepelnionym wagonie. Gwizdy. Rusza pociąg. Po chwili wynurzył się na słońce, pożerając w rozkołysaniu rytmicznym szyny, które mu z boków drogę zabiegały. Jechaliśmy — uciekająca przestrzeń odprężająca — i ja już zastanawiałem się, co mam począć w tym Tigre, do którego jechałem, gdy wtę — Tigre? Tigre! Dlaczego do Tigre?!

Dlaczego do Tigre, po co, na co?... I dlaczego nie do innej stacji? Wsadzony w ścisk, nie mogłem nic prawie dojrzeć w lukach, tworzonych przez podbródki, karki, kołnierze i szyje, ale czułem się uwożony do Tigre... dlaczego do Tigre?... i wiedziałem, że w całym pociągu nie ma ani jednej osoby, która by jechała, jak ja z nim jechałem, z tym brakiem racji, tak zupełnie na oślep (i głucho) do Tigre... i z takim, jak nasz, bagażem. Patrzyłem, naprawdę zdumiony, na ich twarze, tak analogiczne, byłoby to możliwe, że jeszcze wyglądali, jak my — i ten fakt

stawał się odskocznią do szalonego skoku, że my do Tigre, bez racji, porwani pociągiem. Tigre? Co czeka nas w Tigre? Pociąg przystanął, znów ruszył. Uczułem coś... w pobliżu... jakieś machinacje, ni to niewyraźne usiłowanie zawładnięcia... mną... zakusy... na mnie..

Nie było to jasne. Niemrawe, ciemne, ciche. On stał obok, przyciśnięty. Nie polegało to na wyraźnym, zaborczym ruchu — nic w tym rodzaju, przyłapałem go raczej na drobnych, jak gdyby wstępnych poczynaniach — ruch ręki, bodaj przestąpienie z nogi na nogę, nieśmiały, stłumiony ruch łokcia — może to było naturalne w tej niewygodzie, ale mnie coś się widziało, że to nie on się rusza, tylko w nim rusza się... to coś, czego się bałem rozpaczliwie, dziecko zezwierzczone, to jego zwierzę, które jak szeleszczący papier obdarzone własnym ruchem, brało go w posiadanie. Znów poczułem w nim ten ruch, taki trochę jak ruch płodu w matce i doznałem obecności złej, z kłami, z pazurami, zażarcie złej. Ścierpłem. Ale prawie roześmiałem się, bo przecież bzdura! Ale ścierpłem ponownie, gdyż przecie dziecka krzyk tam, w szpitalu, naprawdę był — więc majaczenie moje miało kły!

Wówczas odstoniło mi się: Tigre — tygrys! Co nigdy dotąd nie przyszło mi na myśl. Więc my do Tygrysa gnaliśmy... i uśmiałbym się z tego do łez, gdyby nie dziecko w szpitalu urzeczywistniające!

Simon znów się ruszył — czy też w nim się ruszyło — i rzuciłem się do ucieczki — ale w tej ciasnocie mogłem co najwyżej kurczowo odsuwać się od niego — i tak, odsuwając się całym ciałem, włożyłem w inne ciało — miękkie. Był to grubas. Ogromny, ciepły, którego twarzy nie widziałem, któremu z przerażenia włożyłem w tę jego spoconą, nieporadną, zasromaną miękkość, w otyłość cichą chyba, upokorzoną, pocziwą, o elastycznych miejscami wypukłościach, ale gościnną, choć duszną. O, cóż to był za zakątek!... w którym powoli zagospodarowywałem się, zadomawiałem... w ciepłe koszuli jego grały jego poty, ten dzisiejszy i ten wczorajszy, zmieszane z zapachem wanilii, w kieszeni miał notes, na podszewce naszywkę z firmą krawca SMART, koszula była w jednym miejscu załatana. Było tu cicho i dobrze, o sto mil od tamtego... palącego... problemu, w ogóle tamto nie było tu do pomyślenia, to było coś zupełnie odmiennego, inna kraina, wytchnienie i spokój... na drugim końcu świata. Na koniec! Odpoczywałem. Było mi błogo. I nagle cios okropny został mi wymierzony z dołu w dole.

Mówię „z dołu w dole”, gdyż nie było to ani po prostu „z dołu”, ani po prostu „w dole”, tylko jak gdyby rozdwojone i podwójne — rozumiecie? — i zresztą nie był to cios, tylko raczej chwyt; i ten uchwyt nie został „wymierzony”, tylko raczej stał się, jak groźba, na pograniczu moim... i naraz zrozumiałem, że wykorzystano moment osłabienia mojej czujności aby prawie ugryźć! Struchlałem. Zdębiałem. Miałem głowę wsadzoną między jego piers a marynarkę. Modlić się nie mogłem.

Ruszać się nie mogłem. Krzyżeć nie mogłem. Nie, krzyżeć nie mogłem, ale krzyk przeokropny włamywał się zewsząd i ogarniał wszystko, staczając się w Zwierzę rozzdzierające, na sam dół! I, z głową wtuloną, nieruchomo, oczekiwałem skoku.

Ale wtedy...

Coś... coś... coś! Co? Hm... Naraz... coś takiego, jak gdyby mnie ktoś w kark łechtął. Nonsens. Może ktoś wyciągnął chusteczkę od nosa i nią dotyka mi karku? Nie. Ktoś mnie łechtął. Wyraźnie, palcami w kark...

Zastanawiałem się. Co to mogło być? Kto?

Grubas? W jakim celu? Wszystkie możliwe rozwiązania — wariat, pedek, dowcipniś, — brałem pod uwagę.

Simon? Oszalał? Choćby nawet oszalał, nie mógłby dosięgnąć mego karku ze swojego miejsca.

Któraś z osób stojących obok? Może ktoś znajomy w ten sposób dowcipny dawał znać o sobie? Mało prawdopodobne, ze względu na wtulenie mojej głowy w Grubego.

A tymczasem palce czyjeś leciutko tańczyły mi po karku.

Zastanawiałem się — kto? co? Myślałem. Myślałem.

Głowiłem się i głowiłem, co to za dowcip — ale nie miałem złudzeń, było mi wiadome przecież, że brak związku pomiędzy łechtaniem a Zwierzciem jest właśnie gwarancją ich piekielnej kombinacji, ich spisku, ich porozumienia — i czekałem, kiedy Łechtanie pokuma się ostatecznie z nim, ze Zwierzem, aby pchnąć, jak nożem, w krzyk nieznan, jeszcze niepojęty, dotąd niewykrzyczany.

Wtorek

Na marginesie tego opowiadania zanotuję:

Literatura nie jest odkrywaniem Boga, tylko odkrywaniem Szatana. Jakaż bezsilność literatury — i sztuki w ogóle — wobec Boga! Wobec cnoty! Ona nie ma absolutnie nic do powiedzenia na ten temat — ona, tak zmysłowa, pochłonięta „wcielaniem”.

Bóg nie rusza się. Cnota też (po co, jeśli osiągnęła doskonałość, czyli stan spoczynku?). Tylko grzech stwarza ruch, którym sztuka oddycha.

Literatura zajmuje się odkrywaniem coraz nowych diabłów i to jest jej historyczne zadanie. Rozwój polega na komplikowaniu się demonów. Porównajmy diabłów Szekspira z diabłem Dostojewskiego; diabła Dürera z diabłem Goyi; diabła Mozarta z diabłem Schönberga; diabła Baudelaira z diabłem Lautréamonta.

Ten mój szatan, tutaj, to stwór zrobiony z przypadków i odpadków (kunsztownie się wyrażam), jak szczekanie psa,

papuga, brak odpowiedzi, papier, Tigre... Zła, a nie dająca się określić, Siła stroi się w mojej wyobraźni podczas tego pochodu w to, co znajduje na drodze: jest to więc diabeł urojony.

Ale Ból nadaje urojeniu grozę faktu. Ból! Fakt najwyższy i ostateczny, fundament wszelkiej rzeczywistości.

Gnębi mnie myśl straszna: zdaje mi się, jestem pewny, że ludzkość nie dotarła jeszcze w pełni do swojego bólu. Co prawda już poszerzyły się granice naszego odczuwania i sporo wody upłynęło od czasu, kiedy starożytni Rzymianie dla zabawy wrzucali niewolników do akwarium, aby ich ryby pożerały. Cudzy ból nie jest już dla nas uciesznym podrygiem, powoli nauczyliśmy się drzeć, gdy ktoś krzyczy. Ale — myśl groźna — daleko nam jeszcze do pełnego w tym udziału i — jeszcze okropniejsza myśl — niedość wgryźliśmy się w smak własnego bólu.

Demoniczna rola sztuki, zapuszczającej się na te tereny. Dokąd nas to doprowadzi? Do jakich Golgot?

Czy mój szal muzyczny z ostatnich miesięcy pozostał bez wpływu na kompozycję tej powiastki? To jej parcie naprzód, jej napór w kierunku „jakiegoś” urzeczywistnienia, czyż nie jest z muzyki? Gdybym sobie pofolgował, dałbym temu marszowi przez miasto jeszcze wyraźniejsze rytmy... ale, dla prozy, muzyka to najgorszy diabeł.

Dwa koncerty Schönberga — skrzypcowy i fortepianowy — oraz piąty kwartet Bartoka przeplatały moje pisanie (gramofon).

Nie da się zaprzeczyć, że jestem bliskim kuzynem kompozytorów, szukających rozkoszy i pokarmu duchowego nie tyle w samej formie, ile w procesie jej stwarzania, jej „zażywania” (jak jeździec konia), w rozbijaniu jej i konstruowaniu, w mocowaniu się z nią, w tarzaniu się z nią... Co mnie przede wszystkim inspiruje? Wyjście poza tonację — dla mojego ucha kojarzenie tych dźwięków, wyslizgujących się sobie wzajem, jest jak w wyobraźni kojarzenie rzeczy nie dających się kojarzyć.

Ale bardziej mi odpowiada błędzenie wokół tonacji Bartoka, niż dodekafonizm.

Finał mego opowiadania wygląda na żart (to łechtanie) — a tymczasem nie ma tu ani odrobiny żartu, jest tylko przerażająca możliwość nowej szatańskiej kombinacji (łechtania z bólem dziecka) jest nowa modulacja diabelstwa.

Szatan Mayewskiego, straszliwy, (wczoraj czytałem te opowiadania) jest ze zwyczajnej i z wiecznej nędzy ludzkiej i jest elementarny, jak głód, pragnienie, nagość, niewola. Gdy ja,

przeciwnie, szukam aktualnego demona, tego którego „nosi się” w tym sezonie, modnego, *dernier cri*.

Jedno wszakże wydaje się wspólne ludziom dzisiejszym, tyleż Mayewskiemu, co mnie: nasz diabeł jest coraz mniej związany z problemem moralnym, jest niezależny od grzechu i cnoty. Nie jest to szatan „artykułowany”. Jest z ciemności. Z absurdu. Nie jest ani pokusą, ani karą, jest tylko i jedynie z bólu, jest niezawiniony.

Trzeba będzie powrócić do tego problemu odpowiedzialności moralnej. Obawiam się, iż najważniejszym odkryciem, jakie nas czeka na tym polu, będzie że jesteśmy ZUPEŁNIE NIEWINNI. I wtenczas co? Zniknie poczucie grzechu? Człowiek poczuje się tylko ofiarą?

Witold GOMBROWICZ

WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- WSZYSTKIE LEKARSTWA
- MATERIAŁY DENTYSTYCZNE
- OKULARY
- POŃCZOCHY na ŻYLAKI
- WYKONYWANIE RECEPT KRAJOWYCH

WYSŁE SPRAWNIE I BEZ ZWŁOKI

Największy Dom Wysyłkowy

TAZAB & Co. Ltd.

Tazab House

LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd

NEW YORK, 3
36, Third Avenue,
ALgenquin 4-4161

Przygody poezji nowoczesnej

Niedawno toczyła się w Polsce jedna z tych dyskusji literackich, które zawsze mogą liczyć na zainteresowanie czytelników: dyskusja o niezrozumiałym, „bełkocie” i dziwactwach młodej poezji. Utworom niedostępnym dla nikogo poza małym gronem znawców, Antoni Slonimski przeciwstawił „wiersze dla ludzi”.

Tego rodzaju utarczki towarzyszą dziejom nowoczesnej poezji od lat z górą stu. Zmieniają się okoliczności, język, filozofie, ale z niezmienną irytacją zwykły człowiek (jeżeli taka istota istnieje) przygląda się niesamowitym obrzędom poetów w pelearnach czy *blue-jeans*'ach. I zawsze ktoś z poetyckiego klanu, kto oświadcza się za jasnością, sensem, prawidłami logiki, może liczyć na jego poparcie: teorie teoriami ale silniejsza od nich jest reakcja odruchowa, czy u *bourgeois* Trzeciego Cesarstwa czy u młodego inżyniera ze Śląska.

Można uznać te grymasy za dowód niższości pospolitych zjadaczy chleba, filistrów, filistynów itd.: psy szczekają a karawana wyższych duchów idzie dalej. Znaczyłoby to jednak, że nie chce się widzieć całkiem poważnego zagadnienia. W połowie XIX wieku coś się z poezją (i sztuką w ogóle) stało. Pojawił się artysta samotny, zbuntowany, męczennik swojej wizji. Znalazł prekursorów, patronów w osobach Edgara Allana Poe czy Hölderlina. Dlaczego tak się stało? Jakie podziemne wstrząsy społecznego gruntu to spowodowały? W każdym razie wszedłszy na tę drogę poezja odąd wykazuje dużą ciągłość swojego autonomicznego rozwoju, autonomicznego — bo działają tu jakby prawa samej literackiej techniki i to w krajach o bardzo różnych strukturach; „sztukę zdegenerowaną” można wypłenić chyba tylko przy pomocy rozporządzeń administracyjnych. Cechy nowoczesnej poezji są powszechnie znane: wiersz kurczy się w rozmiarach, zyskuje na zwięzłości i zwartości, traci głośząca ucho melodię, często traci komunikatywność zwykłej codziennej mowy, staje się „przedmiotem” — za jego pośrednictwem (nie wprost od

siebie) autor sugeruje pewne uczuciowe stany, wymagające od odbiorcy uwagi i wysiłku. Wszystkie kolejno po sobie następujące awangardy wyciągają zresztą tylko wnioski z teorii i praktyki francuskich symbolistów, choć zamęt nowych pojęć i nowych wyrażań często maskuje tę parantełę. W Polsce np. poetyka Juliana Przybosa, obszernie wykładana w jego rozprawach teoretycznych już od roku 1926, jest niewątpliwie bardziej konsekwentnym rozwinięciem założeń symbolistów, niż to umiała zrobić moderna przed r. 1914. Równoległość tych przemian w poezji i w malarstwie jest oczywista: dążąc do coraz większej czystości i esencjonalności malarstwo zmierza od subiektywnie ujętej plamy barwnej impresjonistów ku abstrakcji i jest to linia doskonała ciągła. Końcowym punktem jest malarstwo jako pieśń o malarstwie. I tak samo poezja jako pieśń o poezji: góra (poeta) opowiada o tym jak stęka rodząc mysz. Ironia ma tu głębsze znaczenie, bo czynność polegająca na wywyższaniu samej czynności jest rzeczywiście pewnym maksimum. Zakładając, że dziedziną poezji jest rozpaczliwa walka z zasadniczą niekomunikatywnością języka, każdy wiersz należy ze smutkiem nazwać myślą i samo stękanie góry jest wtedy ważniejsze.

Czy tak być musi? Nikt chyba nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Łatwo zgłaszać postulaty, w dziejach sztuki działa jednak wewnętrzna, jej właściwa, konieczność i tysiąca trzynastozgłoskowców o sadzeniu grochu nie da się dziś napisać, podobnie jak nie da się z fotograficzną wiernością odtworzyć pejzażu z krowami, choćby to były krowy zasłużone. Być może warto powiedzieć tu tyle, że analogie pomiędzy poezją, malarstwem i muzyką nie powinny iść zbyt daleko i że wszystkie szkoły od czasu symbolistów za nadto zacierały granice. Poezja, chce czy nie chce, posługuje się pojęciami, koń i drzewo nie mogą w niej być tylko tym właśnie koniem czy tylko tym właśnie drzewem. Zawsze będą również koniem i drzewem w ogóle. Ze względu na to każdy spór o poezję toczy się w obecności ludzi, którzy na nią *czyhają*. Są to i ludzie dobrzy, spragnieni jej pomocy, jej udziału w tym co ich boli, cieszy, oburza, daje nadzieję — czyli ostatecznie w świecie idei, poglądów, wierzeń — i ludzie zli, zajmujący się fałszowaniem słów, gotowi zdobyć się na najchytrzejsze podstępny, byle osiągnąć swój cel tj. wypchać głowy ludzi papierem gazetowym. Dlatego każda broń użyta przeciwko ucieszcze poezji w wysokie regiony eksperymentu jest bronią obosieczną. Poeta „laboratoryjny” martwi ludzi dobrych, nie mają oni z niego (czy tak im się tylko zdaje) wielkiego pożytku. Zarazem jednak jest względnie bezpieczny od fałszu, mówi o tym tylko czego sam dotknął i zachowuje uczciwość analfabety. Kiedy nauczą go kilku prymitywnych uogólnień i zmieniają w półinteligenta, najczęściej jest zgubiony.

Wielość kierunków, szkół, indywidualności nie sprzyja sądom zbyt kategorycznym i zdają sobie sprawę, że wyławiam z tego chaosu tylko jedną nitkę — ale jest to chyba nic przewodnia. Osobiście najbardziej pociągali mnie zawsze ci wszy-

scy, którzy (od kilku już pokoleń) problem rozumieli, „zwięźnia” nowoczesnej poezji nie akceptowali, byli jednak dostatecznie świadomi niebezpieczeństw kryjących się w zbyt łatwych lekarskich receptach. Przetłumaczyłem parę utworów, z których każdy na inny sposób jest próbą przebijania wylotów w murze wznoszonym rękami nowoczesnego poety dokoła jego laboratoryjnej twierdzy. Ogłaszam je przede wszystkim po to, żeby przypomnieć, że problem nie datuje się od dziś.

Szkic Oskara Miłosza powstał, jak się zdaje, w r. 1937, a więc na dwa lata przed śmiercią francuskiego poety, ogłoszony został niedawno (w księdze pamiątkowej *O.V. de L. Miłosz*, Editions Silvaire, Paris, 1959). Znalazłem tutaj wiele opinii znanych mi z jego listów do mnie (pisanych niekiedy po polsku, niekiedy po francusku) i z rozmów. Młodość Oskara Miłosza, urodzonego w 1877 r., przypadła na okres rozkwitu symbolizmu w Paryżu. Przyjaźń z Oskarem Wilde i z Moréasem nie oznaczała, że dzielił ich poglądy estetyczne. Kult jaki zachował zawsze dla Byrona sprzeciwiał się ówczesnej modzie literackiej: Byrona wtedy lekceważono jako poetę „nieczystego” tzn. zanadto rozprawiającego o ideach i namiętnościach. Oskar Miłosz całe strofy Byrona umiał na pamięć. Był to dla niego twórca prometejski, przez to godny miłości i szacunku. Co prawda nie zgodziłbym się z zawartą w tym szkicu, nieco zbyt pochlebną, oceną byronowskiego *Manfreda*. Jako poezja prometejska *Dziady* Mickiewicza stoją niesokółczenie wyżej. Jednak Oskar Miłosz, choć przetłumaczył parę ballad Mickiewicza, *Dziadów*, wiem o tym, nie znał. Taka luka w wykształceniu człowieka władającego polskim w mowie i piśmie jest o tyle zrozumiała, że polszczyzna pozostała mu z dzieciństwa, natomiast do liceum chodził we Francji. Tym bardziej zastanawiająca jest u niego całkiem mickiewiczowska skłonność do stawiania poezji żądań maksymalnych, do utožsamiania poety z widzącym, wtajemniczonym. To zresztą, po pierwszych tomikach, dość typowych dla *fin-de-siècle*'u, było przyczyną jego konfliktów z literackim środowiskiem. Ton mickiewiczowski, niemal z *Kursu literatur słowiańskich*, oczywiście raził w okresie skłonny do cynicznej drwiny. Skąd się brał? Wolno utrzymywać, że wszyscy ludzie pochodzący z Litwy są zwariowani, ale to słabe wyjaśnienie. Wydaje mi się, że o powinowactwie z Mickiewiczem przesądziła wspólność źródeł: zainteresowanie wiekiem XVIII, nie wiekiem Encyklopedystów, ale tym drugim, którego wpływy na myśl europejską dopiero dziś zaczyna się badać: wiekiem iluminizmu, *Rosae Crucis*, uczniów Jakuba Boehme. Na tym tle Miłosz umieszczał najwyżej przez siebie cenionego poetę czasów nowożytnych, Goethego i twierdził, że Goethe myli (często świadomie) ludzi nie znających klucza — Goethe w młodości gorliwie oddawał się alchemii. Nawiasem dodam, że Miłosz, jeżeli sędzić z dochoowanych fragmentów *Fausta*, był najlepszym francuskim tłumaczem Goethego. Te świadome anachroniczne pokrewieństwa z wyboru wyraziły

się też w powieści *Amoureuse Initiation* — miejscem gdzie toczy się akcja jest Wenecja osiemnastego wieku.

„Zwężenie” poezji było dla niego jednym z objawów choroby drążącej cywilizację, jednym ze znaków że zbliża się *conflagration universelle*, cykl zniszczenia przez wojny i rewolucje. Skoro wspomniasto się o Mickiewiczu, trudno nie zestawić jego napaści na cywilizację skażoną z niemniej gwałtownymi napaściami znacznie późniejszego przybysza z tej samej Litwy. „A oto przyjdą dni, iż będziecie lizać złoto wasze i żuć papier wasz, a nikt wam nie przyśle chleba i wody” — pod tym mógłby się podpisać również Miłosz. Dostrzegał jednak przygotowujące się odrodzenie — zadatkami jego był przewrót w nauce, zapoczątkowany teorią względności. Jeżeli ludzkość miała przetrwać i odrodzić się, mogło to według niego dokonać się tylko przez pogodzenie nauki i religii, przez erę triumfalną jednego na całej planecie katolickiego Kościoła.

Konstanty Kawafis, grecki poeta z Aleksandrii, urodził się w r. 1863, umarł w 1933. Pochodząc z miasta najbardziej chyba kosmopolitycznego na świecie, wcześniej uległ urokom poezji francuskiej i terminował u wielu Francuzów, poczynając od Teofila Gautier. Zapewne pozostałby tylko smakoszem, dyletantem i naśladowcą, gdyby nie to, że drażniło go ścieśnienie poezji przez prawidła szczególnej estetyki, doradzającej dążyć do jak największej intensywności wyrazu, nawet kosztem tzw. treści. Dopiero jednak w wieku dojrzałym zdołał się wyzwolić od tych nakazów zaopatrzonych w surowe sankcje. Dokonał tego okrążając niejako problem i zbliżając się do niego od strony poza-literackiej: spojrzął na siebie jako na uczestnika i spadkobiercę greckiej tradycji. Swoją poezję wyprowadził z rozmyślań nad przeszłością całej cywilizacji helleńskiej, na greckim archipelagu, w Azji, w Afryce, w Italii. Wyrafinowanie aleksandryjczyka, jego eklektyzm czy dekadencja nie zostały odrzucone w imię jakiegoś zdrowia, zostały użyte jako środek, jako rodzaj uczuciowego radaru, dzięki któremu Kawafis wczuwa się w sytuacji ludzkiej z różnych epok. Najbardziej jak się zdaje fascynuje go zmierzch helleńskiego świata, także Bizancjum. Jest to więc poezja człowieka, który wywołuje z kronik zapomniane albo nigdy w nich niewymienione postacie, wciela się w te postacie, przemawia ich głosem i tak medytuje nad człowiekiem w ogóle, istotą i przez to także nieuchwytną, że ani zawsze tą samą, ani tylko zmieniającą się zależnie od historycznego momentu.

Każdy niemal wiersz Kawafisa jest mikro-nowelą czy mikro-dramatem. A więc poezja „nieczysta”, łatwo wystawiająca się na zarzut że jest prozą, bo obce jej jest pogrążanie się w samo językowe tworzywo, krzesanie iskier między-słownych, czyli cała rytualna męka awangardy. Język służy tu do skrótego ujęcia sytuacji, nie do semantycznych zmagania i podlega tym samym prawom co mowa potoczna teatralnego monologu, który przecie musi być wypowiedziany przez aktora.

W sztuce, jak wiadomo, nie ma rzeczy absolutnie nowych. Są tylko tendencje, pojawiające się na powierzchni, zanikające, znów wskrzeszane. W poezji francuskiej na przełomie dwóch stuleci nie brak było prób przewyciężenia subiektywizmu „ja” poprzez monolog osób będących i „ja” i „nie ja”. Z kolei poezja anglosaska, zapożyczając niemało od francuskiej, znajdowała grunt dobrze przygotowany przez Roberta Browninga, który wprowadził do liryki *dramatis personae*. Jest to zresztą w poezji anglosaskiej tylko jeden z nurtów, ale dość trwałe (np. Edgar Lee Masters) występujący w różnych odmianach. Ktoś kiedyś na pewne napisze studium o Browningu i Norwidzie — nie o wzajemnych wpływach, bo nie było żadnych, ale o podobnym dla obu znaczeniu historii rozszerzającej nasze „ja”. Grecko-rzymsko-chrześcijański świat u Norwida spełniał ostatecznie tę samą rolę co Italia u Browninga i greckie wybrzeża Morze Śródziemnego u Kawafisa.

Z wierszami Kawafisa zapoznałem się niedawno. Sława jego nie od razu ugruntowała się w Grecji i upłynęło sporo czasu zanim dotarła za granicę. Powitałem go jak starego znajomego. Zresztą witamy mile każdego kto nas utwierdza: od dawna broniliśmy tego (jednego z wielu) sposobu wydobywania się na szerszą przestrzeń i w miarę sił stosowałem to od r. 1943 w praktyce. Przekład wierszy Kawafisa niestety oparty jest na wersji angielskiej. Zważywszy na ich językowy charakter, szkoda jest może mniejsza niż w wypadku innych, bardziej zajętych samym słowem poetów.

Czesław MIŁOSZ

Kilka słów o poezji

1. Towarzyszka magicznych obrzędów człowieka z Piltown; strażniczka, podobnie jak wszystkie religie pseudo-prymitywne, przyćmionych wspomnień o „życiu za Kronosa”; od czasów summersyjskich i thynickich utrwalana w dziełach takich jak „Sprawiedliwy z Babilonu” czy „Hymn do słońca”, mocno wreszcie złączona z wielkim złudzeniem ewolucji, poezja, namiętna pogoń za Rzeczywistością, zdaje się być, ponieważ porządkuje patrypy, powołana do tego by przetrwać nie tylko naszą cywilizację mechaniczną ale sam przestrzenio-czas.

2. Jednakowoż ta sakralna sztuka słowa, dzięki temu właśnie, że ma swój początek w samym rdzeniu Powszechnego Bytu, jest naszym zdaniem związana ściślej niż jakikolwiek inny rodzaj ekspresji z duchowym i fizycznym Ruchem, który zapładnia i któremu wskazuje drogę. Z tego też powodu już u zarania panhellenizmu oddzieliła się od muzyki, języka

przede wszystkim uczuciowego i brała udział w nieustannych przemianach myśli religijnej, politycznej i społecznej, stale nad nimi dominując. Kapańska w archaicznych epokach, epicka w okresie kolonialnej ekspansji greckiej, psychologiczna i tragiczna kiedy dionizje chyliły się do upadku, chrześcijańska, teologiczna i sentymentalna w średniowieczu, neoklasyczna od początku pierwszej rewolucji duchowej i politycznej jaką był Renesans, romantyczna wreszcie czyli zarazem mistyczna i społeczna zarówno przed jak i po r. 1789, zawsze była w pełni świadoma swojej straszliwej odpowiedzialności i zawsze szła wiernie za tajemniczymi tęsknotami wielkiej duszy ludowej.

3. Po Goethem i Lamartinie — wielkim, bardzo wielkim Lamartinie ze „Śmierci Sokratesa” — poezja, pod wpływem czarujących niemieckich romantyków drugiego rzędu jak również pod wpływem Edgara Poe, Baudelaire'a i Mallarmé'go, uległa jakby zubożeniu i zwężeniu, co skierowało ją, w dziedzinę podświadomości, ku poszukiwaniom ciekawym zapewne, nieraz nawet godnym podziwu, ale naznaczonym zainteresowaniami natury estetycznej, prawie wyłącznie indywidualnej. Te drobnostkowe wprawki nie przyniosły zresztą, u dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu poetów na tysiąc, nic prócz językowych odkryć polegających na niespodziewanych związkach słów, ale nie będących wyrazem żadnej wewnętrznej, mentalnej czy psychicznej, operacji. Godne pożałowania wykołowanie miało ten wynik, że wykopało przepaść pomiędzy poetą i wielką rodziną ludzką oraz przyczyniło się do nieporozumień. Te trwają do dzisiaj i zakończą się nie wcześniej aż pojawi się naprawdę natchniony poeta, nowoczesny Homer, Szekspir czy Dante, poeta, który wyrzekając się małego „ja”, często pustego a zawsze ciasnego, przeniknie najgłębszy sekret mas pracujących, bardziej niż kiedykolwiek żywych, chłonnych i pełnych wewnętrznej udręki.

4. Tak więc mniej więcej od stu lat działalność literatów posługujących się wierszem czy rymizowaną prozą stoi niemal całkowicie pod znakiem poszukiwań „czystej poezji”. Te dwa terminy, a samo ich łączenie świadczą już od razu o zainteresowaniach nieco dzieciennych, wypadaloby bliżej określić. Niestety stają się one trochę zrozumiałe tylko po długim procesie eliminacji. Jeżeli mają sens, mogą oznaczać jedynie poezję, która wyłączyłaby poza swój zakres religię, filozofię, naukę, politykę i nawet wpływ, jaki mogłyby wywierać na poetę inne gałęzie sztuki przez swoje metody i tendencje. „Czysta poezja” byłaby rodzajem żywiołowego porwy, właściwa jej miałaby być największa głębia i największa bezpośredniość.

5. Któż ośmieliłby się twierdzić, że jest twórcą a nawet tylko sędzią takiej czystej poezji? Jeżeli ma to być sztuka możliwa do rozpoznania jedynie dzięki jakości dostarczanych przez nią wzruszeń, musi być niesłychanie ruchliwa, giętka, podległa reakcjom temperamentów oraz wpływom czasu i miejsca. „Czysta poezja” to więc taka, która z samej swojej istoty wymyka się wszelkiej próbie definicji. Ma być, rozumie się, „wewnętrzna”, wroga retoryce, liryczna... być może, bo nawet liryzm jest już więcej niż w połowie odrzucany przez „czystych” spisywaczy małych wrażeń. Zresztą zastępując termin nie pozbywamy się wcale trudności. Co to jest „czysty liryzm”? Gdzie kończy się wylewność a zaczyna elokwencja?

6. Można byłoby nam na to odpowiedzieć, że czysta poezja, choć wydaje się nie do zdefiniowania, istnieje faktycznie i że wystarcza aby ktoś

był obdarzony niezbędnym wyczuciem a na pewno ją odkryje. Zapytalibyśmy na to z pokorą w jakiej stronie jej szukają i w jakich dziełach ją znajdują te arystokratyczne umysły i te elitarne dusze, na pewno nie upajające się Homerem jak tragarze Naukratis czy Miletu ani Dantem jak robotnicy Florencji czy gondolierzy Wenecji, ani Szekspirem jak jego publiczność złożona z ulicznych włóczęgów Londynu. Czy poezja czysta to bój Odysseusza z zalotnikami, zejście do piekieł Eneasza, Niebo w Boskiej Komedii, Ballada i Modlitwa, Sen Nocy Letniej, piąty akt Bereniki, zakończenie Fausta? Czy to może Ulalume, Elegia do Diotimy, Popołudnie Fauna? Albo prościej, może to poezja naszych czasów pozbawiona publiczności, poezja „nieuznanych”, poezja przeciętnych, jakimi jesteśmy wszyscy bez wyjątku, nie czytający już nawet jedni drugich?

7. Wolno twierdzić bez żadnych uprzedzeń, bez najmniejszej chęci zdobycia się na paradoksy, że świat od niemal stu lat nie wydał ani jednego poety, to znaczy prawdziwego poety, godnego aby go przyrównać do jednej z tych wielkich rzek życzliwych zarówno berlinkom jak złoconym galerom, toczących majestatycznie w swoich burzliwych i głębokich wodach gorsze i lepsze, żyzny muł i piasek, ale zawsze według władczego rytmu, zawsze w nurcie, który razem dawał nam obraz stałości rządcy boskich i przemijania pokoleń. Co zostało z parnasizmu i symbolizmu? Co zostanie za dwadzieścia lat z olbrzymiej i pustej produkcji poetyckiej naszych dni?

8. W istocie to poszukiwanie czystej poezji wywodzi się w prostej linii z manieryzmu szkół zwanych „estetycznymi”. Przy użyciu innych wyrazów było to już przedmiotem naszych dyskusji około r. 1895 w Kalissaya, pierwszym barze amerykańskim w Paryżu, do którego stałych bywalców należeli moi przyjaciele Oskar Wilde i Moréas. I nie zapomnę nigdy zgorznięcia z jakim patrzył na mnie irlandzki poeta, kiedy pewnego dnia w rozmowie o Shelley'u, tym wielkim protoplaście estetyzmu, opowiedziałem się za wierszokletą Byronem, uczniem klasycznego Pope'a, Byronem, który w swoim wzniosłym „Manfredzie”, najbardziej ludzkim, najmniej romantycznym z poematów, nie zawahał się podjąć raz jeszcze i ująć na swój sposób rozległego, wiecznego tematu prometejskiego.

9. Ale przychodzi chwila kiedy wypada, abyśmy zadali sobie pytanie, czym będzie poezja jutra. Powiedzmy od razu, że na pewno matką jej nie będzie poezja dzisiejsza, tak baczna na to, żeby nie zwracać się ani do ludzkości ani nawet do arystokracji, sama nie więcej niż latorośl burżuazji światowej przeżywającej swój zmierzch.

10. Poezja jutra narodzi się z naukowej i społecznej transmutacji, jaka dokonuje się przed naszymi oczami. Wielka wojna, ostatni albo przedostatni podryw kapitalizmu i imperializmu, dotąd czeka na swego wieszca. Niech więc poezja pokojowo uzbroi się w cierpliwość. Duchowe konsekwencje wydarzeń a nie same wydarzenia powołują natchnionych ludzi. Rewolucja rosyjska chciała sztucznie stworzyć swego piewce. Ale nie przez mechaniczne zastosowanie materialistycznej doktryny powołuje się do życia nowy porządek społeczny, a tym mniej poeta.

11. Ta poezja, która oczywiście będzie dokładnym przeciwieństwem dydaktycznej sztuki, przyczyni się w wielkiej mierze do przeprowadzenia wewnętrznej syntezy wielkich odkryć fizyko-chemii, astronomii, jak również prehistorii i historii archaicznej. Świat egejski, sumeryjski i azjaniczny

powoli powstaje z grobu. Zaczyna się odcyfrowywać pismo iberyjskie, mi-noeńskie, etruskie. Starożytnej powadze Wschodu i Zachodu przeciwstawiają już swoją przeszłość, która rozciąga się od Morza Sargassa do chamičkih, jońskich i żydowskich wybrzeży Morza Śródziemnego. Mityczna jedność świata coraz bardziej staje się rzeczywistością i będzie wywierać olbrzymi wpływ na religijne oraz polityczne zjednoczenie małej planety Ziemi.

12. Wypracowywana jest już nowa mistyka, która, opierając się na podstawach naukowo dowiedzionych, powinna, jak się zdaje, poprzez nową metafizykę dotrzeć do starych dogmatów i kierując się kartezjańską intuicją (bo „racjonalista” Kartezjusz jest jednym z ojców nowoczesnego intuicjonizmu) uznać w nich alfę i omegę Czystego Rozumu.

13. Formą nowej poezji będzie zapewne forma Biblii: swobodnie płynąca proza wykuta w wersetach.

14. Możliwe, że nic z tego nie nastąpi i że skurczona, zeschnięta poezja naszych dni jest bełkotem ostatecznego wyczerpania i starczego zdziocenia. Byłoby to oznaką nie zużycia się jednej ze sztuk ale oznaką końca ludzkości. Kto wie? Może jesteśmy o wiele starsi, o wiele bardziej znużeni, o wiele dalsi od Boga niż myślimy, niż myślał sam Timaios Platona. Jeżeli tak jest, pozostaje nam życzyć tylko, aby pojawił się nowy Ezechiel i aby umiał równie mocno jak ten dawny krzyknąć pośród błyskawic: oto koniec! Nadciąga zagłada na cztery krańce ziemi. Teraz oto, ku tobie idzie zagłada

Oskar MIŁOSZ

Wiersze

I T A K A

Jeżeli wyruszasz do Itaki
 proś aby twoja podróż była długa,
 obfita w przygody i nauki.
 Lestrygoni, Cyklopi,
 gniewny Posejdon — nie, nie bój się ich:
 nigdy nie znajdziesz takich dziwotworów
 dopóki lotną masz myśl, dopóki rzadkie wzruszenia
 przenikać zdolne są twojego ducha i ciała.
 Lestrygoni, Cyklopi,
 gniewny Posejdon — nie spotkasz ich nigdy,
 chyba że nosisz ich we własnej duszy,
 chyba że sam postawisz ich przed sobą.

Proś aby twoja podróż była długa.
 Abyś niejednym letnim świtem wpląwał

— a jakże wdzięczny i jaki szczęśliwy —
 do widzianego po raz pierwszy portu;
 i zatrzymywał się w fenickich zatokach
 po to żeby zakupić tam dobre towary,
 perłową macicę, koral, ambreg i heban,
 także wonne olejki wszelkiego rodzaju,
 mocne, drażniące wonności, tak dużo jak tylko zapragniesz;
 abyś odwiedził wiele miast egipskich
 zbierając zapas wiedzy od ludzi uczonych.
 Itakę zawsze nosić masz w pamięci.
 Przybycie tam to twoje przeznaczenie.
 Ale bynajmniej nie śpiesz się w wędrówce.
 Lepiej jeżeli potrwa długie lata
 i dosięgając wyspy już będziesz stary,
 bogaty wszystkim co zyskałeś w drodze,
 umiejący nie oczekiwać, że Itaka da ci bogactwo.

Itaka dała ci wspaniałą podróż.
 Bez niej nigdy nie ruszyłbyś na morza.
 Nic innego nie ma ci do dania.

Jeżeli zobaczysz, że jest uboga, nie zawiodła ciebie Itaka.
 Tak mądry się stałeś, tak bardzo doświadczony,
 że już zrozumieć potrafisz co Itaki znaczą.

D A R I U S Z

Poeta Fernazis właśnie układa
 ważną część swego epicznego poematu:
 o tym jak Dariusz, syn Hystaspa,
 zdobył tron perski (od niego
 pochodzi nasz prześwietny król
 Mitrydates, Dionizos i Eupator *). Tu jednak
 potrzebna jest filozofia. Ma bowiem pokazać
 co czuł Dariusz: pychę i upojenie?
 Choć nie. To była pewnie
 jakby zaduma nad marnością chwaly.
 Głęboko rzecz rozważa poeta.

Ale służący jego, wbiegając,
 przerywa mu: ważne są nowiny.
 Zaczęła się wojna z Rzymianami.
 Wojska nasze przekroczyły granicę.

Poeta osłupiał. Co za klęska!
 Jak będzie mógł nasz prześwietny król

*) Mithrydates VI, Eupator Dionizos („Wielki”) był ostatnim królem Pontu noszącym to imię.

*Mithrydates, Dionizos i Eupator,
zajmować się teraz greckimi wierszami!
Wojna — i wyobraźcie sobie, greckie wiersze!*

*Fernazis martwi się. Co znaczy nie mieć szczęścia!
A właśnie tak był pewien, że swoim „Dariuszem”
zaszczytnie się wyróżni i wreszcie pognębi
raz na zawsze tych swoich nienawistnych krytyków.
Jaka zwłoka, jakie nic z projektów!*

*Gdyby to była tylko zwłoka — niech już będzie.
Ale pomyślmy o naszym bezpieczeństwie
w Amisus. Nieszczególne mury ma to miasto.
Rzymianie są strasliwym przeciwnikiem.
Czy my z Kapadocji możemy dać im radę?
Czy to możliwe? Czy nam się z nimi mierzyć?
Wielcy bogowie, tarczo Azji, chroncie nas.*

*Ale w tej biedzie, w tym rozdygotaniu
uparcie wraca poetycki pomysł.
Najpewniej, tak, najpewniej, pycha i upojenie:
pychę i upojenie musiał czuć Dariusz.*

MYRIS: ALEKSANDRIA, A. D. 340

*Kiedy dowiedziałem się o tragedii, że Myris nie żyje,
poszedłem do jego domu, choć zawsze unikam
wchodzenia do domów chrześcijan
zwłaszcza jeżeli jest tam żaloba czy święto.*

*Stałem w korytarzu. Wejść dalej nie chciałem
bo mogłem zauważyć, że krewni zmarłego
patrzą na mnie z wyraźnym szdzwieniem i niechęcią.*

*Położyli go w dużym pokoju.
Z rogu gdzie stałem widać było niewiele:
drogocenne dywany, misy srebrne i złote.*

*Stałem i płakałem w rogu korytarza.
I myślałem jak smutne będą bez Myrisa
nasze wycieczki i nasze zabawy.
I myślałem, że nigdy już go nie zobaczę
na naszych całonocnych pięknych i nieskromnych ucztach,
jak promieniał i śmiał się i jak mówił wiersze,
jak znakomite miał wyczucie greckich rytmów.
I myślałem, że oto straciłem na zawsze
jego urodę, straciłem na zawsze
młodzieńca, którego naprawdę ubóstwiałem.*

*Jakieś staruszki koło mnie szeptały
o dniu ostatnim przez niego przeżyтым —
na ustach ciągle miał imię Chrystusa
i w rękę trzymał krzyż.
A wtedy czterej kapłani chrześcijańscy
weszli do pokoju, mówili modlitwy,
żarliwie, i jakieś prośby do Jezusa
czy Marii (nie znam dobrze ich religii).*

*Wiedzieliśmy naturalnie, że Myris jest chrześcijaninem.
Od pierwszej chwili wiedzieliśmy to
kiedy w zaprzeszłym roku przyłączył się do nas.
Ale żył dokładnie tak jak my.
Najzacieklej z nas wszystkich gonił za uciechą,
sytał pieniędzmi byle się zabawić.
Obojętny na to co ludzie pomyślą
pierwszy był także do ulicznej bitki
kiedy w nocy nasza banda
natknęła się na inną, naszych rywali.
Nigdy nie mówił o swojej religii.
I nawet raz zażartowaliśmy,
że musimy go zabrać kiedyś do Serapeion.
Ale jakby nie podobał mu się ten nasz żart.
Tak w każdym razie zdaje mi się teraz.
Aha, pamiętam inne dwa szczegóły.
Kiedy Posejdonowi sprawialiśmy libację
odsunął się od stołu i patrzył w bok.
Kiedy raz ktoś wykrzyknął z entuzjazmem:
„Niech nasza kompania będzie pod wezwaniem
i opieką wielkiego, doskonałego pięknego Apolla”
Myris powiedział cicho: „z wyjątkiem mnie”
(inni nie słyszeli, ja tylko słyszałem).*

*Kapłani chrześcijańscy grubymi głosami
modlili się za duszę młodego człowieka.
Zastanowiło mnie, że tak starannie,
z niezwykłą dbałością o formy ich religii
przygotowują wszystko na chrześcijański pogrzeb.
I raptem dziwne uczucie
mnie ogarnęło. Czulem niejasno,
że Myris jakby oddala się ode mnie.
Czulem, że on, chrześcijanin, już się połączył
ze swoimi, że być zaczynam
obcy, zupełnie obcy. I nawet czulem
zbliżające się zwątpienie: że okłamała mnie
moja namiętność, że zawsze mu byłem obcy.
Wyskoczyłem z ich przerażającego domu,
biegłem, byle dalej, nim pochwyca, nim przemienią
swoim chrześcijaństwem pamięć o Myrisie.*

CZEKAJĄC NA BARBARZYŃCÓW

Na co czekamy, zebrani na placu rynkowym?

Barbarzyńcy nadejść mają dzisiaj.

*Czemu nic prawie nie robi się w Senacie?
Czemu senatorowie siedzą i nie obradują?*

*Ponieważ barbarzyńcy nadejść mają dzisiaj.
Po cóż by mieli senatorowie martwić się prawami?
Barbarzyńcy skoro nadejdą podyktują prawa.*

*Czemu nasz cesarz wstał tak wcześnie
i czemu zasiadł u głównej bramy miasta
na tronie, w uroczystym stroju i w koronie?*

*Ponieważ barbarzyńcy nadejść mają dzisiaj.
I cesarz czeka aby przywitać ich wodza.
Przygotował nawet pergamin dla niego.
Nadaje mu w nim wiele godności i tytułów.*

*Czemu nasi konsulowie i pretorzy
chodzą dzisiaj w szkarłatnych, wyszywanych togach?
Czemu noszą bransolety z masą ametystów
i pierścienie jaśniejące szmaragdami?
Czemu wzięli dziś swoje drogocenne laski
wspaniale wykładane srebrem i złotem?*

*Ponieważ barbarzyńcy nadejść mają dzisiaj.
A takie rzeczy olśniewają barbarzyńców.*

*Czemuż to nasi szlachetni oratorzy
nie wystąpią jak zwykle, nie wygłoszą mów?*

*Ponieważ barbarzyńcy nadejść mają dzisiaj.
A nudzi ich krasomówstwo i publiczna dysputa.*

*Co znaczy ten nagły niepokój,
to zamieszanie (jakże spoważniały twarze!)?
Czemu ulice i place raptem pustoszeją
i każdy wraca do domu tak zamyślony?*

*Ponieważ jest noc a barbarzyńcy nie nadchodzą.
A nawet przybył ktoś spod samej granicy
i mówi, że tam już nie ma żadnych barbarzyńców.*

*Teraz, bez barbarzyńców, co z nami będzie?
Ci ludzie to było jakby rozwiązanie.*

Konstanty KAWAFIS

Wiersze

ZNAKI ZAPYTANIA

*Może to wiedza cierpienia,
Której tu służę,
Tłumacząc jej sens:
Podążam za nią,
Ręką po murze
Sunę, pół ślepy
Nad rumowiskiem
Gruzów i klęsk.*

*Może to miłość niewyczerpana,
Psia,
Gdy pochyla nade mną
Noc nieprzejrzanie ciemną
A w ustach ma światło
I upał dnia.*

*Może słowo niewyrażone,
Leżące na spodzie snu,
Który z mulem podziemnej rzeki
Na tamtą drugą unosi mnie stronę
Ale wypływa tu.*

*Może coś jeszcze innego,
Tylko co, tylko co, nie wiem sam:
Serce prawdziwe,
Serce kłamliwe,
Serce dotkliwe,
Serce jedyne,
Które mam.*

LESMIAN W ZIMIE

*Liściasty, drzewiasty,
Zarośliniony,
Cóż oni wiedzą o tobie,
Któryś niewinny w świecie zamętu
Zaniemówił do szczętu
I położyli cię w grobie.*

*Teraż jest zima
Srebrno niebieska,
Spizimek motyla trzyma
W czterech zabitych deskach.*

*Sto ust było w liściach,
Tysiące w trawie
I w kwiatach,
Wszystkie twoje niebyty
Przebyłeś tam nieprzebyty,
Pomyślany w zaświatach.*

*Tam się te rzeczy zaczęły,
Tam się skończyły
Tam trwają i będą trwały:
Leżysz przykryty zimą,
Niewinny,
Śniegiem ogrzany,
W śnie uleżały,
Aż wróci liściasta,
Drzewiasta wiosna
Do wielkiej roślinnej
Chwały.*

EMILY DICKINSON

*Szuflady pełne wierszy
I pełne wierszy kieszenie
Tylko przed nim drzwi zamknięte do domu,
Tak lata minęły,
Tak mijają jesienie
Pół-żartem,
Pół-po kryjomu.*

*Zabija go piórem,
Iglą cieniutką,*

*Jak lekarz nieuleczalnych
Dokładnie, powolutku —
Aż postarzeją się oczy,
Aż serce z żył się wytoczy
Ostatnią kroplą smutku.*

*Zabija go, truże
W małych dozach,
Łyżeczką od herbaty,
Pamięta by zapominać
Co dzień, co noc nieustannie,
I tak przez lata
I przez jesienie
Dolce vita w przedśmiertnej
Samotnej kwarantannie.*

*Aż zamknie drzwi w domu
Przed sobą,
Aż się zapełnią szuflady, kieszenie,
Serce i życie
Pół-żartem
I ciężką żalobą.*

OBRAZ

Pamięci Stefanii Zahorskiej

*Był obraz na żółtym, napiętym płótnie,
Kolory w czerwonym oleju, w jasności szkła,
I nagle starto ten obraz, zostało lustro matowe,
Szkłana kra.*

*Weszła w to lustro, mówili: idź dalej,
Do końca suchej ciemności, więc szła,
Coraz to dalsza, coraz to mniejsza,
I tylko skaza po niej została,
Rtęć wykruszona
W marmurze matowym szkła.*

JEDNO SŁOWO

*Wiele słów, mało
Czy najmniej
To nie gra roli:*

Niech będzie jedno
Byle zaskowyczało
Tak
Jak naprawdę boli.

Nad rozpaczą bezsłownych,
Nad skazaniem oniemiałych,
Nad milczeniem grobowym
Niech zaskowyczy
Za wszystkich i za mnie,
To najmniej
Co może być
Słowem.

MELODRAMAT

Przyleciały sowy,
Mądre sowy
Jeszcze przed końcem powieści:
Czemu się wszyscy w niej męczą,
Mówią sobie gorzkie słowa
I zabijają miłość?

Ale na nic nie było już czasu,
Na ostatniej stronie napisano: koniec,
Więc poleciały w pole polować
Na myszy i młode zające,
I dziwiły się czemu
Za domem w trawie
Leży ktoś twarzą do ziemi
W czerwonej kałuży
A nie na poduszce.

Mądre sowy,
Wszystko wiedzące.

PTASIE MLEKO

Wyśmiali ptasie mleko,
Wylali ptasie mleko
I teraz wędną matkom piersi,
Niemowlętom podają puste butelki
I nie wiadomo jak w żyłach ma toczyć się radość

I wstyd się przyznać, że pragnie się szczęścia
I wszystko musi być gorzkie i wrogie
I lepiej zaprzeć się siebie i kłamać,
Więc zachodzę do ptaków i pytam o mleko
Ale nie mają, mówią mi gniewne,
I nigdy nie miały, mówią mi złe,
I śmieją się ze mnie
I wylewają
I zamiast p-tak
Krzyczą: nie.

MATKA BOLESNA

Ludzkość, Matka Bolesna,
Nosi w sobie nie nóż
Lecz siedem mieczów,
Kto się dzisiaj urodzi o świecie,
Spojrzy na świat —
A to już wieczór.

Lepiej niech nie otwiera oczu
I sse swój ciepły, ciemny byt,
Ran nie zaleczy, zła nie odczyni,
Taka jest matka, taki świat,
Miłość-nienawiść,
Morderczyni.

OGRODNICY

Ogrodnicy rzeźbią ziemię,
Poprawiają jej rysy:
Chcą upiększyć moją najpiękniejszą,
Ugładzić moją niespokojną,
Uleczyć moją zatrutą.

Ale nad ziemią przewłóczyła się Historia,
W szkołach uczą ją pisać przez duże H,
Budują z marmurów pałace Historii,
Elektryfikują wielkie prowincje Historii,
Dają koncerty skrzyłcowe Historii,
Straszne koncerty
Na głuchoniemych instrumentach:
Z futerałów zgubiono dźwięk.

*A ogrodnicy plewią.
Japończycy w deszczu, pod parasolem,
Starcy francuscy w ogródku nad Mozą,
Baby hiszpańskie w żebraczych kamieniach,
Plewią w kibucach Izraela,
Plewią na Cejlonie.*

*Chcą wyplewić małeńkie półko pod niebotyczną ścianą Historii,
Zielony kwadrat pod wszechwidzącym oknem Historii,
Zasadzić pieczarki w piwnicy Historii,
Ustawić donice na tarasie Historii,
Wyrzeźbić instrument zgubiony w Historii.*

*Co wy robicie, nic się nie zmieni,
To przecież pineska pod stopą słonia.*

*A oni plewią.
Chcą upiększyć moją najpiękniejszą,
Uglądzić moją niespokojną,
Uleczyć moją zatrutą,
Ogrodnicy, geohumanisci.*

Kazimierz WIERZYŃSKI

GALERIA GRABOWSKIEGO

ZAPRASZA DO ZWIEDZANIA CO MIESIĄC
NOWEJ WYSTAWY W LOKALU GALERII
84, Sloane Avenue, London S. W. 3

Polsko-szkocki Hotel

"STRATHCONA COURT"

(Właśc. C.C. Ślezakowie)



Pokoje z ciepłą wodą, śniadaniem, telefonem, radiem, telewizją
i obsługą od 21 szylingów

Przyjęcia towarzyskie i weselne do 70 osób

198, Cromwell Road, London, S.W. 5. Tel. FRE 7878/9

Stacje kolejki Earls Ct i Gloucester Rd, autobusy 31 i 74

W bezpośrednim sąsiedztwie stacji autobusowej lotniska londyńskiego.

Testament Błażeja

Teraz, gdy nie ma już Błażeja, można otworzyć testament. Który jednak? Jest ich przecież dwa. Który ważniejszy? Który uznany zostanie przez sąd, gdyż sprawa niewątpliwie rozpatrywana będzie w sądzie? Dwa testamenty. Dwie karty atlasu. Dwie półkule ziemi, a pomiędzy nimi — Błażej Twardowski. Tego się doczekał, taki oto stał się ważny. Stał na granicy dwóch światów już poza światem.

Twarz o zapadniętych po wyjętej sztucznej szczęce policzkach, ocieniona zasłoną tlenowego namiotu — to Błażej. A to jego ręka wyciągnięta poza plastikową zasłonę i z wysiłkiem uniesiona w górę ponad szpitalny koc. Błażej śmieje się:

— Sympy, sympy, ścierwa, wszystkie one nic nie warte, czyhają ino, sympy...

Błażej prosi:

— Niech mi pan obieca, niech mi pan przyrzeknie, że testament...

Błażej prosi wyciągnięciem ręki i gasnącym dźwiękiem tubalnego niegdyś głosu.

— ...testament...

A może trzeba by najpierw spojrzeć na samego Błażeja, bo chociaż stał on się dopiero, wyrósł, uważił w oparciu o owe dwa testamenty, sam przecież był także, istniał przez prawie osiemdziesiąt lat.

Błażej należy do ulicy Szerokiej. Któż nie zna tej ulicy w mieście? Biegnie od zatoki i kończy się za szpitalem. Chociaż ta część bliższa zatoki, zaniedbana i miejscami wyboista, jest ulicą Błażeja, szpitala nie można pominąć. Ogromny, pełen labiryntów ślimak o zielonej kopule i poprzyklepanych tu i ówdzie przybudówkach.

Gdy Błażej spaceruje ulicą Szeroką wydawałoby się tu się zaczął, tu skończy. I niejeden tak myśli. Na przykład, organista. Mówi: Ten z Szerokiej no ten Twardowski. I nawet nie pamięta

imienia, ani nawet nie myśli o tym, że mogło w życiu Błażeja zdarzyć się coś innego niż Szeroka, a przecież wziął prowizję, zarobił. To samo adwokat. Dla niego Błażej był tylko jeszcze jednym przypadkiem-case. Może tylko Wieniawski wiedział coś więcej i dlatego Wieniawskiemu było ciężko, gdyż wiedząc zyskał zaufanie Błażeja i musiał je świadomie dźwigać do końca.

Oprócz ulicy Szerokiej istniała jeszcze w życiu Błażeja wieś i stalownia. Wieś była w Starym Kraju zwykła, biedna, płaskopolista z kościołem i cmentarzem przy kościele. Sadów nawet nie miała, tylko niektórzy hodował za domem śliwę, gruszę, albo jabłonki. Ziemia się liczyła, na ziemię każdy był łakomy. Ze wsi Błażej popamiętał różne piosenki, które jak sobie potem w barze piwem podchmielił, wracały. A najczęściej wracał do tej:

*Idzie dziwczę z Lepowca
Trzesie d... jak owca.
A ty dziwczę co ty mosz
Pod fartuszkim przykrywosz?
Nie pytaj się co jo mom
Przyjdzie wiczór to cze dom.
Przyszedł wiczór nie dała.
Lecz sie z niego wysmiała.*

To jednak nie najważniejsze. Ważne było, że w tej samej wsi nauczył się sylabizować, a później czytać i pisać. Był jeden, niewiele od Błażeja starszy, którego wysłali do szkół, do miasta, aby go potem kształcić na księdza. Na lato zawsze wracał do wsi. Błażej i ten Jasiak Lipa polubili się. Właściwie to Jasiak wybrał Błażeja, a Błażej z wolna się poddawał, początkowo ostrożnie, a potem już bez reszty, całkowicie, chociaż wtedy nie zdawał sobie sprawy ze swego przywiązania. Bo gdyby Jasiak nie przyszedł pierwszy, nie zaproponował, Błażej nie ośmieliłby się, drwiłby tylko na uboczu. Tamten przyszedł, powiedział: Będę cię uczył, Błażek. Matka zaraz zakrzyczała, że nie, bo skąd zapłaci. Ale tamtemu nie chodziło o zapłatę. Przepelniało go to wszystko co mu nakładli w głowę, chciał mówić, dzielić się, wybrać Błażeja. Może, że Błażej był rośły, silniejszy od innych, może, że sierota, a ojczym pasa nie żałował — nie wiadomo. Poszedł nieufny, ale i dumny, że go wybrano. Stali się, jak dwie szale niewspółmiernie obciążone. Dziwne co ich tak równoważyło, że obcowali z sobą w harmonii. Jasiak mówił: Poczekaj Błażek, do jesieni będziesz czytać i list też do mnie napiszesz. A Błażej: To już ja ci się kiedyś odwdzięczę, już ja ci kiedyś wynagrodzę. Nie wiedział: już się odwdzięczał, już wynagradzał — zaufał.

Potem Jasiak poszedł do seminarium, a Błażek wyjechał. Zdarzały się rzeczy ważniejsze, młodość przepaliła się szybko, do spopielałego ogniska nie wracał, o Jaśku zapomniał i o innych sprawach ze wsią związanych też. Skończył się Błażek, zaczął Mister Błażej Twardowski. Nie było już wsi, ani Jaśka Lipy, ani nawet pamięci o nich, ani nigdy żadnego wspomnienia

o jakimś, kiedyś odwdzięczeniu się, ani ufności co z trudem rozpalona zagrzebana na zawsze została w porzuconym ognisku.

— A kto mi co tam dał? Bide? Żyć nie było co. Butów człowiek nie kupił. Był Błażej Twardowski, stalownia i ulica Szeroka.

Ulica Szeroka — linia życia na rozpostartej dłoni miasta. Rozpoczyna się zatoką — tam wylądował. Biegnie najpierw równo, a potem unosi się nieco w górę i już zmierza coraz wyżej i wyżej mijając Dom Związkowy i restaurację, bank i aptekę. Stąd też, jeśli by wspiąć się na najwyższe piętro, albo lepiej z dachu kościoła św. Stanisława można zobaczyć stalownię. Przechodząc, Błażej myśli: To tu-żem czekał na „bus”, na tym rogu, ale tych, co ze mną jeździły ni ma, nie widać. Poszły gdzie, albo pomarły. W stalowni pracował przy nawijaniu arkuszy blachy. Trzeba było na to siły, ale płacili. Zaraz za apteką ulica Szeroka wznosi się stromo ku górze. Tam Błażej nie chodzi. Oddech ma już krótki, męczy się i zresztą po co? Szeroka traci już swoją swojskość. Miasto nadbiega z lewej strony pospieszne, żarłoczne i zagarnia ulicę Błażeja, a z prawej pilnuje jej szpital. Przylega do Szerokiej uporczywie, twardo, nie pozwala na sympatię, na jakie tam osobiste konszachty z Błażem. Dlatego Błażej unika tego odcinka ulicy, chociaż wie, że kiedyś będzie go musiał przejść do końca wydany na żarłoczność miasta i kamienną obojętność szpitala. A na samym końcu jest cmentarz i kamienie pomników stawianych przed półwiekiem bieleją z daleka jeśli się ma czas na nie spojrzeć, gdyż zwykle wiele jest spraw ważniejszych.

Błażej nie miał domu. Pokoina nędzna, brudnawa na poddaszu. Szeroka to był jego dom. Rządził się na niej, jak pan. Do Domu Związkowego przychodzi, do baru, mówi:

— Te, drzwi zamknij! Ja dziś płacę! Ino przyjdzie ten, co ja chcę! A niechby się taki odważył, co go Błażej nie lubiał — kopniaka w tyłek i wyrzucił. Bardzo był wojowniczy i silny. Gdy się podniosło oczy na Błażeja, było na co patrzeć. Taaki chłop! Później, jak go Wieniawski poznał, był już inny. Ale jeszcze wyczuwało się w nim siłę chociaż omdlała, przygasała; jeszcze bary miał szerokie, chociaż jak dwa liście przywiedle, co aby mocniejszy podmuch — opadną, bardzo sterane trzepotaniem się i udawaniem życia, którego już w nich nie było, chociaż jeszcze przywierały do gałęzi i wydawały się czerpać z niej soki.

Szeroka to był jego dom. Znał, po ciemku poznałby nierówności chodnika, załamania, chropawości murów podstarzałych kamieniczek, ciemne sionki, cuchnące podwóreczka. Pośrodku jezdni, tam gdzie kończy się handlowy odcinek Szerokiej, a zaczyna dzielnica portowa o podejrzanych lokalikach, małych bar-kach, pokojach do wynajęcia, w których osadzają się szumowiny miasta, stoi podłużna, drewniana szopa dawniej pewnie remiza strażacka przerobiona na rynek żywnościowy — *Food Market!* We dnie rozgardiasz, zapach jarzyn wilgotnych i ryb, świeżego pieczywa, wędzonej polskiej kiełbasy. Nocą, przytulisko włączę-

gów co się pijani kładą na rybnych i mięsnych kontuarach póki nie przegoni ich pałka policjanta.

Błażej lubił tam sobie zająć, zawsze coś kupić: kurę, aby świężo bitą, chleba, a bardzo uważał, aby nie przepłacić. Więcej to chodził na popatrzenie, pogadanie, niż kupno. Znali go.

— Ho, patrzajta, Twardowski idzie! — mówił rzeźnik ten od polskiej kiełbasy. — Kiełbasy dać, Twardowski?

— No — mruzczał Błażej a wiała to chcesz za ten kawałek?

I zaraz, niezależnie od ceny, łapał się za głowę:

— Tyla piniendzy, tyle piniendzy! — trząsał głową co mimo wieku nie posiwała zupełnie.

Nie kupił, żałował sobie.

— Co tak Twardowski sknyrzysz? — mówiono.

— Nie służy mi i jeść już ni mogę — odpowiadał.

Chodził na rynek, aby pogadać, popatrzeć. Jak inni do muzeum, galerii obrazów, do teatrów, do kin, tak Błażej chodził na ulicę Szeroką. Tak, jak kustosz zna swoje eksponaty, tak Twardowski znał historię każdego domu i sklepu na swoim odcinku Szerokiej. Był konserwatystą, nie uznawał zmian i innowacji. On też pierwszy skrytykował biuro Wieniawskiego. Tego popołudnia, jak zwykle od dziesięciu lat odkąd przeszedł na emeryturę, pokuśtykał nierównymi schodkami sieni na ulicę Św. Agnieszki. Przeciągnął się, ziewnął i już nogi same poniosły go w kierunku Szerokiej.

Jan Wieniawski do Szerokiej nie mógł się przyzwyczaić. Mierziła go, denerwowała, w pochyłości ulicy upatrywał własny upadek.

— Żeby mi kto kiedyś powiedział przed wojną, że na takiej Szerokiej na chleb będę musiał pracować, to w zęby bym dał, albo bym się powiesił. Ale właściwie to tak tylko mówił, bo gdyby nie Szeroka to cóż by się z nim stało? Zresztą Wieniawski narzekałby chyba wszędzie gdziekolwiek na świecie by się nie znalazł. Może jedynie nie narzekałby w Starym Kraju, ale jeśli to w gromadzie, zrozumiany i podtrzymywany głosami narzekających przyjaciół. A tu był sam, tu był, psiakość, zupełnie sam. Narzekanie więc jego było raczej ubolewaniem nad samotnością, a ponieważ akurat nadarzyła się Szeroka obrał ją za cel swoich ataków. Była więc dla niego brudna, hałaśliwa, cuchnąca i tandetna. Rozpaczwał, że żyje w takim cto poniżeniu, w obości, niezrozumieniu. Życie Wieniawskiego, bowiem, rozpoczęło się i rozwinęło w Starym Kraju, o którym w przeciwieństwie do Błażeja mówił z wielkim rozrzewnieniem dodając zawsze na końcu, że to Zachód i jego polityka spowodowały jego przymusową emigrację do Stanów. Podkreślał przy tym, że jest emigrantem politycznym, a ironia losu zepchnęła go na ulicę Szeroką gdzie po prostu wegetuje bez pożytku dla Starego i Nowego Kraju.

— I ci ludzie — wzdychał mając na myśli groniasto rozsiadłą wokół Szerokiej imigrację zarobkową — ci ludzie! Pożal się Boże! Nieufne to, podejrzliwe, wrogie! Czy ja to nie znałem polskiego chłopca i robotnika? Sam z nich pochodzę. Znajdowałem wspólny język. A tu, jakby z innej planety pospadali, tak ich ta Ameryka odmieniła. I w tym miał pewnie dużo racji, bo jeśli Błażej reprezentował wieś Starego Kraju, to Wieniawski był tylko tej wsi przedłużeniem, ewolucją, inteligencją, która stopniowo z pokolenia na pokolenie ugładziła się wykształceniem zachowując jednak głębokie do wsi przywiązanie, czerpiąc z niej soki nieodciętymi korzeniami.

Obydwoh fale zatoki wyrzuciły na ulicę Szeroką. Błażej przyjął to naturalnie, zaaklimatyzował się, przywiązał. W Wieniawskim nie ustawał bunt i rozgoryczenie. Cóż by się jednak z nim stało, gdyby nie ulica Szeroka i „Albatros”, biuro podróży „Albatros”.

Było popołudnie wiosenne, natłoczone słońcem, jego obiecującą ciepłotą. Błażej szedł ulicą Św. Agnieszki, myślał wstąpi na *market*, kupi kurę, zgotuje, będzie miał obiadów na tydzień. Stanął przed rynkową budą, przysłonił oczy od słońca, spojrzął na Szeroką. Patrzył, nie dowierzał oczom. Wyciągnął z kieszeni okulary. Po lewej stronie, tuż zaraz za bankiem blisko Domu Związkowego człowiek stojący na wspartej o mur drabinie malował sztyl. Twardowski zapomniał o kurze, poczępował w kierunku drabiny. Zadarł głowę do góry, starał się sylabizować. Nie udawało mu się. Opuścił głowę. Przed sobą miał dwie świeżo wymyte szyby wystawowe.

— Widzieliśta? — szepnął.

Na szybach był napis w dwóch językach: Paczki do Polski — *Parcels to Poland*.

— Jak to się stało? Kiedy? — zdenerwował się Błażej. Do niedawna był tu sklep żelazny. A teraz? Zbliżył się do wystawy, starał się spojrzeć do wnętrza — nie mógł. Ostrożnie uchylił drzwi, zerknął. Dwóch nieznajomych mężczyzn: jeden rozmawiał przez telefon, drugi siedział za biurkiem, pisał.

— Widzieliśta? — mruknął Błażej. Ogarnęła go złość. — Skąd to przyszło? — głowił się.

Podreptał prędko do Domu Związkowego, pchnął drzwi, przeszedł ciemnym korytarzem do baru. Wsparł się łokciami o kontuar. Piwa od dawna już nie pijał, od tego czasu jak mu jeden doktor powiedział, że już długo nie pożyje, a alkohol zaraz go trupem położy, ale go znali, pamiętali.

— Co to za jedne? — spytał barmana.

— Które?

— O tamte, na Szerokiej, co w żelaznym „storze” siedzą.

— Nowoprzybyłe — skrzywił się barman — Wieniawski się nazywa, czy jakoś tam.

— A co on tu myśli robić? — dopytywał Błażej.

— Ja tam do niego nie chodzę. Ludzie mówią listy pisze, paczki wysyła.

— A jak list przynieść to przeczyta? Po polsku pisane wyrozumi?

— Idź się pytaj sam jakeś ciekawy.

— Jo tam nie pójde, jo tam nie ugom. Dulary broć przyszedł i już.

Przez cały tydzień Błażej obchodził biuro z daleka. Zły był. I może nie wszedłby tam nigdy, gdyby nie list. List był ze Starego Kraju, ale nie zwykły, które to listy Błażej systematycznie wyrzucał nie bardzo ciekaw co do niego piszą, ale list polecony, wręczony mu przez listonosza i osobiście przez Błażeja pokwitowany. Obracał go w rękę, zastanawiał się, otworzył, starał się odcyfrować, nie szło mu. Poszedł więc do Domu Związkowego prosić kolegów o odczytanie listu.

Kolegów to Błażej wielu nie miał. Jeszcze jak pracował w stalowni, jak fundował piwo — nie mógł się opędzić. Ostatnio coraz to który odpadał, a ci co zostali, zobojętnieli.

— Piwo stawiom! — krzyknął do barmana. — Jak który ten list wyrozumi!

Zaraz się kilku znalazło, pochylali się nad listem, wrywali jeden drugiemu i sylabizowali ciężko, mozolnie.

— To Gienia jakaś pisze do ciebie, Twardowski.

— Bolanowska?

— Yeah...

— To siostry nieboszczki córka. No? A co ona tam pisze?

„W pierwszych słowach mego listu donoszę wujowi kochanemu, że żyję i przy zdrowiu jestem, czego i wujowi życzę...”

— To ona głupia! — rąbnął pięścią w kontuar Błażej — tyła pieniędzy na takie głupie pisanie marnuje! Co tam dalej stoi?

— Pisze, że ziemię ci państwo chce brać i trza się procesować...

— O to psiekrwie! — poderwał się Błażej i nagle uprzytomnił sobie, że przecież ma swoją część ziemi po ojcu, że ma ziemię swoją własną w Starym Kraju. Aż do tej pory nie myślał o tym, dopiero teraz. Racja, ma tam swoją część i chcą mu ją zabrać.

— To co zrobić? — zwrócił się do barmana. — Jak ratować?

List przechodził teraz z rąk do rąk, już poplamiony piwem, wymięty.

— Pisze, pieniądze musi mieć zaraz, adwokata płacić.

— To co zrobić? Co zrobić? — szeptał Błażej.

Rozglądał się bezradnie po barze, po jego ciemnym wnętrzu, a myślą był już tam, przy swoim kawałku ziemi. Jak tu ratować? Jak nie oddać? To jedno tylko myślał? nie oddać, nie wypuścić z rąk, zatrzymać.

— Cholery, ścierwy, sympy tu mnie dosięgły, ziemię chcą brać! I już leżał na tej ziemi, pazurami się wpijał, nie oddawał. Pamiętał, jak chłop chłopą zabił, że mu jego ścieżkę zaorał,

jak się po łbach ludzie o ziemię tłukły, najbliżsi, brat z bratem. A tu obce przyszyły, ziemię chcą mu brać! Jego własność, jego należąca ojcowiznę!

— To co zrobić? — jęczał. — To jak ratować?

I nawet mu przez myśl nie przeszło po co, dla kogo ma ten kawałek ziemi którego nigdy nie pragnął zobaczyć, którego nigdy pewnie nie zobaczy — ratować. Czuł się, jakby mu kto wnętrzości wydzierał, na żywca kroił, mordował, a on się nie dawał, o życie walczył, więcej niż o życie — o ziemię. Nogi mu zaczęły drzeć, spocił się.

— To co zrobić? Radźta, co zrobić?

— A może byś do Wieniawskiego poszedł? Może on co poradzi?

— Dajta ten list! — wyciągnął rękę. Złożył go, wygładził, wsunął do koperty i już nie zastanawiając się wiele ruszył w kierunku biura po ratunek.

Stefański, organista, poderwał się od biurka.

— Panie, czy pan wchodzi czy nie? Z dziesięć razy już pan drzwi otwierał.

Błażej stał w uchylonych drzwiach biura, wahał się, przyglądał.

— Ja tu do jednego co piniendze może wysłać.

— Do którego? Może ja załatwię?

Błażej wszedł do biura, przyglądał się spode łba Stefańskiemu.

— Panu nie będzie Wieniawski?

— Nie — zaprzeczył organista. — Jak pan do pana Wieniawskiego, to proszę zaczekać. Pomyślał: sknera, i tak nie da mi zarobić. Chce czekać na Wieniawskiego, niech sobie czeka.

Błażej zatrzymał się przed rozpiętą na ścianie mapą Polski.

— To to niby co ma być?

— Widzi pan, mapa! — odburknął Stefański.

Błażej nie obraził się. Zwolna zaczął oswajać się z biurem. Przekroczenie progu — to było najgorsze.

Ja tego człowieka gdzieś widziałem — zastanawiał się spoglądając na twarz Stefańskiego nieobecna teraz, skupiona nad papierami.

— Pan krajowy?

Organista drgnął.

— Dlaczego?

— Ot tak, myślał sobie, że pan krajowy.

— Tak wyglądam, co? Inaczej, prawda?

— Mówi inaczej. A skąd przyjechał?

— Z Warszawy — westchnął. — No to już niech pan siądzie i zaczeka! Ja jestem zajęty.

Błażej odwrócił się tyłem do mapy, ale nie usiadł. Stał na jej tle przygarbiony, sprawdzał w kieszeni marynarki list. Czy aby nie zgubił?

— Kiedy pan przyjechał?

— Panie, cóż pan taki ciekawy!

— Mnie się widzi, pan będzie ten nowy organista od Św. Agnieszki.

— No to co?

— A nic. Mówili, niedawno przyjechał.

— Panie, bądź pan cicho, pracować nie mogę!

Stefański patrzył na papiery przed sobą, ale nic nie widział. Nadchodzi go nastrój chandry, dławiącej, obezwładniającej tęsknoty za tamtym. Co robić? Co robić? Ach Boże, Boże, Boże...

Stefański, wychowanek komunizmu, chluba ludowej demokracji, kwiat nowej, komunistycznej inteligencji, szanowany, podziwiany dygnitarz — wybrał wolność.

Błażej wyciągnął na wpół wypalone cygaro, wsadził między sztuczne zęby, cmoknął, zapalił.

— To jak tam tera jest, panie?

Stefański podniósł na niego zażawione oczy.

— Nie widzi pan, że pracuję? No jak jest? Żle jest.

— Tu lepiej?

— A jakbym mógł, to bym wrócił. Wyjechałbym z tej Ameryki, co tu za życie...

Wieniawski wszedł prędkim krokiem do biura.

— Pan do mnie? — spojrzał na Błażeja. — Zaraz służę, zaraz będę, chwileczkę.

Przeszedł nie rozbierając się w głąb biura, gdzie za przepierzeniem z dykty mieścił się gabinet adwokacki.

— A gdzie Dekrocki? — krzyknął. — Panie Stefański, panie Kazimierzu, Dekrockiego nie było?

— Nie, proszę pana, nie było.

— Gdzie on się, do diabła, włóczy? Jak on pilnuje swoich spraw?

Wieniawski wieszał płaszcz i kapelusz, wymyślał głośno, poczerwieniał.

— To jest obowiązkowość amerykańska, to jest odpowiedzialność!

Poza nim wyrósł cień: organista wyższy, szerszy od Wieniawskiego. Cień pochylił się.

— Panie magistrze, psst... pan za dużo, za głośno, myśla. Ściany mają uszy...

— Panie Kazimierzu, pan znów swoje, przecież to jest *free country*...

— Mnie już zwracano uwagę, ja pana po przyjacielsku ostrzegam. I zresztą tamten, czy pan wie kto on jest? No tamten, klient co czeka na pana...

— Panie Kazimierzu, my tu jesteśmy... — zaczął Wieniawski. — Machnął ręką.

— A prawda, klient... Ja tam do pana zaraz idę!

— Jo czekom, czekom! — odkrzyknął Błażej. — Wyciągnął list z kieszeni i rozprostowywał go grzbietem dłoni. — Psiekrwie — mruzczał — sympy cholerne.

— To czym mogę służyć?

Przesłonięta dymem cygara twarz Błażeja, szara, zmęczona. Odgradzał się dymem. Wieniawski spojrzał: tylko oczy nieznanego — dwa światła reflektorów błędącego we mgle samochodu.

Stara Emigracja — pomyślał — chce wysłać paczkę.

Bezpieczny za dymem cygara, a jednak w dymie zagubiony, Błażej oceniał stojącego przed sobą człowieka.

Do kogo on będzie podobny? — zastanawiał się. — Do kogo?

Tyłu jednak ludzi przewinęło się przez długie życie Błażeja i zresztą zbyt trudno było myśleć, zbyt to było męczące.

— A po polsku list pan wyrozumie? — spytał podejrzliwie.

— Zrozumiem, pewnie.

— A dość sobie policzy za przeczytanie?

— Za przeczytanie? — zdziwił się Wieniawski. — Za przeczytanie — nic.

Ulicą Szeroką ciągnęło od zatoki wiosenne popołudnie. Nie zapachem liści, ani rozkopanej ziemi tylko wilgocią wiatru, odorem ryb z rynku, smugami słońca na chodniku przed wystawami biura. Błażej jeszcze raz wierzchem dłoni wygładził list, jakby chciał z niego zetrzeć ślady po piwie i niechętnie, podejrzliwie podsunął Wieniawskiemu. I zaraz zazdrośnie całą połową wielkiego ciała pochylił się ku czytającemu śledząc badawczo, niedowierzająco wyraz jego twarzy.

— To co ona tam pisze, co ona chce? — dopytywał, chociaż przecież znał początkową treść listu. — Wyrozumie pan? Odczyta?

— Pisze — podniósł głowę Wieniawski — że ten kawał ziemi, co ma pan po ojcu, rząd chce zabrać, upaństwowić...

— No, to to ja wim, a co dalej stoi?

— Jak pan wie, to po co...

W tej chwili przez gwałtownie otworzone drzwi wtargnął wiatr z ulicy. Adwokat Dekrocki wszedł do biura.

— No wiesz! — zawołał Wieniawski. — No wiesz, Antek, to ty teraz dopiero przychodzisz! A miałeś być o pierwszej w sądzie! Jak to tak można!

Adwokat Dekrocki miał usposobienie pogodne, był po dobrym obiedzie.

— Oh, *never mind!* — mruknął.

— Uszanowanie panu mecenasowi — skłonił się Stefański. Dekrocki przefalował obok Błażeja, minął Stefańskiego.

— Porzudnie wiwa na strywie — powiedział — na korne-rze myślałem mnie obali.

— Zniknął za przepierzeniem.

Błażej denerwował się:

— No i co tam dalej stoi?

— Jak pan wszystko tak wie, to po co się pan pyta?

— A nich pan już czyta, nima się co gniwać, aby przyndziej, bo trza będzie radzić...

— Co radzić?

— Żeby tej ziemi nie wziony.

— To zaraz, proszę pana — zastanawiał się Wieniawski — ziemię można uratować jeśli rzeknie się pan na rzecz siostrzenicy.

— Geni?

— Tak, tej Gieni. Mamy, tak jak ona pisze, dziesięć dni czasu. To trzeba by zaraz zawieźć akt darowizny do ambasady i te sto dolarów potrzebne przesłać telegraficznie.

— To wiela tego bydzie razem? — zmartwił się Błażej.

— Koszty też będą. Ale może pan nie chce aktu darowizny? Po co panu ta ziemia i tak już...

Błażej rozciągnął usta, uśmiechnął się do siebie chytrze, ale cały chodził, aż go nogi świerzbiły.

— Łopcy'm ni dom, to niech już Gienia bierze. Tylko trza się śpieszyć, bo jeszcze zabiorą. Trza się spieszyć! — gorączkował się.

Wstał. Przechadzał się po biurze pykając niecierpliwie cygaro. Teraz Wieniawski mógł mu się przyjrzeć. Chłop był potężny, tylko przywidły. Głowa opadała w dół i do boku, jakby szyja nie mogła udźwignąć jej ciężaru. Wieniawski przyglądał się, zastanawiał.

— Ile to sobie pan lat liczy?

— A z siedemdziesiąt osiem, bo co?

Wieniawski nie odpowiedział. Mógłby być moim ojcem — pomyślał i uczył fałę zapomnianego wzruszenia. Ojciec Wieniawskiego dawno już nie żył.

— Piękny wiek — powiedział głośno. — Dzieci ma pan tu, czy w Polsce?

— Ni mam nikogo.

— A ta Gienia Bolanowska?

— Siostry nieboszczki córka.

— No, tak, prawda, prawda.

Wieniawski wyciągnął arkusz papieru i zaczął przygotowywać akt darowizny. Błażej tymczasem sięgnął po list i starał się wyteżając wzrok przez okulary jeszcze raz samemu go odczytać.

— A tu co stoi? — przerwał Wieniawskiemu.

— Myślałem, że pan zna treść listu?

— Nie, o tu, dalej niech pan przeczyta — prosił.

W pracy na ulicy Szerokiej Wieniawski nauczył się cierpliwości. Rozłożył list i głośno zaczął czytać.

„Kochany Wujek, jaką ja miała radość raz w życiu to chyba nie będę mieć więcej takiej. Zaraz wujaszkwowi opiszę jadę ja wraz z mężem z Zierańska, a od Wronków idzie jakiś pan od autobusu, bo u nas do Wronków można przyjechać gdzieś od jakiejś stacji autobusem. Więc ja mówię mężowi niech on furę zatrzyma i zaczekamy na tego pana. Dochodzi on do nas, a ja bezpośrednio pytam dokąd pan idzie, a on mówi że do Wofuskich, a był to pan przystojnie ubrany, wysoki, ładny,

taki mi Godzianowska mówiła wujek ładny, wysoki, ładnie wygląda to ja myślałam, że to wujek i pytam do kogo on do Wofuskich idzie, a on pyta czy u Wofuskich jest rodzina Bolanowskich, a ja z fury z radości skoczyła i mówię, ach to może mój wujek ukochany z Ameryki...

— Tak pisze? — nie dowierzał Błażej. — A to ona głupia! — roześmiał się wilgotnie, przez łzy.

Wieniawski czytał dalej.

„...A on się roześmiał i mówi do mnie na pewno nie, to ja się rozplakała, że on mnie zwodzi, a on mi mówi co pani nie poznała, pewnie pani ma zdjęcie, i tak się pani pomyliła. A ja mu odpowiadam że nie mam i nie znam tylko z opowiadania innych co wujaszka widzieli, to pan podobien do mego wujaszka. A on mi mówi że pani na pewno bardzo kocha swego wujaszka, że tak stęskniona za nim. A ja mu mówię, że pan wie, że to jest mój ojciec i matka, bo ja nie mam nikogo tylko jednego Boga, a drugiego jego...”

— Tak pisze, tak pisze? — szeptał Błażej. — To jej jeszcze osobno 50 dolary poślę i fotografie sobie zrobię — obiecywał.

Biuro pełne cygarowego dymu, Błażej kroczył sobie w nim, jak we mgłach.

— Unosił się, pływał lekko, zstępował na drogę co prowadziła z Wronków do autobusu. A to mój ukochany wujek, to mój ojciec i matka, ziemię dla niego ratuje, żeby sobie na stare lata przyjechał. Ziemię, ziemię...

— Ma pan przy sobie pieniądze, panie Twardowski?

— No mam.

Opadł prędko na posadzkę biura, rozglądał się.

— Ale panu — powiedział — piniendzy ni dom.

A patrząc na zdziwioną twarz Wieniawskiego, dodał:

— Ni dom, ni ufom.

— No to jak? — wzruszył ramionami Wieniawski.

— Tamtemu, adwokatowi to dam!

— Antek! — zawołał Wieniawski. — Przyjmij tu pieniądze od klienta! — Nie powiedział nic więcej, ale zrobiło mu się przykro, jak gdyby wróciło coś do niego i nagle okazało się, że nie to, że tylko złudzenie. Błażej odliczał skrupulatnie pieniądze Dekrockiemu. Stefański przyglądał się zainteresowany. Było ich teraz w biurze czterech, czterech o nazwiskach na „ski”. Twardowski, najstarszy przywędrował do Stanów ponad pół wiekiem; Dekrocki tu urodzony, Wieniawski, emigrant polityczny po drugiej wojnie światowej i Stefański, wychowanek komunizmu, który wybrał wolność. Polacy.

W ciszy biura Błażej głośno liczył pieniądze:

— *Twenty dollars, forty dollars...*

Jutro Wieniawski prześle je ekspresem do Starego Kraju, aby uratować kawalek ziemi. Uratować dla kogo? Żaden z nich nigdy ziemi tej uprawiać nie będzie. Wydawała się im jednak teraz bardziej realna i pożądana niż przyjazna ulica Szeroka,

która dźwigała ich ciężar i uśmiechała się zapraszająco ciepłem popołudniowego słońca.

Jak gdyby tylko na to czekali, sygnał, lot szczęśliwy pierwszego gołębia, jak gdyby od nieskończoności za niedomkniętymi drzwiami tłoczyli się zmarznięci i pożądlivi, wygłodniali, nigdy nie syci, oni, ich dzieci, ich krowy i konie, rozwalający się, chudy dobytek, jakby spoza tych drzwi popychając się i jednocześnie wspierając śledzili nieustannie niebo, upatrując zdobyczego powrotu pierwszego śmiałka i szczęśliwca, bo oto już zaledwie po kilku tygodniach otrzymania pieniędzy przez Gienię zasypali Błażeja listami.

Listami na poliniowanym papierze zamkniętym w niebieskich kopertach przyfrunęła do Błażeja cała jego rodzina ze Starego Kraju. Tylko teraz mało kto już powierzał list zwykłej poczcie. *Registered*, polecony, *registered air mail!* Ci, co od młodości nie imali się pióra, chwycili po nie, po ową broń skuteczną. Poprawiane przez nauczycieli, przez młodszych, wydrukowanych w szkołach, napływały listy. Pierwszy napisał brat przyrodni Twardowskiego: Konstanty Pazdruk.

„Kochany Bracie Błażeju,

Skreślam kilka słów do ciebie kochany bracie z żalem na sercu i łzamy w oczach, co nie wiem co się dzieje z twoim życiem i zdrowiem, bo nie wiem co się stało co nie raczysz do mnie listu odpisać. Bracie kochany kuń mi zdechł i pług sam ciugne z synem...”.

Błażej wysłuchał listu uważnie, podrapał się w głowę, spojrzął na Wieniawskiego.

— Trza mu wysłać żeby se kunia kupił, chociaż to nie mój brat, ale zawsze brat.

— Ile? — spytał Wieniawski.

Było już lato, drzwi biura na oścież otwarte na ulicę, upał nisko falował nad chodnikiem.

— Sto dolarów niech pan pośle.

Błażej wyciągnął z kieszeni pieniądze i położył na biurku. Spojrzeli na siebie. Błażej nieśmiało, przepaszająco; Wieniawski nie dowierzając jeszcze, z uśmiechem. Odkąd Błażej dowiedział się, że przesyłka doszła do kraju na czas, nabrał do Wieniawskiego zaufania, więcej, może jakiejś nie określonej jeszcze sympatii.

— Sto dolarów? — zatroszczył się Wieniawski. — A może pan tyle?

— Mogę. Ze stalowni mam pensje co miesiąc i starczą rentę *government* płaci.

Wieniawski o nic więcej nie pytał. Myślał: ma tam pewnie i jakie oszczędności, ale oszczędności, wiedział, to było tabu. Naród z Szerokiej o oszczędnościach milczał, nie ufał. O sobie też rozpowiadali mało. Skryci byli, zacięci. O Twardowskim wiedział więc niewiele.

Konstanty prędko odpisał.

„Kochany Bracie Błażeju,

Syn się ożenił, kunia zabrał a sam już nie dam rady pługa ciągnąć. Ponakładali podatków do niewytrzymania. Młode rzucają gospodarki, uciekają do fabryk a ja słaby musze się tulać bo lata — uciekli starość spotkała to żeby nie ty kochany bracie i twoja pomoc to nie wiem jak by ja wyżył...”.

— Ano — powiedział Błażej — posłać mu sto dolarów, żeby se kunia kupił.

Brat przyrodni, Konstanty, tak w korespondencji zasmakował, że miesiąc nie upłynął, a słał nowy list do Ameryki. Ale to nie wszystko, bo jeszcze troje dzieci po zmarłej siostrze Błażeja: owa Gienia i Józio i Stasio nie szczędzili atramentu i opłat na listy polecone.

A Stanisław tak pisał:

„Kochany Wujaszku,

Na wstępie mego listu ja Stanisław pisze do wujaszka parę słów pozdrawiam wujaszka zdrowiem, bo to jest najmilsze zdrowie w życiu człowieka. Kochany wujaszku ja Stanisław, syn Józki zwracam się do wujaszka ażeby mi wujek cośkolwiek pomógł, ja wiem, że wujek jusz nie pracuje, bo to nie lata wujka do pracy, ale wujek coś pomógł Gieni i Wikci i Józikowi to i ja bym chciał ażeby i ja jakąś pamiątko zrobił od wujaszka a przeważnie teraz by mi się przydało bo w tym roku musiał spłacić dla siostry jak ona poszła za męża a i w tym roku krowa mi zdechła i żona moja zdrowia nie ma, dzieci mam troje, najstarsze 6 lat, muszę sam wszystko pracować i stodoła mi się rozwaliła i trzeba postawić, bo nie ma gdzie wozić zboża siano to złożył w stok to chociaż na majstra parę złotych przysłać mi wujaszku a mi będzie dużą pomocą i będę Boga prosił o wujaszka zdrowie. Na spłatę sprzedał dwie krowy i ostatnie kobyłę mam tylko 1 krowę, 1 świnie i 2 prosiaki. Kochany wujaszku pozdrawiam z całą rodziną i życzę wujaszkwowi zdrowia proszę odpisać list i nie odmówić mojej prośby. Pozostaje kochający wujaszka

siostrzanek Stanisław

Od czasu wysłania pieniędzy do Gieni na proces o ziemię minęło już przeszło 5 miesięcy. Lato było teraz ciężkie, sierpniowe, upał już od samego rana kłębił się nabrzmiął wilgocią, a w południe słońce paliło się bladym, okrutnym płomieniem na wąskim korytarzu nieba ponad ulicą Szeroką. Poza miastem, na farmach, zaczęto zbierać kukurydzę. Rudy pył wzbijał się wokół traktorów, wiatr z gór, od północy przeciągał czasem niby chłodną ręką po spotniałej twarzy, ale tu, w niecce, nad zatoką cicho było, powietrze tylko falowało omdlałe i niezdrowe. Błażej przywykł był do klimatu, nauczył się zresztą imać z gorącym podczas długich lat pracy w stalowni. Adwokat Dekrocki wyjechał na wakacje nad jeziora do Północnych Stanów, tylko Wieniawski sterczał w biurze. Nawet organista przychodził rzadziej,

bo go dręczył upał i leżał półprzytomny aż do wieczora chłodząc się wiatrakiem i płacząc za umiarkowanym klimatem Staroego Kraju.

Błażej w nastroju tak dobrym jakiego od dawna nie pamiętał zachodził coraz częściej do biura podróży „Albatros” i ani się spostrzegł jak stał się codziennym gościem Wieniawskiego. Popijali razem mrozoną coca-colę, to znów gorącą kawę, bo może lepszą, skuteczniejszą na upał. Gadali, Błażej o pomoc coraz częściej nadchodziły i coraz to od innych osób krewnych i powinowatych.

Córka Konstantego tak pisała:

„...pieniędzy jeszcze nie brałam, czekam na odpowiedź Stryjka. Tato mi mówi że bądź cierpliwa, a on ci dopomoże, a ty córko pamiętać musisz, że masz Stryja o dobrym sercu i troszczącym się o swoją rodzinę i musisz się czymś w przyszłości wynagrodzić. Więc bardzo proszę Stryjka o ile stać na to moją prośbę i dopomóc mi w moim ciężkim życiu. Proszę o prędką odpis. Pozostaję w smutku i tęsknocie ja z całą rodziną”.

Przychodziły listy z podziękowaniami, błogosławieństwami, proszono Błażeja o radę, żalono się w kłopotach, zapraszano go do Kraju. Najserdeczniej zapraszał Józio o którym Błażej mówił, że jest uczony i na urzędzie siedzi.

„...Parę słów Wujaszku można by napisać chociaż o zdrowiu i na kilka moich pytań z poprzednich listów. Przecież Wujaszek pisał o ewentualności przyjazdu do Polski odwiedzić kraj ojczysty z możliwością pozostania w nim na dalsze lata życia, a teraz nic nam na ten temat nie wiadomo. Ja osobiście w tym wypadku tego zamiaru pragnąłbym widzieć jak największą pomoc z mojej strony oraz mojej żony w opiece na starsze lata życia Wujaszka. Broń Boże Wujaszku pod tym względem nie kieruję się dla siebie z jakimś zyskiem, a raczej chciałbym w Kraju dać Wujaszкови tyle pomocy i ukazać szczerości serca, ile dałbym w tym wypadku moim rodzicom gdyby żyli. Pragnąłbym bardzo, Wujaszku, abym otrzymał jakąś odpowiedź od Wujaszka, która by sprecyzowała zagadnienie poruszone w liście przeze mnie. W zakończeniu posyłam miłe i serdeczne pozdrowienia, tego życzy kochający Wujaszka Józek wraz z żoną i córeczką oraz synkiem”.

Zapraszała Błażeja również Wikcia:

„...to może jak Bóg pozwoli to Stryjka kiedy zobaczę, bo tato mówi, że na wiosnę Stryjko do nas przyjedzie. Kochany Stryjku za te pieniądze chciałaby zrobić pamiątkę dla Siebie i dla dzieci żeby one długo pamiętali o Stryjku. Niech Stryjko poradzi mi co mam robić, chciałaby pobudować swój własny domek, bo mieszkam tylko w jednym małym mieszkanku. Ale zbudować taki domek to mogę tylko przy pomocy Stryjo ponieważ u nas trudno o materiały budowlane a za dolary to bank wszystkiego dostarczy. Kochany Stryjku gdyby Stryjko zechciał mi wysłać jeszcze 100 dolarów, to ja tamtych bym jeszcze nie brała i za 200 dolarów kupiłabym cegły to by starczyło na domek...”.

— Dlaczego pan do Polski nie pojedzie, tak pana zapraszają — powiedział Wieniawski.

Błażej uśmiechnął się.

— Tak kiedyś myślałem, ale ja bym tej drogi nie przeżył.

Rano zwlekał się zły potem ze swego wyrka w pokoinie na ulicy Św. Agnieszki. Odrzucał prześcieradło, jedyne jakie miał, żeby się podsuszyło na słońcu. Pojadł z garnka rosółu, zagryzł chlebem i ruszał do Wieniawskiego na pogawędkę, albo wysłać dolary. Cieszył się. Jedno go tylko gnębiło dlaczego Gienia o procesie o ziemię nic nie wspomina.

— Przeżył czy co? — denerwował się, ale go dobry humor nie opuszczał. Miał teraz rozrywkę, dzień wypełniony, miał do kogo zejść. Siadał sobie na krześle w kącie biura i przysłuchiwał rozmowom Wieniawskiego z klientami. Bardzo był ciekaw, bo wiele ludzi jeździło do Kraju na wycieczki, a potem wracając wstępowali do „Albatrosu” i dzielili się z Wieniawskim wrażeniami.

Tego przedpołudnia zaszedł do biura w lepszym niż zwykle nastroju. Czuł się młodszy, zawadiacki, aż niemal tak silny jak wtedy, gdy po pijanemu „Moskwę rozbił”. Tak wtedy czegoś przed laty zezłił się, że poszedł i porozbił mieszkania rosyjskich emigrantów. Odsiedział swoje w kryminale, więcej nie próbował, ale zyskał sobie sławę niebezpiecznego zawadiaki. Coś, jakby odbłask owej zawiadiackości nawiedził go tego przedpołudnia, gdyż szedł do biura podśpiewując. Najpierw:

*Nie wiedziała pani matka
jak na zięcia wolać.
Wstawaj, wstawaj łysy koniu
Idź do pola orać.*

potem „Spadła z wiszni widzieliśmy...”, a na zakończenie już prawie w drzwiach „Albatrosu” nucił półgłosem:

*On mnie mówił, że mnie weźmie, że mnie weźmie
Skoro tylko z pola zeźmie.
A on zezął i powiązał, i powiązał,
Ale dla mnie świat zawiązał.
Chodził do mnie całą zime
Wpuściłam go pod pierzyne...*

Zamachał listem, niebieskim sztandarem, przed Wieniawskim.

— List po piniendze! — krzyknął.

Ale Wieniawski nie rozeźmiął się, jak zwykle.

— Chwilę panie Błażeju — powiedział — tylko załatwię klientów.

Dopiero teraz dostrzegł Twardowski, że siedzieli ich w biurze dwoje. Na wprost Wieniawskiego krzesło ugięło się pod damą niewielką, ale niezmiernie tęgą, jej twarz pulchna zado-

wolonej z życia, bystrej staruszki, jej kapelusz kwiecisty nie tyle zwracały uwagę co jej nogi. Nogi to były spuchłe, potężne, żywe filary kościelne zajmujące więcej przestrzeni na ulicy Szerokiej niż nawet nogi Błażeja, chociaż był przecież chłop masywny. Błażej tylko zerknął z ukosa na kolczyki, na profil damy na tle wystawowej szyby „Albatrosu” i już wiedział: Ruguska. Siadł na swoim krzeselku pod ścianą, wyciągnął cygaro z górnej kieszeni marynarki, słuchał.

— Panie — mówiła Ruguska — w ty Polsce to nie jest tak źle...

Błażej przekręcił się bokiem na krześle, dłoń przyłożył do ucha, w drugiej ręce list w niebieskiej kopercie na niej znaczek z rycerzem na koniu. To Ruguska do Polski jeździła — pomyślał.

Wieniawski uśmiechnął się.

— Zadowolona pani z podróży?

— Wi pan co, tak wszystko dobrze, tylko wachlarza tam oj potrza.

W drugim końcu biura ktoś chrząknął. Siedział tam człowiek schludnie ubrany, siwy, twarz podobna na wiosnę zorane-mu polu, a cała postać niedzielna, odświętna.

— Wachlarz? — zdziwił się Wieniawski.

We trzech pochylili się teraz ciekawie ku Ruguskiej. Jej nogi ani drgnęły tylko twarz mieniła się drobnymi prześmieszkami, aż ucho z kolczykiem podskoczyło hop, hop!, a sam kolczyk zadyndał, jak mały dzwoneczek.

— Bo panie tak, jak to się za stodołę idzie, pan wi, a kucnąć, to te osy nalatują i wachluj się, żeby która psiekrwie nie użarła.

Zachichotali głośno, tylko twarz Ruguskiej pozostała bez zmiany.

— Do Polski, mówię, dulary i wachlarz.

Siwy mężczyzna podniósł się, wyprostowany wydawał się młodszy.

— A ja mówię dulary i tego papieru klozetowego. Nigdzie nie dostaniesz. Raz poszłem to mi tyle dali co nic. To ja se myślę co robić. No nic, dziesięciotówkę wzionem, zużyłem, a potem w jednym sklepie to mi taka panienska doradziła kalendarz. Mówi, panie, ci zagraniczni to kalendarze kupują, papier dobry, mówi. To ja mówię, na przyszły raz, mówię, to papier brać, bo i za pieniądze ni ma.

Błażej tak się rozchichotał, że aż mu cygaro z ust wypadło, aż chichot przeszedł w kaszel rwący, bolesny, żenujący, bo i wszyscy spojrzeli na niego i Wieniawski zawołał:

— A co to z panem, panie Błażeju? Może wody?

— Nie trza — machnął ręką — nie trza. Kawy... przynieś... — I wyszedł z biura bardzo zaferowany do restauracji Domu Związkowego po kawę. Zanim jednak tam zaszedł, długi czas chodził ulicą Szeroką, a jej dobroczynny gwar tłumiał, pochłaniał głuche, nieprzyjemne odgłosy kaszlu. Dopiero jak się

wszystko w nim uciszyło poczłapał wyczerpany, pchnął drzwi restauracji.

— *Two coffes*, pani da — powiedział.

Gdy wrócił do biura unosząc w obu rękach papierowe kubeczki z kawą, klientów już nie było. Postawił jeden kubek na biurku, z drugiego wolno siorpał gorący płyn.

— Dziękuję, panie Błażeju, a tu dziesięć centów — zwrot za kawę. Błażej skrzywił się.

— Ło tam, nich pan trzyma tego dajma!

Wieniawski zdziwił się, Błażej nie był skory do wydawania pieniędzy. Zył, jak nędzarsz, odżywił się marnie. Czasem 25 centów na zupełny wydał, ale najczęściej sam sobie rosół gotował. Czyżby całą emeryturą wydawał na wysyłki pieniędzy do Polski? Czyżby po latach pracy w stalowni nie miał żadnych oszczędności? Fundował mu kawę! Niesłychanie! A może w ten sposób chciał Wieniawskiemu wynagrodzić czytanie listów? Odpisywanie na listy? A może — zastanawiał się Wieniawski — Błażej go po prostu polubił? Ten nieufny samotnik, prosty chłop poczuł coś wspólnego z Wieniawskim? Może były to początki zaufania, zgrzebnej, szorstkiej serdeczności? Wieniawski schował dziesięciocentówkę do kieszeni, a wydawało mu się przyjął wiele więcej, zadłużył się.

Błażej wyciągnął z kieszeni list. Pisał brat przyrodni Twardowskiego, Konstany.

— To co on pisze, co pisze? — dopytywał Błażej.

Wieniawski czytał:

„Bracie Kochany,

Pierwszymi słowami przemawiam niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Tyla potrzeb jest, strzecha się wali, bida zagłąda do prog...”

Wieniawski zatrzymał się, spojrzął na Błażeja. Powiedzieć czy nie? — myślał. Powiem — zdecydował. — No to nie wyśle pieniędzy. Nie wyśle pieniędzy, nie zarobię na wysyłce. — Wachnął się, ale już krótko. — Nie mogę, człowiek mi ufa. Powiem.

Ale Błażej nie podejrzewał, nie domyślał się niczego, przyznał jeszcze Wieniawskiego.

— A niech czyta, niech czyta!

— No cóż? — odpowiedział opryskliwie i aż sam się zdziwił szorstkością swego głosu. — Po co ja się przejmuję? Dlaczego? — A pisze tam jeszcze o podatkach i że na mszę za pana dał...

— Dał na mszę? — ucieszył się Błażej — za mnie? To mu tak odpisać: Posyłam ci jeszcze 100 dularów dla ciebie — spojrzął na Wieniawskiego czy ten notuje — a dla proboszcza drugie 100, żeby kościół naprawił, bo pisałeś dach w kościele zacieka. — Uśmiechnął się. — I niech mu napisze, żeby te bide na progę zatrzymał. I jeszcze — zamyślił się. — Nie będzie ten proboszcz ten Jasiak Lipa?

— Jasiak Lipa?

— Jasiak Lipa — powtórzył Błażej. Spoglądał na Wie-

niewskiego wyczekująco, jakby od niego spodziewał się odpowiedzi, potwierdzenia.

— A czy ja wiem? — wzruszył ramionami Wieniawski. Myślał: Nie powiem mu, nie. Niech się sam dowie. — I znów: Jako zataić, nie powiedzieć? Człowiek mi ufa.

Błażej spoglądał na niego, czekał.

— A kto to był ten Jasiek? — spytał Wieniawski.

Twardowski, jak gdyby na to tylko czekał. Rozsiadł się, nogi wyciągnął przed siebie, zaczął opowiadać. Po śmierci ojca, jak się matka drugi raz wydała, źle mu było. Nie dojadał, krowy tylko pasał, a zazdrościł każdemu. Tego Jaśka też nie lubił, taki ważny był, uczony. A on tak jakoś umiał go podejść, tak go do siebie przekonał. Pisać go nauczył, czytać. Bywało siedzieli sobie nieraz, rozprawiali... — Zawahał się. — Tak, jak my tu z panem, a on przecie mądrzejszy był, wszystko wyrozumiał i tak my do siebie przystali...

Na Wieniawskiego każde słowo Błażeja spadało ciężarem, ugiął się pod tymi zwierzeniami a nie śmiał ich zrzucić. Powiem — zdecydował — a niech nawet nie posyła ani centa więcej. Człowiek mi ufa, nie mogę.

— Panie Błażeju — zaczął — a tak ostrożnie, jakby wstępował w wodę o dnie mulistym, a on bał się ją zmącić, bał się utonąć i drugiego za sobą pociągnąć. — Pytał się pan zawsze czemu to Gienia nie napisze jak tam z tym procesem o ziemię, na który pan posłał pieniądze.

— No? — zainteresował się Błażej. — Rysy mu się wystrzyły, pochylił się ku przodowi. — No?

Wieniawski wyciągnął z szuflady biurka list. Duża, biała koperta adresowana maszyną. Wyjął kartkę papieru z koperty. Drukowane litery biegły po niej równymi wężykami. Błażej ani drgnął.

— Ze sądu? szepnął.

— Od adwokata.

— Oddali ziemię?

— Widzi pan, ja sam napisałem do najbliższego adwokata, tam w Polsce, w miasteczku. Prosiłem, żeby się dowiedział o proces. Bo już pan tak długo czekał, już pan tyle pieniędzy wydał...

— Wygrały? — I znów szept przez gardło ściśnięte. — Wygrały? Oddały jej ziemię?

— Procesu nie było.

— Nie było? A kiedy będzie

— Nie będzie.

— Bo co? — przestraszył się Błażej. — Za mało piniendzy? To jużem jej posłał 300 dulary i raz 100 dulary i jeszcze mało?

— Adwokat pisze, sprawa przedawniona.

— Jak?

— Niech pan sam zobaczy — Wieniawski podsunął mu list.

— Niech pan...

Błażej odtrzącił papier niecierpliwie.

— Niech sam przeczyta, niech powie...

— Panie Twardowski, ten, co na tej pana ziemi siedzi, kuzyn jakiś daleki czy powinowaty ma już do niej prawo. Nasłapiło, jak mi adwokat pisze, przedawnienie.

— To on łopcy do mojej ziemi ma prawo?

— Ma prawo z powodu zasiedzenia. Procesu nie było i nie będzie. Nikt o tym nic nie wie. Gienia wprowadziła pan w błąd. Widocznie... — Co panu? Co panu, panie Twardowski? Błażej!

Poczerwieniał. Siwizna teraz odbijała się wyraźnie od purpury czoła. Wstał, zachwiał się, opadł na krzesło, dyszał ciężko, znów próbował się podnieść, ale ziemia wydawało mu się, spod nóg mu ucieka, jakby to była tamta ziemia, jakby cały czas po niej nie wiedząc stąpał, a teraz już przekonał się, że jej nie ma, nie jego.

— Łoszukała me... — jęknął.

Była w tym jęku rozpacz tak dojmująca, zawiedzenie tak okrutne, że i Wieniawski poczuł się nieswojo. Wróciły zapomniane żale, podniosły się dawne tęsknoty i niby widma przywołane apelem zjawily się wpatrując w niego zgasłymi oczyma. Oszukali nas — rozżalił się — oszukali. Nie mamy już ziemi.

Błażej ocknął się pierwszy. Chwytnąjąc krawędzi biurka podniósł się. ale nie wyprostował. Coś się w nim załamało, zgasło. Głos jednak, choć zdławiony, jeszcze nabral siły, a z siłą goryczy.

Łoszukała me. Łoszukały, sympy! Do siostrzanka Stanisława niech pan napisze: znać ich nie chce. Żadnego znać nie chce! Odwrócił się i bez pożegnania wyszedł.

Wieniawski patrzył za nim, jak człapał ulicą Szeroką ocięzają i stary.

— Psiakrew! — zaklął. — Psiakrew, straciłem klienta.

Ale przecież wiedział, nie dlatego przeklinał i nie o to tylko się martwił.

— Tego Twardowskiego to już kilka dni nie było — powiedział organista Stefański.

— Nie było — mruknął Wieniawski.

— Nie ma kto kawy przynieść.

— A nie może to się sam pan ruszyć?

Stefański uśmiechnął się.

— Ja widzę, że pan to się przejmuje. Oszukali go tam w kraju, co? Wyludzili pieniądze? A ja panu mówię, jedno warte drugiego. Niech się między sobą gryzą! — Podniósł głos, zacie trzewił się. — Ja panu mówię, nic nie warc! Ja ich znam. Za dolara by się pozabijali! Zamordowałyby jeden drugiego! A niech się pozabijają! Niech zginą!

— Tak pan na własny kraj?

— Na komunistów! A pan z nimi, co? Pan może z nimi?

— Ja na własny kraj nie pluję. Mnie komuniści nie wycho-

wali. Nic od nich nie wziętem, a pan wszystko! Ja panu mówię, panie Stefański, pan jesteś człowiek nieszczęśliwy. Żal mi pana. Więcej niż tamtych i niż tych tutaj.

Stefański nie odpowiedział. Zamyślił się nad sobą. Płakało w nim coś dalekim, łzawym echem organów. Dźwięki walczyły z sobą bolesnym dysonansem; miłość i nienawiść, pogarda i uwielbienie, a ponad tym wszystkim niby potężne, zagłuszające basy panoszył się strach. Za trudne to było dla niego, a przecież wydawało mu się, nie było dla niego rzeczy zbyt trudnych. Tylko mury kościelne opierały się nawałnicy tonów różnorakich. Czaszka ludzka krucha i zbyt mała nie wytrzymała ciśnienia. A przecież był człowiekiem inteligentnym, dobrym, subtelnym. Palce jego umiały łagodnie pieścić łkające bemoles i wyczuwały z nieomylną, instynktowną wrażliwością piana i pianissima.

— Głowa mnie boli — mruknął.

— Weź pan aspirynę.

— A tam aspiryna! Głowa mnie boli i wszystko się we mnie przewraca jak mi pan tak niesłusznie dogaduje. Bo czy to moja wina?

Twardowski szedł ulicą Św. Agnieszki w kierunku Szerokiej. Przez kilka dni nie wychodził z domu. Miał ciężki atak astmy, ale jakoś się wygrzebał tylko na twarzy zmizerniał i szedł wlokąc nogi i oddychając z wysiłkiem. Doszedł do biura „Albatros”, pchnął drzwi. Nawet się nie zastanawiał dlaczego. Ot przyszedł. Przyzwyczał się. Bo gdzie zresztą miał chodzić? Czy go kto zapraszał? Wieniawski ucieszył się.

— No i co tam, panie Błażeju?

— Kawy przyniesie — bąknął Twardowski. Wrócił i zasiadł na swoim krześle pod ścianą. Nie mówił nic. Dobrze mu było.

Wieniawski czuł wyrzuty sumienia, czuł się, jakby wobec Twardowskiego za coś odpowiedzialny, jakby zaniedbywał obowiązki powierzonej mu nad starcem opieki. Brał przecież od niego pieniądze, zarabiał i wydawało się, to ich tylko łączyło. A teraz, gdy urzędowy stosunek skończył się, gdy Wieniawski wywiązał się ze wszystkiego, czego klient „Albatrosu” mógłby się od niego spodziewać, czuł, jak gdyby to nie był koniec, a raczej jakiś początek. Wydawało mu się, że jest Błażejowi za coś dłużny. Drażniło go to, denerwowało. Myślał: Ja tu nie mam czasu, muszę harować, nikt mi emerytury nie płaci, ani żadnej *Social Security*, a ten wysiaduje, głowę mi kręci, uwagą odrywa. A mówi:

— Niech-no pan tu siądzie, panie Błażeju, co słycać

Wieniawski bowiem, był przede wszystkim człowiekiem praktycznym, ceniącym czas i pieniądze. Stąd pewnie te myśli. Były w nim jednak jeszcze uczucia inne, które swoim zwyczajem krótko nazywał „uczciwym podejściem do *business*’u, a które to uczucia zaszczepiły się w psychice Wieniawskiego wiele lat temu, wtedy, gdy nawet nie przypuszczał, że będzie wyma-

wiał z angielska słowo *business*. One to widocznie, silniejsze niż szacunek dla czasu i praktyczności, powodowały, że Wieniawski mówił: Niech-no pan tu siądzie, panie Błażeju, i więcej jeszcze, że gnębiło go coś, jakby wyrzuty sumienia wobec Twardowskiego.

— Bo co? — Błażej szurnął krzesłem, przybliżył go do biurka.

— To ja idę — powiedział Stefański. — Jutro, jak zwykle.

— Dobrze, cześć!

Stefański odwrócił się jeszcze.

— Acha, Sójkowa telefonowała.

— Masz tobie, i nic pan nie powiedział!

— A bo pan tak na mnie...

— Panie Kazimierzu, pierwszy dzień pan mnie zna? Co myślę, to mówię.

— Ja nie o to. Ja nawet wolę, że pan taki jest, bo inni to inni to myślą, a nie powiedzą. Tylko człowiek nie z żelaza.

— Ja to bym się nie zgodził — powiedział Wieniawski — mnie się zdaje, że może i z żelaza, tylko jedno lepiej zahartowane, drugie mniej. No tak, a co ona chciała?

— Wie pan, z tą żoną dla syna. Mówiła jeszcze zatelefonuje, albo przyjdzie. Akurat dzwoniła, jak pan wyszedł na obiad. No to czołem!

— Czołem!

Błażej przyglądał się to jednemu, to drugiemu. O czym to tak mówią?

Kłócili się, czy co? Trzeba by, stanąłby, po stronie Wieniawskiego. Już go i Domu Związkowym bronił.

— Nie chodźta do niego — mówili. — Nie popierejta go, bo to dziedzic.

A na to Błażej:

— Głupstw byśta nie opowiadały. Jaki on tam dziedzic! Uczony jest i tyle!

A jak mu przeczyli, naśmiewali się, zrywał się, żeby bić. I chociaż już był słaby, pamiętając jego dawną siłę, zaprzestawali docinków.

— Uważejta — śmiano się tylko. — Już raz Twardowski Moskwę rozbił!

— Widzi pan, panie Błażeju — zaczął Wieniawski — ja sobie tak myślę, że panu to by się jakiś wypoczynek przydał. Pojechałby pan gdzie, odpoczął, nabrał sił...

— Ło-tam, ni ma co gadać! — zachnął się — piniendze wydawać.

— Ma pan przecież emeryturę, ma pan *Social Security*.

— Ni ma co gadać! — zdenerwował się Twardowski.

Teraz i Wieniawski podniósł głos, rozłościł się.

— Na co pan tak oszczędza? — I zaraz przyszedł na liczbę mnogą, jakby przemawiał do wielu Twardowskich, do całej ulicy Szerokiej. — Na co wy, do cholery, tak skąpicie? Potem diabli was wezmą, a Stan położy łapę na pieniądzech!

Błażej drgnął.

— Mówi pan, Stan piniendze zabira?

— No pewnie! Mało to słyszę? Człowiek jeden, drugi oszczędza, odmawia sobie wszystkiego, a potem nagle, któregoś dnia umiera, rodziny nie ma, to Stan zabiera jego wszystkie oszczędności.

— Kiedy ja ni mam gdzie jechać!

— Żadnych krewnych tu pan nie ma w Stanach?

— Nie.

— No a ta, o której pisał Konstanty? Ta daleka kuzynka w Pittsburgu?

— Frances?

— Acha. Jaka to pana kuzynka?

— A to jej matka i mojego ojczyma ojciec to były...

— No mniejsza z tym, ale kuzynka.

— Ja to jej nie znam. Ja tam nie pojedę, bo ja panu powiem — sciszył głos — ja to już długo nie pożyje.

— A to co znów? — oburzył się Wieniawski.

— Ten rok, to już mój rok ostatni, doktor to już mi dawno powiedział. A to z Gienia, to myślałem jeszcze mnie przyspieszy.

— Nie gadalibyście Błażeju, Gienia głupia, chciwa, mąż jej umiera na gruźlicę, dzieci ma małe, no ale nie powinna...

— Łoszukała me, znać jej nie chcę. A mówił pan Stan piniendze zabierze?

— Zabierze, chyba, że jest testament. Ale co pan się martwi? Pan oszczędzać nie potrzebuje i nie ma wiele z czego.

— Panie.. — szepnął Błażej, ale umilkł, gdyż drzwi otworzyły się i weszła niska, chuda staruszka, a z takim impetem, że aż dźwięknęły szyby i podskoczyły papiery i książki na biurku Wieniawskiego. Już od progu krzyczała:

— Panie, mam głupiego męża i głupiego syna. Pojechały do Kraju syna ożynić, miesiąc siedzom, piniendze wzieny i nic. A ja na moje nogi ledwo ustaje, sama wszystko zrobić i za nich obydwa głupich chłopów myśleć.

— Niech się pani uspokoi, pani Sójka, przecież o żonę nie tak łatwo — powiedział Wieniawski. — Co mąż pisze?

Sójkowa zmierzyla Błażeja wściekłym spojrzeniem, aż się wycofał w najciemniejszy kąt biura, ale stamtąd pilnie podsłuchiwał.

— No pisze, we wsi siedzom, dulary wydajom, ale te dzieuchy w dotykach nie bardzo.

— Jak to w dotykach?

— Ja wim? Nieszczęście moje, głupiego męża mam i głupiego syna. Niech pan sam patrzy! Pisze, wszystko tak dobrze, aby te dzieuchy w dotykach nie bardzo.

— Bo on pewnie chce ładną i robotną i bez dziecka.

— Ja wim co on chce? Głupi on jest i tyle. Pienset dolarów wziomy i bez żony wróco. Ja już na nogach ustać nie moge, romatyzm mnie gnymbi, młody trza do domu.

Błażej już nie słuchał. Może by i napisać do tej Frances? Zawsze to jakaś rodzina, daleka, niepewna, ale rodzina. Matkę tej Frances, Bogulę, pamiętał. Stała niewyraźna na tle chaty, a za chatą rosła grusza. Smak gruszek cierpki, szorstką, brunatną skórkę pamiętał. Kojarzyło to się ze strachem i wdzięcznością. Dziwne, jak wyraźnie przed nim dziś stanęło. Pamiętał, zakradł się nad wieczorem za chałupę matki Frances narwał gruszek. Już wdrapywał się po pnium, a tu jej głos: To ty Błażek? Zamarł ze strachu. Co teraz? Przegna go, psem poszczuje i naskarzy ojczymowi. To ty Błażek? Ja — wyszeptał — ale ja nic... Narwij se grusek — powiedziała — aby gałęzi nie połam, a dużo nie jedz, twarde jesce.

Nie dowierzał. Co jej się stało? Nie przegoniła go, nie skrzyczała. Tak go obezwładniła wdzięczność, że aż rwać nie mógł i teraz w kącie biura, przesłonięty ciężką szafą z prawniczymi książkami adwokata Dekrockiego popłakał się samotnie nad tamtym dniem, tamtą szczodrobliwością, a może i z tęsknoty za tamtym Błażkiem? Bo tamten to był chłopak pełen ognia, planów, nadziei, buńczuczny, nieustępliwy.

Jakiś ty zdolny, Błażek — dziwił się Jasiak Lipa — tyś do szkół powinien iść, daleko byś zaszedł. Kto wi — odpowiedział — może jeszcze pójde.

A wiesz co mówił Jasiak — będziesz miał syna to go ucz na księdza, abo nauczyciela, nie żałuj piniendzy. Ja już go wykształcę, wykiuję — obiecywał — na księdza, abo doctora, abo inżyniera, uczony będzie. Tylko wpirw piniendze muszę mieć.

Tęskno było Twardowskiemu za tamtym Błażkiem, za cierpkim smakiem niedojrzałych gruszek, bo oto siedział sam, stary już, schorowany. To prawda, miał pieniądze, ale nie miał syna. Powiem Wieniawskiemu niech napisze do Frances — zdecydował. I zaraz ogromnie się ucieszył, bo przypomniał sobie, pisał Konstanty, że owa Frances, córka Boguli, ma małego chłopaka.

— Sam tego wszystkiego narobiłem, sam mu wskazałem drogę — narzekał później Wieniawski — a teraz tyle mam kłopotów.

Już się jednak zaczęło. Poszedł list do Frances, do Pittsburga, a przed Bożym Narodzeniem zaproszono Błażeja. Frances do Błażeja pisała *Dear Cousin*. Wieniawski słowo po słowie tłumaczył. Z kraju, owszem, też nadchodziły listy, ale je Twardowski ignorował. Przed samym wyjazdem do Pittsburga zmiękł trochę i przyniósł niektóre do biura, do czytania.

Pisał więc znów Konstanty:

„Bide tom na progu zatrzymał, strzeche naprawił, ale kuć okulał... Błażej ręką Wieniawskiego odpisał:

„Posyłam ci jeszcze 100 dolarów i do cholery dajta mi spokój”.

To znów najmłodsza córka Konstantego, że sukienki nie ma, do kościoła pójść nie może. A Błażej tylko śmiał się ironicznie:

— Scierwa, sympy! Ja pasalem krowy, bez portek chodzielem, niech ona do kościoła bez sukienki chodzi.

Stwardniał, niewiele go wzruszało ani przeprasający list Gieni, że w kościele krzyżem leży i Boga błaga, żeby jej przebaczył, że Wujaszka oszukała, a że przed błażejową fotografią świece pali. Błażej śmiał się: Nic im nie dam więcej, nic nie dam — powtarzał.

Siostrzanek Stanisław nawet fotografię ze złamaną ręką na temblaku przysłał jako dowód rzeczowy i pisał:

„Drogi Wujaszku,

W pierwszych słowach mego listu pozdrawiam Wujaszka i zawiadamiam że mnie okrutne nieszczęście spotkało, połamał rękę bardzo zdradliwie. Kochany Wujaszku leżał w szpitalu przez 3 tygodnie dość sporo mnie kosztowało dosyć ja mam tych kłopotów i tak sporo to jeszcze taka ogromna bieda na mnie się zwała. Więc pisze jeszcze do Wujaszka i ubiegam się jak mnie Wujek nie poratuje to przyjdzie się wprost zginać bo jeszcze jak człowiek zdrowy był to przeżywał różne uciemiężenia i musiał przenosić ale teraz wprost dziad. Drogi Wujaszku takich drewek żnąć i rozrąbać dzieciom jeść zgotować to trzeba ludzi prosić... więc prosiłbym gorąco Wujaszka... Drogi Wujaszku ja posyłam zdjęcie z tą złamaną ręką...”

A na to Błażej do Wieniawskiego:

— Niech mu pan tak napisze:

„Stasiu kochany, w d... mie całuj. Już mnie więcej nie oszukata. Twój Błażej.

P.S. Fotografię twoją z tą złamaną ręką dostałem”.

Aż się Wieniawski zdziwił, że Błażej tak się zaciął, tak rozeźlił. A może nie miał pieniędzy, chował wszystko na świąteczną podróż do Pittsburga?

— Konstantemu żem posłał — powiedział — i koniec.

Z Pittsburga Błażej wrócił zadowolony. Trochę się podziękował, zmęczył, ale jakby rozjaśnił. A z nim razem rozjaśniła się, zabielała śniegiem, roziskrzyła świątecznymi dekoracjami ulica Szeroka. Megafony wyły głośno, a skocznie: *Jingle Bells*, to znów Bóg się Rodzi, *Wśród Nocnej Cisy* i *Silent Night*, Przybieżeli do Betlejem, *O Come, All Ye Faithful* i *Lulaj-że Jezuniu*. Tuż przy rynku wyrosła ogromna choinka i tak się stało na Szerokiej radośnie, kolorowo jak i w samym Błażaju, bo przecież zaszły w nim dziwne zmiany, coś postanawiał, z czegoś się cieszył. Nie wiedział tylko, jak swoje postanowienie wykonać. Długo wahał się zanim zwierzył się Wieniawskiemu. Czekał cierpliwie, aż ostatni klient wyjdzie z biura, potem zapytał usłużnie:

— Kawy przynieść?

— A jak pan taki dobry, panie Błażaju, ale dziś to ja płacę.

Błażej przydreptał z kawą, stąpając ostrożnie po śliskiej

ulicy. Usiadł na wprost Wieniawskiego, wyciągnął cygaro, zapalił.

— Tej Frances — powiedział — palto kupilem. — Roześmiał się.

— Tak? A sam pan w takim fitku, takiej okryjbidzie?

Twardowski nie zwrócił na to uwagi.

— Mówię jej, co chcesz na *Christmas*? A ona, że palto. To postem z nią, mówię, wybiraj. To ona sobie takie za 50 dulary wybrała. A ja mówię, to to *cheap*, weź takie o tam, za dwieście! A ona, to skąd kuzyn, niby że ja, ma piniendze? A ja mówię, nie bój się, bierz! Jesce ja wincej mam. A chłopak to jej się udał. Po polsku ni mówi, ale uczyć sie chce, mówi do *college*'u by chciał.

To dobrze — powiedział Wieniawski — to już ma pan jakąś rodzinę.

Pomyślał: To się już ode mnie odczepi. Ale zrobiło mu się trochę przykro, bo wiedział, brakować mu będzie Błażaja.

— A kiedy pan się tam przenosi?

— Przenosi? — zdziwił się Błażej. — Ona miejsca dla mnie ni ma. Co bym im się tam na głowę zwał? Pojadę jesce kiedy.

— Myślałem, że pan z nimi zamieszka.

— Ja stary jestem, ona tam ma męża, dzieci...

— A jak pan zachoruje to kto się panem zajmie? Tu, do tej pana nory pies z kulawą nogą nie zajrzy.

— Zachoruję, to i umrę. Nie trza, żeby się mną kłopotala. Ale ja pana przyszedł spytać o ten testament.

— Testament?

Twardowski nie pozwolił mu się dalej dziwić. Bardzo nagle stał się wymowny. Dzień zgasł już na ulicy Szerokiej, światła latarni odbijały się w szybach okiennych i kolorowe lampki choinki kładły się czerwono-zielonym odbłaskiem na śnieg. Śnieg też prószyc zaczynał ostrożnie i niósł z sobą ciszę nieba przytłumiając odgłosy uliczne.

— Jo to mam troche w *bondach*, troche bydzie w banku...

— To niech sobie pan płaszcz uczciwy kupi!

Twardowski nie zwrócił na ten wykrzyknik uwagi.

— Bydzie tego razem, bydzie tego ze trzydzieści pięć tysięcy dularów.

— Panie — zawołał Wieniawski — przecież to majątek! I skąd pan też tyle oszczędził? Z tej tygodniówki w stalowni?

— Ja to — zwierzał się Błażej — na koniach grałem. Zawsze sobie „tajpowałem”, miałem szczęście. Z tygodniówki też oszczędzał. To teraz mówił pan, a ja też się pytał różnych, jak testamentu nie bydzie, Stan zabirze piniendze.

— No dobrze, — zastanawiał się Wieniawski — to musi pan iść do adwokata, adwokat Dekrocki może sporządzić testament.

— Ale ja to bym wolał, żeby pan...

— Co ja?

— Żeby pan wszystkiego dogładnął.

— Żebym był wykonawcą testamentu?
 — O to, to!
 — Ale ma pan tu przyjaciół różnych, a chociażby ta kuzynka.
 — Ale ja chcę, żeby było wszystko tak, jak zarządę, jus sobie umyśliłem.
 — Jeszcze mnie pan przeżyje.
 — Nie. Ja już ten ostatni rok.
 — Ale dlaczego ja? Przecież to odpowiedzialność!
 Błażej nie odpowiadał.
 — Dlaczego? Przecież pan mnie nie zna.
 — Taka moja wola. Może nie znam, a może i znam. Myślałem sobie, pan jeden to mnie nie osuka.

— Słuchaj-no Antos — powiedział Wieniawski do adwokata.
 — Błażej Twardowski chce zrobić testament.
 — No to dawać go tu, dawać go tu! — zataił ręce Dekrocki. Obliznął się, gdyż, jak zwykle, był po dobrym obiedzie w restauracji — słabość, której nie mógł sobie odmówić mimo usilnych zabiegów o schudnięcie.

Adwokat Dekrocki na nogach stał mocno. Na jednej polskiej, a drugiej amerykańskiej. Nie ma mu co nawet przyczepiać chorągiewek gwiazdisto-pasiastej i biało-czerwonej, gdyż o chorągiewki adwokat dbał niewiele. Zył. Smakowała mu poranna kawa, grzanka z szynką *Made in Poland*, krwiste „steaki” i maślane „buns”. Soli mało używał, smaku piolunu nie znał.

A czy to nie lepiej? — myślał o nim Wieniawski. — Czy to nie wygodniej? Lubił go, chociaż się nieraz klócili zażarcie właśnie o tę sól i piolun, których Dekrocki sobie odmawiał, a którymi Jan Wieniawski zatruił sobie życie. Dekrocki tu się urodził, tu wychował, tu, jak od trampoliny odbił od imigranckiej mniejszości. Rodzice dali mu wykształcenie i przekazali sympatię dla mglistego Starego Kraju. W wojsku zetknął się z Polakami, którzy go z miejsca na swą modłę chcieli przerobić. Zaprzyjaźnił się z nimi, ale go nie zmienili. Szacunek dla rodziców, stare sympatie dla kolegów z czasów wojny — oto co zbliżyło go do Wieniawskiego, co pozwoliło mu znosić współnika cięte, złośliwe uwagi i niekończącą się edukację w języku polskim.

— Zaraz go tu dawać — skrzywił się Wieniawski — zaraz *business*, aby *business*!

— Jasiu, ty jesteś *crazy*!

— Ja *crazy*, a ty chciwy! *Bussiness* i *business*! Nawet się nie spytasz dlaczego Twardowski chce zrobić testament.

— Ja nie wiem o nim.

— Chcesz powiedzieć: nie znam go — uśmiechnął się drwiąco Wieniawski.

— Nie znam go — poprawił się adwokat.

— Jakto nie znasz! Ty poza swoim nosem świata nie widzisz! Żyjesz z Polonii, zainteresuj się nimi.

— Co byś przestał, Jasiu!
 — Ja cię tylko ostrzegam, że ten człowiek ma do nas zaufanie i trzeba mu uczciwie doradzić.

— Jasiu, ja jestem adwokat!

— Adwokat! — mruknął Wieniawski. Był zły.

Błażej natomiast czuł się ogromnie szczęśliwy. Cieszył się, że odnalazł, a właściwie poznał Frances tak, jakby długo błądził w ciemności i nagle uchwycił się znajomej ręki. Wtedy już nic nie ważne, ani twarz, ani wygląd postaci, tylko ręka, wiadomo, swojska.

— Po mojej śmierci wszystko dostanie — myślał i zdecydował się zapisać cały majątek Frances.

Wieniawski, obecny przy spisaniu testamentu, zdziwił się.

— A tamtym w kraju nic?

— Tym sympom? — zachnął się Błażej — co mnie łoszuwały? Nic im nie dom. Nic nie dom! — podniósł się, zaczął chodzić po biurze pochylony ku przodowi, w rozpiętej kurcie, spod której widać było podarty sweter. Mruczał sam do siebie gniewnie, pykał cygaro, a wreszcie rzucił na posadzkę, co mu się dawniej nigdy nie zdarzało i rozdeptał nogą, kopnął. Trząsał się. Cóż go to tak przejęło: nienawiść dla tamtych, czy uczucie wdzięczności dla Frances? Co ważniejsze: utracona ziemia, czy odnalezione wspomnienie?

— Przecież to taka nędza — powiedział Wieniawski.

Błażej jeszcze bardziej się rozłościł. Wymyślał, a tak głośno, jak gdyby samego siebie chciał zakrzyczeć.

— A niech zdychają! Niech ich jasny pierun! Łoni mnie chcom, pan myśli? Łoni chcom moje dolary!

— To prawda, — mówił później Wieniawski — że oni chcą jego dolary, tylko, że to taka nędza.

— Jasiu, ty jesteś *crazy*! — śmiał się Dekrocki — przejmujesz się, nie dość mamy utrapienia z przesyłaniem pieniędzy zagranicę? Tak to tu wszystko będzie, *at home*.

— Ja ci powiem, Antek, tyś taki sam sęp, jak oni — obraził się nie wiadomo dlaczego Wieniawski. — Człowiek przecież nie umiera, a ty już... Potem siedząc za biurkiem, długo nie mógł skupić myśli. Po co ja się w to mieszam? Po co ja się zgodziłem być wykonawcą testamentu? No ale zarobię — myślał znów — wykonawcy przypada pewien procent. Niech to diabli wezmą, żerować na cudzej śmierci! On mnie jeszcze przeżyje. Przeżyje, przeżyje — uspakajał się. Nie mógł jednak, czuł przykry niesmak, niezadowolnienie.

— Zas... interesy — mruknął.

— Trzeba będzie dać testament do depozytu sądowego — powiedział Dekrocki — a on niech sobie kwit trzyma.

Zaczęło to się pewnie wczesną wiosną — Błażej podupał na zdrowiu. Tak, było to chyba na wiosnę, pod koniec lutego, albo w marcu. Na zatoce wszczął się ruch. orzytynął nawet sta-

tek ze Starego Kraju i marynarze przehandlowywali polski spiryty w restauracji Domu Związkowego. Mewy przylatywały gromadnie na plac przed rynkiem, chwytaly resztki rozdeptanych odpadków i wzbijały się w górę, ale nie bardzo wysoko, ciężkie, tłuste przysiadaly na blaszanym dachu rynkowej budy. A może nie tylko wiosna dogodziła Błażejowi, może i drugie odwiedziny u Frances kiedy to zawiozł jej w prezencie kwit testamentu. Zresztą człowiek przeżył już trzy czwarte stulecia i sam wiek ciężył na nim niby obwisa ze starości strzecha na chałupie ledwo, ledwo trzymającej się ziemi podgnitymi deskami.

Z wizyty w Pittsburgu Błażej wrócił markotny.

— Będę zmieniać testament — powiedział do Wieniawskiego.

— No a co takiego?

Długo nie chciał wyjawic prawdy.

— Zle pana przyjęli?

— Jus tam nie o to, pewnie, nie jak za pierwszym razem com jej naobiecował.

— A co się stało?

— Mówię, jak piniendze weźmiesz, daj chłopakowi żeby szedł do college'u. Żeby sie na inżyniera uczył albo na doctora.

— A ona co?

— Ona powiada, ja sie mencyłam, niech i on sie sam mency. Jesce cego, piniendze mu bede dawać — żeby sie rozwałkonil.

— To może, jak pan następny raz pojedzie...

— Ni pojedę. Ni dobrze jest ze mną, jeść ni moge, tu, w piersiach tak uciska, tak uciska, ani dechu złapać, ani się położyć porzondnie.

— A na doktora żałujesz!

— Byłem u tego co ma tam „stor” na „kornerze”.

— Ale przecież to nie doktor, to aptekarz.

— On j^o lepszy niż niejeden dochtór. Powiada, da mi tako medycyne, co tylko bogate ludzie kupujom.

— No co ja z wami zrobię! — wykrzyknął Wieniawski.

I znów, jak to było w jego zwyczaj, gdy się czymś przejął, rozgniewał, zaczął wymyślać wszystkich mieszkańców ulicy Szerokiej:

— Co ja poradzę na waszą głupotę! Sknerzycie na lekarza, nie ufacie nikomu, tego dolara pod łóżkiem kisicie, do aptekarza pójdziecie, da wam pills i dobrze. A tu trzeba specjalisty, wasze pigułki nie oszukają choroby.

— Jo i tak umrę, ten rok jus ostatni.

— A, do diabła, wykańczajcie się! Na upór lekarstwa nie ma! Ale ja panu radzę... — zaczął.

Nie mógł jednak skończyć, bo rozmowę przerwała im nadchodząca klientka. Malutka była, nieśmiała. Wielka, szara, kraciasta chusta zakrywała jej szczelnie czoło, otulała ramiona i krzyżowała się na piersiach starym, wiejskim zwyczajem.

Dreptała drobno, zażenowana sobą, biurem i sobą w tej obcej, zbyt rozległej na nią przestrzeni.

— A to pani Krupczak! — poznał ją Wieniawski.

Zaraz się roześmiała ukazując blade džiała i odgarniając z czoła chustkę ruchem już nieco śmielszym.

— A ja! To pan tak spamiętał, mój Jezu kochany!

Siadła ostrożnie na brzeżku krzesła podobna do wygłodzonego, pół-żywego ze strachu wróbla, który zapędził się w nieznaną stronę, a teraz dygoce przerażony swą zuchwałością.

— Pamiętam — mówił Wieniawski — pani tak w tajemnicy przed dziećmi wysyła lekarstwa.

— Ło panie, niech by sie łone dowiedziały! Jezu mój kochany! A nie daj Boże! Chocia to moje piniendze. Nie dałyby!

— Czym mogę służyć?

— Panie — szepnęła — co to za choroba bydzie co na nią 200 zastrzyków penicyliny potrza?

Wieniawski wzruszył ramionami.

— Albo aptekę chcą założyć, albo aptekę mają.

Krupczakowa nie dosłyszała ironii w głosie Wieniawskiego.

— O Jezu mój kochany! A co to za choroba ta apteka, panie?

I zaraz szybko, z przejściem szeptem ledwo dosłyszalnym:

— To wiela to trza posłać, żeby ich uratować?

— Dziesięć zastrzyków na razie wystarczy — powiedział Wieniawski. Pomyślał: A nie ma to racji Błażej, że sępy? Przecież to skandal! A do niedawna to zem tamtych tylko żałował — zastanowił się. — To po której ja jestem stronie? Z którymi trzymam?

Błażej odszedł nieco rozczarowany, że się nie mógł wypowiedzieć, wyzalic. Wlókł się Szeroką bez celu, tu spojrzal, tam przystanął. Sklepy już się szykowały na Święta Wielkanocne. Ludzie kupowali nowe ubrania na *Spring Parade*. Na rynku ruch. Stoisko kwiaciarki biało-żółto-liliowe, bazie moczą się w kubach.

Kto to takie kwiaty kupuje? — dziwił się Błażej.

A tuż przy rynku, na chodniku, dywan tulipanów, hiacenców, hortensji. Kwitła Szeroka. Kwitła, ale i też żyła już bez udziału Błażeja, obojętnie. Smutno mu było, źle, rozczarował się do Frances i czuł się chory, bardzo chory i słaby. Jeszcze raz pomyślał o testamencie że może trzeba by go zmienić, ale nie miał już energii, nie chciało mu się. Nie było też więcej mowy o zmianie testamentu pomiędzy nim, a Wieniawskim, chociaż przecież okazji do rozmów było wiele. Wieniawski pytał:

— Z Pittsburga nie pisali? Nie zapraszali na święta?

Błażej kręcił głową.

— I tak by nie pojechał. A co tam! — machnął ręką, a wyciągając z kieszeni kubraka list powiedział:

— Od Gieni. Niech przeczyta.

— To już się pan na Gienię nie gniewa?

— O tak tylko ciekaw, co ona tam wypisuje.

Wieniawski czytał:

„Kochany Wujaszku,

Otóż ja Gienia odważyłam się do Wujaszka napisać parę słów. Bo Wujek się na mnie rozgniewał, no trudno chce tylko wiedzieć czy Wujek żyw i zdrow i czy Wujek otrzymał ode mnie ten list z obrazikiem Matki Boski, bo ja chce wiedzieć, bo mnie ten wizerunek Matki Boski droższy jak cały majątek, a Wujek nie raczył mi napisać, że go otrzymał zaraz Wujkowi wytłumaczę jaki to obrazek. U nas w tym roku i w tamtym było odwiedzenie Matki Boski w Częstochowie. Ojciec Święty polecił cały naród chrześcijański gdzie kto jest czy w Polsce czy za granicą w opiekę Matki Boski na Jasnej Górze w Częstochowie, ażeby Matka Boska opiekowała się bo czeka klęska więc i z Ameryki przyjeżdżali ludzie wycieczkami i od nas ludzie jeździli do Warszawy na widzenie do swych krewnych i dziewczęta były z naszej wsi w ten czas w Częstochowie jak wycieczka była z Ameryki to mówili jak się ludzie modlili a jak całowali ziemię swą rodzinną a brali nawet do torebek ze sobą więc nasz ksiądz w kościele ogłaszał, że kto ma zagranicą kogoś to niech go poleci w ten dzień Matce Boski z Jasnej Góry ten postara się obrazki i wyśle na pamiątkę to to samo co i on odwiedził. Więc ludzie od nas jechali do Częstochowy i ja prosita ażeby mi kupili ten obrazek to ja swemu Wujaszkowi pośle niech wujaszkiem się opiekuje ta Matka Boska bo nie ma żadnej opieki nad sobą, a Wujek nie raczył mi napisać że go otrzymał ja się wciąż martwie, że może nie otrzymał i ten obrazek został zniszczony. Trudno że Wujek na mnie rozgniewał się ja nie umiem tak kłamać jak Kostek. To Kostek mówił co Wujek nie ma prawa do ziemi bo dużo lat jusz w Ameryce a teraz jak Wujek dulary mu posyła to synek jego chociaż ma za co popijać. Ludzie mówili że te legaty teraz odżyli jak dostali z Ameryki dolary, bo im się nie chce pracować bo mają na czem bo ludzie są zdrowe, bo syn się ożenił z panną która ma dosyć ziemi, ale mu się nie chce pracować tylko wyglądają od kogoś spadków i inwentarzu nie chwają tylko jedną krowę i jednego konia bo nie chcą płacić podatków, a jak egzekucja przyjdzie za podatkiem to nie ma co wziąć i pójdzie, bo panom się nie chce pracować...

— O piniendze nie pisze? — spytał Błażej.

— Nie.

— To i dobrze. Napisać jej chory jestem, bede się musiał leczyć.

Wieniawski odłożył list, spojrzął na Błażeja. Nie wyglądał zdrowo, postarzał się, przygasał. Stary już był i w starości swojej, w chorobie tak osamotniony, tak nikomu nie potrzebny, że Wieniawski nie wiedząc sam dlaczego, powiedział:

— Jak pan nie ma gdzie pójść na święta, to niech pan do mnie, do domu. Będzie kilka osób to sobie pan z ludźmi pogada.

Błażej rozjaśnił się.

— Jo mam dobre ubranie — zapewnił Wieniawskiego, a tak jakby mówił: Wstydu ci nie przyniosę, nie bój się.

I zachował się godnie, uroczyście, z namaszczeniem, gdy wchodził pomiędzy Wieniawskiego książki i obrazki, gdy zasiadał przy stole nakrytym obrusem, gdy sobie potem z gośćmi gawędził przy stojącej lampie rzucającej krąg różowy na miękkie oparcie fotela. Tylko przed końcem wieczoru osłabł i prosił, aby go odwieźć do domu.

— Widzieliście — myślał — zaprosił mnie, a Frances nic... Łopcy mnie wzion do domu, a tamta com jej wszystko zapisała, ani się odezwała. Dlaczego?

Ciężkie to było lato dla Błażeja. Bardziej się wydawało niż zwykłe upalne i wilgotne. Gdy szedł Szeroką, to jakby nie szedł, a walczył o każdy krok naprzód; nie posuwał się chodnikiem, a przedzierał przez lepkie zasłony upału. Czasem, wydawało mu się, dźwigał arkusze gorącej blachy w stalowni, zastępowały mu drogę, uciskały na piersi, tamowały oddech. Spać nie mógł, a w krótkich, nerwowych drzemkach majaczył. Spać nie mógł, a w krótkich, nerwowych drzemkach majaczył, że piece stalowni huczą, parują gorące żelaza, para wmsiska mu się do nozdrzy, do uszu; to znów, że mu w piersi wmontowano ogromny zegar. Zegar terkotał przeciotko, potem coraz wolniej, ogólniej i mocniej, aż stawał się zegarem-szafą, którego dwa potężne wahadła uderzały w żebra, jakby je chciały rozwalić. Z tych pół-drzemek, pół-odrętwień budził się spocony, wyczerpany i znów chwytaly go niby pojęczyzna sny-majaczenia, otaczały, zaklejały usta i oczy. Budził się w ataku duszności, drżał z zimna, okrywał kocem aż pod brodę i tak skulony, dygocący oczekiwał dnia. Dopiero gdy zrazu różowe, a potem błękitne spojrzanie poranku padło na jego żyłaste, trzęsące się dłonie, dźwigał się z posłania, patrzył ponad dachami domów ulicy św. Agnieszki na srebrzysty wodospad słonecznego światła i mówił:

— Jeszcze jeden dzień.

Jeść wiele nie mógł. Rosół mu nie smakował, chleb nie przechodził przez gardło. Wysiadywał najchętniej w biurze Wieniawskiego, gdzie było chłodniej od dwóch potężnych wiatraków, pił kawę, palił, odzywał się rzadko.

— Pojechałby pan, panie Błażeju, nad morze — doradzał Wieniawski — tam przewiewniej, chłodniej. Wyszukamy jakiś pensjonat...

— Gdzie ja tam — krzywił się — ja już drogi nie przetrzymam.

Wpatrywał się uporczywie w Szeroką, śledził ruch uliczny, przyglądał gospodyniom maszerującym na „markiet”, wracającym z torbami pełnymi zakupów. Po południu brał sobie krzeselko, siadał przed biurem na chodniku — patrzył. Widać było dobrze ulicę, jak się wspiniała ku górze i gubiła gdzieś w niebie rozszarżonym, gasnącym niby syczące, zanurzone w lodowatej wodzie żelazo. Tylko na prawo wyrastała kopuła szpitalnej wieży podobna do wielkiej, zielonej cebuli. Drzew na Szerokiej nie było. Niebo więc tylko, powietrze i zapachy zatoki świadczyły

o porach roku. Ale ani listka, ani kwiatu, chociażby uwiędłego, umęczonego upałem. Bywało, że Wieniawski musiał wyjść z biura, zostawiał je wtedy na opiece Błażeja. Twardowski usadawiał się w drzwiach, pilnował i bardzo ważny w swojej nowej roli informował klientów, o której godzinie Wieniawski wróci.

— Żle pan wygląda — troszczył się Wieniawski — poszedłby pan do lekarza. Błażej nie słuchał.

— Aby to lato minie, gnymbi mie ta gorączka.

Na początku października, a dni były jeszcze upalne, Błażej zaszedł jak zwykle przed południem do „Albatrosu”. Adwokat Dekrocki wrócił był właśnie z wakacji i dyskutowali z Wieniawskim sprawę, której adwokat miał następnego dnia bronić, a w której Wieniawski miał być oficjalnym tłumaczem.

— Coś ty za adwokat — krzyczał Wieniawski. — Jutro sprawa, a nic nie przygotowane.

— Jasiu, nie bądź *crazy*, ja jestem adwokat, mówię, mam czas.

— Ty masz zawsze czas, człowieka deportują, ale to ciebie nie obchodzi.

— Dużo mi zapłacił?

— A tu cię mamy!

— Jasiu, ty jesteś *crazy*!

— Siadaj zaraz do biurka. Gdzie te akta? Gdzie ty trzymasz akta tej sprawy? Co za bałaganiarz! Jak ty możesz tak pracować?

— Panie.. — wtrącił się Błażej.

— Panie Twardowski, za chwilę, widzi pan co się dzieje! Nie mogę teraz listów czytać, jutro...

Błażej nie odpowiedział, oparł się o ścianę, czuł się znużony.

Po co ja tu przyszedłem? — myślał.

Nie mógł już sobie przypomnieć o co chciał spytać Wieniawskiego.

— List? A tak, ma list w kieszeni. Testament... testament? A może chciał pójść po kawę? Tak, zaraz pójdzie po kawę. Próbował przejść kilka kroków, oderwać się od ściany, ale ściana, dziwne, szła za nim, waliła mu się na piersi, na głowę, dusiła, dusiła, wrastała w niego.

— Jak ciężko! — jęknął i zwałił się na posadzkę. Podskoczyli ku niemu Wieniawski, Dekrocki.

— Co się stało? Co panu? Błażej? Błażej! Antek, telefonuj po ambulans! Prędkiej!

— Błażej! — targnął go za ramię Wieniawski. Z kieszeni zatłuszczonej kurtki wypadł list w niebieskiej kopercie.

Zaalarmowani przez Dekrockiego nadbiegli właściciel restauracji i dwóch znajomków Błażeja z Domu Związkowego. Podnieśli Twardowskiego, próbowali cucić wodą. Nieprzytomny był, ale oddychał prędkim, nikłym, płytkim oddechem.

Syrene ambulansu słysząc było wzdłuż całej ulicy Szerokiej. Gromada stałych bywalców wyległa z Domu Związkowego

kilku ciekawych przechodniów zatrzymało się przed drzwiami „Albatrosu”.

— To ten Twardowski? — pytano. — Cóż — to mu się stało? A dopiero tu szedł niedawno, dopierośmy go widzieli.

Ułożono Błażeja na noszach.

— Czy jest ktoś z rodziny? — spytał sanitariusz.

Wtedy wszyscy: Dekrocki, właściciel restauracji i znajomki Twardowskiego, bywalcy baru, spojrzeli na Jana Wieniawskiego.

— Zaraz wrócę — powiedział i poszedł za ludźmi dźwigającymi na noszach nieprzytomnego Błażeja.

Błażej obudził się. Piersi ścisnęła mu żelazna obręcz, czuł mdłości, ból prawej ręki. Spojrzył: okryty był do połowy, jak gdyby welonem z plastyku. Do żyły, w przegubie prawej ręki, przymocowana była gumowa rurka łącząca się z wywróconą do góry dnem dużą butlą. Z butli płyn kroplami sączył się do żyły. Zamknął oczy, otworzył, rozglądnął się. Pokój był niewielki, podłużny. Tuż obok niego, na łóżku, skulony jęczał człowiek. Na wprost, chory w pół-leżącej pozycji jadł chleb z kiełbasą przyniesiony widocznie przez siedzącą przy nim kobietę.

— Wody... — jęknął Błażej.

Nikt go nie usłyszał.

Pomyślał: Nie umarłem jeszcze, żyję.

Poruszył się, ale poczuł tak przejmujący ból w prawej piersi, że jęknął głucho, przeciągle. Pół-leżący na łóżku chory usłyszał.

— *Press the bell!* — krzyknął.

— Co on gada? — pomyślał Błażej i popadł w odrętwienie. Gdy ocknął się, dostrzegł w nogach łóżka Wieniawskiego. Nie mógł mówić, ale wyciągnął poza namiot tlenowy obie trzęsące się ręce i starał się uśmiechnąć.

— Błażej — powiedział Wieniawski — poznajesz mnie?

Skinął głową.

— Depeszowałem do Frances, żeby przyjechała.

Błażej starał się uśmiechnąć, powiedzieć coś, nie mógł. Mówiły tylko jego szare, zmęczone oczy zapadłe teraz i jakby większe, wilgotne.

— Pić ci się nie chce, Błażeju?

Skinął głową.

Wieniawski nalał wody do szklanki, włożył w nią zakrzywioną słomkę i podsunął do ust chorego.

— Telegrafowałem do Frances... zaczął, ale Błażej przymknął oczy, odwrócił głowę, wydawało się, zasnął.

Z korytarza Wieniawski wszedł do gabinetu lekarzy.

— Jaki stan pana Twardowskiego? — spytał.

Lekarz podniósł głowę znad dużej książki, w której coś pisał.

— *Yes?*

— Pytam się jaki stan zdrowia pana Twardowskiego? Przywieziono go wczoraj po południu.

Przechodząca „nursa” dostrzegła Wieniawskiego.

— Tu nie można wchodzić — zawołała — to jest gabinet lekarski.

— *My dear lady* — powiedział Wieniawski — moja droga pani, niech-no pani się nie wtrąca.

Lekarz przymrużył jedno oko i „nursa” odeszła.

— Czy jest pan z rodziny chorego? — zwrócił się do Wieniawskiego.

— Nie, ale opiekuję się nim. Załatwiałem wszystkie formalności, szpital telefonował do mnie w jego sprawie. I jak chodzi o pieniądze, to w porządku, tylko, jak od was coś potrzeba...

— Zaraz zobaczę, tylko pan rozumie, nasze przepisy...

— *My dear doctor*, ja nie mam czasu na wasze przepisy. Uważacie się za bogów, obwarowujecie przepisami i wyciągacie przepisowo pieniądze z kieszeni. Chciałbym wiedzieć co jest choremu.

— Pan nas nie lubi! — roześmiał się lekarz. Był to młody, tęgi chłopak o kędzierzawej czuprynie. — Zaraz, zaraz zobaczę. Jak pan speluje to nazwisko? Tak, jest. Zaawansowany przypadek raka obu płuc, bardzo zaniedbana sprawa, wczoraj operowano, odciągnięto płyn.

— Czy on...?

— Prognoza nie jest dobra, więcej nic nie mogę powiedzieć, nie jestem jego lekarzem, ja tylko jestem tu na dyżurze. Najlepiej niech zgłosi się ktoś z rodziny.

Wracając, Wieniawski długo błądził zawilými korytarzami szpitala.

Cóż to za kolos! — myślał — cóż to za potęga! Zaraz, to którędy ja przyszedłem? Teraz na lewo, czy na prawo? — zastanawiał się. Rozmieszczone w różnych punktach szpitala głośniki coraz to wywoływały nazwiska lekarzy: Doctor Coleman, doktor Sneider, doctor Russel Sneider!

Wieniawski stał niezdecydowany. Wahał się. Wszystko było do siebie podobne: dziesiątki drzwi, piętra i półpiętra, korytarze, korytarzyki, klatki schodowe, windy tu i tam, a wszędzie mijali się, spieszyli, popychali ludzie: biali, czarni i żółci, ubrani zwykle, albo w białych kitlach, pielęgniarki w niebieskich fartuchach, pielęgniarki w wykrochmalonych białych uniformach i czepeczkach, grupy lekarzy rozprawiających półgłosem, siostra operacyjna w masce z białej gazy przesłaniającej pół twarzy, chorzy na wózkach, chorzy na noszach, przytomni i pół-przwtomni. Wieniawski usunął się z drogi, gdyż wieziono chorego, z którego nozdrzy sterczały dwie gumowe rurki. Sanitariusz popychał wózek, pielęgniarka niosła butelkę, do której załączone były przeciwległe końce rurek.

— Doctor Burton... doctor Harry Burton — nawoływał głośnik. I zaraz:

Doctor Wilkinson, doctor Wilkinson, doctor David Wilkinson...

Koło Wieniawskiego przesunął się teraz na wózkach mały, może siedmioletni chłopczyk. Papierowo blada twarzyczka, wydłużona czaszka z nieforemnym guzem na czole, a w oczach, w wyrazie ust taki smutek, taki bezmiar samotnego, dziecięcego cierpienia, że Wieniawski pełen przerażenia, a jednocześnie szacunku i współczucia usunął się, ale oto trącił młodego człowieka. Człowiek ten miał tylko jedną czwartą twarzy. Z obu stron policzki tworzyły potworne, zarośnięte bliznami doły. Nos i oczy biegiły linią skośną przez twarz, która zachowała jeszcze resztki ludzkiego wyrazu. Wieniawski zatrzymał sanitariusza.

— Którędy do wyjścia?

— Na jaką ulicę?

— Na Szeroką.

Znów błądził ocierając się o nosze i wózki, o jęk ludzki nieśmiały, ujarzmiony narkotykiem. Mówią — myślał — istnieje świat żywych i umarłych, ale to nieprawda. Jest jeszcze świat trzeci, świat chorych, cierpiących, ogromny, mglisty niby ciało potwornej meduzy, galaretowate, śliskie, z którego tak trudno się wyrwać. Męka nie-życia, nie-śmierci. Uciec, uciec, uciec, wy dostać się! A tymczasem korytarze szpitalne wydawały się wokół niego zaciskać, wciągać, otaczać z wszystkich stron. Minęło dużo czasu zanim Wieniawski wyszedł ze szpitala na ulicę Szeroką. Po drodze minął szpitalną restaurację, bank, oddział pocztowy, zabłądził kilkakrotnie, a wreszcie znalazł się w głównym hallu. Stała tam potężnych rozmiarów figura Chrystusa. W tym miejscu przedsiónek był nieco mroczny i głowa postaci gubiła się w cieniach padających z sufitu. Widać więc było tylko wyraźnie wyciągnięte dłonie i potężne bosc stopy z szarego kamienia.

— Przecież to miasto, nie szpital — mrucał Wieniawski — i tyle czasu straciłem. No ale dziś, jutro przyjedzie ta Frances i zajmie się Błażajem.

Dopiero po trzech dniach przyjechała Frances. Przyjechała razem z mężem i szli najpierw do biura „Albatros”. Była to kobieta już starsza, spokojna, nosiła się z miejską w kwiatowym kapeluszu.

— Jak tam mój kuzyn? — spytała po angielsku.

— To ja się chciałem pani zapytać jak? — wybuchnął Wieniawski. Był zły na Frances, że tak późno przyjechała do Błażeja.

— Ja nie mogłam przyjechać wcześniej — tłumaczyła — ale zaraz go z mężem pójdziemy odwiedzić.

Mąż Frances usiadł sobie na boku i rozglądał się po biurze. Nosił okulary, miał policzki pulchne, ale obwisłe, narzekał, że podróż była męcząca i że jest głodny. Ruszyli do szpitala i wrócili stamtąd tak prędko, że aż się Wieniawski zdziwił.

— Już? — spytał.

— A już — odpowiedziała Frances. — Gwałtu nie było, on jeszcze nie umiera.

— To gdzie się pani zatrzyma? Mam klucz od mieszkania Błażeja.

— My zaraz wyjeżdżamy — powiedziała — a jak co będzie, rozumie pan, to proszę telefonować.

— Jakto? — zawołał Wieniawski — to pani tu przy nim nie pobędzie? To tak go pani samego zostawi?

— Panie, ja mam dom, męża, dzieci...

— Ale jak to tak można! Człowiek cały majątek pani zapisał, chory taki leży, nikogo z rodziny nie ma i pani tak zaraz odjeżdża, tylko go raz pani zobaczyła, a on czekał... Wszystko pani oddał, wszystko co miał, dorobek całego życia i teraz...

Frances spoglądała zdziwiona na zaczerwienioną twarz Wieniawskiego. Powtórzyła:

A jakby co było...

— Gdzie tu się można piwa napić? — spytał mąż.

Wieniawski wskazał im Dom Związkowy i już się nie odzywał. Po zamknięciu biura wściekły i zmęczony pojechał do szpitala odwiedzić Błażeja.

Leżał, oczy miał otwarte. Znów, jak poprzednio wyciągnął do Wieniawskiego obydwa ramiona.

— O to dobrze, że pan przyszedł — ucieszył się. Głos miał zmieniony. Sztuczna szczeka zawinięta w gazę moczyła się w szklance z wodą.

Wieniawski też się ucieszył.

— A widzisz, Błażeju, widzisz, lepiej się czujesz.

— Księdza bym chciał, wypowiadać się.

— Dobrze, zawołam. Z doktorem też porozmawiam, żeby na nic nie żalowali, leczyli, kumpłom tam twoim powiem w Domu Związkowym, żeby cię przyszli odwiedzić.

— Frances była — zwierzał się Błażej — przyjechała.

— Wiem — odpowiedział — wiem, w biurze też była.

— Gdy odchodził, Błażej starał się unieść na łóżku, a wyciągając zza tlenowego namiotu obie ręce wyszeptał:

— Dziękuję, dziękuję...

I tak co wieczór witał i dziękował wyciągając oba ramiona, jak gdyby chciał nimi objąć, uściskać, gdyż co wieczór, po pracy w biurze Wieniawski przychodził go odwiedzać. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, przychodził Wieniawski odwiedzać Błażeja. Frances nie odezwała się, kumpłom z Domu Związkowego zaszli raz drugi — nie wrócili. Tylko Wieniawski, chociaż za każdym razem obiecywał sobie, że już nie wróci, że może dopiero za kilka dni, że nie ma czasu, że u diabła dlaczego? — wracał. I tak, jak dawniej Błażej od Św. Agnieszki, zmierzzał co dnia Szeroką do biura „Albatros”, tak Wieniawski teraz, po godzinach urzędowania i zamknięciu biura jechał lub szedł ulicą Szeroką od rynku, aż do szpitala odwiedzać Błażeja. Trudno by wytłumaczyć dlaczego tak było. Człowiek nieustan-

nie dług splanca i zaciąga sam nie wiedząc komu splanca, u kogo się zaduża.

Jednego z tych wieczorów, już listopadowych, gdy Błażej leżał słaby, ale jeszcze przytomny, Wieniawski przyniósł z sobą list od siostrzeńca Stanisława. Chorzy w pokoju dawno się już pozmieniali, na łózkach pojękiwały nowe postacie, tylko Błażej nie opuszczał swego miejsca pod tlenowym namiotem.

— Jak tam? — spytał Wieniawski.

— Jeść ni mogę — skarżył się — a ta „nyrska” nawet nie zajrzy.

Wieniawski popędził do dyżurki lekarskiej z zażaleniem. Domagał się lepszej opieki dla Twardowskiego.

— Jak już człowiek sam zawołać i wytłumaczyć nie może, to go na łasce boskiej zostawiacie, a pieniądze grube płaci! — denerwował się.

— Powiedziałem im — uspokoił Błażeja — „nursa” cię nakarmi Błażeju i da zastrzyk, jak będzie potrzeba.

— Dziękuję.

Często teraz Błażej wymawiał słowo „dziękuję”, a niewiele go dawniej w życiu stosował.

— Stanisław pisze...

— Niech przeczyta — poprosił Błażej.

Wieniawski czytał:

„Drogi Wujaszku,

W pierwszych słowach mego listu pozdrawiam Wujaszka i o zdrowie pytam. Drogi Wujaszku ja wciąż Boga proszę i modlę się o Wujaszka zdrowie i że mnie Wujek poratował ja sobie wykończył stodołę tylko mam jeszcze jeden kłopot nie miałem dzieciom mleka wystarczył się o kredyt w mleczarni na krowe dała mi mleczarnia kredyt kupiłem dzieciom krowe i teraz mam z krowy jałoszke i nie chciałoby się sprzedać ale dług państwowo cięży i trzeba załatwić a więc Wujaszku posyłam ten papier kupna...”

Tu Wieniawski wyciągnął z koperty świstek bibulastego papieru, którym Bank Spółdzielczy „wzywał Obywatela w terminie natychmiastowym do wpłacenia należnych odsetek za rok w sumie złotych 260, groszy 64 z tytułu otrzymanej kredytowo krowy...”

Błażej skrzywił się.

— Aby piniendze — westchnął — aby te piniendze.

Długo nie mówił. Wieniawski sądząc, że chory już śpi, położył list na stoliku i chciał odejść. Twardowski wyciągnął rękę.

— Co tam? — pochylił się nad nim Wieniawski.

— Tyla tylko pisze?

Nie wiadomo, ciekaw był listu, czy chciał jeszcze Wieniawskiego zatrzymać.

— Nie, więcej jeszcze pisze, tylko myślałem, śpisz już Błażeju.

— Niech czyta...

„...Dowiedziałem się — pisał Stanisław — że Wujek źle się czuje na zdrowiu...”

— To chyba — przerwał Wieniawski — jeszcze z tych dawnych listów, bo tego o szpitalu jeszcze nie mógł otrzymać.

— No? — zaciekawił się Błażej.

„...i że Wujek przekazał swoją pracę, cały majątek amerykański na córkę Boguli jak zrobił to dobrze nic się nie wróci, ale drogi Wujaszku żeby miał pamięć przysłać dla mnie trochę pieniędzy to ja bym dał po śmierci na mszy gregoriańskie za dusze śp. Błażeja i Bolesława tak jak dałem za Józefę i Stefana to jest za tatusia i mamusię, mógłbym zrobić żałobne nabożeństwo postawić pomnik tak jak u nas postawił ksiądz z Jarmakowszczyzny drugiemu księdzu. Wujek pytał nawet o tego księdza Jana Lipę to on Wujaszka dawniej zawsze wspominał...” Błażej drgnął, chciał się unieść na łóżku, nie mógł.

— Jaśka Lipę? — wyszeptał głosem tak zniekształconym, zduszonym, że Wieniawski nie dosłyszał i czytał dalej.

„...jego całą rodzinę sowieci wywieźli na Sybir i oni i ksiądz Lipa też tam pomarli to nasz ksiądz tutaj postawił pomnik z napisem gdzie pomarli prosi przechodzących o Zdrowaś Maryja. A ja bym mógł jeszcze zrobić zdjęcie porcelanowe bo mam Wujaszka aż 5 zdjęć. Drogi Wujaszku niech o tym dobrze zapamięta bo i na Stryja tam mogile mało kto poprawia tylko zawsze tam odnawiamy te i te mogiłe na wszystkie święta tam bym mógł postawić pomnik taki jak nad rodzicami a jak by Wujek chciał to ja bym mógł przysłać zdjęcie tego pomnika co nad rodzicami. Drogi Wujaszku powodzi mi się nie bardzo...”

— Co takiego Błażeju?

Twardowski przywołał go ruchem ręki. Wieniawski przyłożył ucho do zeschniętych, popękanych warg chorego.

— Jasiak pomarł?

Wieniawski skinął głową.

— We wsi nie pochowany?

— Tylko pomnik mu postawili.

— Na Sybir go wywieźli i tam pomarli?

— Tak pisze.

Błażej przymknął oczy, nie odezwał się, odwrócił do ściany. Wieniawski poczekał jeszcze chwilę i wyszedł. Zatrzymał się w biurze szpitalnym, aby załatwić formalności. Czterotygodniowy pobyt Błażeja w szpitalu kosztował już przeszło tysiąc dolarów.

Po trzydziestu dniach — myślał Wieniawski *insurance* przestaje pokrywać koszty leczenia, już mnie zawiadomili, a jeśli Twardowski pobędzie dłużej w szpitalu większa część jego oszczędności zużyta zostanie na doktorów, szpital i lekarstwa. I na to całe życie harował! Na to oszczędzał! Acha — pomyślał jeszcze — to ten Jasiak Lipa o którego się tak dopytywał, nie żyje.

Potem już gwar, ruch szpitala i ulicy pochłonęły Wieniawskiego. No to go odwiedziłem, mam nareszcie trochę czasu, aby popatrzeć na telewizję i przeczytać gazetę.

Odwrócony twarzą do ściany, do zielono malowanego szpitalnego muru, Błażej myślał o Jaśku Lipie.

Co wieczór Błażej dopytywał Wieniawskiego o list od Frances. Czy nie pisała? Czy nie telefonowała? Listu, ani telefonu nie było. Przyszły natomiast listy ze Starego Kraju. Wieniawski przynosił je z sobą do szpitala, a że niewiele mógł z Błażejem rozmawiać — czytał. Błażej zaś słuchał mniej lub więcej obojętnie.

„Kochany Wujaszku — pisała Gienia —

mój najdroższy ojciec, byłeś dla mnie ojcem, a dziś cie spotkało takie smutne i bolesne życie, bardzo my się przejęli. Zaraz poszłam do księdza i dałam na msze święto o zdrowie...”

Był i list od Stanisława:

„Dowiedziałem się bo otrzymałem wczoraj list, że Wujek jest ciężko chory i w chorobie wspomina o nas Polakach i swojej rodzinie. Ja natomiast wczoraj z rodziną pomodlili się o Wujaszka zdrowie pokazałem dla dzieci Wujaszka zdjęcie i powiedziałem dla dzieci, że pomódlmy się o tego Wujaszka zdrowie bo on jest bardzo chory... i dzisiaj pojechałem do księdza i dałem na msze św. w intencji Błażeja... Kończąc te kilka słów i proszę żeby Wujek napisał oczekamy z niecierpliwością tego życzy Wujaszкови siostrzeniec Stanisław z rodziną. Miłego zdrowia”.

Pisał także Józio, trzecie dziecko Błażejowej siostry:

„Kochany Wujaszku,

jak wiadomo trzeba kiedy umrzeć, tylko kiedy, to Bóg tylko wie. Niech Wujko nie przejmuj się tym, że nie ma rodziny, która by pamiętała o duszy ukochanego Wujka co się Wujaszek może nie przejmować, ja nigdy nie zapomnę o duszy wujaszka. Dziś właśnie w intencji szybkiego powrotu do zdrowia zaniem na Msze Św., która została odprawiona 10-go listopada o godzinie 7-mej (czasu polskiego)”.

Nadeszło Święto Dziękczynienia. Błażej leżał samotnie w szpitalu. Oczekiwał na Frances. Był niemal pewien — przyjedzie. Przez długie lata pobytu w Ameryce nauczył się cenić i rozumieć *Thanksgiving*. W dniu tym, podobnie, jak w dniu wigilijnym w Starym Kraju, gromadzą się przy wspólnym stole rodziny i nikt nie jest zapomniany, nikt pominięty.

Przyjedzie — cieszył się — przyjedzie.

Zaden już z kolegów go nie odwiedzał. Nawet Wieniawski zapowiedział, że tego wieczoru nie przyjdzie. Błażej sam nie wiedział dlaczego właśnie dziś tak pragnął, tak oczekiwał przyjazdu Frances. Czy aby upewnić samego siebie, że ma tu, w Ameryce, rodzinę?

— Powinna przyjechać — rozumował — przecież wszystko jej zapisałem.

Godziny przemijały powoli. Już „nursa” rozwiozła obiad, już przyszła z popołudniowym lekarstwem, za oknem dzieł matowiał.

— Teraz przyjedzie — myślał Błażej i słysząc kroki na korytarzu starał się unieść na łokciach. Ale to nie byli goście do niego, to nie jego przychodzili odwiedzić.

— W *Thanksgiving* przyjedzie — upewniał się — tylko jej patrzeć.

I patrzył, patrzył w drzwi salki uchylone na korytarz, aż złapały go bóle i duszności, a potem i wymioty. Wyczerpany zamknął oczy. Wydawało mu się ktoś idzie, ktoś dotyka jego ramienia. Frances? Nie, to tylko pielęgniarka przyszła mu zmierzyć wieczorną temperaturę; pytała dlaczego nie zjadł kolacji?

Uśmiechnął się gorzko. Jak on miał jeść, kiedy się podnieść nie mógł, a poprosić nie śmiał i nie umiał, aby go nakarmiono. Zasnął. Obudził się, było chyba po północy. Tylko boczne światło słabe i przytłumione jeszcze parawanem paliło się przy ostatnim łóżku chorego, który był po operacji, przy którym czuwała prywatna pielęgniarka. Cisza. Błażej uprzytomnił sobie, że *Thanksgiving* minął, a Frances nie przyjechała.

— Wszystko jej zapisałem — westchnął — wszystko co zem oszczędził.

Całe życie oszczędzał. Przypominał sobie, jak co tydzień, rok po roku szedł do banku, odkładał na książkę, albo kupował „bondy”. Ile w tym tygodniu oszczędzę, ile w przyszłym? A ile to będzie razem? Ile procentów bank dopisze? I tak było, jakby sam siebie odkładał, sam siebie powoli oszczędzał, zanosił do bezpiecznego miejsca, skąpił innym. A gdy przyszedł czas, że chciał wszystko oddać, ofiarować, przyjęto dolary, a odrzucano Błażeja. Jęknął. Nikt nie usłyszał. Bolało go wszystko, wargi wysychały, od rana nic nie pił, a nie mógł sięgnąć teraz po wodę. Duszno mu było, duszno mimo tlenowego namiotu.

— Ja jus umiram — szepnął — ja już tej nocy nie przeżyję. — Jęknął znów głośno, boleśnie, z najwyższym wysiłkiem uniósł rękę, nacisnął dzwonek.

Wzdrygnął się, ktoś dotknął jego ramienia. „Nursa” stała przy nim z gotową strzykawką w ręce.

— *I will give you a needle.*

Spojrzał przerażony na igłę.

— *You will sleep better.*

Uklucie, ból w przedramieniu. Przez chwilę wydawało mu się, bóle się wzmogły, jęczał, ale stopniowo zaczęło się w nim rozlewać błogie uczucie ulgi.

Drgnął znów. Wołał go kto? Przesłyszało mu się?

— Bła-żek! Bła-żek!

— Zara! — odkrzyknął — Zara!

Wybiegł na drogę. Słońce tak prażyło, że oczy musiał przesłonić. Piach drogi parzył bosa pięty. Jasiiek już czekał. Przysiadł w kucki pod płotem, co ogradzał drogę od pastwiska, oganiał się badylem od much, co bzykały wszędzie, cięży, jak przed burzą.

Deszcz będzie, taki gorący, tak muszyska tną.

Poszli. Jasiiek pierwszy, Błażek za nim. Ledwo mógł dogonić tak się zadyszał. Za łąką zaczynał się na prawo zagajnik, a na lewo pszenica chyliła się ciężko gruba, dojrzała. Położyli się na trawie między dwoma zagonami zboża. Jasiiek wyciągnął z kieszeni portek książeczkę. Wskazał palcem: tu!

Błażek dyndał nogami w powietrzu. Bąk przysiadł na karku, spasty, puchaty bąk, a gruby, aż się kwiat przegiął, zachybotał. Jasiiek palcem wodził po książce, palec wędrował od słowa do słowa, a za nim oczy Błażeja senne, leniwe. Bąk oderwał się od kwiatu, bzyknął głośno tuż przy błażkowym uchu, odfrunął. Zagrzmiało nagle, a tak, że aż dygotanie ziemi poczuł i zaraz deszcz spadł ogromną, pierwszą kroplą Błażkowi na nos. Burza.

— Nie bój się! — Jasiiek wstał. Boso był, koszula na plecach rozdarta, patrzył. A tu już zerwał się wiatr i pszenica zaczęła falować, chmury pędziły szybko, nisko, błyskawice leciały po nich zygzakami.

— Jezu! — jęknął Błażek — zerwał się, zaczął uciekać.

— Błażek, Bła-żek! Zaczekaj! Patrz!

Nie czekał. Biegł tak, że aż oddechu złapać nie mógł. Sciemniło się, deszcz walił, oślepił, ziemia trzęsła się od grzmotów, nogi grzęzły w błocie.

— Bła-żek! Bła-żek!

Nie oglądał się, biegł na oślep, a tu droga wydawała się bez końca. Nic nie widać. Zabłądził, ale biegł, byle naprzód, przed siebie. Głos coraz cichszy nawoływał: Bła-żek, Bła-żek... Coraz cichszy, coraz słabszy, tylko deszcz coraz mocniej zaciął, w twarz tak bił, że nie starczało oddechu. Ciemno. Zgubił się. Zabłądził. Nie ma już płotów, ani pola, ani drogi, wsi nie widać. Deszcz.

— Panie Wieniawski — zawołał organista — szpital do pana telefonu!

— Błażej umarł — drgnął Wieniawski. — Umarł! A ja nie poszedłem wczoraj do niego. Hallo? — powiedział. — Co się stało? Kiedy?

— Nic — uspokoiła go pielęgniarka — tylko chory prosił, aby pan na pewno do niego dziś przyszedł.

— Zaraz będę! — A do Stefańskiego: Panie Kazimierzu, ja idę, boję się, że może z Twardowskim nie jest dobrze, niech pan się, z łaski swojej zajmie...

Wszedł, wbiegł niemal do pokoju chorego.

— No co? Co się stało?

Błażej siedział na łóżku, po raz pierwszy od czasu pohytu w szpitalu siedział na łóżku. Wyciągnął do Wieniawskiego obie ręce.

— Przyszedł pan, przyszedł! — cieszył się. — Ja już myślałem pan mnie zostawi.

— Lepiej się czujesz, Błażeju?

— Bede zmieniać testament — powiedział.

— Zaraz?

— Dzisiaj to musi być. Adwokata niech pan woła.

— Dzisiaj? Może po niedzieli? Co się stało? Dlaczego?

— Zmienić chce, na tamtych zapisać.

— Na tamtych? W kraju? — zdziwił się Wieniawski. —

Ale przecież mówisz, że to sępy, znać ich nie chcesz.

Twardowski uśmiechnął się.

— Sympy to one są, ale bidne. Bidne i głupie — powiedział łagodnie.

Zmęczył się, położył i milczał długo.

Wieniawski przyglądał mu się. Przez ten jeden dzień, w którym go nie widział, zmarniał bardzo. Ogarnęło go ogromne współczucie. Biedak, jak to się męczy, jak szuka wokół siebie.

— Gieni pan myśli, ile? — spytał Błażej.

— Gieni też?

— Dzieci ma.

— Dla Stanisława i dla Józefa, dla Wikty i dla Kostka syna... Jeden tylko będzie warunek.

— Jaki to? — spytał Wieniawski.

— Dzieci majo uczyć, do roboty nie pchać wcześniej, do szkół słać na księży, albo nauczycieli, albo doktorów uczyć. Taki będzie warunek. I jeszcze.. — Zadyszał się, zakaszał. Wieniawski podał mu szklanę z wodą.

— Umrzeć już chcę, już sobie spokojnie umrę. I tak jeść ni moge, podać mi nie ma co kto — poskarżył się.

— To weźniemy prywatną pielęgniarkę, żeby przy panu była. Na co teraz pieniądze oszczędzać?

— To za drogo, tyła piniendzy wydawać. Adwokat niech dziś przyjdzie.

— Zdecydowałeś się Błażeju? Pewny jesteś?

Pokiwał głową.

— Adwokat pieniądze weźmie.

— Trudno. Ino niech zaraz przychodzi, bo już tej nocy moge nie przetrzymać.

— Dobrze.

— Panie, jeszcze jedno bym chciał. Niech mi pan pomnik postawi taki z białego kamienia i fotografia emaliowana żeby była; zdjęcie zrobić i im tam wszystkim potem po zdjęciu tego pomnika postać.

— Dobrze, to już wszystko przy adwokacie powtórzysz.

— Jo im tam nie ufom, jo tam nie wiem co piszo, pan niech mi przyrzeknie, że testament będzie taki, i pomnik z fotografią emaliowaną.

— Przyrzekam.

Wieczorem, przy łóżku Błażeja adwokat Dekrocki sporządził drugi testament. Świadcami byli: lekarz, który zaświadczył o przytomności chorego i pacjent, który przez jakiś czas przebywał w tym samym co i Błażej pokoju.

Następnego dnia Twardowski poczuł się gorzej i Wieniawski późnym wieczorem wzywał do niego księdza.

— Umiracie Błażeju — powiedział ksiądz — a w kościele podłogi ni ma, zapisalibyście co na kościół.

Błażej zeżlił się bardzo na takie gadanie, a jeszcze tyle siły w sobie miał, że kazał zawołać urzędników ze stalowni i zmienił polisę ubezpieczeniową, którą uprzednio w całości przeznaczył na kościół.

— Aby trzysta dularów dostano — pomstował — a nie trzy tysiące, jak takie chytre. Reszta wszystko do testamentu.

Nikt już teraz Błażeja nie odwiedzał, tylko Wieniawski.

— Nawet prezes Domu Związkowego nie przyjdzie — załił się. — A na niego głosowałem.

Popłakiwał teraz, że go bóle i duszności dzień i noc dręczą, że się sam na bok przewrócić nie może, a „nursa” nawet nie zajrzy. Za namową Wieniawskiego, ale po długich opozycjach, zdecydował się wynająć prywatną pielęgniarkę. Było to w ostatnim tygodniu jego życia. Leżał sobie teraz wygodnie, ogolony, umyty, kolorowa „nursa” czytała mu gazetę. Stał z dnia na dzień, umierał.

— Tyła nieszczęścia trzeba było — mówił — żeby człowiek miał raz w życiu służbę. Przyjdzie o 7-mej, ogoli, dobrze goli — pochwalił — umyje. Błażej, mów, podnieś się. Poczyta, a jak pójdzie, to markotno. Pomimo to i pomimo osłabienia kłócił się co wieczora z Wieniawskim, że „nursę” trzeba odprawić.

— Tyła piniendzy — narzekał — szesnaście dulary na dzień. Trzeba by dla tych w kraju lepiej schować, bo to bidne.

Nie opuściła go do śmierci mania oszczędności. Zawsze sam sobie żałował, ale może już teraz nie żałował siebie.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Upadł pierwszy śnieg i ulica Szeroka przejaśniła się, wypiękniała. Na rynku wrzał ruch przedświąteczny. Światła wysokiej ulicznej choinki kładły się zielono-czerwonymi smugami na śnieg. Głośniki nie ustawały w koleśkach, biegły jedna za drugą: Bóg się Rodzi i *Jingle Bells*, Wśród Nocnej Ciszy, *O come All Ye Faithful* i *Lulaj-że Jezuniu*. W korytarzu nieba, ponad Szeroką, mrugało kilka zmarzniętych gwiazd. Zanosilo się jednak na nowy śnieg i sinawe chmury zwolna zagarniały niebo. Była godzina 6-ta wieczór, gdy szpital zawiadomił Wieniawskiego, że Błażej nie żyje. Zamknął biuro i poszedł ulicą Szeroką w kierunku szpitala. Zawrócił. Wstąpił do kwaciarni na ulicy Św. Agnieszki i kupił duży bukiet białych róż o mocno stulonych pąkach i wysmukłych, długich łodygach.

— Zawsze sobie wszystkiego żałował — usprawiedliwiał się sam przed sobą Wieniawski, gdyż nieskory był do wyrażania prawdziwych uczuć, a pieniądze wydawał ostrożnie i z namysłem. — Zawsze sobie wszystkiego żałował, nawet pielęgniarkę odprawił na dzień przed śmiercią i już nie miałem siły się z nim kłócić.

Przed bramą szpitalną, trzymając długie pudło kwiatów pod pachą, przystanął i spojrzał na Szeroką.

— Tu się coś poprawiło — mruknął — bo ta ulica wcale tak źle nie wygląda. Może śnieg i dekoracje świąteczne? A może ja się zmieniłem? E, gdzie tam, człowiek się nie zmienia. Chciałby taki Twardowski, chociażby ten jego drugi testament.

I poszedł odwiedzić Błażeja.

Danuta MOSTWIN

Wydawnictwa "LIBELLI"

Zofia ROMANOWICZOWA

BAŚKA I BARBARA

Cena egzemplarza: NF 5 — (7 sh. — \$ 1.-)

PRZEJŚCIE PRZEZ MORZE CZERWONE

Cena egzemplarza: NF 10 — (14 sh. — \$ 2.-)

Tadeusz NOWAKOWSKI

OBÓZ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Cena egzemplarza: NF 8.50 — (14 sh. — \$ 2.-)

Florian CZARNYSZEWICZ

LOSY PASIERBÓW

Cena egzemplarza: NF 8.50 — (14 sh. — \$ 2.-)

Gaetan PICON

PANORAMA MYŚLI WSPÓŁCZESNEJ

Cena egzemplarza: NF 30 — (42 sh. — \$ 6.-)

Pierre-Georges CASTEX i Paul SURER

WYPISY I STUDIA

Z LITERATURY FRANCUSKIEJ XX WIEKU

Cena egzemplarza: NF 10 — (14 sh. — \$ 2.-)

oraz

Zofia ROMANOWICZOWA

LE PASSAGE DE LA MER ROUGE

Cena egzemplarza: NF 6,50 — (10 sh. — \$ 2.-)

Do nabycia we wszystkich księgarniach lub u Wydawcy:

"LIBELLA"

12, rue Saint-Louis-en-l'Île — PARIS IV.

Archiwum polityczne

Rewolucja przeciw rewolucji

Zgadzam się z opinią Bertranda Russella, że „tajemnicza dusza słowiańska” nie jest nic bardziej tajemnicza od duszy anglosaskiej. Niemniej przecież, jako Słowianinowi osiadłemu od lat na wyspach brytyjskich, wypada mi stwierdzić, że Anglosasom trudno jest zrozumieć Francuzów, a cóż dopiero mówić o Słowianach.

Gdy prez. Kennedy obejmował pół roku temu — ster rządów — wielu członków „wewnętrznego koła” doradców wyraziło nadzieję, że nowej administracji powiedzie się wynegocjować z Sowietami *package deal* a tym samym zlikwidować „zimną wojnę”.

Jak to się dzieje, że inteligentni, światli, wykształceni ludzie wykazują w pewnych momentach zdumiewający brak realizmu?

Przed pierwszą wojną światową dyplomacja była czymś znacznie prostszym niż dziś. Ministrowi cesarskich Niemiec czy Austrii było łatwo wstawić się w położenie rosyjskiego czy francuskiego ministra. Panowie ci reprezentowali różne, a często sprzeczne, interesy ale mówili *de facto* jednym językiem. Dziś dyplomata amerykański, który pragnie odpowiedzieć na pytanie jakby postąpił w danej sytuacji gdyby był Chruszczowem — nie potrafi sobie wyobrazić co to znaczy być Chruszczowem. Bo Chruszczow jest nie tylko przywódcą wielkiego mocarstwa ale jest i komunistą. Nawet ci politycy zachodni, którzy posiadają dobrą znajomość komunizmu nigdy nie biorą Chruszczowa dosłownie. Innymi słowy jest nam niezmiernie trudno uwierzyć, że premier sowiecki mówi to, co myśli. Przywódcy sowieccy nie zawsze mówią to co myślą, ale jestem pewien, że uniknęłyby się wielu błędów gdybyśmy to, co mówi Chruszczow, brali bardziej dosłownie.

Jestem jak najdalej od porównywania Chruszczowa z Hitlerem ale politycy zachodni popełniali identyczny błąd w stosunku do wodza Trzeciej Rzeszy. Nikt nie brał poważnie „Mein

Kampf" i wielogodzinnych przemówień Führera i wszyscy byli skłonni uważać, że to jest taki sam mąż stanu jak jego poprzednicy z tą tylko różnicą, że nosi opaskę ze swastyką na lewym ramieniu. Uniknęłoby się wielu katastrof, gdyby brano bardziej dosłownie „Mein Kampf" i teksty przemówień Hitlera.

Jeżeli Chruszczow powie amerykańskiemu politykowi, że jego wnuki będą komunistami — Amerykanin uśmiechnie się pod wąsem (jeżeli takowy posiada) i na tym koniec. Amerykanin nie powie Chruszczowowi: pańskie wnuki będą demokratami i entuzjastami systemu wolnej inicjatywy przemysłowej. Czy to oznacza, że Amerykanie mniej są pewni swego systemu niż Chruszczow pewien jest systemu komunistycznego? Różnica nie dotyczy pewności i stopnia zaufania tylko postawy osobistej. Chruszczow jest ideologiem, a Amerykanin jest pragmatykiem. Rozszyfrować tych dwóch panów można tylko w ramach ich poglądów na świat. Dlatego tak ryzykownie jest operować słowem „realizm" w odniesieniu do polityki sowieckiej. Komuniści są realistami i ich posunięcia można mierzyć kryteriami pragmatycznymi. Ale Chruszczow uważa się za realistę nawet wówczas kiedy my nie uważamy go za realistę. Gdy premier sowiecki mówi, że wnuki Eisenhowera będą komunistami jest realistą tylko w płaszczyźnie swojej ideologii a nie w sensie pragmatycznym. Niemniej jest błędem wszystko co nie pokrywa się z naszym pojęciem realizmu odpisywać na konto propagandy. Bo w ostatecznym rozrachunku realne jest to, co ludzie uważają za realne. Rewolucja światowa po linii komunistycznej jest czymś bardzo realnym dla Chruszczowa i jego wypowiedzi na ten temat należy brać dosłownie. Pragmatycy zbyt często zapominają, że matką wielu realiów, które uważamy za oczywistość, były fantastyczne idee i pomysły.

Package deal czyli „układ hurtowny" nie jest, i nigdy nie był, możliwy z Sowietami. Walter Lippmann, który niedawno spędził cały dzień na rozmowie z Chruszczowem — przyrównał go do Metternicha. Anglosasi usiłują przykroić przywódców sowieckich do swojej miary. Interpretują ich własną skalą kryteriów, co często prowadzi do błędnych ocen i wniosków.

Z Sowietami nie jest możliwy „układ hurtowny", ale są możliwe układy na pewnych odcinkach. Wywiad Lippmanna potwierdził w całej rozciągłości tezę „Kultury", że w Europie kluczowym problemem polityki sowieckiej są Niemcy. I w tej sprawie należałoby podjąć rokowania, które być może doprowadziłyby do układu. Niestety skłonny jestem przypuszczać, że nie będzie żadnego układu i Sowiety po pewnym czasie podejmą akcję jednostronną, tzn. podpiszą traktat pokojowy z NRD. Amerykanie są zdecydowani bronić Berlina. Wydaje się jednak, że w Waszyngtonie nikt nie zdaje sobie sprawy z faktu, że podpisanie przez Sowiety traktatu pokojowego z NRD wytworzy nową sytuację w Federalnej Republice. Niemcy zachodni chcąc zabezpieczyć swój dostęp do Berlina będą musiały uznać NRD.

Jeden z naszych Czytelników w Niemczech przysłał mi wycinek z artykułem wstępnym „Süddeutsche Zeitung", z 5.V. br. Autor cytowanego artykułu nawołuje rząd w Bonn do przewyżyczenia wszystkich oporów i podjęcia rozmów z „mocarstwem od którego zależy rozwiązanie kwestii niemieckiej". Niemcy Zachodnie — pisze „Süddeutsche Zeitung" — winny otrzymać mandat od Stanów Zjednoczonych do przeprowadzenia negocjacji z Sowietami.

To są głosy bardzo charakterystyczne. Oczywiście Amerykanie nie mają powodu udzielać jakiegokolwiek mandatu Niemcom, ale powinni sami podjąć negocjacje z Sowietami na odcinku środkowo-wschodnio-europejskim.

Niniejszy artykuł nie jest poświęcony zagadnieniu Niemiec. Chciałem tylko podkreślić, że w obecnej fazie Rosja dąży do stabilizacji w Europie i do „antystabilizacji" poza Europą. W stosunku do Europy Chruszczow przybiera pozę Metternicha, wszędzie indziej — bez względu na tuszę i wiek — drapie się na rewolucyjne barykady. W Europie Rosja chciałaby zabezpieczyć swe zdobycze i dlatego jest zwolenniczką *status quo*. Poza Europą Moskwa dąży do zmiany *status quo* ponieważ sądzi, każda zmiana będzie zmianą na jej korzyść.

A w Afryce, w Azji, w Ameryce łańciskiej dojrzewa sytuacja rewolucyjna. Między sytuacją w Argentynie, a sytuacją w Persji czy w krajach afrykańskich są oczywiście wielkie różnice, ale są i zasadnicze podobieństwa. Przede wszystkim należy podkreślić, że autorem tej światowej sytuacji rewolucyjnej jest nie Moskwa lecz Zachód. Moskwa pragnie natomiast rewolucję, w założeniach i w źródłach zachodnią, skierować w komunistyczne koryto. Zachód dostarczył drożdży, ale gdy „ciasto" zaczyna rósć nie wiemy co z nim należy zrobić. I wówczas zjawiają się na scenie zawodowi sowieccy piekarze, którzy ciasto wyrosłe na naszych drożdżach ujmują w komunistyczne formy.

Bywają sytuacje paradoksalne. W lutym br., w Santiago de Chile, odbyła się zwołana przez UNESCO konferencja południowo amerykańskich ekspertów prasowych, radiowych i telewizyjnych. Reprezentanci UNESCO wysunęli na tej konferencji projekt zorganizowania powielanej prasy wiejskiej. Prasa i periodyki wydawane w miastach nie docierają na wieś. Przewiduje się więc wydawanie powielanych pism i periodyków przy szkołach powszechnych — przy czym współpracownicy rekrutowaliby się z miejscowej inteligencji, a przede wszystkim z kół nauczycielskich. Materiałów informacyjnych dostarczałoby UNESCO i nasłuch radiowy.

Powyższy projekt na pierwszy rzut oka wydaje się celowy i realistyczny. Jednak jeden z moich dawnych kolegów, doświadczony dziennikarz, który od wielu lat przebywa w Buenos Aires i zna dobrze miejscowe warunki, jest innego zdania. W jego opinii wprowadzenie w życie projektu UNESCO torowałoby drogę komunizmowi w Ameryce łańciskiej. Dlaczego? Nauczyciele ludowi w Ameryce południowej są nie tylko źle płatni, ale

miesiącami w ogóle nie dostają pensji. Czują się pokrzywdzeni i niedocenieni. W opinii mojego kolegi nauczyciele ludowi na całym kontynencie południowo-amerykańskim stanowią jeżeli nie zawsze świadomą to potencjalną awangardę komunizmu. W takim układzie pisma finansowane przez UNESCO łatwo stać by się mogły organami propagandy komunistycznej i wywrotowej.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji?

Przede wszystkim rozpoznanie problemu jest wadliwe. Nikt nie staje się komunistą dzięki temu, że da mu się powielacz i aparat radiowy. Jeżeli nauczyciele i studenci we wszystkich krajach Ameryki łacińskiej stanowią element łatwopalny to przyczyn tego stanu rzeczy szukać należy w strukturze gospodarczej i społecznej. Nauczyciel ludowy źle płatny i rozgoryczony — czy to w Argentynie czy w Persji — pragnie zarówno poprawy warunków materialnych jak i reform społecznych. Nie jest żadnym rozwiązaniem wyposażać go w powielacz i antykomunistyczne materiały informacyjne UNESCO — jak również nie jest żadnym rozwiązaniem jego uzasadnione żądania i aspiracje traktować za komunizm.

Fenomenalny wzrost środków komunikacyjnych i mediów kultury masowej sprawiły, że ludzie nie chcą dłużej godzić się pokornie z nędzą i społeczną deklasacją. Ale inspiratorką tych ruchów nie jest Rosja tylko Ameryka. To w Ameryce a nie w Rosji osiągnięto najwyższą stopę życiową — stworzono olśniewające bogactwo i różnorodność dóbr konsumpcyjnych z których znaczny procent dostępny jest najszerszemu ogółowi. Wyższość rewolucji amerykańskiej nad sowiecką jest oczywista. Rosja jest ojczyzną obietnic, które się nigdy nie spełniają i raju, który nigdy nie nadchodzi. Natomiast legenda amerykańska jest faktem, gdyż nigdy dotąd w historii żaden system nie dał tak wspaniałego dobrobytu tylu setkom milionów ludzi.

Największy hołd systemowi amerykańskiemu składa bezustannie Chruszczow, który w każdej niemal mowie stwierdza, że celem Sowietów jest prześcignięcie Ameryki. A więc Ameryka jest tą idealną „super-normą” do której Rosji jest jeszcze niezmiernie daleko.

Dziś na Zachodzie technologia sowiecka jest w pełni rozszyfrowana. Nikt nie wątpi (w przeciwieństwie do pewnych kół polskiej emigracji), że Gagarin dokonał swej imponującej podróży kosmicznej. Ale specjalizacja w pewnej dziedzinie a przywództwo technologiczne to są dwie rzeczy różne. Eksperti brytyjscy i przemysłowcy, którzy tłumnie odwiedzają Sowiety, podkreślają, że masa produktów technologicznych w Rosji od nylonu i plastików do lodówki i samochodu — jakościowo nie może być nawet porównana z analogiczną wytwórczością amerykańską.

Gdybyśmy chcieli podsumować nasze dotychczasowe rozważania to należałoby stwierdzić co następuje:

Narody wyzwolone z władania kolonialnego oraz narody o zapóźnionym rozwoju gospodarczym i społecznym szukają radykalnych metod „dogonienia Ameryki”. Tym prądem towarzyszy wzrost poczucia narodowego i dążenie do sprawiedliwości społecznej. Nie jest rzeczą ani możliwą ani celową przeciwstawiać się tej fali przemian. Ludziom, którzy walczą w Persji z krzywdą społeczną, z przekupstwem, fałszowaniem wyborów, z nędzą — nie można tłumaczyć, że wiodą swój kraj w ramiona „frontu narodowego” i satelictwa. W Argentynie, gdzie 60% ludności nie umie czytać i pisać, nie można tłumaczyć źle płatnemu nauczycielowi szkół powszechnych, że dążenie do uzdrowienia tych stosunków jest równoznaczne z torowaniem drogi komunizmowi. Na obszarach Azji istnieje cała plejada krajów i kraików o wręcz feudalnym ustroju, przeżartym przez korupcję i nepotyzm. Często komuniści są tam jedynymi ludźmi, głoszącymi śmiało potrzebę reformy społecznej.

Jeden z publicystów polskich, przebywający stale w Stanach Zjednoczonych, sytuację, którą omawiamy, ujął następująco:

„Nie jest to rewolucja światowa jak ją sobie wyobrażał Marks czy nawet Lenin. Nie prowadzą jej masy robotnicze na ulicach miast, ale niewielkie oddziały partyzantów pod najrozmaitszymi szyldami i hasłami. Żołnierze tych oddziałów nieraz nie wiedzą o co naprawdę walczą, albo to o co walczą jest dla innych nie celem ale środkiem. Bandyta chiński w dżungli malajskiej, „neutralistyczny” żołnierz w Laosie, antyeuropejski zwolennik Lumumby, antyamerykański partyzant kubański, Kurd nienawidzący Persów, nacjonalista japoński, antysemita syryjski, socjalista gwinejski, peronista argentyński, pacyfista brytyjski, muzułmanin w Algierze, Berber w Maroku — każdy jest pożyteczny w tej walce. Demokracje zachodnie przeciwstawiają temu pieniądze, stypendia i dostawy broni dla zagrożonych rządów. Jest to coraz mniej skuteczne”.

I dodajmy od siebie — *będzie coraz mniej skuteczne.*

Pół-prawda jest najgorszą formą fałszu. Redukowanie wszystkich ruchów wyzwoleńczych do poziomu ruchawek inscenizowanych przez agentów Moskwy jest fałszowaniem rzeczywistości.

Psychologia *package deal* z Sowietami wywodzi się z przekonania, że w gruncie rzeczy nie ma żadnych autentycznych rewolucyjnych ruchów na świecie, tylko jest po prostu „zimna wojna”, którą można każdej chwili odwołać, gdyby Moskwa sobie tego życzyła.

To jest w stu procentach fałszywy pogląd, który jest źródłem nie tylko wszystkich nieporozumień ale i wszystkich dotychczasowych klęsk.

Naporu ku reformom społecznym, gospodarczym i politycznym w Afryce, w Azji i w Ameryce łacińskiej nikt nie zatrzyma, ani nikt nie odwoła. Temu naporowi nie jest w stanie przeciwstawić się ani Moskwa ani Waszyngton. Pytanie natomiast brzmi: kto ów napór ujmie w swoje żagle — Sowiety czy Ameryka?

Polacy i Amerykanie mają skłonność do rozpatrywania problemów „zimnej wojny” kategoriami wojennymi. Polski dziennikarz przebywający w Argentynie, którego opinię cytowałem w pierwszej części tego artykułu — przyznaje otwarcie, że nauczyciele ludowi w większości krajów Ameryki łacińskiej mają realne i konkretne podstawy do goryczy i niezadowolenia. Ale to właśnie czyni ich w jego oczach elementem niepewnym.

Nauczyciele ludowi i studenci to jest przykład klasyczny. Ale do nauczycieli trzeba jeszcze dołączyć biedotę wiejską, proletariat miejski, niższe kategorie urzędników, część źle płatnej inteligencji. Kto w takiej sytuacji jest pewny poza urzędnikami „Free Europe”? Pewni są tylko ci, co są na górze, ci którzy należą nie do wyzyskiwanych ale do wyzyskujących — pewni są ci, którzy są niezainteresowani w reformie rolnej ani żadnej innej — pewni są ci, którym obojętny jest los głodujących nauczycieli, dopóki ich zyski i przywileje są nienaruszone.

Kardynalne nieporozumienie polega na tym, że chcąc wygrać „zimną wojnę”, trzeba pozyskać właśnie tych symbolicznych, krzywdzonych nauczycieli. Chcąc wygrać „zimną wojnę” trzeba pomóc w przeprowadzeniu postępowych reform i złamać opór tych „pewnych”, którzy w żadnych reformach nie są zainteresowani. Jeżeli Amerykanie tego w pełni nie rozumieją to „zimną wojnę” przegrają razem ze swoimi polskimi doradcami.

Istnieją obiektywne dowody wskazujące, że prezydent Kennedy rozumie sytuację. Cyril Dunn cytuje jakże charakterystyczną wypowiedź Kennedy’ego. „Naród amerykański powinien kroczyć na czele rewolucji światowej. Pozwoliliśmy bowiem komunistom wyrugować nas. Zrobiono z nas obrońców *status quo*. Znaleźliśmy się w niebezpieczeństwie utraty szacunku świata”.

„Kroczyć na czele rewolucji światowej” oznaczać może tylko przeciwstawienie rewolucji komunistycznej — rewolucji amerykańskiej. Oznaczać to musi pogrzebanie kontr-rewolucji, która bazowała swą strategią na sojuszu z antykomunistycznymi wprawdzie ale reakcyjnymi elementami, z których rekrutuje się warstwa obrońców *status quo*.

To jest niewątpliwie bardzo wiele, że w chwili obecnej Stany Zjednoczone mają takiego prezydenta jak Kennedy. Ale to nie jest wszystko. Czy kapitalizm amerykański zdoła dziś nawrócić do amerykańskiej tradycji rewolucyjnej — czy prezydent znajdzie dostateczne poparcie wśród własnego społeczeństwa — czy zdoła przełamać opory rodzimych obrońców *status quo*? To są pytania na które najbliższa przyszłość musi dać odpowiedź.

Rewolucja amerykańska zacząć się musi od re-orientacji społeczeństwa amerykańskiego. Przez lata wychowywano opinię za oceanem po liniach doktryny Dullesa. Antykomunizm w ujęciu tej doktryny był polityką statyczną. Między obroną *status quo* a antykomunizmem stawiano znak równania. Obrońcami *status quo* w całej Azji i w Ameryce łacińskiej są oczywiście reakcyjniści zainteresowani w utrzymaniu swych lukratywnych pozycji

i przywilejów. Tak pojmowany antykomunizm znalazł entuzjastycznych zwolenników i propagatorów wśród tych kół emigrantów z wschodniej Europy, którzy przez „wyzwolenie” rozumieli restaurację *status quo*.

Antykomunizm dullesowski jako doktryna polityczna zbankrutował. Z chwilą bowiem gdy ruch wyzwolenczy objął kontynenty Afryki i Azji — okazało się, że obrońcy *status quo* stanowią wszędzie znikomą mniejszość. I nie tylko stanowią mniejszość ale siedzą znacznie słabiej w siodle niż przypuszczano.

John Douglas Pringle napisał, że prezydent Kennedy na dnie duszy jest socjal-demokratą (*social-democrat at heart*). Nie mamy powodu w to wątpić. Niestety dla bardzo znacznego odłamu amerykańskiej opinii publicznej każda forma socjalizmu jest politycznie podejrzana. Ludzie ci identyfikują demokrację z kapitalizmem. To jest nie tylko fałszywe ale i bardzo niebezpieczne uproszczenie. Komunizmowi nie możemy przeciwstawić kapitalizmu. Możemy mu tylko przeciwstawić demokrację.

Dla każdego czytelnika prasy amerykańskiej musi być oczywiste, że społeczeństwo amerykańskie w 90% jest nie tylko szczerze ale i głęboko antykomunistyczne. To nie jest fasada ani propaganda tylko autentyczna postawa. I dobrze jest, że tak jest. Ale antykomunizm jeżeli ma pomóc Stanom Zjednoczonym w realizowaniu rewolucji amerykańskiej w krajach o zapóźnionym rozwoju — nie może być ani anty-socjalistyczny ani anty-postępowy.

Jest jeszcze jeden podstawowy problem, na który polityka amerykańska znaleźć musi odpowiedź.

Głównym instrumentem rewolucji komunistycznej jest interwencjonizm. Interwencja może przybierać różne formy. W okresie Powstania Warszawskiego Sowiety interweniowały w ten sposób, że powstrzymały się od jakiegokolwiek interwencji. Brak pomocy był w tym wypadku najsukcesowniejszą formą interwencji.

Pytanie brzmi — czy należy podtrzymywać tradycyjną zasadę nie mieszania się w stosunki suwerennych państw — czy też powyższą zasadę należy poddać gruntownej rewizji?

W związku z wypadkami kubańskimi w prasie amerykańskiej i brytyjskiej pisano wiele o tzw. doktrynie Monroe’go. Powyższa doktryna jest o tyle interesująca, że nie jest ani częścią konstytucji amerykańskiej ani nie stanowi normy prawa międzynarodowego. Według słów prez. Wilsona *the Monroe Doctrine was proclaimed by the USA on her own authority. It always has been maintained and always will be maintained upon her own responsibility.*

Istotą powyższej doktryny jest interwencjonizm. Amerykanie zdecydowani są nie dopuścić do skolonizowania czy uzależnienia któregośkolwiek z państw obu Ameryk przez mocarstwo, czy mocarstwa europejskie. Za czasów prezydentury Jamesa Monroea uważano w Stanach, że niebezpieczeństwo zagrazać może tylko ze strony potężnej i imperialistycznej Europy. Gdyby Fidel Castro poszedł śladem Albanii i oparł się o Chiny, teo-

retycznie nie byłoby podstawy do powoływania się na doktrynę Monroe'go, ponieważ Chiny nie są mocarstwem europejskim.

Jaki sens ma dziś ta doktryna?

W obecnych warunkach bezpieczeństwo i status światowy Stanów Zjednoczonych mogą być znacznie bardziej zagrożone w Persji odległej o tysiące mil — niż na Kubie odległej o rzut kamieniem od amerykańskich brzegów.

Kubę można izolować, można zastosować sankcje gospodarcze, a w razie nagłego zaostrzenia się konfliktu międzynarodowego — można ją okupować w przeciągu 12 godzin.

Lecz problem Persji mimo, że nie objęty doktryną Monroe'go, jest zupełnie innego wymiaru. Persja jest bramą wiodącą do świata arabskiego. Ustanowienie rządu komunistycznego czy pro-komunistycznego w Teheranie otworzyłoby drogę dla bezpośredniej penetracji sowieckiej na cały Bliski Wschód. Wystarczy pobieżnie spojrzeć na mapę, by pozbyć się w tej materii wszelkiej wątpliwości. Nie może być żadnego porównania między Kubą a Persją. Utrata Persji byłaby nie porażką ale w dosłownym tego słowa znaczeniu klęską.

Czy Amerykanie interweniowaliby w Persji w razie kryzysu?

Interwencja zbrojna w kraju, który graniczy z Sowietami przedstawia olbrzymie ryzyko. Dlatego widząc, że interwencja bezpośrednia nie byłaby możliwa — Amerykanie powinni dziś interweniować aktywnie lecz pośrednio, by zabezpieczyć Persję przed satelictwem. Powinni poprzeć te koła, które dążą do modernizacji, reform i postępu — powinni poprzeć radą i środkami materialnymi tych, którzy dążą do przebudowy Persji w nowoczesne demokratyczne społeczeństwo. Feudalna Persja w tej sytuacji geopolitycznej i w tym okresie historycznym, który przeżywamy — jest nie do utrzymania. W Persji z całą pewnością nastąpi rewolucja. Jeżeli się chce uniknąć rewolucji komunistycznej trzeba ją uprzedzić i póki czas przeprowadzić rewolucję amerykańską. Ci, którzy sądzą, że obrońcy *status quo* obronią Persję przed komunizmem — skazani są na rozczarowanie.

Wybrałem przykład Persji z trzech przyczyn. Persja należy do krajów o kluczowej pozycji. Jest państwem feudalnym o zapóźnionym rozwoju gospodarczym i społecznym. I wreszcie jest krajem trudnym do bezpośredniej obrony z uwagi na granicę sowiecką.

Można by wyliczyć całą serię krajów w Azji, które znajdują się w podobnej sytuacji. Nie wszystkie graniczą z Sowietami ale wiele z nich sąsiaduje z Chinami.

We wszystkich tych państwach i państewkach — podobnie jak w Persji — nie wybieramy pomiędzy *status quo* a komunizmem — tylko wybieramy pomiędzy dwoma nieuchronnymi rewolucjami. Albo te kraje zrewolucjonizuje Ameryka albo Rosja. Tak w pierwszym jak i w drugim wypadku *status quo* skazany jest na zagładę.

Doktryna Monroe'go w jej klasycznym ujęciu jest anachronizmem. Stany Zjednoczone winny dziś doktryną Monroe'go objąć cały wolny świat i krajom, które ominęła rewolucja przeobrażenia i społeczna oferować pomoc i wzorzec rewolucji amerykańskiej.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Francja 1961

Niezależnie od rodzaju rozwiązania sprawy algierskiej (1), Francja metropolitalna, z uwagi na bezpośrednie interesy swej ludności, lecz również jako czynnik, posiadający ambicję wywierania wpływu na kształtowanie się polityki europejskiej i światowej, stanęła wobec konieczności rozstrzygnięć w zakresie zasadniczych problemów gospodarczych i społecznych.

Ekspansja

Do tej pory ekspansja gospodarcza, zgodnie z ortodoksją liberalizmu kapitalistycznego, cechującą doktrynę b. min. Piney'a, nominalnego twórcy nowego franka, była podporządkowana ściśle nakazom polityki finansowej. Chociaż nie zanoszą się na to, by Francja mogła powrócić w dającym się przewidzieć czasie do roli bankiera narodów, jak przed pierwszą wojną światową, osiągnięcia w zakresie czysto finansowym są bardzo poważne. Zapas złota i dewiz wynosił w dniu 30.5.1961 przeszło 2 miliardy 600 milionów dolarów. Jest to mniej, niż w krajach ościennych (Niemcy Fed. w lutym 1961 przeszło 7 miliardów dolarów, W. Brytania w maju 1961 — 2 miliardy 500 milionów, Włochy w listopadzie 1960 — nieco powyżej 3 miliardów), ale trzeba wziąć pod uwagę, że jest to dorobek zaledwie ostatnich trzech lat, bo na 1 czerwca 1958, w chwili objęcia steru rządu przez de Gaulle'a, Bank Francji posiadał zaledwie niewielki zapas złota, lecz ani jednego dolara rezerw dewizowych. Jednocześnie w ciągu tych trzech lat Francja spłaciła połowę długów państwowych. Bilans płatniczy kształtuje się dodatnio, bilans handlu zagranicznego jest zrównoważony. Dowodem klimatu zaufania jest stały wzrost wkładów oszczędnościowych. Kapitalizacja giełdowa wzrosła od stycznia 1961 do końca maja o 30 do 50%, co prawda przy dużym napływie kapitałów lot-

(1) Patrz artykuł pt. *Algier* — „Kultura” nr. 6/1964.

nych pochodzenia zagranicznego, mogących ulec łatwemu wycofaniu.

Gospodarka francuska, zwłaszcza przemysł, znajduje się w stanie ciągłej ekspansji, ale jej tempo jest wolniejsze, niż u sąsiadów. Oto tablica porównawcza wskaźników wzrostu produkcji przemysłowej głównych państw europejskich w latach: 1952/53-1960.

	1953	1959	1960
Francja 1952	100	161	176
Niemcy Fedł.	„	162	180
Włochy	„	158	182
Europ. Wspól. Gosp. (6)	„	142	155
W. Brytania	„	122	130

Jak z powyższej tabelki wynika, jedynie W. Brytania ustępowała Francji w tempie ekspansji przemysłowej, Niemcy Federalne i Włochy ją przewyższały. Żeby zarysować proporcje w liczbach absolutnych, wybieramy, jako przykład, produkcję stali, będącą podstawą wszystkich przemysłów mechanicznych. W roku 1960 wyprodukowano:

Francja	17.281.000 ton
Niemcy Federalne	34.100.000 „
Włochy	8.217.000 „
Wspólnota C.E.C.A.	72.797.000 „
W. Brytania	24.683.000 „
Japonia	22.000.000 „
Związek Sowiecki	65.300.000 „

Na tempo ekspansji przemysłowej Francji oddziaływał hamująco, obok niedostatecznej pojemności rynków zbytu i inwestycji, brak rąk roboczych. Zakończenie wojny algierskiej i modernizacja armii w celu przystosowania jej do wymagań epoki atomowej, spowoduje zarówno znaczne zmniejszenie stanów liczbowych sił zbrojnych (podobno 30 do 40%), jak i skrócenie czasu służby wojskowej z 25 do 18 miesięcy, dostarczając gospodarce francuskiej niezbędnych rezerw ludzkich. Zwolennicy przyspieszenia tempa ekspansji gospodarczej, a nie brak ich zarówno w stronnictwach większości rządowej (z wyjątkiem prawicy), jak w opozycyjnej partii socjalistycznej S.F.I.O. i w syndykatkach, wypowiadają się coraz natarczywiej przeciw podporządkowaniu ekspansji wyłącznie kryteriom polityki finansowej. Istnieją kraje o „zdrowych”, bo zrównoważonych finansach, a przecież zacofane i opóźnione w rozwoju gospodarczym (Portugalia). Z tych rozważań wywodzi się idea rozszerzenia pojemności rynku wewnętrznego przez zwiększenie siły nabywczej zarobków drogą podwyżek, wywołanie wzrostu zapotrzebowania, a w następstwie — przyspieszenie tempa ekspansji. Rozszerzeniu pojemności rynku wewnętrznego powinien towarzyszyć wysiłek w kierunku spotęgowania eksportu i zapewnienia w ten sposób

pokrycia przywozu surowców i maszyn, niezbędnych dla rozwoju zakładów przemysłowych.

Plan i kwestia społeczna

W przemówieniu wygłoszonym 8 maja gen. de Gaulle zapowiedział przekształcenie Komisji Planu na instytucję zasadniczą, mającą przy udziale przedstawicieli nauki, techniki, kapitału, ale i świata pracy, określać obowiązujące kierunki osiągnięć gospodarczych i ramy inwestycji, zarówno publicznych, jak prywatnych. W latach 1952/3 i później, pod doktrynalnym wpływem Piney'a, działalność Komisji Planu została poważnie ograniczona w porównaniu z uprawnieniami, przyznanymi jej w roku 1946 przez de Gaulle'a i sprowadzona prawie wyłącznie do opracowywania orientacyjnych wytycznych dla inwestycji publicznych. Przywrócenie pierwotnego znaczenia Planu i spotęgowanie go przez zapewnienie jego zaleceń w zakresie inwestycji prywatnych charakteru obowiązującego drogą odpowiedniego nacisku fiskalnego i polityki kredytowej, może skierować gospodarkę francuską na tory przekształceń planowych na zasadach demokracji gospodarczej, o którą walczą od pewnego czasu syndykaty pracownicze.

Z zagadnieniem przyspieszenia tempa rozwoju gospodarczego łączy się ściśle aspekt społeczny. W tym zakresie panuje obecnie klimat niezdrowy i pełen napięcia. Postawa francuskich mas pracowniczych była w ciągu ostatnich trzech lat raczej umiarkowana. W oczekiwaniu na załatwienie sprawy algierskiej i aby nie stwarzać trudności szefowi państwa, którego politykę w tej dziedzinie uznaje przytłaczająca większość społeczeństwa, syndykaty niekomunistyczne ograniczyły akcję rewindykacyjną do minimum, z czym musiała się liczyć także potężna centrala syndykalna C.G.T., będąca narzędziem partii komunistycznej. Przedłużanie się impasu algierskiego, niedostateczne zaspakajanie żądań mas pracowniczych, bezustanny nacisk komunistyczny na syndykaty i partie lewicowe, zwłaszcza na utworzoną niedawno Socjalistyczną Partię Zjednoczoną (P.S.U.) w kierunku porozumień o charakterze frontowo-ludowym, a wreszcie niedostateczne współdziałanie między rządem Michel Debré i syndykatami, wszystko to wywołało klimat głębokich zadrażeń i napięcia. W kwietniu miała się rozpocząć na szeroką skalę akcja strajkowa o charakterze rewindykacyjnym. Wybuch wojskowej rewolty algierskiej i apel szefa państwa o pomoc mas spowodował odroczenie tej akcji. W dwa tygodnie później rozlała się ona na cały kraj, jak powódź wiosenna, dosłownie nazajutrz po przemówieniu de Gaulle'a, w dniu 8 maja.

Chodzi o to, że działając jeszcze w ramach rygorystycznego systemu finansowego, stworzonego przez Piney'a i kontynuowanego po jego odejściu, rząd Debré ogranicza się do minimalnych podwyżek płac, wytargowywanych z trudem i w atmosferze wzajemnej nieufności, a zmierzających tylko do wyrównania

pracownikom sektora publicznego następstw wzrostu cen. Jeżeli chodzi o sektor prywatny, to szef rządu zwrócił się do czynników patronalnych z zaleceniem ograniczenia podwyżek, wywołując tym gwałtowny protest syndykatów. Przedstawiciele świata pracy domagają się nie tylko wyrównania następstw wzrostu cen, przychodzącego zawsze z wielomiesięcznym opóźnieniem, ale podwyższenia standingu materialnego ludności przez dostosowanie podwyżek do tempa ekspansji przemysłowej, w której masy pracownicze odgrywają przecież zasadniczą rolę.

Jednocześnie z presją na odcinku pracowniczym, zaostriżł się nacisk prawicy, zarówno skrajnej, jak i umiarkowanej (tzw. Niezależni). Dzięki paradoksom francuskiego życia politycznego i podtrzymywanej uporczywie przez szefa państwa fikcji jedności narodowej, stronnictwo Niezależnych wchodzi do większości rządowej i posiada dwie teki ministerialne, pomimo, że jego poważny liczbowo odłam zwalcza namiętnie politykę zagraniczną i wewnętrzną gen. de Gaulle'a zarówno w terenie, jak w obydwóch izbach parlamentarnych.

Wejście na tory gospodarki planowej i konieczność rozwiązania zagadnień społecznych przez zapewnienie masom pracującym udziału w wynikach ekspansji, oraz przez załatwienie ciągle odkładanych przemian strukturalnych, musi doprowadzić, zdaniem niektórych wybitnych gaullistów, do zerwania z fikcją jedności narodowej, tamującą wszelki postęp i do przesunięcia postawy politycznej rządu na lewo. Przypisuje się szefowi państwa zamiar wprowadzenia do rządu socjalistów (S.F.I.O.), z których przywódcą — Guy Mollet'em — spotyka się on periodycznie na dłuższych rozmowach. Oczywiście, przejście socjalistów z opozycji do większości rządowej jest mało prawdopodobne, dopóki gen. de Gaulle sprawuje od dnia 23 kwietnia, na podstawie artykułu 16, władzę absolutną. Jest jednak pewne, że wprowadzenie w życie zapowiedzi z 8 maja na temat planu państwowego i mogące stąd wynikać następstwa gospodarcze i społeczne, musiałyby doprowadzić do opuszczenia większości rządowej przez znaczny odłam Niezależnych i do zbliżenia z socjalistami. W ten sposób, nie zaniedbując tak bardzo mu odpowiadającej formy demokracji bezpośredniej (podróże i kontakt osobisty z masami, referendum), de Gaulle zapewniłby sobie bardziej czynne, niż obecnie współdziałanie „pośredników”, czyli polityków, z których wskazaniem masy francuskie liczą się mało w chwilach bezpośredniego kontaktu z szefem państwa, ale którym, z braku innej alternatywy, dochowują wierności w okresie wyborów parlamentarnych.

Epoka Salariatu

Poza powyższą kliszą bieżących konfliktów narasta jednak głęboki ferment, mogący doprowadzić do zasadniczych i rewolucyjnych przemian strukturalnych.

Wielka rewolucja francuska ulegalizowała przodującą w życiu narodu rolę burżuazji. Wyrazem demokracji burżuazyjnej stał się omnipotentny, zwłaszcza po wojnie 1870/71 i aż do maja 1958, parlament wielopartyjny. Wewnętrzne podziały panującego społeczeństwa burżuazyjnego, których wyrazem było rozproszkowanie na partie, frakcje i grupy, broniące często interesów partykularnych, nie miały, bo mieć nie mogły, głębszego uzasadnienia programowego. Podobnie, jak w Polsce przed majem 1926 roku, parlament francuski liczył między dwiema wojnami nieraz do 16 ugrupowań, choć trudno było wymyślić 16 programów polityki zagranicznej, społecznej, gospodarczej, lub kulturalnej. To rozproszkowanie polityczne społeczeństwa burżuazyjnego spowodowało wzajemną neutralizację partyj, a z kolei nietrwałość większości rządowych, niemoc rządu i sparaliżowanie parlamentu.

Ten stan rzeczy mógł się utrzymywać, pomimo kryzysów wewnętrznych i zewnętrznych dopóty, dopóki burżuazja tworzyła najliczniejszą i najsilniejszą warstwę narodu francuskiego. Ale po drugiej wojnie światowej wszechwładny konstytucyjnie parlament, wraz ze swoją egzekutywą, przez beztroski eufemizm nazywającą się rządem, okazał się niezdolny do rozwiązania zasadniczych trudności politycznych — takich jak konflikt indochiński i później algierski — oraz społecznych. obrońcy starego porządku usiłują zapisać na aktyw parlamentu odbudowę życia gospodarczego i wielkie osiągnięcia w zakresie ekspansji przemysłowej. Zapominają jednak o tym, że organizm, który dostarczał wskazówek orientacyjnych inicjatywie prywatnej, a obowiązujących wytycznych inwestycjom publicznym, Komisariat Planu, zawdzięcza swe istnienie de Gaulle'owi, był bowiem przez niego powołany do życia w styczniu 1946, w drodze decyzji o charakterze autorytatywnym i z pominięciem debat parlamentarnych, z których tak śmiały projekt wyszedłby po upływie miesięcy, albo i lat, w formie okaleczonej, albo nie wyszedłby wcale.

Bezsilność parlamentu i wydzielanych przezeń formacji rządowych, spowodowała dezafektację mas, a w jej skutku — spadek zainteresowania wyborami i wreszcie całkowite niemal zubożnienie na losy systemu konstytucyjnego IV Republiki, która w maju 1958 roku nie znalazła obrońców. Politycy i dziennikarze, chorujący na nostalgię dawnego porządku, twierdzą, że to autorytatywny system rządów de Gaulle'a spowodował zubożnienie społeczeństwa i jego depolityzację. W rzeczywistości, wybory parlamentarne z roku 1958, a więc przeprowadzone już po upadku IV Republiki, były jedynymi od 75 lat o tak masowym udziale wyborców, a to dzięki obecności de Gaulle'a u steru rządów. W czerwcowych (tegorocznych) wyborach kantonalnych opartych na kandydaturach partyjnych nie stało się do urn wyborczych 43 % uprawnionych do głosowania. Ale w ostatnich wyborach kantonalnych, przeprowadzonych za IV republiki, ilość niegłosujących wynosiła już 41 %. Zestawienie tych dwóch cyfr dowodzi, że mamy do czynienia z procesem,

trwającym od dawna, a nie wywołanym przez fakt zmiany reżymu politycznego.

Istotną przyczyną tych zjawisk znajduje się gdzie indziej. W drugiej połowie XIX wieku kapitalizm burżuazyjny stworzył przemysł nowoczesny. W drugiej połowie XX wieku olbrzymi rozwój przemysłu zabił, a co najmniej w najwyższym stopniu osłabił burżuazję. Przystaje ona być warstwą dominującą w życiu gospodarczym i społecznym Francji. Wbrew prorocostwom Marksa, burżuazji nie zastąpi proletariatus, bo on w tym kraju, jak i we wszystkich krajach przemysłowych Europy Zachodniej, od dawna nie istnieje. Nie może istnieć proletariatus w kraju, w którym 1/5 parku samochodowego, liczącego przeszło 5 milionów wozów, należy do robotników, dostarczających corocznie 30% nowych zamówień, zmuszając przemysł samochodowy do orientacji na budowę małych modeli. Proletariatus został zastąpiony przez *salariat*, nową warstwę społeczną, obejmującą obecnie 3/4 zawodowo czynnej ludności Francji. Identyczność, a przynajmniej pokrewieństwo interesów pracowników, żyjących nie z eksploatacji własnych zakładów rzemieślniczych, handlowych, lub przemysłowych, lecz z uposażenia za pracę najemną, wytworzyły solidarność interesów pomiędzy robotnikami, kadrami przedsiębiorstw prywatnych, personelem nauczającym i urzędnikami państwowymi. Świat pracy w najszerszym tego słowa znaczeniu, czyli *salariat*, stał się pierwszą siłą społeczną Francji i zaczyna sięgać po rolę przodującą w życiu narodu, podobnie, jak uczyniła to burżuazja w okresie Wielkiej Rewolucji. Różnica polega na tym, że burżuazja nie posiadała przed rokiem 1789 skutecznych organów walki, które mogłyby ją doprowadzić do zwycięstwa drogą ewolucyjną. *Salariat* drugiej połowy XX wieku posiada potężne narzędzie nacisku w syndykatach, zdolne do stopniowego pokonywania wszelkich oporów.

Ruch syndykalny, będący wyrazem woli *salariat*, nie chce ograniczać się do roli organu reindykacyjnego w zakresie płac, jak to było dotychczas. Opuszczając stopniowo anachroniczną platformę walki klas (wbrew stanowisku komunistycznej CGT), uzasadnioną, dopóki istniał proletariatus, przejawia on coraz wyraźniej skłonność do współdziałania w kierownictwie życia gospodarczego, przede wszystkim przez zapewnienie sobie właściwego miejsca i znaczenia w przyszłej organizacji Planu, tak na szczeblu naczelnym, jak regionalnym i zakładowym. Spełnienie ich postulatów na tym odcinku syndykatus uważa będą za warunek wprowadzenia demokracji gospodarczej. Jednocześnie syndykalizm francuski ujawniać zaczyna skłonność do porzucenia platformy apolitycznej. Oczywiście, nie mógł on włączyć się do parlamentu IV, ani V Republiki, jako jedna z jego frakcji, skazana, jak inne, na bezsilność. Jakkolwiek organizacje syndykalne dalekie są jeszcze od wypracowania jakiejś wspólnej koncepcji przyszłego parlamentu, wyraźnie zarysowuje się tendencja do dokonania na tym odcinku radykalnych reform strukturalnych, mających w przyszłości zmienić rolę i podstawę rekrutacyjną

przedstawicielstwa narodowego epoki *salariat*. Francja znalazła się na progu, a może jest już w toku, nowej rewolucji społecznej, posiadającej wszystkie dane ewolucyjnego przebiegu dzięki potędze zorganizowanego *salariat*, o wiele przewyższającej siłę burżuazji przed rokiem 1789. Powodzenie tej rewolucji nie mogłoby pozostać bez wpływu na układ stosunków społecznych i gospodarczych w całej wolnej części Europy, musiałoby zapewnić nowemu, francuskiemu modelowi demokracji siłę przyciągania w krajach satelickich Europy Środkowej i Wschodniej, oznaczając jednocześnie powrót Francji do historycznej roli dostarczycielki nowych idei.

De Gaulle

Nie po raz pierwszy w historii ostatnich dwudziestu dwóch lat de Gaulle znalazł się na skrzyżowaniu nowych i starych prądów, zmuszając wyrażające je zespoły ludzkie do determinowania się poprzez stosunek do jego własnych zamierzeń.

Partyjna lewica polityczna znalazła się w potrzasku sprzeczności wobec samej siebie. Uformowana przez parlamentaryzm burżuazyjny i nasiąkła jego wpływami, zwalcza wielki zakres władzy de Gaulle'a wyłącznie ze względów doktrynalnych, w imię zasad demokracji burżuazyjnej, z którą pragnie zerwać. Wolałaby dokonać przemian drogą debat, wiedząc z góry, że nie doprowadziłyby one do niczego. Bierze za złe de Gaulle'owi, że realizuje bez jej udziału zasadnicze pozycje jej programu, jak w sprawie algierskiej, lub w zapowiedziach o przyszłej gospodarce planowej*). Jednocześnie zdaje sobie sprawę z tego, że tylko on może w istniejącej strukturze politycznej dokonać zasadniczych zmian, tak, jak to on przeprowadził w latach 1944/46 upaństwowienie gazu, elektryczności, wielkich banków, zakładów samochodowych Renault, rozbudowując jednocześnie system ubezpieczeń społecznych i stwarzając Komisariat Planu.

Z zaplątania się niekomunistycznej lewicy w labirynt sprzeczności wewnętrznych najlepiej zdaje sobie sprawę Guy Mollet, przywódca S.F.I.O., jeden z nielicznych premierów IV Republiki o kalibrze prawdziwego męża stanu. Próbuje on obecnie stworzyć związek przyszłej większości rządowej, zbierając u siebie przedstawicieli własnej partii, syndykatów niekomunistycznych, oraz lewicowych gaullistów, (U.D.T. — Demokratyczne Zjednoczone Pracy) i radykałów. Jest to pierwsza próba wprowadzenia niekomunistycznego ruchu syndykalnego na widownię polityczną i zainicjowania tą drogą walki o nowy typ demokracji. Do tej koncepcji przyłączy się bez trudności M.R.P. (Ludowy Ruch Republikański o ideologii chrześcijańskiej), a

*) Oczywiście, nie jest de Gaulle człowiekiem lewicy. To prąd historii kieruje go na rozwiązania, w których często rozpoznaje się lewicę, rzadko — prawicę, a które wynikają z jego wizji historycznej na rolę nowoczesnego państwa.

może nawet poważny odłam U.N.R., oficjalnej partii gaullistowskiej (tendencja Chaban-Delmas, Chalandon). Ewentualna zgoda de Gaulle'a na posłuszenie się nowego ugrupowania jego nazwiskiem przesądziłaby o powodzeniu tej koncepcji.

Stosunek skrajnej (faszyzującej) i umiarkowanej prawicy francuskiej do de Gaulle'a będzie ulegał w najbliższej przyszłości coraz bardziej bezwzględnemu zaostrzeniu. Prawica francuska, obok potężnej kiedyś partii radykalno-socjalistycznej, była i usiłuje być jeszcze obecnie wyrazicielką demokracji parlamentarnej typu burżuazyjnego. Mimo wielu jednostek, które w czasie wojny wzięły udział w ruchu oporu, była ona pétainowska, jako warstwa społeczna. W de Gaulle'u odczuła zagrożenie od pierwszej chwili jego zjawienia się na scenie politycznej. Uznawała go zawsze za człowieka lewicy, a nawet rewolucjonistę, realizującego postulaty lewicowe metodą autorytatywną. W roku 1958 prawica umiarkowana, Niezależni, nie podzielała złudzeń skrajnych nacjonalistów algierskich i ich odpowiedników w metropolii na temat de Gaulle'a. Jeżeli głosowała za nim, jeżeli prawicowa większość kolegium wyborczego opowiedziała się za jego kandydaturą na prezydenta Republiki, to tylko dlatego, że inaczej uczynić nie mogła, pod grozą utraty własnej klienteli wyborczej. Wątpliwe, aby de Gaulle mógł liczyć na powtórny wybór przez to samo kolegium, jeżeli zechce ubiegać się po raz drugi o mandat prezydencki. Dokona on prawdopodobnie zmiany konstytucji wprowadzając postanowienie o wyborze prezydenta w drodze powszechnego głosowania ludności, co zresztą odpowiada jego skłonnościom do stosowania demokracji bezpośredniej, o ile możliwości bez „pośredników” partyjnych. Prawica francuska jest obecnie jedyną siłą polityczną, zmierzającą do odbudowy życia parlamentarnego starego typu. Użyje ona wszystkich środków, a są one potężne, nie tyle jeśli idzie o wyprowadzenie mas ludzkich na ulicę, ile w zakresie wpływów zakulisowych i olbrzymich środków finansowych, których nie poskąpi, aby opóźnić proces odbywających się zmian politycznych i społecznych.

W poczuciu misji

Podobnie, jak Marszałek Piłsudski, de Gaulle zarezerwował sobie kierownictwo polityki zagranicznej, aby osobiście czuwać nad interesami Francji i powodzeniem jej misji w świecie. Jednocześnie wziął na siebie kierownictwo i odpowiedzialność za przeprowadzenie procesu dekolonizacyjnego dawnego, francuskiego imperium afrykańskiego.

François Mauriac napisał niedawno:

„Ah, jakże byłby szczęśliwy de Gaulle, gdyby miał w swych potężnych rękach te same karty, co Chruszczow, albo Kennedy! Wyobrażam sobie, że odczuwa on nieraz aż do rozpacz dysproporcję pomiędzy swymi

wielkimi koncepcjami i skąpych możliwościach dzisiejszej Francji. Nie posiada on wprowadzić narzędzi wielkości, ale za to posiada dokładne wyzucie tego, co nieuniknione”.

Istotnie, narzędzia materialne, którymi rozporządza generał de Gaulle dla prowadzenia wielkiej polityki, są raczej skromne. Z cyfr, podanych na początku tego artykułu wynika, że jako potęga gospodarcza, zajmuje Francja w Europie Zachodniej trzecie miejsce, po Niemczech Federalnych i W. Brytanii, a piąte w skali światowej, w wielkiej odległości za Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim. Szef państwa francuskiego potrafił jednak przekształcić w siłę polityczną dwie cechy położenia geograficznego swego kraju. W Europie bez udziału, a więc i bez wpływu, Francji niemożliwa jest żadna koncepcja obrony świata zachodniego przed zagrożeniem sowieckim, ani żadna logiczna struktura gospodarcza. Bez udziału, a więc i bez wpływu, Francji nie mógłby istnieć OTAN, ani Wspólnota Węgla i Stali, ani Europejska Wspólnota Gospodarcza, ani opracowywana obecnie organizacja polityczna starego kontynentu.

Dla wpływu na politykę światową de Gaulle wykorzystuje również położenie geograficzne Francji po obu stronach morze Śródziemnego i zorganizowany przez siebie zespół państw murzyńskich, sięgający, z jednej strony, w głąb Afryki równikowej, a z drugiej strony do wybrzeży Oceanu Indyjskiego (Madagaskar, Somali). Dla wzmocnienia tego argumentu potrzebny jest mu związek z Algierem, za który zdecydował się zapłacić udzieleniem niepodległości i różnego rodzaju pomocami, do których tylko Francja jest zdolna. Dekolonizując francuską Afrykę, złożył de Gaulle dowód wyczucia tego, co nieuniknione, starając się z nieuniknionego wysnuć jak najwięcej atutów dla zdobycia przez Francję wpływów na politykę światową. Tego właśnie nie umieli dostrzec Francuzi algierscy, frondujący generałowie i skrajna prawica w metropolii.

Nad całością tych argumentów panuje argument chyba najważniejszy, a jest nim wola wielkiego człowieka, wynikająca z mistycznego niemal utożsamienia się z Francją i z jej misją państwową i ogólnoludzką. Poczucie misji jest zresztą jedynym mistycyzmem, na który pozwala sobie ten chłodny realista w codziennej pracy rządzenia.

Kiedy de Gaulle wysłał we wrześniu 1958 do ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych znany list z propozycją wspólnego decydowania w sprawach obrony i polityki światowej przez mocarstwa posiadające interesy światowe — a więc także przez Francję obok dwóch państw anglosaskich — poczytywano mu to niemal za impertynencję i to nie tylko w Londynie i Waszyngtonie, ale nawet we Francji. Ale de Gaulle istotnie posiada wyczucie tego, co możliwe i nieuniknione. Nie odchyliwszy się ani na chwilę od raz powziętego zamiaru, odmawiając konsekwentnie automatycznego solidaryzowania się z decyzjami, powziętymi bez jego udziału, zdołał wreszcie przekonać prez. Ken-

tedy w czasie niedawnej wizyty paryskiej do konieczności wzajemnej konsultacji trzech mocarstw zachodnich w sprawach polityki światowej. Od tej pory Francja jest konsultowana przez Departament Stanu na równi z W. Brytanią. Oczywiście, wbrew prawniczej kulturze francuskiej, realista i pragmatyk, jakim jest de Gaulle, nie postawił ani przez chwilę warunku przekształcenia osiągniętej zgody w ujęcie instytucjonalne, które nie istnieje zresztą pomiędzy Stanami Zjedn. i W. Brytanią. Istotne są dla niego fakty, a nie formuły prawne.

Jakkolwiek rujnący jest wysiłek atomowy Francji, de Gaulle zdecydowany jest go kontynuować aż do uzyskania pełnej współpracy i pomocy technicznej Stanów Zjednoczonych, gdyż wychodzi z założenia, że Europa sojuszu atlantyckiego powinna być uzbrojona w broń atomową, żeby móc się bronić skutecznie, w razie zawahania się Stanów Zjednoczonych przed jej użyciem w wypadku gdyby najazd sowiecki nie był bezpośrednio skierowany przeciw ich obszarowi terytorialnemu. Małe możliwości Francji w tej dziedzinie nie mają, zdaniem specjalistów, większego znaczenia, gdyż nawet kilka bomb, z których każda byłaby w stanie zniszczyć jedno wielkie miasto, może wystarczyć dla odstraszania przeciwnika. Wszystko sprowadza się do posiadania środków transportowych. Niezależnie od opracowanego już prototypu samolotu „Mirage IV”, Francja posiadać będzie koło 1968 roku raketę do wyrzucania pocisków atomowych i prawdopodobnie jedną o tych samych możliwościach, atomową łódź podwodną. De Gaulle traktuje ten przyszły, choć niewielki arsenał atomowy, jako narzędzie, mające zapewnić niepodległość Francji i Europy ze wszystkimi możliwościami manewru politycznego, jakie stąd mogą wynikać. Posiadanie tego arsenału powinno zapewnić jednocześnie Francji rolę lidera europejskich członków paktu atlantyckiego.

Sprawą najbardziej sporną, zarówno na gruncie międzynarodowym, jak w kołach politycznych francuskich, jest negatywny stosunek szefa państwa do integracji zarówno wojskowej w ramach OTAN'u, jak politycznej w ramach Europy. Wychodząc z założenia, że żołnierz może się bić i umierać tylko za ojczyznę i że w obecnym stanie rozwoju kulturalnego ojczyzna europejska jeszcze nie istnieje, wołałby de Gaulle, aby OTAN był bardzo ścisłym sojuszem o wspólnej wprawdzie organizacji najwyższych dowództw, jednolitej doktrynie i znormalizowanym uzbrojeniu, ale złożonym z armii narodowych. Z tego samego powodu nieistnienia ojczyzny europejskiej przeciwstawił się szef państwa francuskiego projektowi federacji, nie jako idei, a jako pierwszemu etapowi. Wysunął koncepcję konfederacji państw narodowych, skwapliwie przyjętą przez czterech partnerów Francji w nadziei, że na długą metę droga prowadzi przez ten szczebel pośredni do Europy sfederowanej. Jedynie Holandia zajęła stanowisko oporne, uzależniając swój ostateczny akces od zaproszenia W. Brytanii do udziału w przyszłej konfederacji.

Przy głębszej analizie nie trudno się dopatrzeć w tym

pozornym starciu idei, czy doktryn, ostrożnego manewrowania de Gaulle'a w stosunku do zagadnienia niemieckiego. Szef państwa francuskiego jest na pewno szczerym zwolennikiem zblżenia z Niemcami i nadania wzajemnym stosunkom jak najbardziej przyjacielskiego charakteru. Jest jednak daleki od rzucenia się w ramiona niemieckie bez zastrzeżeń. Federacja, połączona z integracją oznaczałaby prawdopodobnie gospodarczą i polityczną hegemonię niemiecką o nieobliczalnych konsekwencjach. De Gaulle woli związek luźniejszy, raczej konfederalny, jako pozostawiający pewne pole manewru politycznego, tym bardziej, że problem niemiecki będzie wisiał w powietrzu tak długo, dopóki istnieć będą dwa państwa niemieckie. Wypowiadając się za granicą wschodnią Niemiec na linii Nysy i Odry, dał do zrozumienia, że wołałby, aby w razie zjednoczenia Niemcy nie były zbyt potężne. Okazując na wielu odcinkach życzliwość Polsce, zdaje się trwać przy swojej idei rozszerzenia Europy poza żelazną kurtynę, jak gdyby dla zdobycia po przeciwległej stronie przeciwwagi wobec niemieckiego partnera wewnątrz konfederacji. Solidaryzując się z Kennedym w sprawie Berlina, szef państwa francuskiego nie koniecznie musi widzieć w zdecydowanej postawie cel ostateczny i statyczny. Może to być ustalenie się w pozycji siły dla poszukiwania innych rozwiązań.

Równoległe do budowy konfederacji europejskiej pragnąłby de Gaulle przeprowadzić do końca swoją koncepcję afrykańską i dlatego poświęci wiele, aby utrzymać Algier w taki, czy inny sposób, w jakiejś asocjacji z Francją. Rozwiązanie sprawy algierskiej powinno mu pozwolić na wycofanie do metropolii większości wojska uwięzionego dziś na ekscentrycznym w stosunku do głównych zadań Francji teatrze operacyjnym i na stworzenie nowoczesnej armii na miarę wymagań epoki nuklearnej. Zastosowanie zasad gospodarki planowej na szerszą niż dotychczas skalę będzie miało na celu przyspieszenie ekspansji przemysłowej i rozwój opóźnionego dziś rolnictwa, oraz ułatwienie przebudowy stosunków społecznych i struktury organizacyjnej państwa francuskiego. Z takim to dopiero wkładem pragnąłby de Gaulle zespalać Europę, o ile możliwości zachowując dla Francji rolę przodowniczą. Nie chodzi tu na pewno o nową formę imperializmu, ale o głębokie przekonanie, że tylko przy wpływie francuskim może ostać się Europa nowoczesnej demokracji, wolnego człowieka i wolnej kultury.

Z punktu widzenia polskich interesów powinna nam bardziej odpowiadać koncepcja konfederalna de Gaulle'a od szybkiej realizacji idei federacyjnej. Dopóki próbujemy szerzyć ideę pasa neutralnego, jako jedyne, teoretycznie możliwego wyłączenia Polski, Czechosłowacji i Węgier z orbity sowieckiej, dopóty nie możemy być zwolennikami federacji. Jest bardzo wątpliwe zjednanie gen. de Gaulle dla idei pasa neutralnego, gdyż uważa on Niemcy adenauerowskie za niezbędny element organizacji obronnej świata zachodniego, ale jest zupełnie pewne, że realizacja federacji, w połączeniu z integracją przekreśli-

laby ideę pasa neutralnego czy jakąkolwiek inną ideę, odbiegającą od *status quo*, usztywniła strukturę Europy Zachodniej i zaryglowała ściślej, niż obecnie żelazną kurtynę. Nie wiadomo zresztą, czy w razie odzyskania niepodległości nie wolelibyśmy, z podobnych, co Francja powodów, związać się z Europą na zasadach konfederalnych, co najmniej na okres dłuższej próby. Czuliśmy się, jak i czujemy, najpierw Polakami, a dopiero później Europejczykami.

Jak wynika z naszych rozważań, Francja przechodzi przez okres głębokich przekształceń na wszystkich odcinkach życia narodowego na skutek zaważenia się w maju 1958 roku pewnej epoki, należącej już do historii. Jedne z tych przekształceń są wynikiem planowych zamierzeń, inne narzucają się spontanicznie, jako przejaw fermentów społecznych. Ich zakres, a często sprzeczności są tak olbrzymie, że przy starciu zespołowym nie byłoby możliwe utrzymanie wydarzeń w ramach ewolucyjnych. Nad rozkołysaną społecznie i politycznie Francją panuje dzisiaj wola jednego człowieka. Generał de Gaulle jest fenomenem, rzadko spotykanym w przeszłości, jeśli chodzi o zasięg i jasność wizji historycznej. Źródłem jego nieprawdopodobnej siły jest wiara w misję Francji wiecznej, a na skutek mistycznego utożsamienia się z Francją wiara w misję własną. Z tego źródła czerpie soki żywotne jego nieprawdopodobna energia, wytrwałość i odwaga, intelektualna i fizyczna, ta ostatnia sprawiająca tyle kłopotu organom służby bezpieczeństwa. Oczywiście, nie jest de Gaulle wszechmocny. Niedawno przeprowadzona ankieta potwierdza wprawdzie, że 75% Francuzów posiada do niego zaufanie. Pomimo wrogiego, lub niechętnego stosunku większości partii wzywających do bojkotu oficjalnych podróży szefa państwa po prowincjach francuskich, tłoczą się przed nim nieprzeliczone tłumy, żądne, jak i on, kontaktu bezpośredniego. Nie wiadomo jednak, czy de Gaulle'owi starczy czasu na wykonanie w całości misji, jaką sobie nakreślił. Niepłodzenie jego koncepcji algierskiej mogłoby obalić jego samego. Dla opanowania w całości sytuacji, którą staraliśmy się zarysować w tym artykule, potrzebny mu jest powtórny mandat prezydencki. Wątpliwe, by go uzyskał od kolegium wyborczego z 1958 roku, wśród którego panuje nostalgia za stojącym stawem Piney'owskim. Będzie musiał dokonać zmiany konstytucji, aby umożliwić wybory prezydenta przez cały naród w głosowaniu powszechnym. Jest stały i wystawiony na ciągłe zagrożenie życia, a to nie sprzyja nadmiernemu angażowaniu się ludzi, myślących o własnych karierach. A przecież przyszłość Francji a w pewnej mierze i Europy zależy od tego, czy Francuzi w okresie mandatu de Gaulle'a potrafią przejąć od niego wiarę w misję Francji i kontynuować zbiorowym wysiłkiem realizację celów, które dzisiaj nakreśla wola jednego człowieka.

Paryż, 12 czerwca 1961.

AL. KAWAŁKOWSKI

Kronika angielska

TEORIA DIASPORY

Czy istnieją tylko te dwie możliwości: emigracja polityczna albo Polonia?

Czytając po raz drugi książkę Czaykowskiego i Sulika (po raz pierwszy czytałem ją w maszynopisie) uzmysłowilem sobie w pełni, że przez ubiegłą dekadę nie wypracowaliśmy żadnej własnej teorii diaspory. Nie chodzi w tym wypadku o jakąś fikcyjną, papierową konstrukcję lecz o wyciągnięcie pewnych wniosków z doświadczeń ku pożytkowi tych, którzy z doświadczeń zdolni są korzystać.

Młodzi uczeni socjologowie, jak na przykład Jerzy Zubrzycki, traktują emigrację jako zjawisko masowe i zainteresowani są w prawidłowościach, które można ująć w formę statystyk i wykresów.

Obserwując uważnie emigrację polską od wielu lat nie jako socjolog, lecz jako emigrant i publicysta — doszedłem do wniosku, że wyznacznikiem emigracji jest suma jej „nietypowości”. Wszędzie liczą się ludzie nieprzeciętni, ale na każdej emigracji liczą się więcej niż gdziekolwiek indziej. Jeżeli mówimy o „Wielkiej Emigracji” mamy na myśli zawsze parę nazwisk wybitnych ludzi. Ilekroć w rozmowach z moim redaktorem wysuwam jakiś nowy projekt — nieodmiennie pada odpowiedź: „Dobrze — ale skąd wzięć ludzi?”.

Emigracja potrzebuje uzdolnionych ludzi w znacznie większym stopniu niż jakąkolwiek inną społeczność. I to jest zrozumiałe. Emigracja jest bardzo trudną *way of life*. Wydawać dobre pismo po polsku nigdy nie należało do rzeczy łatwych. Ale o ileż trudniej jest wydawać dobre polskie pismo w nietypowych warunkach, tzn. w Paryżu, w Londynie czy w Melbourne. To samo dotyczy książek, prasy literackiej, politycznej — jednym słowem wszystkiego.

Źródłem wielu nieporozumień jest problem naturalizacji. Nie chodzi w tym wypadku o paszport lecz o autentyczną naturalizację. Jerzy Zubrzycki analizując problemy asymilacyjne w swojej książce „The Polish Immigrants in Britain”, rozróżnia trzy stadia asymilacji: stadium konfliktu, stadium akomodacji i stadium właściwej czyli pełnej asymilacji.

Znam wiele wypadków, które nie tylko nie potwierdzają tej teorii o trzy-stopniowej ewolucji lecz ilustrują ruch odwrotny od stadium akomodacji ku stadium powtórnego konfliktu.

W jednej z Kronik zwróciłem kiedyś uwagę, że gminy polskie w Londynie zaczęły rozwijać się w okresie upadku centralnych politycznych organizacji emigracyjnych. W gminach znakomitą większość stanowią emigranci całkowicie zaakomodowani — a więc właściciele nieruchomości, sklepów, zakładów przemysłowych, przedstawiciele wolnych zawodów, urzędnicy itp. W znacznym procencie są to ludzie — jak na polskie warunki — dobrze sytuowani i ustabilizowani.

Jest rzeczą interesującą, że wśród tych zaakomodowanych i ustabilizowanych spotyka się sporo swojego rodzaju „anglofobów”. Znam panów na rządowych stanowiskach, którzy w Anglii ukończyli wyższe studia. Czternaście lat temu panowie ci byli filobrytyjscy często do przesady. Dziś taki gentleman gdy ma za sobą 10 lat pracy w czysto brytyjskiej instytucji decyduje się na drogę powrotną. Jest członkiem-założycielem jednej z polskich gmin w Londynie i prenumeruje „Dziennik Polski” wraz z jego tygodniowym dodatkiem. Pan, którego mam na myśli, nie jest anglofobem zoologicznym, jak Mackiewicz, ale w stosunku do Anglików wykazuje wiele gorzkiego krytycyzmu. Ten swoisty anglofobizm maskuje zwykle poczucie osobistego rozczarowania.

Inteligenci polscy, którzy po wyjściu z wojska w nieco spóźnionym wieku rozpoczynali studia w Anglii wyobrażali sobie to wszystko zgoła inaczej. Wielu z nich świadomie szło po linii pełnej naturalizacji, aż po zmianę nazwiska włącznie. I w tej grupie spotkać można dziś największy procent zawiedzionych. Nieporozumień w tej materii uniknęli na ogół polscy Żydzi, ponieważ Żydzi mają wiekowe doświadczenie w tej sprawie i własną, wypróbowaną teorię diaspory.

Jedną z przyczyn obecnego poczucia zawodu był kompletny brak znajomości Anglii i Anglików. Anglicy w kasynie oficerskim w Rzymie, w NAAFI w Bagdadzie, czy pod bronią w wojennej Anglii — a cywilni Anglicy w cywilnej normalnej Anglii to są dwie rzeczy całkowicie różne. Na drugim miejscu wymienilibym polski, a raczej słowiański, kompleks niższości wobec Zachodu. Ów kompleks przybiera zwykle dwie skrajne formy: zarożumiałej, szowinistycznej arogancji — albo odwrotnie, skłonności do ponizania wszystkiego co polskie.

To może śmiesznie zabrzmieć ale jeszcze dziś, po tylu latach, wielu Polaków nie zdaje sobie dokładnie sprawy co znaczy być naturalizowanym obywatelem brytyjskim. Czy odchodząc od polskości automatycznie przybliżamy się do brytyjskości? Czy naturalizacja polega na stopniowym wyrzekaniu się jednej kultury i stopniowym przyswajaniu sobie kultury kraju osiedlenia? Czy na to by zapuścić korzenie w nowej ojczyźnie trzeba spowodować obumarcie dawnych powiązań?

Koestler w swojej autobiografii opisuje dokładnie proces pełnej naturalizacji. Zaczął nie tylko pisać po angielsku, ale i myśleć po angielsku i tylko w snach nachodziły go frazy w innych językach. Zaczął wolno wrastać w otoczenie, kulturę, w modłę życia i, jak sam to określił, zapuszczać korzenie.

Przed kilku laty w Anglii dyskutowano szeroko problem kary śmierci. Wówczas Koestler napisał książkę na ten temat. Przypomniał Anglikom, że w przeszłości wieszali dzieci, że wieszali za kradzieże i inne drobne wykroczenia. Wykiplł określenie jednego z obecnie urzędujących katów angielskich, że Brytyjczycy lepiej zachowują się na szafocie niż cudzoziemcy. Koestler poszedł śladem Camusa, którego „Reflexions sur la peine capitale” — są jednym z najbardziej wstrząsających esejów jaki wyszedł spod pióra autora „Dżumy”.

Wyjątki z książki Koestlera ukazały się na łamach „The Observer”. W dyskusji, jaka się wywiązała przypomniał Koestlerowi, że jest... Anglikiem tylko poprzez naturalizację. Koestler nabral woda w usta na ten temat a książkę pokryto całunem milczenia.

Analizować czy krytykować wyniki królewskiej komisji, powołanej do zbadania problemu kary śmierci — to znaczy mieszać się w wewnętrzne społeczne sprawy Brytyjczyków. To jest jedno z wielu „tabu”, którego żadnemu cudzoziemcowi przekroczyć nie wolno.

Nieporozumienie polegało na tym, że Koestler uważał się za Brytyjczyka i sądził, że korzysta w Anglii z tych samych praw co Camus we Francji. Ale tak nie jest. Koestler choćby zapuścił kilometrowe korzenie w Anglii — choćby w snach przestał mówić po niemiecku, do końca swoich dni będzie tylko naturalizowanym cudzoziemcem i niczym więcej.

Conrad pragnął uchodzić za wiktoriańskiego, angielskiego gentlemana. Gentlemanem był niewątpliwie, ale za Anglika nikt go nie uważał. Bertrand Russell w swoich „Portretach z Pamięci” — pisze, że Conrad wyglądał od stóp do głów na polskiego szlachcica ziemianina. Mówił — jak wiadomo — z fatalnym akcentem co zresztą zapoczątkowało jego przyjaźń z Russellem. Podróżując statkiem, którym dowodził Conrad — Russel uznał za rzecz na owe czasy zdumiewającą, że kapitan brytyjskiego statku mówi po angielsku z tak strasznym akcentem. Nawiązał z Conradem rozmowę, która zapoczątkowała zbliżenie tych dwóch wybitnych, choć jakże różnych pisarzy. Conrad był ojcem chrzestnym najstarszego syna Bertranda Russella.

Owa całkowita naturalizacja owa mutacja Konrada Korzeniowskiego w wiktoriańskiego gentlemana o nazwisku Joseph Conrad — nie była operacją szczęśliwą, choć była operacją artystycznie udaną.

Jean Jacques Mayoux, którego w pewnym sensie odkrywcze studium o Conradzie zamięściła „Twórczość” w doskonałym przekładzie Anny Iwaszkiewicz — pisze, że choć „Nie trzeba odczytywać słowa „Polska” w nazwie „Patna”, ale można odnaleźć nieodwracalną winę Conrada we wszystkich upadkach jego bohaterów”. Odczuł to nie Polak, ale Francuz.

„Natura moja ultra-słowiańska” — przyznawał Conrad. Jakże to pogodzić z mutacją i naturalizacją. Umarł — pisze Mayoux — wydając straszliwy okrzyk jak Kurtz w „Jądrze Ciemności”. Widma stały w drzwiach.

Wydaje mi się, że Conrad nie rozwiązał kompleksu „wierności dla sprawy absolutnie przegranej”. Dla niego Dostojewski był zbyt rosyjski. Myślę, że chciał przez to powiedzieć między innymi, że nie można być również zbyt polskim — bo owo „zbyt” wyklucza dystans.

Porównanie Gombrowicza z Conradem może się wydać na pierwszy rzut oka karkołomne — niemniej sądzę, że Gombrowicz zdobył większy dystans do „przegranej sprawy”. Bo zdobyć dystans to znaczy przeciwstawić się temu problemowi twarzą w twarz. Gdyby Conrad napisał po polsku swoją autobiografię lub gdyby prowadził po polsku dziennik — może nie umarłby tak jak Kurtz z widmami, których nie umiał pokonać.

Pietrkiewicz nie idzie śladami Conrada — jak twierdzą zanni Czaykowski i Sulik w swojej znakomitej książce. W przeciwieństwie do Conrada czy Koestlera, Pietrkiewicz wybrał właściwą drogę. Bowiem wniósł i wnosi do angielskiego pisarstwa, które zaadoptował — swój polski posąg. I to nie tylko jako naukowiec-polonista ale i jako pisarz. Anglicy od naturalizowanego obywatela brytyjskiego nie oczekują, że będzie udawał Anglika, którym nie jest i nigdy nie będzie. Oczekują natomiast, że wnieśie coś nowego, że będzie inny i oryginalny. To dotyczy nie tylko „obco-urodzonych”, ale i tu urodzonych z polskich czy „mieszanych” rodziców.

Znam młodych ludzi — i to jest jedna z przyczyn, dla której piszę tę notatkę, nie pierwszą z serii — którzy, młodzi ode mnie o 25 lat, są w niepomierne większym stopniu „Dipisami” niż ja. Bo co to jest „dipisowstwo”? „Dipisowstwo” to jest wykorzenie — to jest brak autentycznego zaplecza w sensie narodowym, tradycyjnym i kulturalnym.

Młody człowiek, który wyjechał z Polski kilkuletnim dzieckiem lub jego młodszy kolega, który urodził się tu, w polskim domu — jeżeli nie znają dokładnie polszczyzny wiszą między niebem i ziemią.

Adoptowana kultura jest zawsze macochą. Macochę można kochać jak rodzoną matkę i być przez nią kochanym. Ale poprzez macochę nie można mieć ani autentycznej babki ani autentycznego dziadka. Innymi słowy nie można mieć ani tradycji ani korzeni. Nie mając własnego zaplecza można być tylko adoptowanym „Dipisem” i niczym więcej.

Polacy którzy naturalizują się w Anglii nie rozumieją, że w tak osiadłym i tradycyjnym społeczeństwie jak angielskie lepiej jest mieć bogatą, obcą wprawdzie ale rzeczywistą, własną tradycję — niż nie mieć w ogóle zaplecza i zaczynać się od daty „Aliens Certificate”. Polacy — zwłaszcza ci „nad-gorliwi” — nie rozumieją, że w Anglii nic tak nie deklasuje, jak brak własnego wczoraj. Tego braku „wczoraj” nie nadrobi żaden samochód, ani żadne pieniądze.

Młodzi ludzie — bo rozważania niniejsze dotyczą przede wszystkim młodych — powinni zrozumieć, że, wbrew socjologom, łatwiej jest odzyskać własną narodową i kulturalną identyczność niż obcą w pełni nabyć.

Znam młodych ludzi, osiadłych tu czy w Stanach Zjednoczonych, którzy wahają się jaką drogę wybrać. Nieporozumienie polega na tym, że *de facto* nie ma przed nimi żadnego wyboru. Ponieważ nie wypracowaliśmy żadnej teorii diaspory — młodzi ludzie, o których mówimy — nie mogą zdobyć się na autodiagnozę by zdefiniować swoją pozycję. Wielu z nich należałoby określić jako podwójnych „dipisów”. Nie są bowiem ani stuprocentowymi Brytyjczykami (względnie Amerykanami) i nie są stuprocentowymi Polakami. Gdyby istniała dla nich szansa pełnej naturalizacji można by przyjąć, że to jest stan przejściowy. Ale w mojej opinii takiej szansy przed nimi nie ma. Będzie w nich zawsze zbyt wiele polszczyzny by mogli zostać *full-blooded* Brytyjczykami — a równocześnie jest w nich zbyt wielki osad brytyjskości, by bez wielkiego wysiłku powrócić mogli na łono polszczyzny.

W moim przekonaniu pełna adaptacja i naturalizacja w nowoczesnym sensie tych słów winna opierać się na harmonijnym przyswajaniu sobie obu kultur — to jest polskiej i brytyjskiej. Te dwa elementy bynajmniej się nie wykluczają, lecz przeciwnie, znakomicie się uzupełniają.

Conradowski Londyn to było angielskie wiktoriańskie miasto. Ale dziś Londyn jest brytyjską wprawdzie, ale wielorasową metropolią. Polak-obywatel brytyjski jest tym cenniejszym obywatelem brytyjskim im lepiej zna język polski i kulturę polską. Oczywiście pod warunkiem, że zna dobrze język i kulturę angielską. Tu nie chodzi tylko o użyteczność jaką zawsze daje znajomość trudnego języka — ale chodzi przede wszystkim o ów własny *back-ground* — o ów „wczoraj”, bez którego nie ma pełnej osobowości. Lepiej jest odkopać i odpielęgnować własne korzenie, choćby już trochę przywiędłe, — niż wmawiać w siebie i w innych, że plastykowo sztuczne korzenie brytyjskie są naszymi własnymi.

Uznanie tych faktów nie wyłącza ani lojalności, której należy oczekiwać od każdego obywatela, ani uczuciowego zaangażowania. Choć nie jestem brytyjskim obywatelem mój Chiswick darzę podobnym uczuciem jak Andrzej Bobkowski swoją Gwatemalę.

Wszystko co powiedzieliśmy powyżej dotyczy również młodych ludzi, którzy piszą lub zamierzają pisać po angielsku. Jest rzeczą bardzo trudną pisać w jednym języku, a coś dopiero w dwóch. Ale co innego jest dokonanie wyboru a co innego jest się odciąć. Młody Polak, który decyduje się pisać po angielsku powinien pielęgnować swoją polszczyznę, by mógł swobodnie w niej czytać i uczestniczyć w jej kulturze choćby biernie. Być może bowiem, że ta bierność ale rodowa więź wyznaczy z czasem jego pozycję jako pisarza tworzącego w języku angielskim.

Z NOTATNIKA KRAJOWEGO

Ludzie zawsze mówią o rzeczach, które uważają za najbardziej istotne. Zdumiewająca jest rozpiętość gamy rzeczy ważnych. Ale najważniejsze z ważnych to są sprawy, którym ludzie poświęcają wysiłek i umiłowanie całego życia, walcząc samotnie z obojętnością, ze złą wolą, z biurokracją, z polskim bezwładem.

Są ludzie w kraju, którzy od lat walczą i kolatają o zbiorowe wydanie dzieł Norwida. Sprawa natrafia na nieprzewyciężony opór — prawdopodobnie polityczny — co woła o pomstę do nieba. To jest skandal, w który po prostu wierzyć się nie chce. A jednak tak jest.

A oto przykład z innej dziedziny.

Na emigracji nikt nie zdaje sobie sprawy w jakich warunkach odbywają się w Polsce prace konserwatorskie. Pewne zabytki — zwłaszcza związane z kultem religijnym — skazuje się po prostu na likwidację.

W woj. rzeszowskim np. cudem boskim uchowało się kilka unikalnych cerkiewek. To są zabytki jedyne w swoim rodzaju. Z cerkiewek wyciąga się obrazy, świątki, figury, które mają być odnawiane w konserwatorskich pracowniach w Łańcutu. Ale Łańcut stanowi tylko „obóz przejściowy” dla tych przedmiotów, które kiedyś mają być rozparcelowane pomiędzy muzea. Oczywiście cerkwie, które obrabowuje się z przedmiotów kultu, skazane są na zagładę. Na konserwację nie ma pieniędzy.

Sklonny jestem przypuszczać, że organizacje katolickie, a w pierwszym rzędzie ukraińskie, pomogłyby finansowo do zakonserwowania i uratowania cerkiewek w rzeszowskim.

Ale cóż — Łańcut w tej sprawie musiałby zwrócić się do konserwatora wojewódzkiego. Konserwator wojewódzki odniósłby się do Rady Wojewódzkiej, która pragnąc uniknąć odpowiedzialności przekazałaby wniosek do Warszawy. Warszawa skarciłaby wnioskodawcę za „podejrzone” pomysły i zawiesiłaby go w urzędowaniu. W praktyce oznacza to utratę posady, do której przywiązane jest mieszkanie i samochód. Żaden z konserwatorów (z reguły członek partii) niczego podobnego nigdy by nie zaryzykował.

Jest barbarzyństwem dopuścić do zniknięcia z powierzchni ziemi tego typu zabytków — nie mamy ich za dużo — bo to są szkody nieodwracalne. Ale jest coś w tym symbolicznego. Czegośmy nie zdążyli spalić przed

wojną, w czasie znanych „pacyfikacji” i „rewindykacji” — dziś obracamy w gruz i ruinę.

STO LAT!

Latem br. ukaże się setny tom wydany przez „Kulturę”. Ogółem 24.310 stron druku. Z powyższego 65 tomów przypada na „Bibliotekę Kultury”, a 35 tomów na wcześniejsze wydawnictwa. Większość książek jest już wyczerpana. Pewne tytuły miały po kilka wydań, jak „Cmentarze” czy „Dr Żiwago”, które pobily wszystkie rekordy.

Mieliśmy *bestsellery* światowe, które, ukazały się w kilkunastu językach, jak „Zniewolony Umysł”, „Sąd Idzie”, czy „Cmentarze”.

Gdybym miał wymienić moje ulubione książki polskich autorów z Biblioteki „Kultury” to lista prezentowałaby się następująco: „Dolina Issy” Czesława Miłosza, „Dziennik” Witolda Gombrowicza, „Szkice Piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego, „Skrzydła Ołtarza” Herlinga-Grudzińskiego, „Syn Zadżumionych” Tadeusza Nowakowskiego. To jest znakomita literatura. Autentyczna Wenus z Milo, a nie z Milanówka.

Przy takich okazjach można popelnić łzawy felietonik o zasłudze, o poświęceniu itp. Myślę jednak, że wystarczy stwierdzić chłodno i rzeczowo, że tą setką tomów i 166 zeszytami miesięcznika zespół nasz zapewnił emigracji polskiej na Zachodzie poczesne miejsce w historii polskiej kultury.

By zakończyć ten jubileusz nieco mniej patetyczną notą — spełniam prośbę moje kolegi redakcyjnego i dalekiego kuzyna p. Juliusza Mieroszewskiego i podaję do wiadomości, że w końcu br. w serii Biblioteki „Kultury” ukaże się jego książka pod fascynującym, choć do tej pory nie ustalonym, tytułem.

LONDYŃCZYK

„BIBLIOTEKA POLSKA”
Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas”

ogłasza przedpłatę
w ciągu lipca i sierpnia br.
na tom opowiadań

JANA BIELATOWICZA
pt.

KSIĄŻECZKA

Tom oprawny w płótno, w barwnej obwolutie.
Cena w przedpłacie 12/6, dol. 1.85, NF 8.65

Zgłoszenia:

VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE
12, Praed Mews, London W.2.

Kraj

List z kraju

Mamy więc już i Sejm III-ej kadencji i nową Radę Państwa i nowy rząd. A gdy się powierzchownie rozejrzeć po tych instytucjach to łatwo stwierdzić, iż nie zaszły żadne zmiany. Myślę, że tu, u nas, nie było nawet takich naiwnych, którzy by oczekiwali zmian. Bo niby dlaczego?... Zmiany oznaczałyby iż coś nie jest w porządku, że sytuacja nie jest ustabilizowana — co jest sprzeczne ze stanowiskiem władz. Dopuszczają one jedynie nieznaczne przesunięcia, których celem jest kontynuowanie linii, umacnianie „budowy socjalizmu”, ale nic ponadto.

Gorączki wyborczej nie zarejestrowano nigdzie. Nie było też żadnych burzliwych ani entuzjastycznych spotkań z kandydatami. Co prawda na te wiece nie zaganiano ludzi siłą, niemniej jednak stosowano dyskretną, ale i wymowną perswazję. Falszywym byłoby jednak utrzymywać, że nie było publiki na zgromadzeniach przedwyborczych, że nie odzywały się i głosy krytyki. Ale zainteresowania wyborami nie było, mimo wielkich wysiłków ze strony prasy, radia i sporego zespołu lokalnych agitatorów. Naturalnie, że nikt nie miał wątpliwości co do wyniku wyborów, ale też chyba nikt nie oczekiwał, iż jakikolwiek wynik mógłby zaważyć na biegu wypadków. W kraju, w którym nie istnieje opozycja, w której partia rządząca NIE MOŻE MIEĆ RYWALI — akt wyborczy jest tylko formą — *Schoenheitsfehler* — jakby powiedzieli Niemcy.

Naturalnie, że głosowałem, podobnie jak ponad 90% uprawnionych. Na pewno liczbowe wyniki nie są fałszywe. Któżby dziś stosował archaiczne metody poprzednich administracji? Wiele się od tych czasów zmieniło, a że jesteśmy w bloku „postępowym” osiągnęliśmy i w tej dziedzinie znaczne postępy. Stosujemy nowoczesne metody, metody epoki Gagarina, który osobiście nie omieszkał nas zachęcić do udziału w akcie wyborczym.

Stosowana u nas z tak wielkim powodzeniem najnowocześniejsza technika wyborcza wygląda mniej więcej następująco. Znalazłeś się na liście wyborczej, jako że 18 latek stuknęło. I może by człek o tym zapomniał, ale nie dają. W terminie przewidzianym na sprawdzenie list wyborczych jawia się w mieszkaniu — ciągle jeszcze zatłoczonym — para młodych ludzi. Często bardzo miłych, ale świadomych swojego zadania.

— Nie sprawdził pan jeszcze listy wyborczej. Dlaczego?

Takiego śmiałka, który by odpowiedział: Nie wasz interes, odczepcie się ode mnie — chwilowo jeszcze nie ma. A więc grzecznie tłumaczy się im, podając mniej lub bardziej prawdopodobne powody. Ale to tym młodym ludziom nie wystarcza. Trzeba z nimi uzgodnić datę sprawdzenia list. Jeśli jej nie dotrzymałem, znowu wypadnie przyjąć wizytę tej delegacji obywatelskiej. Jest w dalszym ciągu uprzejma, ale ton jest już raczej ostry. Znam niektórych, którzy spotkali się nawet z prowokacyjnymi zapytaniami w rodzaju: — A może panu nie podoba się nasz ustrój i nie chce pan głosować? Wolna wola nikt pana nie będzie zmuszał do tego.

Ci młodzi ludzie, wśród nich wielu studentów i studentek i nie koniecznie komunistów, wykonywali swoje zadania znakomicie. Można było wyczuć zadowolenie, jakie im daje ta funkcja. Mogli okazać, choć w tak zakamuflowanej formie, władzę. Co tutaj wiele mówić, każdy przeciętny obywatel bał się ich. Może i niesłusznie, ale to nie zmienia postaci rzeczy.

Nie wszyscy nasi kontrolerzy lojalności obywatelskiej byli ochotnikami. Wielu z nich otrzymywało skromne wynagrodzenie, inni mieli obiecane posady, jeszcze inni lepszą pracę lub stypendium. Sprawdzenie list wyborczych było aktem zasadniczym i przesądzało oczywiście udział w wyborach. Rzucenie kartki do urny wyborczej stanowiło już tylko naturalne uzupełnienie pierwszej funkcji. Naturalnie kontrolerzy w dniu wyborów nie zapominali o swoich podopiecznych, a więc powtarzała się ta sama kołomyjka, jednakże w mniejszym nasileniu.

Czy można było mimo to nie głosować? — Oczywiście! Ale po co brać na siebie takie ryzyko. Nie jestem w stanie powiedzieć czy nazwiska nie głosujących znalazłyby się po kilku dniach na biurkach kierowników zakładów pracy, ale takie przekonanie jest powszechne. Trudno chyba wymagać od ludzi, by narażali się na utratę środków egzystencji wyłącznie dla celów demonstracyjnych, bo przecież i najniższa frekwencja nie pociągnęłaby za sobą zmiany systemu. Wyborcy nie wykorzystali natomiast dostatecznie innych form wyrażenia swoich nastrojów i jedynie ograniczyli się w niektórych okręgach do rzucenia głosów na nie partyjnych kandydatów, rezygnując ze skreślenia nazwisk czołowych na rzecz ostatnich na liście, najczęściej począłców.

„Znak” pogodził się, bez szemrania, z pozbawieniem go 5 kandydatów. Przyjął decyzję władz partyjnych, jako jeszcze jeden dopust Boży, pocieszając się wejściem do Sejmu Tadeusza

Mazowieckiego, redaktora naczelnego „Więzi”. Nie zastąpi on wprowadzie czworga usuniętych, ale niewątpliwie powinien być cennym nabytkiem koła.

Ale dość o Sejmie, gdzie i tak nie załatwia się żadnych zasadniczych spraw! Czujemy na każdym kroku przykręcanie śrubki. Bolesne, dotkliwe. Uderzenia idą po linii ekonomicznej. Skoro sklepy są dosłownie zawałone towarami, a brak jest nabywców, to chyba dostatecznie jasny dowód przesilenia gospodarczego. Takiego terminu nie używa się w odniesieniu do „państw socjalistycznych”, które programowo nie znają kryzysów ekonomicznych, ale objawy są bardzo kapitalistyczne. Nawet duże ułatwienia ratalne niewiele pomagają. Z próżnego i Salomon nie należy, a gdy zarobki wystarczają zaledwie na pokrycie najniezbędniejszych potrzeb, głównie jedzenia, trudno nabywać towary, tak krajowe jak importowane z krajów „socjalistycznych”. Znosi się, że będzie jeszcze gorzej. W Domu Partii opracowano plany oszczędnościowe. Tym razem nie chodzi o obniżenie zarobków etatowych, ale o likwidację pół i ćwierć etatów, a więc o zniesienie dodatkowych zarobków znakomitej większości inteligencji pracującej. W poszczególnych zakładach przystąpiono już do przygotowania odpowiednich list i wniosków. Gdzieniedzie wyjaśniają, że dzięki temu utworzą się — przynajmniej teoretycznie — nowe pełne miejsca zatrudnienia. Jeśli nawet tak będzie, to nie zmniejszy to oczywiście ciosu dla tych, którzy tracą drugie i trzecie źródło wpływów.

Mówi się dalej o „zwężeniu” sektora inicjatywy prywatnej i to bardzo szeroko pojętej, bo obejmującej lekarzy, adwokatów i inżynierów. Odnośnie lekarzy wskazuje się, że doświadczenie sąsiedzkich Czechów uwięzione zostało pełnym powodzeniem. Tam, jak wiadomo, zniesiona została całkowicie praktyka prywatna. Nasi projektodawcy, aczkolwiek bardzo zazdroszczą sukcesu bratniej republice, chwilowo nie posuwają się tak daleko, gdyż zmiierzają wyłącznie do przykucia lekarzy do jednego miejsca pracy. To powinno ograniczyć praktykę prywatną, a dopiero w następnym etapie „budowy socjalizmu” ma nastąpić likwidacja praktyki prywatnej.

Wobec adwokatów, pracujących niemal wyłącznie w tak zwanych zespołach, zastosowano wcale wymyślną metodę śrubki podatkowej. Jest publiczną tajemnicą, że załatwiają również wiele spraw prywatnie, poza kancelarią ogólną. Nazwiska klientów są znane z aktów spraw. Władze sądowe dają je do wglądu inspektorom i kontrolerom skarbowym, a ci z kolei odwiedzają bądź klientów, bądź ich rodziny, bądź bezpośrednio adwokatów, aby sprawdzić wysokość pobranego honorarium. Czasami nie trudzą się takim procederem, lecz po prostu wymierzają dodatkowy podatek. Bywa i gorzej, kiedy taki inspektor zmierza do ustalenia skąd dana osoba miała fundusze na opłacenie adwokata. Mając do dyspozycji wysokość oficjalnych dochodów nie trudno ustalić, że są niewystarczające na nadzwyczajne wydatki. A więc istnieją dochody nielegalne. Z jakiego

źródła? I nagle rodzi się wielka i wcale przykra sprawa. Na szczęście niektóre można równie szybko zlikwidować jak powstały, jako że inspektor „też człowiek”. W ogólnym jednak efekcie te metody osiągają cel: zniechęcają adwokatów do podejmowania różnych spraw, przestraszają klientów.

Budownictwo mieszkaniowe, mimo poczynionych postępów, jest niedostateczne. Tutaj przedsiębiorczość prywatna, nawet z socjalistycznego punktu widzenia, jest bardzo pożyteczna. W ciągu ostatnich kilku lat wystawiła sobie zresztą doskonałe świadectwo. Oficjalnie państwo nawet popiera inicjatywę prywatną na tym odcinku. Zachęca się do budowy domków indywidualnych, uzyskuje się na ten cel wysokie kredyty państwowe, przewidziane są dostawy materiałów budowlanych. A jednak nie jest wcale tak różowo. Być może dlatego, że inicjatywa prywatna rzeczywiście wiele dokonała, a tym samym rzuciła cień na budownictwo publiczne.

Oficjalnie nikt nie zabiera się do likwidacji budownictwa indywidualnego, ale praktyka idzie w tym kierunku. Znowu przy pomocy najbardziej wypróbowanych metod administracyjnych. Istnieje co najmniej pięć urzędów kontrolnych. Nie kwestionuje się konieczności takiej instytucji, ale nadmiar ich jest jednym z wyrazów systemu, ściślej jego błędności. Złe funkcjonowanie, jego wady organiczne chce się naprawić czy usunąć kontrolami. Każdy przecież doskonale wie, że bodajże nikt nie jest w stanie wyżyć z jednej, podstawowej pensji. Dorabia się różnymi sposobami. Nawet dla wykonania planów w wielkich zakładach przemysłowych trzeba się uciekać do „smarowania”, bo inaczej nawali dostawa, nie otrzyma się niezbędnych części zastępczych, narzędzi naprawczych itp. Ten rodzaj łapownictwa należy nazwać „państwowotwórczym”, gdyż ten który daje nie korzysta z tego bezpośrednio, chodzi mu o interes zakładu, nawet państwa.

System stworzył kanał ubocznych i niekontrolowanych dochodów. Wcale zresztą poważnych, jakkolwiek nie masowych. Jak ulokować, wykorzystać nielegalne dochody? Oto kapitalny problem w stroju socjalistycznego.

Przejeść, przepić, przegrać w karty można wprawdzie wiele, ale to nie jest takie łatwe, ani zbyt bezpieczne. Inwestować w przedmiotach nabywanych w DESIE czy JUBILERZE można do pewnych granic, zresztą większości to nie bawi. Samochód, dom, pociąg natomiast wszystkich. Tutaj właśnie rozpoczyna się taniec urzędów kontrolnych. Pierwsze kroki idą łatwo, sprawnie i szybko, służą bowiem do ujawnienia „bogacza”. Bada się wszystkich członków rodziny, nabywców, dostawców, budowniczych.

A więc skąd pieniądze, materiał, a kto przywoził, za ile itp. itp. Nawet najuczciwszy inwestor drży, wpada w pułapkę. A cóż dopiero inni. Dalej inżynierowie, budowniczy, przecież gdzieś, komuś musieli dać łapówkę, musieli przekroczyć mur zakazów!

Większość dochodzeń tego typu kończy się nawet pomysłem, ale zatrzyknięty strach jest znakomitym hamulcem dla dalszej inicjatywy. W ten sposób władze osiągają swój cel i mają nadzieję, że pozwoli im to na dalszy krok ku „socjalizmowi”. W języku praktycznym oznacza to dalsze wyrównanie w dół. Partia deklamuje co prawda o podnoszeniu stopy życiowej, ale poza jednostkami nie sposób tego stwierdzić. Niewątpliwie natomiast istnieje wyraźna tendencja w kierunku równania w dół, ujednolicenia trybu i warunków życia. Ma to wieść do zniesienia różnic „klasowych” i „społecznych”, do wytworzenia bezklasowego społeczeństwa, zrównania miasta z wsią.

Frazesy. Bo starczy znaleźć się na kilka godzin w jakimkolwiek mieście, nawet powiatowym, by stwierdzić jak ogromna jest różnica między nim a miastem wojewódzkim, a cóż dopiero reprezentacyjną Warszawą. A wieś? Owszem wiele z nich zelektryfikowano, ale prąd elektryczny nie rozwiązał wszystkich zagadnień.

Wyrównanie powszechne nastąpiło pod jednym względem: dążeń. Mieszkańcy miast i wsi zgodnie pragną spokoju i dobrobytu. Spokoju od władz, co umożliwi im pracę a więc i dobrobyt. Tymczasem Partia szamoce się w sieci ideologicznej. Jak zachować podstawowe zasady gospodarki „socjalistycznej” których nijak nie można wcielić w życie, bez załamania gospodarki narodowej, bez pogłębienia goryczy społeczeństwa?

Te właśnie wewnętrzne sprzeczności powodują rozdrażnienie Gomułki i jego sztabu. One każą im składać wielkomocarstwowe deklaracje, podskakiwać w takt Moskwy, wznosić się na wyżyny patriotyzmu, wkładać togi nacjonalistyczne, zapewniać o niezmienności i stałości obecnego stanu rzeczy. Gdyby Partia posiadała jakąś opozycję — oczywiście poza nią — byłaby w grubo lepszym położeniu, gdyż miałaby z kim walczyć, znałaby program rywala. Ale w naszych istniejących warunkach wszyscy oficjalnie przyklaskujemy Partii. Każda akcja uważana jest za celową. Nie ma opozycji, ale jest niechęć. Im bardziej milcząca — tym głębsza i niebezpieczniejsza dla Partii.

Nie znaczy to, by przywódcy polityczni, kierownicy planu gospodarczego, nie zdawali sobie sprawy z nastrojów, przecież prostolinijskość — zresztą również do pewnych granic — jest wyłącznym atrybutem Gomułki. Już choćby jednostronna dyskusja na łamach prasy, czy też niektóre wypowiedzi wodzowskie wskazują na świadomość tego stanu rzeczy. Ale publicznie przemawia tylko jedna strona: rządowo-partyjna. Zastosowało się wobec społeczeństwa w sprawach wewnętrznych tę samą metodę co w sprawach międzynarodowych. Dowiadujemy się o jakichś wystąpieniach przeciwko rządowi z polemiki, znamy najwyższej jakości urywkowe zdania, ale tekstu przemówień czy artykułów nigdy.

Wiemy więc jakie pretensje ma rząd np. do Episkopatu, do różnych intelektualistów, chłopów itp., ale druga strona nie może przedstawić swojego punktu widzenia, ani oczywiście

odpowiedzieć. Niewątpliwie nasze władze wychodzą z założenia, że o tym wiemy doskonale bez prasy i radia, bez ich przemówień. No i mają rację. Obok najnowocześniejszych środków masowej komunikacji będących jedynie w dyspozycji czynników rządowo-partyjnych, działają na usługach społeczeństwa najbardziej prymitywne, ale też najstarsze i najskuteczniejsze — przekazywanie wiadomości z ust do ust.

Jak Polska długa i szeroka płynie więc szept: a co teraz nastąpi?...

XYZ

Ocena gospodarki polskiej

Artykuł niniejszy uważam za dalszy ciąg komentarzy na temat polskiej gospodarki opublikowanych w „Kulturze” po październiku 1956 r., a zapoczątkowanych przez Jana Marczewskiego (grudzień 1956) i Zbigniewa Makarczyka (lipiec-sierpień 1958). Wiele ze spostrzeżeń obu tych autorów jest ciągle jeszcze aktualnych, a wiele ich zaleceń niespełnionych.

Artykuł pomija problemy wynikające z istnienia wymiany międzynarodowej, które mogą być poruszone w osobnym opracowaniu. Ogniskiem zainteresowania będzie tu więc ocena gospodarki „zamkniętej”, oderwanej od wpływów zewnętrznych. Ocenę tę postaram się przedstawić w bardzo ogólnie i nietechnicznie sformułowanych punktach zakreślających główne ramy polskiego życia gospodarczego. W artykule takim, jak obecny trzeba się z konieczności koncentrować na ograniczonej ilości zagadnień, przeprowadzając selekcję, która może być krytykowana jako subiektywna. Wybór mój padł na tematy, które uważam za kluczowe, a mianowicie na ocenę systemu centralnego planowania, politykę uprzemysłowienia, rolnictwo, inwestycje, ceny, płace i bodźce. Nie znaczy to jednak, że uważam inne problemy (np. politykę monetarną czy fiskalną, rezerwy państwowe i zapasy itd.) za nieważne.

Ponieważ publicystyka krajowa koncentruje się na pozytywnych osiągnięciach polskiej polityki gospodarczej, artykuł niniejszy podkreślać będzie przede wszystkim aspekty kontrowersyjne oraz pewne negatywne wyniki gospodarki komunistycznej. Pozytywne osiągnięcia gospodarki opisane są w kolejnych corocznych wydaniach Rady Ekonomicznej przy Radzie Ministrów pt. *Sytuacja Gospodarcza w Kraju*, lub w *Rocznikach Politycznych i Gospodarczych*. Uznając ich wagę nie powtarzam ich jedynie ze względu na ograniczenie zakresu moich uwag.

Nie ulega wątpliwości, że rok 1956 stanowił przełom w polskich warunkach ekonomicznych. Główne zarysy systemu pozostały jednak niezmienione, choć eksperymentalizm polski sprawiał wrażenie większych zmian aniżeli rzeczywistość nastąpiła. Poniżej będę się koncentrował na zagadnieniach, których rozwiązania „epoka Gomułki”, jak dotąd, nie przyniosła. Zdaję sobie sprawę z tego, że wiele problemów musiałem uprościć czy też pozostawić bez szerszego rozwinięcia.

System centralnego planowania

Gospodarkę polską definiuje się zwykle jako gospodarkę centralnie planowaną. Oznacza to, że główne zarysy funkcjonalne i rozwojowe w systemie gospodarczym określone są centralnie przez aparat którego główną częścią składową jest Komisja Planowania. Komisja ta, będąca w istocie dużym biurem z działami zajmującymi się większością aspektów życia gospodarczego, działa w oparciu o dyrektywy Rady Ministrów i zawiaduje większością polskiego życia ekonomicznego. Głównym jej zadaniem jest sporządzanie planów gospodarczych (rocznych, kilkoletnich i perspektywicznych, tzn. na okresy 15-20 lat) i kontrola nad ich wykonaniem.

Centralne planowanie nie oznacza jednak regulacji całości gospodarki. Wyznacza ono tylko ramy rozwojowe, daje nakazy produkcyjne i czuwa, aby zostały one możliwie ściśle wykonane. Nie oznacza ono także, że planiści mogą przeprowadzić przyjęcie wszystkich swoich preferencji. I tak, zwykle preferencje planistów idą w kierunku przyspieszenia uprzemysłowienia poprzez skierowywanie środków na produkcję dóbr inwestycyjnych. W rzeczywistości jednak planiści iść muszą na ustępstwa od swojej skali priorytetów i zmuszeni są kierować zwiększającą się ilość środków na produkcję dóbr konsumpcyjnych, aby zapewnić ludności minimalną chociaż poprawę materialnego dobrobytu oraz aby dostarczyć bodźców pobudzających ją do zwiększenia wysiłku produkcyjnego. (Mimo to w Rosji standard życia w 1952 r. stał na poziomie niższym niż w 1928 r. Stwierdzenie powyższe trzeba pojmować jako odnoszące się do okresu po-stalinowskiego). Jak przekonali się obecnie Chińczycy, slogany propagandowe działają tylko w bardzo ograniczonym okresie czasu na podniesienie ludzkiego wysiłku. Po pewnym czasie trzeba pracującym dostarczyć za dodatkowy wysiłek więcej mieszkań, pralek, motocykli, czy choćby ryżu. A żeby to zapewnić, trzeba obniżyć poziom inwestycji poniżej pożądanego przez planistów i skierować czynniki produkcji do wytwarzania tych dóbr konsumpcyjnych.

Centralne planowanie ograniczone jest także w praktyce przez nieprzewidziane awarie, wpływy atmosferyczne, „prze-

cieki" oraz przez niewykonanie planu, czy to w sensie ilościowym, asortymentu, czy w sensie jakościowym. Czynniki te powodują, że rzeczywista produkcja różni się od planowanej w poszczególnych działach gospodarki, co z kolei wywołuje niemożność spełnienia zadań i możliwości produkcji i konieczność zmian planów produkcyjnych w innych działach.

W 1956 r. istniała możliwość odstępstwa od zasady centralistycznego planowania. Skasowano wtedy Państwową Komisję Planowania Gospodarczego oraz ogłoszono doktrynę mobilizowania sił produkcyjnych przez same przedsiębiorstwa zamiast nadrzędnego ich określania. Nowa Komisja Planowania przy Radzie Ministrów przejęła jednak z czasem większość funkcji skasowanej instytucji, z tym tylko, że niektóre z nich sprawowane są za pośrednictwem odpowiednich ministerstw. Zasadniczy system planowania pozostał więc niezmienny (wbrew wskazaniom zawartym w artykule Makarczyka), chociaż wprowadzono w nim pewne techniczne i administracyjne ulepszenia. I tak, zaczęto bardziej świadomie używać bilansów przepływów międzygałęziowych, analiza których zapoczątkowana została przez amerykańskiego ekonomistę W.W. Leontiefa. Wprowadzono do planowania szersze perspektywy przez przygotowanie planu perspektywistycznego, co daje jaśniejsze sformułowanie przyjętej linii rozwojowej. Odstąpiono też w pewnej mierze od „szturmownictwa” przez obalenie mitu ponadplanowej produkcji. Poszczególne ministerstwa przejęły najbardziej doraźne funkcje regulowania produkcji. Powiększono nieco z natury nieregulowany sektor prywatny, choć postęp w tym względzie zapowiadał się lepiej na początku 1957 r. aniżeli wykazał się w praktyce późniejszego okresu. Nastąpiło także pewne przeniesienie sektora prywatnego na sektor uspołeczniony, w którym spółdzielnie (szczególnie rzemieślnicze) są często jedynie formalną przykrywką, pod którą działa inicjatywa prywatna, mało mająca wspólnego z planem gospodarczym. Nie pomniejsza to jednak w zasadniczy sposób zasięgu planowania, ponieważ zjawisko to występuje głównie w dziedzinie spółdzielni usługowych, a usługi nie są poddane żadnym zasadniczym regulacjom produkcyjnym, chociaż mogą ułatwiać występowanie „przecieków” towarowych z sektora uspołecznionego do prywatnego.

Dalej, Komisja Planowania przeprowadziła już dwie podstawowe reformy cen artykułów produkcyjnych, na początku 1956 r. i w połowie 1960 r., oraz usunęła kilka najbardziej rażących nieprawidłowości w cenach towarów konsumpcyjnych, jak np. masła i tłuszczów (1957) oraz mięsa (1959). Planowaniu sprzyja także zreformowanie systemu płac, przeprowadzone głównie w drugiej połowie 1959 r., a mające m. in. na celu usunięcie powstawania społecznie zbędnych prac nadgodzinowych. Podniesiono także odpisy amortyzacyjne (1956), co sprzyja odtwarzaniu urządzeń i obiektów w przedsiębiorstwach bez konieczności zewnętrznych, budżetowych dotacji. Jednocześnie

założenia planu na okres 1961-65 przewidują większe niż dotychczas polepszenie stopnia użytkowania obecnych urządzeń (np. w przemyśle hutnictwa żelaza), co zwiększy ich gospodarczą wydajność. Zmiany te, w połączeniu z bardzo ograniczoną decentralizacją w organizacji przemysłu, sprzyjają racjonalizacji polskiej gospodarki, choć nie eliminują z niej elementów irracjonalnych, o czym niżej.

Racjonalizacji pomaga także fakt, że od 1955 r. planiści i niezależni ekonomiści dysponują większą ilością informacji statystycznych, niezbędnych do formułowania tak planów jak i osądów dotyczących ich wykonania. Materiały statystyczne ulegały zwiększeniu i poprawie jakościowej (patrz np. kolejne *Roczniki Statystyczne*), oraz stały się szybciej dostępne (patrz np. *Biuletyn Statystyczny*). Natomiast ciągle jeszcze odczuwa się brak dostatecznych informacji z dziedzina handlu międzynarodowego, zapasów i rezerw, wykonania budżetów, sektora prywatnego, dochodów i wydatków w poszczególnych gałęziach gospodarki (np. transport), pieniądza i kredytu, przepływów pieniężnych itd. Brak także często jasnego wytłumaczenia metod statystycznych, przyjętych w obliczeniach (np. ruchu cen). Mankamenty te, spowodowane częściowo dziedziczną obsesją tajemności a częściowo względami politycznymi i lub wojskowymi, są jeszcze dostatecznie poważne, żeby bardzo utrudnić fachową i niezależną analizę gospodarki polskiej — chociażby dla samych celów planowania i oceny jego wykonania.

Mówiąc ogólnie nie należy jednak oceniać systemu działalności planowanej ujemnie, gdyż szybkie uprzemysłowienie gospodarcze zależy w dużej mierze od skoordynowania wysiłku produkcyjnego, a przede wszystkim wysiłku inwestycyjnego. Można mieć natomiast zastrzeżenia co do przeprowadzenia tego planowania w praktyce polskiej, którą cechuje niedostateczne rozeznanie słabości takiego systemu. Wysiłek produkcyjny planowany centralnie i *eo ipso* biurokratycznie, cierpi chronicznie na nieumiejętność szybkiego przystosowania się do zmieniających się (a) warunków rynkowych od strony popytu, (b) warunków podaży materiałowej, (c) warunków podaży czynników produkcji (pracy i kapitału), (d) procesów technologicznych, (e) potrzeb lokalnych, szczególnie potrzeb małych ośrodków produkcyjnych.

O wiele bardziej posunięta decentralizacja byłaby z tych względów ekonomicznie pożądana, aby dopuścić do zwiększenia bieżącej wydajności gospodarki jako całości oraz do zwiększenia jej elastyczności wobec zmieniających się warunków. Jest ona zresztą pożądana, nawiasem mówiąc, i z innych względów. Wskazuje na to nestor ekonomistów polskich, Edward Lipiński:

„Decentralizacja gospodarcza i postulat większej samodzielności socjalistycznego przedsiębiorstwa nie są to tylko zagadnienia ekonomiczne. Wiąże się one najcisłej ze sprawą wolności politycznej i charakterem socjalistycznej kultury. Socjalizm jest wolnością, a uspołecznienie środków produkcji

ma stworzyć podstawy dla wszechstronnego rozwoju osobowości ludzkiej, jej twórczości, inicjatywy i aktywności". (Rewizje, str. 103).

Koncentrując się na aspektach czysto gospodarczych nie będą tego tematu dalej rozwijał.

Decentralizacja byłaby pożądana również dlatego, że można wysunąć w celach polemicznych tezę, iż planowanie centralne jest z natury irracjonalne. Stawia ono bowiem preferencje stonkowo małej grupy ludzi ponad preferencje reszty społeczeństwa powodując nie tylko często powszechny niedostatek, ale doprowadzając nawet do politycznych wybuchów w rodzaju rozruchów berlińskich w 1953 r., czy rozruchów poznańskich w 1956 r., lub strajku w Łodzi w 1957 r. Zamiast racjonalizmu lub irracjonalizmu całego społeczeństwa w zaspokajaniu jego bieżących potrzeb mamy tu do czynienia z bardzo specyficznym pojęciem racjonalizmu, doprowadzającym co prawda do szybkiego tempa uprzemysłowienia, ale często za cenę bardzo wysokich kosztów, czasem tylko wychodzących na jaw w postaci zamieszek wśród robotników, czy wiadomościach o nieekonomiczności produkcji samochodów na Żeraniu, olbrzymich kosztach Nowej Huty, niszczeniu sprzętu kolejowego w imię przejechania iluś tam kilometrów bez napraw, kopiowaniu bezsensownych nieraz rozwiązań sowieckich, wykonywaniu norm na przeszło 200% (z odpowiednio zawyżonymi wynagrodzeniami), marnowaniu sprzętu technicznego, częstych przeróbek obiektów w wyniku złego ich zaplanowania, czy nawet o zaplanowaniu bezsensownych inwestycji.

Opisana powyżej skłonność do racjonalizacji tylko częściowo zapobiega nieekonomicznemu postępowaniu, załóżek którego leży w systemie apodyktycznych, doktrynalnych i bardzo często subiektywnych nakazów. Trzeba tu uświadomić sobie, że uprzemysłowienie może nastąpić także bez centralnego planowania, czego dowodzą przykłady przemysłowo rozwiniętych państw zachodnich. Zwiększona efektywność gospodarczych organów nowoczesnych rządów daje także duże możliwości poprawienia wyników uzyskanych przez inne państwa w przeszłości.

Aby nie postępować po linii zarzutów komunistycznych wysuwanych wobec *zasady* systemu kapitalistycznego często na podstawie *praktycznych* jego uchybień trzeba tu stwierdzić, że zarzut irracjonalizmu wobec systemu planowania centralnego wydaje się niesłuszny, gdyż skierowany jest on przede wszystkim przeciw zastosowaniu tego systemu, a nie przeciw samemu pojęciu planowania. Jedynie argument przeciw zastąpieniu ogólnych preferencji przez preferencje jednostkowe trudno jest zbić na obiektywnych podstawach. Można twierdzić, że dobrze poinformowane jednostki działające mogą racjonalnie od „ciemnego” ogółu, ale przyjęcie tej linii rozumowania łatwo może doprowadzić do logicznego przyjęcia aroganckiej zasady „autorytetu” w ekonomii czy polityce. Osobiście — a jest to wybór

subiektywny — mam większe zaufanie do przekonywania, demonstrowania czy kształcenia.

W pewnym sensie istnieje zasadnicza antynomia między centralnym planowaniem a maksymalizacją produktu społecznego. Ma to miejsce we względnie krótkich okresach czasu, kiedy to plan zakreśla produkcji pewne granice, wprowadzając do niej element nieelastyczności. Fakt ustanowienia ilości produkcji poszczególnych przedsiębiorstw, założenie danego poziomu dostaw od innych przedsiębiorstw i przydzielenie określonej ilości czynników produkcji do wykonania zadań przedsiębiorstwa (1) stwarza, że w razie konieczności zmian w tych założeniach aparat produkcyjny nie posiadający „luzu” nie wykorzystuje całego swojego potencjału i przez to trwoni część możliwości produkcyjnych. Tak więc zmniejszenie zakresu centralnego planowania może wyzwolić niewyzyskane możliwości produkcyjne.

Nie jestem zwolennikiem całkowitego porzucenia działalności planowej, twierdząc jednak, że została ona posunięta zbyt daleko i że ciągle jeszcze można by ją ukrócić, stwarzając warunki do wydobywania na jaw dużych zdolności indywidualnych tkwiących w społeczeństwie polskim. Jak bardzo polski system planowania przypomina trochę bezceremonialny obyczaj zbója Madeja, a plany jego łże, dowodzi poniższy przykład, w którym podane są planowane i rzeczywiście osiągnięte wzrosty produkcji przemysłowej, wg. oficjalnych źródeł, mierzonej brutto w procentach powyżej poprzedniego roku, poczynając od 1956 r.:

	1956	1957	1958	1959	1960
planowane	—	3,5	7,0	7,5	7,6
osiągnięte	9,1	9,6	9,8	9,2	10,9

Tabela powyższa wskazuje na część istniejących możliwości rozwojowych, niedocenianych przez centralnych planistów. Jestem przekonany, że osiągnięty wzrost mógłby być jeszcze wyższy, gdyby nie był przyduszany przez doktrynalne zasady instytucjonalne, jak np. niechęć do inicjatywy prywatnej, oraz przez zbyt szczerne zakreślone ramy rozwojowe.

Tak więc problemy, na które napotyka gospodarka polska u progu lat sześćdziesiątych są jednocześnie problemami, które tak czy inaczej musi rozwiązać istniejący system planowania centralnego, chociażby przez nieingerencję w spontaniczne siły gospodarcze. Są one ponadto w części problemami stworzonymi przez samo centralne planowanie.

(1) Przesadną formę drobiazgowych nakazów w jednostkach fizycznych określili dosadnie Niemcy terminem *Tonnenideologie*.

Polityka uprzemysłowienia

Kluczowym problemem gospodarczym stojącym przed planistami przez cały okres powojenny jest problem uprzemysłowienia. Właściwe jego rozwiązanie w dużej mierze rozstrzyga także inne kwestie gospodarcze, jak np. presję demograficzną, poziom cen, produktywność rolnictwa, spożycie przez ludność itd. W polityce uprzemysłowienia objawiają się aspiracje społeczeństwa i na niej spoczywają podwaliny przyszłego rozwoju gospodarczego kraju. Jest ona popularna we wszystkich państwach i dlatego przyjmujemy ją tu jako bezsporną, w każdym razie w odniesieniu do Polski. Natomiast sam wybór sposobu uprzemysłowienia kraju, przez sam fakt istnienia kilku różnych sposobów jego przeprowadzenia, może stać się powodem kontrowersji. Możemy tu wyróżnić trzy główne linie rozwojowe:

1) Zrównoważony wzrost (*balanced growth*), przy którym poszczególne działy gospodarki rozwijają się mniej więcej równomiernie w taki sposób, aby wykorzystywać popyt na własne produkty w nowopowstających przemysłach i wśród ludności i jednocześnie mieć zapewnione źródła materiałów potrzebnych im a wytwarzanych przez inne działy gospodarki. Polityka ta odpowiada szczególnie systemom wolnorynkowym, w których rozwój odbywa się spontanicznie w odpowiedzi na pojawiający się lub oczekiwany popyt, chociaż może być ona także kierowana i przyspieszana z góry.

2) Rozwijanie wpieryw przemysłu lekkiego, a dopiero potem jego surowcowej podstawy. Do czasu powojennych pięćdziesiątych była to polityka stosowana w Indiach. Polityka taka daje duże oszczędności dewizowe i szybkie wyniki produkcyjne, koncentruje kadry fachowe, ułatwia podniesienie poziomu życia ludności i daje gotowy rynek przemysłowy dla rozwijanych następnie przemysłów ciężkich. Dla ambitnych i niecierpliwych krajów gospodarczo nierozwiniętych polityka ta jest jednak niewystarczająca, gdyż daje zbyt wolne rezultaty w podnoszeniu ogólnego potencjału produkcyjnego kraju i zbyt mało upodabnia gospodarke do ekonomii krajów rozwiniętych, które, świadomie czy nieświadomie, są zawsze wzorem.

3) Koncentracja inwestycji na przemyśle ciężkim stała się obecnie charakterystyczną cechą polityki ekonomicznej krajów komunistycznych. Rezultatem jej jest utrzymywanie spożycia na niskim poziomie przez fizyczne pozbawienie konsumentów dóbr, które mogłyby stanąć do ich dyspozycji, gdyby przemysły bezpośrednio im służące były rozwijane. Nieproporcjonalnie rozwija się jednocześnie potencjał — jak to się zwykło eufemistycznie wyrażać — obronny kraju oraz bazę przemysłową, na której można w przyszłości budować nowe kierunki rozwoju, choć nie ma przy tym niezbędnej elastyczności (*viability*), która

ułatwia szybkie przestawienie produkcji w odpowiedzi na nowo-powstające potrzeby.

Do 1956 r. gospodarka polska niewątpliwie rozwijała się wg. ostatniej metody. W okresie 1950-53 przeznaczono wg. danych oficjalnych ponad 86% ogólnych nakładów w przemyśle na przemysł ciężki, uzyskując średni roczny wzrost produkcji o prawie 24%. Mimo małych stosunkowo nakładów produkcja przedmiotów spożycia wzrastała w tymże okresie o prawie 19% rocznie. W ciągu dwóch ostatnich lat sześciolatki, tj. w 1954 i 1955 r., zmniejszono nieco udział nakładów na przemysł uzyskując roczny wzrost ciężkiego przemysłu o 12%, a przemysłu lekkiego o przeszło 10%. W okresie następnej pięćdziesiątki położono już nacisk na równomierniejszy rozwój gospodarczy, wynikiem czego było zmniejszanie się do r. 1959 udziału produkcji przemysłu ciężkiego w całości produkcji przemysłowej na korzyść produkcji przemysłu konsumpcyjnego. W r. 1959 udział produkcji przemysłu ciężkiego znowu zaczął wzrastać, mimo iż jego udział w inwestycjach w przemyśle spadał rok rocznie z ok. 84% w 1956 r. do ok. 75% w 1959, dowodząc wzrostu produktywności inwestycji w tym przemyśle. W planie na okres 1961-65 przemysł ciężki ma rozwijać się o ok. 30% szybciej aniżeli przemysł lekki, co wydaje się rezultatem częściowego nawrotu do starych koncepcji.

Trzeba tu pamiętać, że przemysł konsumpcyjny z reguły wykazuje przy danych inwestycjach o wiele wyższy wzrost aniżeli przemysł ciężki, tak że z punktu widzenia inwestycyjnego konsumenci byli bezwzględnie poszkodowani. Obliczenia moje wykazują, że w rezultacie powyższej polityki ogólny poziom konsumpcji na głowę był w 1957 r. niższy aniżeli przed wojną w obecnych granicach. Jest to wynik prawie że niewiarogodnie niski, szczególnie jeżeli weźmie się pod uwagę, że okres powojenny wykazuje wg. danych oficjalnych iż ok. 25% dochodu narodowego poświęcono na inwestycje. Realny ciężar wysiłku inwestycyjnego był jednak wyraźnie wyższy dlatego, że system cen stosowany przez władze polskie nakładał większość podatków (przede wszystkim w formie podatku obrotowego) na przedmioty spożycia, podczas gdy przedmioty produkcji były cenione blisko ich kosztów wytwarzania, a czasem i poniżej tych kosztów dzięki państwowym subwencjom udzielanym specjalnie w oficjalnych statystykach konsumpcji była ceniona wysoko, podczas, gdy masa dóbr używanych do inwestycji była niedoceniana z punktu widzenia jej kosztów społecznych. Jeżeli weźmie się pod uwagę te czynniki, udział inwestycji w dochodzie narodowym wzrasta o przynajmniej 25% ponad poziom określany oficjalnie.

Widzimy więc, że ogromny realny wysiłek społeczeństwa przyniósł w dziedzinie poziomu konsumpcji rezultaty co najmniej niewspółmierne. W związku z powyższym wydaje się, że stosunkowo małe przesunięcie środków inwestycyjnych w

kierunku przemysłów konsumpcyjnych dałoby duże rezultaty w formie zwiększonej produkcji. Stworzenie warunków do rozwoju rzemiosła prywatnego, drobnego prywatnego przemysłu i usług byłoby tu także dużą pomocą.

Niestety, już wkrótce po „październiku”, w drugiej połowie 1957 r., nastąpił odwrót od zasad przyjętych *implicit*e lub nawet *explicit*e pod koniec 1956 r. Partia komunistyczna wydała wtedy poufne dyrektywy do rad narodowych nakazujące hamowanie inicjatywy prywatnej w sposób administracyjny, przez niewydawanie licencji. Wynik tych dyrektyw widoczny jest w liczbach dotyczących jednostek gospodarczych w sektorze prywatnym (dane na koniec roku):

	1955	1956	1957	1958	1959
Prywatne zakłady:					
handlu detalicznego	14.059	15.150	25.330	23.535	21.816
gastronomiczne	479	755	2.233	1.718	1.399
Rzemiosło prywatne (zakłady)	89.627	96.652	131.737	135.992	134.474
Przemysł prywatny (zakłady)	4.174	4.490	7.998	9.756	9.984

Dane te wykazują dobitnie, że nagły wybuch inicjatywy prywatnej pod koniec 1956 r. i w 1957 r. został gwałtownie — i na pewno ze szkodą dla konsumenta — zahamowany. Poszkodowane tu też zostały ogarnięte marazmem małe miasteczka oraz bezrobotna lub pół-zajęta ludność, szczególnie ludność rekrutująca się z tych miasteczek. System gospodarczy stracił jednocześnie dużo na możliwej do osiągnięcia elastyczności produkcji oraz nie skorzystał z produkcyjnego użycia wolnych kapitałów prywatnych, które mogą być najwyższej obrócone na spekulację. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że konieczność likwidacji drugich i trzecich posad oraz redukcji nadgodzin, która wystąpiła pod koniec 1959 r. i która spowodowała dużo niepotrzebnych wyrzeczeń indywidualnych członków społeczeństwa, nie zaszłaby lub zostałaby złagodzona przy braku restrykcji wobec sektora prywatnego. Występuje tutaj jedna z kardynalnych wad obecnego systemu komunistycznego, a mianowicie konieczność stosowania ciągłych brutalnych ograniczeń administracyjnych dlatego tylko, że koncepcja społeczno-gospodarcza stworzona przez partię komunistyczną jest czysto mechanistyczna i formalistyczna, pozbawiona zrozumienia elementu ludzkich pragnień i skłonności. Dlatego też charakterystyczną metodą w państwach komunistycznych jest metoda kija raczej aniżeli marchwi, metoda zakazu lub nakazu raczej aniżeli metoda otwarcia pola dla pożądanego akcji lub utrudniania akcji niepożądanych. Łagodne przekonywanie (*gentle persuasion*) nie znalazło wśród komunistów wyznawców.

Tak więc nawrót do starych metod faworyzowania ciężkiego przemysłu, zarysowujący się w 1959 r., zaczął przybierać

coraz bardziej konkretne formy w 1960 r. Bezpośrednim powodem przemiany była presja demograficzna w formie fali nowych członków siły roboczej rekrutujących się z powojennych roczników, a spodziewanej począwszy od ok. 1962 r. Fala ta powinna znaleźć warsztaty pracy a rozwój przemysłu stanowi logiczne zapewnienie takich warsztatów. Dlaczego jednak rząd nie zdecydował się konkretnie (poza nieobowiązującymi życzeniami) poprzeć lub przynajmniej nie przeciwdziałać rozwojowi prywatnej inicjatywy pozostaje ekonomiczną zagadką, na którą odpowiedź dać może jedynie ideologiczny katechizm. Trzeba tu jeszcze podkreślić, że rozwój lekkiego przemysłu, usług, intensyfikacja rolnictwa itd. dać mogą więcej warsztatów pracy na zainwestowaną złotówkę aniżeli rozwój ciężkiego przemysłu.

Ubożnym wynikiem takiej polityki przymusu jest zmniejszenie konsumpcyjnej masy towarowej poniżej poziomu, który by mógł być osiągnięty przy mobilizacji całej produkcyjnej zdolności społeczeństwa. Jak to stwierdzą poniżej, takie ograniczenie konsumpcji zmniejsza siłę bodźców, które zachęcają ludność do zwiększenia wysiłków wytwórczych, co znowu prowadzi do marnotrawstwa ekonomicznego potencjału.

Dochodzimy więc do do konkluzji, że tempo uprzemysłowienia Polski mogłoby być utrzymane lub nawet zwiększone przy zastosowaniu mniej doktrynalnej polityki sztywno forsującej prymat ciężkiego przemysłu i socjalizacji praktycznie wszystkich środków wytwórczych, przy jednoczesnym drobniagowym kierowaniu przez aparat centralnego planowania. Odstąpienie od takiej polityki dałoby w rezultacie szybsze podwyższenie standardu życiowego i zwiększenie zadowolenia ludności, co wywołałoby niewątpliwie także pożądane dla komunistów efekty polityczne. Doktrynerstwo staje się tutaj karą dla jego wyznawców — niestety jednak karą, która spotyka całe społeczeństwo.

Rozmowanie moje poparte jest autorytetem amerykańskiego specjalisty w dziedzinie ustroju gospodarczego Niemiec Wschodnich, Wolfganga Stolpera, który w swoim studium nad rozwojem przedmiotów produkcji musi wzrastać szybciej aniżeli wytwarzanie przedmiotów konsumpcji jest błędny. Bazując się na porównaniu Niemiec Wschodnich i Zachodnich doszedł on do przekonania, że polityka oparta na takim poglądzie nie daje pożądanego efektów wzrostu ekonomicznego. (*The Structure of the East German Economy*, str. 263). Przyznając, że przykład Niemiec może nie być odpowiedni w warunkach polskich stwierdzam jednak, że może on wskazywać na kierunek możliwych zmian.

Rozwój przemysłowy 1956-60 charakteryzuje się jako zmierzający do usunięcia podstawowych dysproporcji. Jak zauważyliśmy wyżej, większy niż uprzednio nacisk położono na wzrost przemysłu konsumpcyjnego. Jednocześnie postępowało rozwija-

nie się przemysłu w nowych kierunkach, jak np. rozszerzenie produkcji telewizorów, polichloru winylu, steeonu, lekarstw, motocykli itd. oraz rozpoczęcie produkcji lokomotyw elektrycznych, dieslowskich maszyn okrętowych, maszyn budowlanych i innych. Wzrost różnorodności produkcji eliminuje część braków w przemyśle, czyni go bardziej samodzielnym i przysposabia nowe kadry wykwalifikowanych robotników i inżynierów przemysłowych. Niebezpieczeństwem tego procesu jest możliwość posunięcia rozwoju własnych branż przemysłowych do stopnia nieekonomicznego, czego przykładem jest kontynuowanie polskiej produkcji samochodów osobowych przy koszcie produkcji i eksploatacji znacznie wyższym aniżeli modele zagraniczne. Zamiary przejścia licencji zachodniej, Fiata lub Citroena (na wzór jugosłowiański), o których przez pewien czas krążyły pogłoski, spełziły na niczym. Zachodzą obawy, że tego rodzaju autarkiczne podejście istnieje w Polsce nie tylko w fabryce samochodów na Żeraniu. Oczywiście podnosi to ogólny koszt funkcjonowania przemysłu i opóźnia jego modernizację.

Okres 1956-60 był wreszcie świadkiem dążenia do zlikwidowania niektórych „wąskich gardeł” przemysłowych, jak np. w dziedzinie energetyki przez podwyższenie produkcji elektryczności, w dziedzinie budowlanej przez zwiększenie produkcji materiałów budowlanych, w dziedzinie chemii przez utworzenie produkcji kwasu azotowego w Kędzierzynie itd. — Wydaje się, że nastąpiła tu pewna poprawa i że przemysł polski funkcjonuje obecnie na większym niż poprzednio luzie produkcyjnym, co zmniejsza występowanie „szturmownictwa”. Polityka taka jest w zgodzie z krytyką Andrzeja Karpińskiego (*Zagadnienia Socjalistycznej Industrializacji Polski*, str. 54-56), iż plan sześcioletni założył nadmierne tempo rozwoju produkcji przemysłowej w stosunku do realnych możliwości gospodarki narodowej. Tego rodzaju planowe „szturmownictwo” (*overplanning*) zawsze pociąga za sobą naderwanie poszczególnych linii produkcyjnych. Ogłoszony niedawno nacisk raczej na wykonywanie planu aniżeli na przekraczanie go wykazuje także iż w obecnej chwili przemysł polski znajduje się w stadium, w którym dalszy jego wzrost osiągnięty być może metodami mniej rozpaczliwymi niż w okresie stalinowskim. Da to jednocześnie lepsze możliwości obniżenia kosztów produkcji, co przyniosłoby poważne oszczędności społeczne. Oficjalna doktryna głosi, że w najbliższej przyszłości przyrosty produkcji przemysłowej uzyskiwać się będzie raczej przez zwiększenie produktywności aniżeli przez podniesienie ilości zatrudnionych, co oczywiście stanowi pewną sprzeczność z głoszoną potrzebą tworzenia, przez rozbudowę ciężkiego przemysłu, nowych warsztatów przemysłowych dla fali demograficznej. Tak w 1958 jak i w 1959 r. większość przyrostu produkcji była wynikiem wzrostu produktywności pracowników, aniżeli wynikiem wzrostu ich liczebności. (W 1959 r. 85% wzrostu produkcji zostało osiągnięte przez wzrost

wydajności prac; w ten sam stosunek planuje się na okres bieżącego 5-letnia.

Kilka słów powinno się wreszcie poświęcić statystycznym wskaźnikom industrializacji Polski. Oficjalna praktyka posługuje się wskaźnikami globalnej produkcji, tj. produkcji liczonej kilkakrotnie przez osobne uwzględnianie produkcji surowców, półfabrykatów i gotowych wyrobów. Zwiększanie stopnia fabrykacji, typowe dla rozwoju ekonomicznego oraz podział pionowy produkcji między więcej jednostek (*vertical disintegration*) powodują tu inflację wartości produktu globalnego, liczonego na coraz to większej ilości punktów pośrednich i sztucznie podnosi wskaźniki produkcji. Na Zachodzie przyjęto ogólnie wskaźniki produkcji netto jako wierniej oddające rzeczywisty wkład w produkcję. Poza tym, statystycy polscy wliczają, wzorem sowieckim, produkcję nowych produktów, która z reguły szybko rośnie, wg. ich cen początkowych, zwykle znacznie wyższych od cen tych samych artykułów z okresu ich rozwiniętej produkcji. Nie zwraca się także uwagi na pogarszanie się jakości towarów, nawet w wypadkach, w których można je liczbowo określić. Tak np. produkcję tkanin liczy się w metrach lub wg. ich wartości, mimo że w okresie stalinowskim nastąpiło zwężenie przeciętnej szerokości kuponów materiałowych, łatwe do uwzględnienia przy użyciu wskaźników wagi produkcji.

W wyniku takich i podobnych praktyk urzędowe wskaźniki wzrostu produkcji przemysłowej dają mylne wyobrażenie o faktycznych osiągnięciach. Niezależne badania podjęte na uniwersytecie Columbia przez Maurice Ernst'a w jego tezie doktorskiej wykazały, że dynamika przemysłu polskiego mierzona metodą zachodnią wyrażała się w 1955 r. indeksem 184,2 (1949 = 100), podczas gdy oficjalny indeks podawał na ten sam rok wskaźnik 270,0. Od roku 1955 oficjalne indeksy wykazują stosunkowo małe odchylenia od wskaźników wzrostu, które można by określić mianem „właściwych” lub „rzeczywistych”. *Mutatis mutandis* można wysnuć podobne wnioski co do ogólnego wzrostu gospodarczego kraju, który jest bezpodstawnie wyolbrzymiony przez oficjalne polskie statystyki.

Niepowodzenia w rolnictwie

Od wzrostu produkcji przemysłowej ostro odbija niemal że stagnacja rolnictwa polskiego. Historycznie biorąc, partie komunistyczne, powstałe na gruncie inteligencko-robotniczym, wykazują brak wycucia potrzeb i aspiracji rolników, stosując do nich własny układ psychiczny. Jednocześnie polegając, jak się rzekło, na regulowaniu i nakazach, mających pewne zastosowanie w przemyśle, chybiają istoty produkcji rolniczej, którą trudno — szczególnie w warunkach polskich — wtłoczyć w ramy bezpośredniej kontroli. Wynikiem tego są niepowodzenia w rolnictwie, od którego w dużej mierze zależy gospodarczy roz-

wój kraju. Trzeba tu przyznać, że w ostatnim okresie zarysowało się w Polsce bardziej pragmatyczne podejście do zagadnień rolniczych.

Rolnictwo stanowi źródło rozczarowania z kilku powodów. Przede wszystkim, globalna jego produkcja wzrasta od 1950 r. o wiele wolniej aniżeli to jest pożądane oraz możliwe przy odpowiednim wyposażeniu technicznym. W latach 1958-60 produkcja ta pozostawała na poziomie tylko ok. 20% wyższym od 1950 r. Polska wykazuje plony z hektara o wiele niższe od uzyskiwanych w Zachodniej Europie, co jest niewątpliwie skutkiem niskiej kultury rolniczej i specyficznych warunków instytucjonalnych. Gospodarstwa pozostają rozdrobnione — ba, ich przeciętna wielkość nawet się obniża — w rękach niewykształconych tradycyjistów (pozostających takimi częściowo dlatego, że brak im bodźców do postępu), bez dostatecznego użycia nawozów sztucznych i bez odpowiednich bodźców do maksymalizacji produkcji rynkowej, jak też bez wystarczających gwarancji stałości stosunków. Nad chłopem wisi ciągle groźba oskarżenia w przyszłości o „kułactwo”, groźba karnych podatków, podniesienia obowiązkowych dostaw i obniżenia ich cen, presja w kierunku przystąpienia do spółdzielni i cała gama administracyjnego nacisku. Póki chłop nie będzie pewien, że sprawy te zostały w zadowalający dla niego sposób rozstrzygnięte, póty nie może być mowy o radykalnym polepszeniu w rolnictwie i póty Polska będzie skazana na importy rolnicze z zagranicy, kosztowne dewizowo i dziwaczne dla kraju o dużych tradycjach rolniczych.

Bolączka powolnej mechanizacji łączy się z powyższymi obawami. Kampanie przeciw koniom nie na wiele się zdadzą, jeżeli chłop podejrzewa, że traktor może być użyty przez państwo jako narzędzie nacisku. To nastawienie tłumaczy powolny rozwój kółek rolniczych, do finansowania których chłop *nolens volens* dokłada. Organizacja *bona fide* kooperacji w produkcji rolnej, na modłę przedwojennych spółdzielni produkcyjnych, dałaby lepsze rezultaty i przyczyniła się waleńiej do mechanizacji polskiego rolnictwa. To samo dotyczy zresztą ogólnego inwestowania w gospodarstwie: chłop, który nie ma poczucia trwałości na własnej zagrodzie woli zjeść lepiej aniżeli włożyć kapitał w gospodarstwo, które to zjawisko dekapitalizacji (tj. większej deprecjacji istniejącego kapitału od nowych inwestycji) występowało we wczesnych latach pięćdziesiątych, spotęgowane brakiem materiałów budowlanych i kredytów. Obecne inwestycje w rolnictwie powiększają jego stan kapitałowy, ale robią to w niewystarczającej mierze.

Następne rozczarowanie spotkało planistów rządowych w dziedzinie spółdzielni produkcyjnych. Ich stan, po gwałtownym spadku w okresie „października”, jest niższy niż przy końcu 1951 r., ich rozszanie jest bardzo nierówne, a dochodowość mała. Co więcej, przeciętna wielkość spółdzielni jest zbyt niska (i malejąca) na wyzyskanie korzyści płynących z dużej skali ope-

racji. Ich obecność w systemie stanowi poza tym ciągłą psychiczną groźbę dla niezależnego chłopu, hamując jego bodźce produkcyjne. Tak więc, dla tych i bardziej specyficznych powodów, zamiast być rozsądnymi socjalizmi, spółdzielnie stały się właściwie kulą u nogi, częściowo dlatego, że zwabiają przede wszystkim marginalnych chłopów małorolnych.

Wreszcie państwowe gospodarstwa rolne, do 1959 r. deficytowe (częściowo z powodu niekorzystnego dla nich układu cen skupu), nie stały się katalizatorami racjonalnego gospodarowania. Cierpią one ciągle na brak siły roboczej i na małą sprawność gospodarczą.

Jest rzeczą interesującą jak we wszystkich państwach komunistycznych rolnictwo staje się najbardziej trudnym problemem. Zamiast wyciągnąć z tej obserwacji wnioski prowadzące do radykalnej zmiany polityki, partie komunistyczne z uporem trwają na swoim dogmatycznym stanowisku socjalizacji wsi i wprowadzenia na niej stosunków w gruncie rzeczy fabrycznych, co może być racjonalne w warunkach uprawy ekstensywnej lub jednoplonowej, ale jest zdecydowanie szkodliwe w warunkach gospodarki intensywnej lub wieloplonowej, jaką jest rolnictwo polskie.

Jak bardzo rolnictwo państw komunistycznych nie zdaje egzaminu, wykazuje niższe zestawienie postępu produkcji w kilku państwach zachodnich oraz pięciu państwach środkowo-europejskich, wzięte z opublikowanego przez Główny Urząd Statystyczny *Rocznika Statystycznego* 1960.

W okresie planu 1958/59, względnie w roku kalendarzowym 1959, wskaźnik produkcji rolnej, przyjmując okres przedwojenny jako 100, kształtował się w różnych państwach jak następuje:

Austria	128	Włochy	145
Belgia i Luksemburg	148	Stany Zjednoczone A.P.	156
Dania	144	Kanada	157
Finlandia	152	Jugosławia	113
Francja	121	Czechosłowacja	100
Grecja	159	Rumunia	99
Holandia	111	Węgry (1957)	84
Zachodnie Niemcy	129	Polska	119
Wielka Brytania	141		

Gdyby przyjąć dla Polski przedwojenną produkcję w obecnych granicach jako 100, wskaźnik dla niej kształtowałby się ok. poziomu 110.

Inwestycje

Wg. zachodniej teorii ekonomicznej wprowadzonej przez Keynes'a poziom inwestycji określa wielkość produktu spo-

tecznego. Wg. teorii marksistowskiej, poziom inwestycji decyduje o wielkości konsumpcji. Obie teorie, mimo pozornej sprzeczności, dążą do odzwierciedlenia rzeczywistości. W gospodarce kapitalistycznej bowiem, w której środki wytwórcze nie koniecznie są w pełni użyte, inwestycje — przy pewnych technicznych założeniach — rzeczywiście doprowadzają do danego stopnia wykorzystania czynników produkcji. W gospodarce komunistycznej natomiast zakłada się, w każdym razie w sensie formalnym, że wszystkie środki produkcji są ekonomicznie wyzyskane, konsekwencją czego jest, że co nie zostanie wyzyskane na produkcję dóbr inwestycyjnych, zostaje użyte do produkcji dóbr konsumpcyjnych. Symptomatyczne wydaje się tutaj przeciwstawienie inwestycji i konsumpcji jako wzajemnie zwalczających się wielkości, gdyż praktyka gospodarki komunistycznej, nawet w „złotym wieku Chruszczowa”, jest historią ciągłej walki tych dwóch ekonomicznych elementów. Komunistyczni administratorzy uważając inwestycje jako główny, jeżeli nie jedyny, sposób do osiągnięcia przez siebie postulowanych wskaźników postępu, hołdują zromatycznie prymatowi tychże inwestycji. W okresach napięcia ideologicznych przesłanek doprowadza to do odsuwania konsumpcji na plan drugorzędny. Analizie wyników takiej polityki chciałbym poświęcić tu trochę uwagi. 1) Sama w sobie polityka taka zapewnia szybki wzrost przyszłej produkcji — niezależnie od jej celu — przez dostarczenie narzędzi do pracy (kapitału). 2) Jak już stwierdziłem, niedostateczna podaż artykułów konsumpcyjnych prowadzi do zmniejszenia bodźców do pracy, gdyż dodatkowe zarobki uzyskane dzięki zwiększonemu wysiłkowi stają się wtedy bezużyteczne lub mało użyteczne. 3) Brak bodźców sprawia, że dodatkowy sprzęt wyprodukowany przez przeniesienie wysiłku produkcyjnego na inwestycje traci część swojej potencjalnej produktywności, nie mówiąc już o tendencji do produkowania mniejszej ilości tego sprzętu przez zmniejszenie efektywności pracy. 4) Forsowanie inwestycji doprowadza w praktyce do a) strat spowodowanych opóźnieniem często małych ale kluczowych dostaw, b) rozrutnego szafowania dewizami na zaspokojenie *pragnień* inwestycyjnych mających szanse użyteczności jedynie w dalekiej przyszłości (patrz Marczewski, str. 77), c) paternalistycznego ustosunkowania się do potrzeb konsumentów schodzących na drugi plan i gotowych nabyć cokolwiek jest im rzucone na rynek, d) strat spowodowanych brakiem kompleksowości rozwoju, co występuje kiedy np. wykończy się gwałtownie walcownię, która później musi czekać na uruchomienie wielkich pieców, na które brakuje refraktowych cegieł itd. W warunkach forsownego nacisku na produkcję współdziałanie produkcyjne między różnymi jednostkami wykazuje tendencję do dezintegracji. 5) Pewne poświęcenie konsumpcji na rzecz rozwinięcia parku kapitałowego wydaje się konieczne w warunkach państw gospodarczo nierozwiniętych.

Na podstawie powyższego rozumowania dochodzimy do

wniosku, że gwałtowne zrywy inwestycyjne powinny być na tyle krótkotrwałe, aby nie niszczyć bodźców do pracy, a jednocześnie, aby zwiększyć ilość kapitału stojącego do dyspozycji społeczeństwa. Najlepszą jednak jest chyba metoda nie za wysokich a stałych proporcji dochodu narodowego poświęconych inwestycjom. Wydaje się, że planiści polscy nie wypełniają jeszcze tego kryterium, mimo niewątpliwej poprawy od okresu stalinowskiego.

Sumę konsumpcji można również podnieść wydatnie przez rozwój usług — kierunek rozwojowy zaznaczający się szczególnie wyraźnie w społeczeństwach gospodarczo zaawansowanych. Usługi wymagają małych inwestycji, dając jednocześnie dobre wyniki konsumpcyjne i dostarczając dużo warsztatów pracy. Z punktu widzenia planisty posiadają one jednak dwie kardynalne wady: a) nie nadają się do centralnej kontroli i wykazują tendencje do przeradzania się w jawną czy ukrytą prywatną inicjatywę; b) nie podnoszą ilościowych wskaźników wykonania planów, gdyż usługi wg. teorii marksistowskiej nie wchodziły w skład dochodu narodowego będąc „produkcją wtórną”. Względem te tłumaczy w dużej mierze względne zaniedbanie usług w gospodarce polskiej. Zaniedbanie to trzeba ocenić negatywnie na podstawie każdego racjonalnych kryteriów, z wyjątkiem specyficznych kryteriów doktrynalno-politycznych.

W dziedzinie alokacji inwestycji zarzuty wysunięte przez Marczewskiego nie straciły w niczym na aktualności. Można się zgodzić, że wielu wydatków inwestycyjnych nie można mierzyć miarą uzyskanych korzyści w złotych i groszach — inwestycje natury publicznej (*public overhead capital*) nie mogą podlegać takiej mierze. Natomiast wybór inwestycji skierowanych na eksploatację rynkową może i powinien być dokonywany na podstawie kryteriów bardziej obiektywnych aniżeli „wycucie” planisty. Oprocentowanie kapitału dostarcza tu dostatecznie neutralną miarę ekonomicznej użyteczności, choć w warunkach polskich rezultat zależny jest w dużej mierze od dosyć arbitralnego systemu cen, który to system należałoby gruntownie zreformować przed zastosowaniem procentu jako kryterium użyteczności inwestycji. Interesująca jest tu uwaga Mikojana wobec urzędników sowieckich wyjeżdżających na okupację Wschodnich Niemiec ok. 1946-47 r.: „Pamiętajcie, że ekonomiczne warunki określają politykę... Pamiętajcie, że najważniejszą rzeczą jest opłacalność przedsiębiorstwa, jego zyski!” (R. Ślusser, edit., *Soviet Economic Policy in Postwar Germany*, str. 55). Kryterium rynkowe, a więc po prostu kryterium opłacalności, nie zostało przeszczepione na grunt polskiej działalności inwestycyjnej.

Problemem, który należy także wziąć pod uwagę jest produktywność inwestycji. Te same dobra inwestycyjne mogą być: a) wprowadzone sprawnie do stadium użytkowania, lub długo do niego przygotowywane, b) wykorzystywane w pro-

dukcji intensywnie lub używane sporadycznie, c) użyte do produkcji jakościowo wysokiej lub do produkowania ciągłych „bubli”, d) szybko zdeprecjonowane i zastąpione przez nowe dobra inwestycyjne lub trzymane w użyciu na długo po ich technologicznym przestarzeniu się. Inwestycjom w Polsce można w tym względzie postawić następujące zarzuty: 1) Proces oddawania ich do użytku, jak na to wskazują ciągle wypowiedzi w prasie, jest ciągle jeszcze nieekonomicznie długi, powodując straty w potencjale przemysłowym. 2) Używa się ich niedostatecznie intensywnie. W kraju, w którym dobra kapitałowe są ciągle jeszcze rzadkie i gdzie czynnik ludzki jest obfity, wydaje się nonsensem ekonomicznym zezwalać na częste zjawisko produkcji na jedną zmianę, gdy dwie lub nawet trzy zmiany mogłyby lepiej wykorzystać istniejące maszyny i urządzenia. W Stanach Zjednoczonych, gdzie zasoby kapitałowe są nieporównanie bogatsze, praca na trzy zmiany wcale nie jest rzadkością. Tymczasem w Polsce, np. w kapitałochłonnym przemyśle maszynowym wskaźnik zmianowości wynosi 1,1 do 1,3 podczas gdy nawet konserwatywny szacunek krajowy podaje możliwość podwyższenia go do 1,7 lub 1,8, co dałoby oszczędność kapitału i doprowadziło do stworzenia warsztatów pracy dla ok. 300 tysięcy wykwalifikowanych robotników. Fakt, że przemysł maszynowy posiada względnie nowoczesny kapitał wcale nie łagodzi tego marnotrawstwa. 3) Ciągle jeszcze występująca w Polsce produkcja „braków” jest czystym marnotrawstwem zarówno pracy ludzkiej, surowców, jak i dóbr inwestycyjnych, które mogłyby być zużyte do pełnowartościowej produkcji. 4) Używanie starych maszyn jest w wielu wypadkach wysoce nieekonomiczne. Występuje ono bardzo często (np. w przemyśle włókienniczym, transporcie kolejowym) i spowodowane jest przez (i) niedostateczne obniżanie wartości obiektów, (ii) brak inicjatywy we wprowadzaniu nowych urządzeń, (iii) często szkodliwe kierowanie nowych maszyn przede wszystkim na eksport zamiast stosowania polityki unowocześniania w pierwszej linii własnego przemysłu. 5) Koncentrowanie inwestycji na dużych obiektach („elephantiasis fabryczne”), pozornie kapitałowo oszczędne, łatwe do planowania i kontroli oraz pożądane prestiżowo, kiedy nie jest dyktowane warunkami technologicznymi jest często mniej efektywne od rozkładania inwestycji na większą ilość średnich zakładów, które mogą później konkurować między sobą, eksperymentować niezależnie i kształcić kadry robocze w oddzielnych ośrodkach.

Należy zastanowić się także nad przyszłymi potrzebami inwestycyjnymi, wśród których można zaobserwować dwie główne tendencje. Z jednej strony, nowoczesna technologia wykazuje tendencje do oszczędzania kapitału, tj. na jednostkę produkcji potrzeba coraz to mniej kapitału albo innymi słowy dana jednostka kapitału produkuje coraz bardziej zwiększającą się ilość wyrobów. I tak np. amerykański przemysł i górni-

ctwo używało w 1938 r. o 30% mniej kapitału na jednostkę produkcji aniżeli w 1922 r., podczas gdy w rolnictwie tendencja ta zarysowała się jeszcze silniej (A. Bergson, edit., *Soviet Economic Growth*, str. 32). Z drugiej jednak strony obiekty inwestycyjne społecznego użytku (jak drogi, szkoły, koleje, kontrola powodziowa itd.) są w Polsce zaniedbane i będą w przyszłości wymagały zwiększonych nakładów. Wypadkową tych dwóch tendencji będzie prawdopodobnie ciągle jeszcze wzrastanie zapotrzebowania na inwestycje, coraz łatwiejsze jednak do zaspokojenia przy zwiększającym się dochodzie narodowym.

Poruszę tu jeszcze jeden problem zwykle pomijany w dyskusjach nad inwestycjami, a mianowicie problem inwestycji w ludziach, w ich przemysłowym wykształceniu (*industrial know-how*). Założono już w Polsce podwaliny do rozwinięcia społeczeństwa przemysłowego, używającego maszyn, umiającego je obsługiwać i udoskonalić. Prawda, że dużo można jeszcze w tym względzie poprawić, ale początek został zrobiony. Dalsze wykształcenie przemysłowe społeczeństwa powinno przynieść zwiększenie się efektywności inwestycji, przedłużenie ich użyteczności i zmniejszenie kosztów ich wykorzystywania. Społeczeństwo polskie ma znakomity materiał ludzki, chodzi jednak w dużej mierze o stworzenie odpowiedniego klimatu na jego rozwinięcie i udoskonalenie. Klimat stworzony przez scentralizowaną biurokrację na bazie ideologicznych fobii, sztywnego pojęcia motywów ludzkich i własnego fanatyzmu trudnego do przeszczerpienia ogółowi obywateli jest niesprzyjający wyzwoleniu pełnego dynamizmu społeczeństwa. Powstają w nim nastroje przeciwne wzmaganii produktywności, wyzyskaniu wiedzy technicznej, promocji jednostek naprawdę zdolnych, a rozwija się kradzież, brakoróbstwo, chęć „nabicia w butelkę” pracodawcy-państwa i antyspołeczność. W dziedzinie kadr technicznych i naukowych panoszy się często kacykostwo, gdzie dobrze osiadłe jednostki stają się „wąskimi gardłami” dla awansu lub nawet tylko dla działania młodej fachowej inteligencji. Stosunki takie poważnie hamują wyzyskanie kapitału ludzkiego, mimo, że kapitał ten z wolna ulega polepszeniu w wyniku przechodzenia kraju w stadium państwa przemysłowego.

Ceny, płace i bodźce

Ceny mogą być uważane za kluczowy element pomocny do rozwikłania sytuacji rynkowych przez zrównanie popytu z podażą. W teorii ekonomicznej ceny powinny, z jednej strony odzwierciedlać preferencje konsumentów, z drugiej zaś strony koszty produkcji. W takich warunkach zwiększony popyt doprowadza do wyższych cen, która przez uczynienie produkcji bardziej dochodową podnosi ją i przez to doprowadza do lepszego zaspokojenia zmienionych potrzeb. I odwrotnie, gdy popyt na

dany produkt spada. Ważniejszą dla obecnego rozumowania jest strona produkcji. A więc, w takim wolnorynkowym systemie zwiększone koszty produkcji prowadzą do podwyżki ceny i zmniejszenia ilości produktu sprzedawanej na rynku, podczas gdy obniżenie kosztów doprowadza przez niższe ceny do zwiększenia sprzedaży. Ten schematyczny ideał (który normatywnie rzecz biorąc nie wszędzie powinien być stosowany) jest tylko w przybliżeniu realizowany na Zachodzie, jak to zostało stwierdzone w artykule na temat gospodarki amerykańskiej (*Kultura*, kwiecień 1961), ale nawet takie przybliżenie wystarcza do względnie wydajnego funkcjonowania systemu ekonomicznego, wprowadzając w stosunki gospodarcze element bezosobowego, względnie obiektywnego automatyzmu.

Sytuacja w Polsce daleko odbiega od powyższego obrazu i od zaleceń Marczewskiego zdążających do zrównania popytu i podaży. Między kosztami produkcji a ceną rynkową widzimy tu system podatku obrotowego i subsydiów, ustanawianych przez państwo i zróżnicowanych między poszczególnymi produktami w zależności od ich użyteczności dla celów państwowych. W warunkach takich ceny niewiele mają wspólnego z kosztami produkcji, odzwierciedlając głównie preferencje państwa. W ich wyniku ceny artykułów konsumpcyjnych są wyśrubowane przez podatek obrotowy (oraz w mniejszej mierze przez akumulację zysków) do poziomu bardzo wysokiego w stosunku do zarobków ludności, podczas gdy ceny dóbr inwestycyjnych utrzymywane są, często dzięki subsydiom, na poziomie nieproporcjonalnym do ich kosztów. W rezultacie rachunek ekonomiczny jest wysoce problematyczny i nie odpowiada ani realnym kosztom, ani rzeczywistej strukturze popytu. Utrudnia to pobieranie decyzji co do rentowności produkcji, doprowadzając często do ekonomicznych absurdów spowodowanych błędnym asortymentem produkcji lub wszczęciem produkcji tam, gdzie się ona wyraźnie nie opłaca. Wysokie straty spotykane w różnych dziedzinach gospodarki polskiej dają tylko część obrazu, gdyż straty realne są często zacierane przez sztuczne zaniżenia kosztów — np. do niedawna przez niskie, poniżej kosztów wydobycia ceny węgla, niskie koszty materiałów budowlanych, stali itd. Tak więc błędy w ustalaniu cen odbijają się na kosztach produkcji i zaciemniają ocenę jej opłacalności. W takich warunkach system ekonomiczny staje się labiryntem, w którym jedynie rozmaitego pokroju czarnogieldziarze czują się w swoim żywiole.

Najbardziej znanym wynikiem tego stanu rzeczy jest cena walut zagranicznych, wahająca się od oficjalnych czterech złotych za dolara do ok. 80 złotych za dolara na czarnym rynku. Podczas gdy operatorzy na czarnej giełdzie doskonale orientują się, jakie transakcje są dla nich popłatne, polska prasa ekonomiczna skarży się, że w państwowym handlu zagranicznym trudno się czasem zorientować, co się opłaca, a co nie — przy istniejącym systemie rabatów podatku obrotowego i dwojakich

różnic budżetowych. Nie trzeba chyba wskazywać na oczywisty wniosek, że gospodarka polska traci tu na elastyczności i na potencjalnych zyskach z dobrze poinformowanej wymiany międzynarodowej. Innym wynikiem jest także fakt, że ceny usług są w Polsce, w porównaniu z układem cen w państwach zachodnich, nieproporcjonalnie niskie wobec cen artykułów przemysłowych i żywności.

Wracając do przeceniania artykułów spożycia, można się zgodzić, że preferencje państwa mogą być w głównych zarysach ważniejsze od preferencji konsumentów — szczególnie w okresie forsownego rozwoju gospodarczego. Można się nawet zgodzić z tym, że relacje pomiędzy cenami dóbr produkcji, a cenami artykułów konsumpcyjnych nie odzwierciedlają kosztów produkcji, gdyż przy braku innych źródeł oszczędności kapitał musi być tworzony kosztem konsumpcji. Natomiast trudno się zgodzić na występujące w Polsce (częściowo w każdym razie do reformy cen w lipcu 1960 r.): a) pozostawianie cen niektórych artykułów produkcji poniżej ich kosztów; b) nakładanie wysokich dyskryminacyjnych podatków na niektóre dobra konsumpcyjne (np. telewizory, benzynę, zegarki, samochody, pończochy nylonowe itd.), szczególnie zaś na artykuły podstawowego użytku (np. żywnościowe), co bardzo podnosi koszty utrzymania i uderza proporcjonalnie bardziej w ludzi biednych i jest dlatego ogólnie na Zachodzie uważane za społecznie niepożądane; c) system różnych cen na te same artykuły (np. waluty obce, węgiel, dostawy rolnicze, surowce wewnątrz przemysłu *versus* surowce dla rzemiosła i in.); d) używanie systemu cen niezmiennych, wykluczających możliwość konkurencji i pozostających przez długi czas bez związku ze zmieniającą się stale strukturą kosztów realnych. System jugosłowiański mógłby tu być z powodzeniem wzięty za wzór; e) zbytnio niskie ceny na niektóre towary lub usługi (np. śmiesznie niskie komorne), które doprowadzają do marnotrawstwa mienia społecznego, czy to przez nieliczenie się z rzeczami tanimi, czy przez niewytwarzanie wewnętrznych funduszy na remonty czy na odtwarzanie dóbr.

Plące są cenami za pracę ludzką i w przybliżeniu formowane są na podobnych zasadach jak ceny towarów. Zachodzą tu jednak dodatkowe czynniki, komplikujące zagadnienie płac, a mianowicie: 1) Zagadnienie sprawiedliwości społecznej. Dużo płac w Polsce pozostaje poniżej poziomu określonego jako minimum potrzebne do utrzymania — w warunkach kilkuosobowych rodzin jest to ok. 600 złotych miesięcznie na osobę. Jeszcze we wrześniu 1959 r. w gospodarce uspołecznionej 2,7% pracowników zarabiało poniżej 600 zł., a 16,7% poniżej 1.000 zł., podczas gdy 28,8% pracowników zarabiało brutto poniżej 1.200 zł., tzn. nie było zdolne utrzymać dwóch osób w oparciu o własne zarobki. Tego rodzaju warunki zarobkowe zmuszają więcej członków rodzin do pracy aniżeli miałyby to miejsce przy wyższym poziomie płac, względnie powodują zjawisko brania

podwójnych lub nawet potrójnych prac, co wcale nie przyczynia się do podniesienia produktywności. Są one także główną przyczyną powszechnych kradzieży w jednostkach gospodarczych. Jednocześnie ciągle jeszcze występują tzw. „kominy płac”, mimo, że najbardziej jaskrawe ich zjawiska zostały usunięte w 1959 r. Niskie płace prowadzą także do lekceważenia wysiłku w pracy, który jest „dla frajerów” („Panie, za taką płacę!...”).

2) Płace są ważnym czynnikiem określającym stopę życiową społeczeństwa, a przez to jego żywotność, zadowolenie. Niski poziom płac realnych utrzymywany przez dłuższy przeciąg czasu przez fizyczne wyczerpanie ludności spowodować może spadek produktywności. Zjawisko to wydaje się występować w Polsce w formie pozostawiania produktywności na poziomie o wiele niższym aniżeli poziom, który mógłby być uzyskany.

3) Odpowiednia drabina płac jest pobudką do dodatkowego wysiłku. Mimo rozpowszechnienia płacy akordowej wydaje się, że płace w Polsce nie dostarczają dostatecznych bodźców przez ich nieodpowiednie ustalenie (zbyt małe zróżnicowanie, nieodpowiednie normy, brak zadawalających premii za doświadczenie i fachowość), lub też przez brak powiązania ich z wynikami pracy („czy się stoi czy się leży, dwa patyki się należy”; niesprawdzanie jakości wyrobów — tzw. brakoróbstwo itd.). Od 1959 r. ekonomiści polscy dużo uwagi poświęcają problemom bodźców, ale ogólne rozprężenie społeczeństwa wywołujące się od okresu stalinowskiego oraz pobudki polityczne utrudniają osiągnięcie zasadniczej poprawy stosunków. Tak więc wykorzystanie związku przyczynowego między płacą a wydajnością pracy, zalecane przez Makarczyka, pozostaje ciągle bardzo zaniedbane.

4) Płace pełnią funkcję rozdzielnika skierowującego pracowników do prac, które są najbardziej potrzebne. W pewnym sensie funkcja ta jest spełniana, np. przy kierowaniu robotników do kopalń czy stalowni. Natomiast płace nie wykonują swojej funkcji w dostarczaniu młodego narybku na prace wykwalifikowane, na prace rolnicze w bogatszych dzielnicach Polski, nie ściągają członków wolnych zawodów (np. lekarzy) na prowincję i nie kierują dostatecznej ilości ludności do części kraju słabo zaludnionych (np. Bieszczady, części Ziem Zachodnich).

5) Płace oczekiwane z różnych alternatywnych działalności gospodarczych kanalizują wysiłek ludzki w kierunku bardziej intratnym. Zarobki mogą być niestety ułożone w ten sposób, aby dawać premię działalności społecznie mniej pożytecznej. Jeśli np. rzemieślnik, zamiast robić buty czy meble, zajmuje się handlem, sądzić trzeba, że pełne jego wartości produkcyjne nie są wykorzystane. Jeżeli inżynier zamiast pracować w fabryce spędza swój czas na czarnorynkowych kombinacjach, społeczeństwo traci więcej niż kapitał włożony na jego fachowe wykształcenie. Jeżeli urzędowanie przez administratora

staje się pretekstem do pokątnej działalności — powiedzmy budowlanej — cierpi nie tylko produktywność, ale i praworządność. Wszyscy ci ludzie prawdopodobnie otrzymują niewystarczające wynagrodzenie we właściwej dla siebie dziedzinie, co skłania ich do szukania wg. angielskiego idiomu „zieleńszych pastwisk”. Należy tu winić nie tylko system płac, ale i system cen za towary i usługi.

6) Problem przynależności do partii komunistycznej w formowaniu płacy i przydzielaniu funkcji. W każdym razie w biurokracji łącznie z sądownictwem urzędnicy będący członkami partii a) zarabiają więcej aniżeli przeciętna, b) otrzymują wyższe funkcje. Poza momentami politycznymi wywołuje to zjawisko popierania niefachowości i udzielania premii miernocie, na której władze mogą polegać. Działa to ekonomicznie jako antybodziec do solidnego, fachowego wysiłku, skoro bierne posłuszeństwo wobec „woli partii”, pozbawione elementu indywidualnej twórczości i osobistego zaangażowania w pracę, przynosi większe korzyści. Wszzechobecna zasada „kierowniczej roli partii” stwarza warunki niezbyt dobrotliwego paternalizmu, ma na celu wytworzenie mitu bezosobowej wszechwiedzy i hamuje inicjatywę.

W dziedzinie cen i płac nie należy pominąć przeprowadzonej pod koniec 1959 r. zmiany polityki, wspomnianej już wyżej. Nastąpiło ostre zredukowanie nadgodzin oraz zmniejszenie ilości drugich i trzecich prac. Doprowadziło to na rynku pracy do widocznego spadku ilości godzin pracy opuszczonych bez usprawiedliwienia i na pewno przez zwiększenie dyscypliny pracy do podniesienia produktywności. Na rynku pieniężnym inflacyjne zjawiska rozpętałe w 1956 r. zostały przynajmniej czasowo zahamowane, co z kolei doprowadziło do większej stabilizacji na rynku towarowym. W sklepach pojawiła się większa ilość towarów — częściowo dzięki podcięciu popytu na nie przez zmniejszenie zarobków — co wywołuje u przybyszów z Zachodu wrażenie podnoszącego się dobrobytu konsumenta (2).

Trzeba przyznać, że w okresie od 1956 r. nastąpił wyraźny zwrot w kierunku dostarczania na rynek większej masy produktów konsumpcyjnych. Niektórzy z przyjeżdżających do Polski po kilkuletniej nieobecności w kraju, zafascynowani rozwojem produkcji kilku rodzajów przedmiotów trwałej konsumpcji (lodówki, pralki, telewizory, motocykle itd.), ceny których są jeszcze nieproporcjonalnie wysokie w stosunku do przeciętnych

(2) Po ukończeniu niniejszego artykułu opublikowane zostały dane stwierdzające, że, mimo iż ogólne dochody ludności wzrosły w 1960 r. o ok. 3,8%, płace realne zatrudnionych w gospodarce społecznej były niższe od osiągniętych przeciętnie w 1959 r. o ponad 2%. Na początku zaś 1960 r. płace realne spadły przejściowo do poziomu niższego o prawie 15% od poziomu z września 1959 r. (*Sytuacja Gospodarcza Kraju w Roku 1960*, dodatek do *Życia Gospodarczego*, 1961 r., nr. 14).

zarobków, mówią nawet z entuzjazmem o brzasku „gospodarki masowej konsumpcji”. Tego rodzaju spostrzeżenia wydają się jednak zabarwione subiektywizmem i oparte niestety raczej na życzeniach aniżeli na faktach. Moim zdaniem, aczkolwiek nastąpiła tu pewna poprawa, front konsumpcyjny powinien być znacznie poszerzony i pogłębiony.

Chciałbym wykorzystać okazję do zrobienia krótkiej dygresji. W spostrzeżeniach Polaków odwiedzających Polskę, częściowo publikowanych w „Kulturze”, widzi się głęboko krytyczną reakcję na krajową „rzeczywistość”. Sądzę, że należałoby wystrzegać się w tym względzie dwóch możliwych błędów. Po pierwsze, psychologicznie odzywać się tu może tendencja do racjonalizacji własnego pobytu zagranicą, własnych poglądów wytworzonych w części niezależnie od specyficznych warunków polskich, do żywienia własnego ego. Po drugie, naukowo biorąc trudno jest stosować normy jednego społeczeństwa (a olbrzymia większość członków emigracji przyswoiła sobie w takiej czy innej mierze normy społeczeństw zachodnich — zwykle im powierzchowniej, tym bardziej apodyktycznie) do oceny drugiego społeczeństwa. Stosować to można zresztą w wypadku Polski równie dobrze jak i w wypadku Ameryki, Australii czy Brazylii.

Możliwości ulepszenia systemu gospodarczego Polski

Na podstawie powyższej analizy dochodzimy do wniosków dotyczących możliwości zwiększenia efektywności polskiego systemu gospodarczego. Możliwości te istnieją w mniemaniu autora niezależnie od politycznych warunków decydujących o ich faktycznym wykorzystaniu. Los propozycji wysuniętych przez Marczewskiego i Makarczyka jest niezbyt zachęcający. Mimo to ważne jest jednak zdać sobie sprawę z alternatywnych rozwiązań, niezależnie od praktycznej możliwości realizacji, ponieważ brak takiego naświetlenia skazałby nas na nieuchronne przyjęcie administracyjnych rozwiązań stosowanych w Polsce jako „jedynych”. Poniższe uwagi dotyczą rzeczy najistotniejszych.

Polska jest ciągle jeszcze krajem o nadwyżce ludnościowej w stosunku do zasobów kapitałowych. Powoduje to konieczność utrzymywania wysokiego poziomu inwestycji, nie przesądzając jednak ani sposobu ich wykonywania, ani też ich kierunku. Wydaje mi się, że otworzenie szerszych możliwości inicjatywie prywatnej rzuciłoby więcej dobrowolnego kapitału na produktywny rynek inwestycyjny, podczas gdy decentralizacja w planowaniu i zmniejszenie jego zakresu przyniosłoby bardziej wydajne wykorzystanie istniejących obiektów produkcyjnych. Polityka taka doprowadziłaby do zmniejszenia potrzeb inwestycyjnych, zwiększenia produkcji dóbr konsumpcyjnych, a co za tym idzie do podniesienia bodźców materialnych, zwiększenia

szczenia ogólnej produktywności gospodarki i stąd do większego potencjału inwestycyjnego. Tak więc społeczny koszt uprzemysłowienia można by wydatnie obniżyć, uzyskując przez to podniesienie poziomu dobrobytu.

Oszczędności inwestycyjne można osiągnąć także przez skierowanie większej niż dotychczas ich części do przemysłów lekkich, gdzie ekonomiczna ich efektywność jest większa, tzn. na złotówkę nakładów inwestycyjnych uzyskuje się większą wartość przyrostu produkcji aniżeli w innych dziedzinach. Inwestycje takie mają tę jeszcze zaletę, że dosyć bezpośrednio wpływają na poziom życia ludności. Trzeba tu dodać, że ekonomiści polscy wykazują ostatnio duże zainteresowanie problemem efektywności inwestycji.

Dalsze oszczędności inwestycyjne uzyskać można przez skuteczniejsze wyzyskanie istniejących obiektów, a w szczególności przez zwiększenie czasu ich używalności (drogą pracy na więcej zmian, podniesienia dyscypliny pracy, lepszej opieki nad sprzętem itd.) i przez podniesienie jakości obsługi, łącznie z jakością produkcji. Strona organizacyjna gospodarki polskiej dużo pozostawia do życzenia, a poprawa jej jest zależna od bardzo podstawowych zmian w charakterze narodowym (słowność, uczynność, sumiennosc, ambicja dobrego wykonania produktu — „kult dobrej roboty” Kotarbińskiego — umiejętność przewidywania, rzeczowość) oraz w podejściu do roli administracji w życiu społecznym. Wydaje mi się, że Polska cierpi bardzo na typowo wschodnio-europejskie pojęcie administracji posiadającej własne zainteresowania, prawa i przywileje, którym społeczeństwo powinno się podporządkować raczej aniżeli odwrotnie. Wszechstronne usprawnienie aparatu administracyjnego byłoby pożyteczne tak z punktu widzenia czysto ekonomicznego, jak i ze względów polityczno-socjalnych.

Przełom w produkcji rolniczej zależy jest od spełnienia kilku warunków. Przede wszystkim potrzebny jest tu klimat psychiczny oparty na zapewnieniu *status quo*. Warunek ten trudno jest zaspokoić, gdyż partia komunistyczna widocznie nie straciła nadziei na ostateczne „usocjalistycznienie” wsi. Jednocześnie chłop, a w każdym razie obecna generacja, mają żywo w pamięci politykę okresu stalinowskiego. Po drugie, ujednolicenie cen na te same artykuły rolnicze uzdrowiłoby sytuację rynkową. Zamiast opodatkowywać chłopów przez niskie ceny obowiązkowych dostaw można nałożyć na rolnictwo podatki bezpośrednio, zmuszając chłopów do większej produkcji rynkowej. W obecnym stadium uprzemysłowienia kraju przejście takie jest możliwe i pożądane. Ceny artykułów, których zwiększona produkcja jest specjalnie ważna, powinny być podniesione.

Polityka gospodarcza powinna także dążyć do powstrzymania tendencji do rozdrabniania gospodarstw lub wręcz do zwiększenia ich przeciętnej wielkości. Ustawowy zakaz podziału gospodarstwa przy dziedziczeniu, podatek, który zawierałby

ekonomicznie regresywny element „od zagrody”, zapewnienie powstrzymania się od podatkowego i administracyjnego szkania większych producentów rolnych („kułaków”), ułatwienie odsprzedaży małych i nieekonomicznych gospodarstw — oto najważniejsze z kroków, które powinny być zastosowane w celu racjonalizacji rolnictwa.

Wreszcie państwo powinno stworzyć należyte podstawy surowcowe dla rolnictwa: produkcja nawozów sztucznych powinna być zwiększona a ich ceny obniżone, rolnikom powinno się dostarczyć nowoczesne maszyny, przystosowane do użytku na jednym gospodarstwie, budownictwo wiejskie powinno być ułatwione. Powinno się także lepiej zorganizować udzielanie informacji rolniczych, rynek skupu i dostawy surowcowe. Udział rolnictwa w ogólnych inwestycjach jest jednak jak dotychczas ciągle niewystarczający.

Sfera usług powinna być świadomie rozwijana, z pozostawieniem wolności inicjatywie prywatnej. Ponieważ usługi wymagają z natury mało kapitału polityka taka nie sprzeciwia się zasadzie posiadania środków produkcji przez państwo.

Dużo się w kraju pisało na temat uzależnienia zapłaty należnej producentom od jakości towaru. Niestety, jak dotychczas nie widać na tym polu konkretnej poprawy. Wolność w wyborze dostawców oraz przywilej łatwego zwracania wadliwych towarów stanowią najlepszą rękojmię polepszenia jakości towarów.

Cenom należy przywrócić większą elastyczność, aż do kompletnego ich zwolnienia w pewnych dziedzinach, ewent. zwolnienia wewnątrz określonych granic. Pewne ceny, szczególnie komorne, należy podnieść ze względu na ekonomiczną szkodliwość obecnego ich poziomu. Tak jak w rolnictwie, należy strzec się zróżnicowania cen w zależności od stanowiska odbiorców. Ceny dóbr inwestycyjnych należy podnieść co najmniej do poziomu ich rzeczywistych kosztów, jeżeli nie wyżej.

Płace powinno się zróżnicować bardziej biorąc pod uwagę jakość pracy, tj. stopień wykwalfikowania pracownika, jak również wysiłek. Dyscyplina pracy, bardzo w Polsce niska, powinna być podniesiona, szczególnie w budownictwie. Jednocześnie trzeba zapewnić pracującym możliwość otrzymania wynagrodzenia gwarantującego co najmniej utrzymanie minimalnego poziomu życiowego, który można z dużą ścisłością określić statystycznie.

Polityka wzbogacania gospodarki narodowej przez inwestycje mające na celu zwiększenie jej produktywności jest w zasadzie słuszna. Przy stosowaniu jej nie wolno jednak zapominać, że celem działalności ekonomicznej jest człowiek i zapewnienie dla niego materialnych i kulturalnych podstaw bytu. Człowiek ten nie istnieje *in abstracto*, w przyszłych pokoleniach, w okresie socjalizmu, w warstwie pracującej wyłączającej jakichś tam mitycznych „wrogów socjalizmu”. Jest on przeciętnym członkiem obecnego społeczeństwa, nacechowanym ambicją po-

lepszenia swego standardu życiowego, osiągnięcia pewnego stopnia wolności, uzyskania wolnego czasu na spokojne i prywatne kultywowanie osobistego życia. Nauczony doświadczeniem, jest on sceptycznie nastawiony do sloganów i okazuje nieufność do wszelkiego rodzaju ciał administracyjnych. Chciałby widzieć dla siebie szanse równe szansom innych osób, a szczególnie tych, które są tak czy inaczej związane z administracją państwem. Chciałby mieć do czynienia z jednym tylko zbiorem praw i uprawnień czy obowiązków, jednym systemem cen, jednym rynkiem dostępnym dla wszystkich. Polski system gospodarczy powinien służyć temu właśnie człowiekowi.

Bogdan MIECZKOWSKI

ZWIĄZKOWIEC

Jedynе pismo polskie w Kanadzie ukazujące się dwa razy na tydzień Służy Polonii Kanadyjskiej od roku 1933 przynosząc regularne korespondencje i informacje ze wszystkich ośrodków polonijnych w Kanadzie i innych krajach świata.

Związkowiec

informuje obszernie o życiu w Polsce tak przez własnych wysłanników jak i poprzez korespondencje z kraju

Związkowiec

zamieszcza informacje i artykuły o sytuacji międzynarodowej

Związkowiec

drukuje w odcinkach dwie powieści współczesnych autorów polskich, oraz posiada działy: Kobiety i Dla Dzieci

Związkowiec

dociera do wszystkich ośrodków polonijnych jest więc doskonałym instrumentem reklamy handlowej.

Związkowiec

jest jedynym pismem polonijnym, które od roku 1957 do chwili obecnej miało w Polsce czterech specjalnych korespondentów. Abonament roczny wynosi w Kanadzie — dol. 6,00, w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach — dol. 7,00. Wpłaty należy kierować do administracji ZWIĄZKOWCA:

1475 Queen Street West, TORONTO 3, Ont., Canada
Administracja wysyła na żądanie egzemplarze okazowe.

Sąsiedzi

Nieznany szczegół

W 1959 roku ukazała się w Stanach Zjednoczonych książka płk. K. Żukasa pt. *Wzrok w przeszłość* (Zvilgnis i praeiti). Wspomnienia człowieka i żołnierza. Materiał dla historyków. Str. 476. Wyd. „Terra” 3333 So. Halsted St., Chicago 8, Ill., 1959).

Pułkownik Koslas (Konstanty) Żukas, ur. w r. 1884 w Kownie. Brał udział w ruchu rewolucyjnym w r. 1906. W r. 1910 ukończył Szkołę Wojskową w Wilnie i następnie był oficerem w wojsku rosyjskim. W r. 1919 — dowódca frontu suwalskiego. W r. 1920 poseł na sejm ustawodawczy z listy wyborczej ludowców (lewica) i Minister Obrony Narodowej w okresie od czerwca 1920 do kwietnia 1921 r. W okresie czerwiec-lipiec 1920 p.o. Naczelnego Wodza. W r. 1921 zastępca Szefa Sztabu, Szef Sztabu i d-ca dywizji. W r. 1927 przeszedł na emeryturę zostając czasowo wykładowcą w szkole podchorążych i na kursach oficerskich. Obecnie przebywa w Stanach Zjednoczonych.

Z książki płk. Żukasa cytujemy kilka fragmentów, które mogą zainteresować czytelnika polskiego. Przekładu dokonał Kazys Zdanavicius (Kazimierz Zdanowicz), zamieszkały obecnie w Australii.

K. Zdanavicius urodził się na Litwie (sienkiewiczowska Lauda) w r. 1899. W latach 1919-1940 był zawodowym oficerem w wojsku litewskim. Ukończył wydział prawny na uniwersytecie kowieńskim. W latach 1939/1940 był kolejno komendantem obozów dla internowanych oficerów i żołnierzy polskich na Litwie: w Birstonas i Ukmerge.

Byłoby bardzo interesującym przyczynkiem historycznym gdyby Polacy, którzy przeszli przez te obozy, zechcieli przysłać do redakcji „Kultury” swoje wspomnienia z tego okresu. P. K. Zdanavicius chętnie by służył swymi uzupełnieniami czy komentarzami.

Echa dalekiej burzy (str. 278-279)

W czasie jednego z pierwszych posiedzeń gabinetu ministrów, bodajże w dniu 30 czerwca, doręczono mi szyfrowaną depeszę, otrzymaną z Moskwy, tej mniej więcej treści: „Do Ministra Obrony: Dn. 12 lipca Czerwona Armia uderzy na Polaków na odcinku Nowe Święciany — Wilejka. Proponuje się

ściągnięcie trzech dywizji i uderzenie na cofających się Polaków. Podpisał: Płk. Sztabu Generalnego: Klescinskis”.

Po skończonym posiedzeniu zatrzymałem ministrów i zreferowałem im treść otrzymanej depeszy. Była ona tym dziwniejsza, że była to przecież największa tajemnica wojskowa, o której nie wszyscy nasi wyżsi dowódcy byli poinformowani, gdyż nasza umowa z bolszewikami nie była jeszcze podpisana.

Po przedyskutowaniu tej sprawy pojechalśmy do prezydenta. Jeszcze tego samego dnia dałem Klescinskisowi (Kleszczyńskisowi) kategoryczną odpowiedź: „Nie. W zatargu Sowietów z Polską będziemy ściśle neutralni”.

Byłem przynębniony. Dopiero rozpoczęliśmy współpracę i oto co się dzieje. Wiedziałem, że wojna pomiędzy takimi sąsiadami, jakich mieliśmy, nie może się i dla nas skończyć pomyślnie — bez względu na to kto z nich zwycięży. Od wschodu szła burza, która nie mogła nas ominąć.

Zaproponowałem prezydentowi i premierowi natychmiastowe mianowanie Naczelnego Wodza. Sprawa była pilna — niestety nie mieliśmy odpowiedniej kandydatury. Pułkownicy Ladyga i Musteikis, byli dowódcy dywizji, odznaczeni w walkach z bolszewikami, byli za młodzi. Gdy wysunąłem ich nazwiska prezydent pokręcił przecząco głową. W tym czasie powrócił już z Polski gen. Żukauskas, nasz były Naczelnny Wódz, który pojechał po żonę i zbyt długo nie wracał. Był on obecnie Inspektorem Wojsk, ale wysuwano przeciwko niemu szereg zarzutów. Będąc w Polsce spotkał się mianowicie z prowokatorem Aukstolaitisem i nie orientując się zbytnio w sprawach politycznych podpisał podsunięty mu artykuł o konieczności unii polsko-litewskiej. Artykuł ten podpisany: generał S. Żukauskas. Naczelnny Wódz Wojsk Litwy” — był w polskiej prasie szeroko komentowany.

Nominacja Naczelnego Wodza nie nastąpiła. Czasowo to ciężkie i odpowiedzialne stanowisko przypadło mnie.

(Klescinskis-Moskal, przez pewien czas jako generał był szefem sztabu; zwolniony z wojska; schwytyany, gdy przekazywał tajemnicę wojskowe sekretarzowi poselstwa sowieckiego w Kownie, wyrokiem sądu skazany został na śmierć. Wyrok wykonano bodajże w r. 1927. Był członkiem delegacji litewskiej w Moskwie w r. 1920. Przyp. tłum.).

Pertraktacje z Rosjanami o Wilno (str. 285-288)

W dniu 13 czy 14 sierpnia do Kowna, celem przeprowadzenia ważnych pertraktacji, przyjechali: komisarz 3 sowieckiej armii Mežlaukas (Łotysz, docent uniwersytetu) oraz jego zastępca — Marchlewski (Polak). W naradach brali udział: dyrektor wschodniego departamentu Min. Spraw Zagr. — Balutis i poseł na Sejm Ustawodawczy Carneckis (Czarneckis)*.

*) W czerwcu 1941 deportowany do Rosji.

Ponieważ narady miały charakter wojskowo-dyplomatyczny musiał w nich wziąć udział Szef Sztabu Generalnego, gen. Katcze, który, na nieszczęście, od kilku dni był „chory”. Wysłano na miasto oficerów z poleceniem odszukania go za wszelką cenę i doprowadzenia — zdrowego — do Ministerstwa. Po pewnym czasie zawiadomiono mnie, że Szefa Sztabu znaleziono w jakiejś dziurze, że przewieziono go do domu i że zlewają mu głowę zimną wodą. Następnie poinformowano mnie, że generał jest już w porządku i że tylko musi poprawić sobie samopoczucie butelką piwa.

Nie trudno sobie wyobrazić moje zakłopotanie wobec Meżlaukasa i Marchlewskiego, którzy zdawali sobie sprawę z sytuacji. Bawiliśmy ich przez dłuższy czas konwersacją, ale pod koniec i oni zaczęli się niepokoić z powodu przeciągania się posiedzenia.

Po jakimś czasie otworzyły się drzwi mego gabinetu i wszedł... pijaniusieńki gen. Katcze. Z trudem przedstawił się i ciężko opadł na fotel. Meżlaukas szepnął mi do ucha: „To jest szef sztabu?” — Mh...” — odpowiedziałem. „Ja bym go s...., powiesił”.

Czułem się jak obłany wrzątkiem. Posiedzenie rozpoczęło się.

Rozważaliśmy sprawę oddania nam Wilna z okręgiem wileńskim. Strona sowiecka oświadczyła, że ze względów strategicznych w tej chwili Wilno nie może być nam oddane, gdyż toczą się jeszcze działania wojenne, ale że po ich zakończeniu — zgodnie z umową podpisaną przez obydwaj państwa — otrzymamy należny nam obszar. Po długich pertraktacjach bolszewicy zgodzili się oddać nam od razu północną część wileńszczyzny do nowoświęciańskiego. Obszar pomiędzy Nowo Święcianami a Valkininkai miał być oddany po miesiącu — co do reszty obszaru Litwy — termin nie został ustalony. W każdym razie linia kolejowa Dangpilis — Wilno — Grodno musi zostać w rękach bolszewików, gdyż jest to główna arteria dostaw na front. Jeśli idzie o Wilno — do końca wojny pozostanie w nim sowiecka komendantura.

Następnie przedstawiciele sowieccy, zupełnie dla mnie nieoczekiwanie, oświadczyli, że dowództwo sowieckie przewiduje, iż Polacy będą się bronić na linii Grodno — górny bieg Niemna — lasy Augustowskie i że my, jako nowi i prawdziwi sojusznicy, musimy pomóc im w walce ze wspólnym wrogiem.

Ja i Balutis ostro wypowiedzieliśmy się przeciwko tej propozycji, podkreślając, że byłoby to oczywiste złamanie neutralności, na co nasz rząd w żadnym wypadku się nie zgodzi. Meżlaukas usiłował nas przekonać, że przepuszczenie wojsk sowieckich w czasie wojny jest przewidziane w zawartej między obydwoma państwami umowie, ale my z Balutisem zaprzeczyliśmy temu.

(Obecnie po 37 latach, spotkałem przypadkowo p. N., który w r. 1920 był radcą prawnym naszego poselstwa w Mos-

kwie i który oświadczył mi, że Meżlaukas miał rację, gdyż do pokojowej umowy z bolszewikami dodany był tajny załącznik o przepuszczeniu przez nasze terytorium wojsk sowieckich w razie wojny. Dziwne, że o tak ważnej sprawie Ministerstwo Obrony nic nie wiedziało...).

Zaczęła się gorąca dyskusja. Meżlaukas i ja wstaliśmy z miejsc. Jak mówili mi później Balutis i inni obecni — podobni byliśmy do dwóch kogutów, gotowych do walki. Meżlaukas powiedział wtedy co następuje:

— „Jeżeli tak, to stąd, z Kowna, wysyłam depeszę, aby nasze dowództwo skierowało 3 dywizje, które zajmą mosty w Prienai, Alytus i Merkine i będą przepuszczały nasze wojska przez południową część Litwy”.

— „Nie, pan tego nie robi” — powiedziałem wyprowadzony z równowagi.

— Zrobie!

— Nie zrobisz! — krzyknąłem.

— A dlaczego? — zapytał Meżlaukas.

— Dlatego, że ja pana przedtem powieszę.

— Aaa... — Meżlaukas usiadł. Balutis dawał mi oczami jakieś znaki, których nie rozumiałem. Po chwili powiedziałem:

— Byliśmy obydwaj podnieceni. Ja, jako gospodarz, nie powinienem być się tak unieść. Wycofajmy to cośmy powiedzieli.

— Wycofajmy.

— I przewidziane działania?

— I przewidziane działania — odpowiedział Meżlaukas.

W dalszym ciągu ja i Balutis tłumaczyliśmy Meżlaukasowi, że przepuszczenie przez swoje terytorium wojsk państwa będącego w stanie wojny, jest oczywistym złamaniem neutralności i przyłączeniem się do jednej z walczących stron. Przeciwno temu będą musiały zareagować Francja, Anglia i Stany Zjednoczone. Nie wiadomo czy to byłoby korzystne również i dla Sowietów.

Zdaje się, że nam uwierzyli. Następnie omawiana była sprawa mianowania komisji dla przejścia obszaru Wilna. Komisja ta miała zjechać się w Wilnie 16 sierpnia.

Koslas ŻUKAS

Ukraińcy w Kanadzie

Jako Prezes Anglo-Ukraińskiego Towarzystwa w Wielkiej Brytanii zostałem zaproszony na objazd ukraińskich ośrodków w Kanadzie przez K.U.K. — Komitet Ukraińców Kanady — celem nawiązania łączności i omówienia współpracy pomiędzy

bratnimi organizacjami. Objechałem 13 miast; mówiłem bez przerwy. W samym Winnipegu przemawiałem po angielsku i ukraińsku przy dwudziestu okazjach. Poza tym kolacje parafialne, rozmowy ze studentami, wywiady prasowe, radiowe i telewizyjne. Podejmowano mnie z gościnnością już nie przystoiową ale wprost wzruszającą. K.U.K. rezerwował dla mnie najlepsze hotele i pokrywał wszystkie wydatki. Dzięki tej szczodrości został mi udostępniony wgląd w świat zdumiewający: zaatlantycki a jednak głęboko związany z macierzą.

Jesteśmy w sercu „Ukraińskich Stepów Kanady”. Kolosalny wydmuch Manitoby, Alberty i Saskaczewan nie tylko jest zamieszkały przez Ukraińców. Ten kraj wygląda jak Ukraina. Urodzajny czarnoziem; horyzont bez początku i końca; twarde, turkusowe niebo; łagodne wzniesienia albo zupełnie płaski teren. Miasta u krańca dróg przecinających się pod kątem prostym, ginących za horyzontem i pojawiających się znów na wygięciach ziemi, ciągle prostą linią, ciągnących się setkami mil. Winnipeg, Saskatun, Regina, Fort William, Fort Arthur. Pewnie — to nie Kijów. Ale tradycyjne złote kopuły błyszczą nad śnieżystą zimą i jednolitym krajobrazem Kanady. Cerkwie ukraińskie, prawosławne i katolickie, macedońskie, serbskie, bułgarskie, bukowskińskie, greckie, rumuńskie, o przewiewnej i misternej konstrukcji. Prawdziwa furia wznoszenia „swoich” świątyń.

Było to w pewnym sensie dzieło przypadku. W roku 1896 rozpoczęła się ekspansja Kanady w kierunku zachodnim. Koncern kolejowy *Canadian Pacific* wypuszczał poprzez prerie coraz dalsze macki w kierunku Gór Skalistych i Oceanu Spokojnego. Wypuścił i od razu utknął. Wydawało się, że wielkie dzieło dosłownie ugrzęzło w błocie. Tuż za zachodnim pograniczem Dolnej Kanady — „angielskiej” jej części, która dzisiaj nazywa się Prowincją Ontario — rozpoczął się czarnoziem. Ani angielscy inżynierowie ani szkoccy majstrowie nie wiedzieli jak sobie poradzić z roztopami wiosennymi, kiedy deszcze zmieniały olbrzymie połacie kraju w morze czarnej mazi. Nie bardzo im się chciało obojętnie przyłożyć ręki do budowy i nie bardzo wiedzieli co można siać na czarnoziemie i jak pilnować tego, co tam wyrośnie. Trzy prowincje „stepowe”, Manitoba, Alberta i Saskatchewan zostały wprawdzie wytyczone na mapie, ale były to tylko nazwy geograficzne. Po to, żeby kolej mogła ruszyć z miejsca należało czym prędzej szukać robotników kolejowych do obsłużenia jej i rolników do wykarmienia obsługi. Clifford Sifton, minister spraw wewnętrznych w gabinecie Sir Wilfrida Lauriera, Federalnego Premiera Kanady w tym czasie, wpadł wówczas na doskonały pomysł: zdecydował się na otworzenie

bram nowego kraju tym wszystkim Europejczykom, którzy by odpowiadali dwóm warunkom: umiejętności i chęci pracy oraz znajomości czarnoziemiu. Kompaniom żegludowym obiecano nagrodę 5 dolarów za przywiezienie do Kanady głowy rodziny, odpowiadającej powyższej specyfikacji i po 2 dodatkowe dolary za każdego członka ich rodzin. Sześć tysięcy żegludowych agentów werbowniczych zjechało wobec tego do Galicji i Bukowiny w poszukiwaniu chętnych. Nie zamierzam pisać tu jeszcze jednej „Historii Nędzy Galicyjskiej”. Chłop ukraiński dusił się wówczas z głodu ziemi. I tu nagle otwarły się przed nim nieobjęte pola kanadyjskiego „Zachodu”. Tu mała uwaga na marginesie: w Kanadzie nie mówi się nigdy, jak w Stanach Zjednoczonych „Środkowy Zachód” — *the Middle West* — na określenie stepowego, geograficznego serca kraju, ale po prostu „Zachód” — *The West*.

Dziś, po 60-ciu latach od chwili kiedy pierwsi emigranci z Ukrainy znaleźli się na nowej ziemi w Kanadzie, liczba synów ich i wnuków urodzonych już za Atlantykiem osiągnęła 600.000. Może i więcej zresztą; czekajmy na tegoroczny spis ludności! W samym Winnipegu, stolicy Manitoby, mieszka ich przeszło 70.000. Co 6-ty przechodzień jest tu Ukraińcem, a w „Prowincjach Stepowych” Kanady co 10-ty czy 11-ty obywatel jest Ukraińcem.

Wychodźtwa towarzyszył do Kanady wiejski kler. Było to przed reformami śp. Metropolity Szeptyckiego. Tragiczne skutki mało budującego przykładu niektórych duchownych nie kazały długo czekać na siebie. Około roku 1920 znaczny odłam młodej inteligencji ukraińskiej zerwał związki z Cerkwią Katolicką i przyłączył się do prawosławia. Doprowadziło to do rozdwojenia wysiłku i osiągnięć. W Saskatun — biorę przykład pierwszy z brzegu — istnieje poważny ośrodek kulturalny i społeczny greko-katolicki pod nazwą Instytutu Metropolity Szeptyckiego; ale obok istnieje również Instytut im. Piotra Mohyły; Edmontoński Instytut Św. Jana Chryzostoma dublowany jest Instytutem Św. Jura. Ten podział, czy raczej rozdarcie religijne, nie odpowiada jakimkolwiek innym różniczkowaniom kanadyjskich Ukraińców; i greko-katolicy i prawosławni wywodzą się z tychże samych okolic Galicji. Prawie wszystkie sekty protestanckie — a jest ich w Kanadzie mnóstwo — posiadają nieliczne wprawdzie, ale całkiem oczywiste kontyngenty ukraińskich wyznawców. Istnieje też ukraińsko-kanadyjskie i nie-galicyjskie odgałęzienie prawosławnej Cerkwi. Jest ono wydatnie podtrzymywane przez Ambasadę Sowiecką.

Różnice religijne są jednak problemem tylko wewnętrznym; na zewnątrz społeczeństwo występuje zwarciem, czy to w sprawach ogólnokanadyjskich czy międzynarodowych. K.U.K. — Komitet Ukraińców Kanady — jednoczy nieomal wszystkich, bez względu na wyznanie.

Ukraińcy w Kanadzie prawie od pierwszej chwili zaczęli dbać o wykształcenie swoich dzieci. Nauczyciel ludowy był zawsze czołowym przedstawicielem społeczności ukraińskiej. Dziś np. Ukraińcy stanowią ok. 70 % nauczycielstwa Prowincji Alberta. W Prowincji Saskatchewan miejscowy rząd socjaldemokratyczny odnosi się ze szczególną uwagą do potrzeb nauczycieli ludowych i jednocześnie do narodowych tradycji ukraińskich. Stąd też siedzi tak mocno w siodle jak mały który prowincjonalny rząd kanadyjski.

Wydziały filologii i historii ukraińskiej istnieją dziś na uniwersytetach w Winnipegu, Toronto, Edmonton, Saskatun i Regina. Ilość ukraińskich doktorów, prawników, inżynierów rośnie z roku na rok. Ciężar gatunkowy ukraińskiej inteligencji w Kanadzie jest już na tyle znaczny, że prowincjonalny rząd Manitoby stawia w gmachu parlamentu w Winnipegu ogromny posąg Tarasa Szewczenki.

Tak samo udział Ukraińców w życiu publicznym Kanady jest dziś znaczny. Żeby wymienić zaledwie kilku wybitnych przedstawicieli społeczności ukraińskiej w Kanadzie: Stephen Juba, Prezydent Winnipegu, działacz samorządowy, dawny Prezydent miasta Edmonton; Hon. Michael Starr (Starczewski) — Federalny Minister Pracy; Mr. Kaye (Kisielewski), wysoki urzędnik Biura Naturalizacji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Ottawie; przynajmniej 8-miu posłów do Parlamentu Federalnego, oraz imponująca cyfra członków parlamentów prowincjonalnych.

Ale Ukraińcy w Kanadzie rosną również „wszerz”: dzieci i wnuki najbiedniejszych chłopów w Europie stają się nareszcie zamożni. Kilku z nich jest już milionerami. Narodziła się nowa warstwa, powiedzmy „przemysłowo-handlowa”. Nazywają się potocznie „pidpryjemci i byznysmeny” — jest to klasa menażerska. Nie tylko cerkwie, domy parafialne i zakłady dobroczynności utrzymywane są z datków publicznych. Ukraińcy, jako społeczność, łożą poza tym na związki weteranów, przysposobienia lotniczego do kanadyjskiego R.A.F.'u, tzw. *Cadet Corps*, koła i kluby wszelkiego rodzaju. Dochodzą tu banki kredytowe i społeczne, kooperatywy i organizacje parafialne jako jednostki gospodarcze.

Po 2-giej wojnie światowej wzrosły też subwencje społeczne na poczynania kulturalne, nie związane bezpośrednio ze szkolnictwem fachowym, utylitarnym. Tu należy w pierwszym rzędzie wymienić Wolną Ukraińską Akademię Nauk — UVAN — w Winnipegu. Podjęła się ona od 1948 r. pionierskiej pracy gromadzenia materiałów folkloru językoznawczego ukraińsko-kanadyjskiego.

Niezmiernie pomyślna koniunktura dla społeczeństwa ukraińskiego w Kanadzie wynika z podstawowych założeń polityki demograficznej Kanady. Oparta jest ona na zasadzie mozaiki.

Zmarły w czasie 2-ej wojny światowej Lord Tweedsmuir, ówczesny Gubernator Generalny Kanady (John Buchan) tak ją określił przemawiając właśnie do Ukraińców we Fraserwood, jednym z ukraińskich obszarów w Manitobie: „Nikt nie wymaga od was, żebyście zapomnieli o swojej Ojczyźnie osiedlając się w Kanadzie; wasza kultura ma korzenie tak głębokie i potężne, iż im lepszymi będziecie Ukraińcami, tym lepszymi staniecie się Kanadyjczykami”.

Jest to formuła imigracyjna bez konkurencji w świecie, jeżeli chodzi o utrzymanie indywidualnej i narodowej godności imigrantów, a jednocześnie o zapuszczenie przez nich korzeni w kraju. Z tego co widziałem, myślę, że ta formuła jest w zupełności usprawiedliwiona.

Zasługa w tym kanadyjskich Francuzów czy francuskich Kanadyjczyków. Pomimo przegranej politycznej w końcu XVIII wieku, chłopci, głównie z Normandii i Bretanii, opuszczeni przez wszystkich poza duchowieństwem katolickim, z niezmierną zaciekłością, „samymi zębami”, wywalczyli sobie całkowitą równość językową i kulturalną, zanim jeszcze stali się współpartnernami anglo-celtyckich warstw kierowniczych kraju.

Dla Europejczyka aspekty mozaiki kanadyjskiej są zaskakujące. Doznałem np. lekkiego wstrząsu przejeżdżając przez most w Winnipegu, na Rivière Rouge. Po drugiej stronie panowała zupełnie inna, ale równie autentyczna wersja Zachodu Kanady: dekoracja francuskiego prowincjonalnego miasta; napisy w rodzaju *Signaux lumineux à cinq cents pieds, Ne stationnez pas a aucun temps, Apothécaire — Drugstore*.

Z innej beczki: w Riverton, też w „Prowincjach Stepowych”, istniała przez ok. 10 lat, aż do momentu sformowania Prowincji Manitoba, najzupełniej formalnie ukonstytuowana, republika wychodźców islandzkich, pod protektoratem Królowej Wiktorii. Dziś wysepkę nordycką oblewa morze słowiańskie i odbywa się powtórka, tylko na odwrót, osiedlenia się skandynewskich Waregów nad Dnieprem. I stąd na stepach Kanady mieszkają po sąsiedzku Islandczycy i Ukraińcy i są, w niektórych okręgach, dwujęzyczni. Okoliczni Indianie i metysi też biegle władają i ukraińskim i islandzkim.

Oczywiście społeczeństwo ukraińskie w Kanadzie jest silnie upolitycznione. Należy tu odróżnić politykę „kanadyjską” od „ukraińskiej”. Co do pierwszej trudno jest określić jak silnie i jak dalece Ukraińcy oddziałują na ogólnokanadyjskie wystąpienia na arenie międzynarodowej. Na to pytanie należy chyba odpowiedzieć przecząco. Wydaje mi się jednak rzeczą nie do pomysłenia, by jakikolwiek rząd kanadyjski zaangażował się w

politykę oczywiście i bezpośrednio godzącą w najgłębsze poczucie moralne i narodowe swojej społeczności ukraińskiej. Przy najmniej w stu okręgach wyborczych głosy ukraińskie mają coś do powiedzenia.

Polityka „ukraińska”. Tu przede wszystkim należy zdać sobie sprawę, iż jest ona przecięciem i odbiciem ugrupowań politycznych, istniejących poza Kanadą. Istnieją więc tam Melnykowcy, zwolennicy „Nacjonalnej Rady”, Banderowcy i Hetmańcy. Ci ostatni, monarchiści tradycyjni, rekrutują się przeważnie z ludzi starszych.

Pomiędzy emigracjami „starą” i „nową” dochodzi do tarć. Szczególnie jeśli chodzi o zasadnicze wytyczne działalności politycznej. Nowi przybysze chcieliby widzieć w Kanadzie przede wszystkim odskocznnię dla europejskiej polityki ukraińskiej. Zapominają oni jednakże, iż „kanadyjska” polityka ukraińska jest też rzeczywistością i to rzeczywistością w wymiarze życia codziennego bardziej pociągająca ogół społeczeństwa ukraińskiego.

Są jeszcze komuniści. Do nich należą przede wszystkim „Domy Robotnicze” i organizacja „Ukraińska Knyha”, zajmująca się nie tyle importem książek, co eksportem paczek żywnościowych i odzieżowych do ZSSR.

Trudno jest zorientować się, jaka jest istotna siła komunistów wśród Ukraińców w Kanadzie. Oblicza się, iż w okresie międzywojennym około 2-ch do 4-ch procent wychodźstwa ukraińskiego z Galicji należało do KPZU. Mówi się, iż komunizujące elementy wykupują najdalej na północ wysunięte tereny rolnicze.

Mało kto z Ukraińców odwiedza „stary kraj”. A ci co odwiedzają — milczą.



Sprawy polsko-ukraińskie są nade wszystko bolesne.

Prywatnie, wybitni Ukraińcy kanadyjscy chcieliby odprężenia w polsko-ukraińskich stosunkach, naprawy ich, na pewno współpracy, być może pojednania. Ale żaden z nich nie zaryzykuje publicznej obrony tych tez. Właściwy czas jeszcze nie nadszedł. Muszę tu stwierdzić, iż za każdym razem podkreślałem starannie, iż miałem zaszczyt służyć w Wojsku Polskim podczas 2-ej wojny światowej, i że jestem jak najściślej związany ze społecznościami tak ukraińską jak i polską w Anglii, a uczuciowo z obydwojoma krajami w ogóle. Nie wyczuwałem jakichkolwiek oporów czy zastrzeżeń z tego powodu wśród moich ukraińskich gospodarzy i przyjaciół w Kanadzie.

Auberon HERBERT

Najnowsza historia Polski

Możliwości przygotowania do wojny w okresie 20-lecia

Artykuł gen. dyw. J. Zająca w nr. 1/159-2/160 „Kultury” z r. 1961 o zmarnowanym planie mobilizacyjnej rozbudowy naszych sił zbrojnych do 60 dyw. p. nasuwa cały szereg refleksyj. Gdyby gen. Zajac potraktował swój artykuł jako pamiętnik pisany na gorąco w czasie prac nad powyższym planem, to artykuł taki stanowiłby bardzo pożyteczny przyczynek ułatwiający zrozumienie warunków, w jakich rozpoczęliśmy w wolnej Polsce prace nad rozbudową młodych naszych sił zbrojnych. Ale gen. Zajac nie ogranicza się do roli pamiętnikarza, lecz stara się wpoić czytelnikowi jeszcze dzisiaj przekonanie, że „plan był oparty na realnych kalkulacjach” nawet „łącznie z obliczeniem rezerwy sprzętu na 3 miesiące wojny” i że nie było żadnych przeszkód do jego realizacji z wyjątkiem woli najwyższego kierownictwa wojskowego. Można było w to wierzyć w 1924 r., ale podawać to do wierzenia dzisiaj, gdy mamy za sobą blisko 40 lat bogatych doświadczeń, a nadto dysponujemy gruntownymi pracami na temat naszych przygotowań do wojny, zwłaszcza tomem I „Polskich Sił Zbrojnych w drugiej wojnie światowej” wydaje się być poważnym nieporozumieniem.

Plan ten, dowiadujemy się z artykułu gen. Zająca, nie uzyskał aprobaty ani marsz. Piłsudskiego, który był w tym czasie Szefem Sztabu Gen., ani jego następcy gen. dyw. Stan. Hallera, który zamiast przedłożyć mu plan zatwierdzić, zwrócił go z adnotacją: „dobry referat dla prac Oddziału I”. Stanowisko to okazało się słuszne, ponieważ plan Oddziału I uległ całkowitemu załamaniu już przy końcu 1925 r., a więc jeszcze za czasów urzędowania gen. Zająca. Gen. Zajac o tym fakcie w swoim artykule nie pisze. Pisze o tym natomiast dawny oficer Oddziału I, mjr dypl. Wład. Steblik, w warszawskim

Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

„Wojskowym Przeglądzie Historycznym” (Rok I, zeszyt 3/16) lipiec-wrzesień 1960) w artykule pt. „Niemcy z maja 1936 r.,” w sposób następujący:

„Niestety wskutek ostrych trudności finansowych, jakie zaczęły się przy końcu 1925 r. plan ten utknął na poziomie O.d.B. planu mob. „S” tj. 39 dyw. p. i 12 brygad kaw.

W pierwszych dniach grudnia 1925 r. przyszło mi opracować w Oddziale I rozkaz wykonawczy do zarządzanej przez rząd premiera Al. Skrzyńskiego, na skutek ostrego kryzysu finansowego (załamanie się złotego) natychmiastowej redukcji stanu liczebnego wojska o 40 tys. szeregowych niezawodowych. W rezultacie zarządzanej wówczas redukcji budżetu wojska stan faktyczny (i budżetowy) ustalony organizacją pokojową z 1925 r. na 23 tys. oficerów zaw., 50 tys. podofic. zaw. i około 238 tys. szer. niezawodowych zmniejszony został o 6 tys. oficerów zaw., 13 tys. podofic. zaw. i 40 tys. szeregowych niezaw. do poziomu budżetowego (tzw. przeciętnej budżetowej) 17 tys. of. zaw., 37 tys. podof. zaw. i 198 tys. szer. niezaw.”

Jak więc widzimy, piękny plan Oddziału I-go załamał się już w 1925 r. z *powodów finansowych*. Te same powody nie pozwalały nam rozwinąć naszych skrzydeł i w późniejszych latach niepodległości i ograniczały nasze osiągnięcia do rozmiarów odpowiadających finansowym możliwościom naszego Państwa.

39 dywizji piechoty przewidywanych w planie mobilizacyjnym „S”, o których pisze mjr Steblik, były również tylko na papierze. Były one bez nowoczesnej jednolitej broni i bez nowoczesnego sprzętu. Dowodzi tego obliczenie pokrycia materiałowego jednostek mobilizowanych w planie „S” dokonane przez Oddział I na przełomie lat 1933/34, który stwierdził, że:

a) jednostki walczące, istniejące w czasie pokoju (30 dyw. p). wykazały braki minimalne,

b) jednostki niewalczące, lecz niezbędne dla działania jednostek walczących (wyższe dowództwa, jednostki broni i służby) wykazały braki znacznie większe, ale nie rażące.

c) natomiast jednostki rezerwowe nie istniejące w czasie pokojowym *nie posiadały zupełnie sprzętu i materiału* z wyjątkiem francuskich starych karabinów i karabinów maszynowych.

Jakie musiały być zatem braki w 1924 r., gdy po 10 latach i wydaniu w tym czasie ponad miliarda złotych na materiały wojenne wyposażenie sił zbrojnych, braki były jeszcze tak bardzo poważne?

Kryzys finansowy z 1925 r. odbił się przede wszystkim, jak widzimy z artykułu mjra Steblika, na stanie naszej kadry zawodowej, oraz stanie czynnym szeregowych niezawodowych, zmniejszając je mniej więcej o jedną trzecią. Z tych samych finansowych względów mogły one być tylko nieznacznie powiększone w następnych latach, co wpłynęło również ograniczająco, jak to zobaczymy poniżej, na nasze możliwości mobilizacyjne.

Gen. Zajęc nie pisze, jakiego rodzaju pod względem wartości bojowej miały być projektowane przez niego dywizje, z treści jednak artykułu wynika, że wszystkie 60 dywizji piechoty miały być pełnowartościowe. Aby zmobilizowana dywizja piechoty była pełnowartościową jednostką bojową musi ona posiadać silne zawiązki kadry zawodowej, zawiązki stanu czynnego szeregowych niezawodowych w wysokości około 33 % stanu zmobilizowanych części bojowych dywizji oraz uzupełnienie z rezerwistów w wieku nie przekraczającym 28-30 lat. Takich 60 dywizji piech. nie można było wystawić opierając się na tym ilościowym stanie kadry zawodowej i stanu czynnego, które były podstawą obliczeń w planie gen. Zajęca.

Pierwsza część artykułu gen. Zajęca jest relacją z jego prac na stanowisku Szefa Oddziału I-go Sztabu Gen. W tym charakterze był on w latach 1922-26 kierownikiem prac organizacyjnych i mobilizacyjnych na szczeblu naczelnym. Ten fakt nadaje jego artykulowi szczególny wyraz. Czytelnik bowiem, nie mający przygotowania do krytycznej analizy argumentów zawartych w tym artykule będzie skłonny przyjąć je na wiarę ze względu na autorytet piszącego. I w tym leży duże niebezpieczeństwo powyższego artykułu.

Ponieważ od grudnia 1935 r. aż do wybuchu wojny byłem Szefem tego samego Oddziału, a zatem byłem również odpowiedzialny za kierowanie pracami organizacyjnymi łącznie z szybką w tym czasie rozbudową sił zbrojnych oraz kierowałem pracami nad planem mobilizacyjnym „W”, który był wprowadzony w życie przed wybuchem wojny i który okazał się bezbłędny, więc sądzę, że mam prawo, a nawet wydaje mi się, że mam i obowiązek przedstawienia czytelnikom „Kultury”, którzy czytali artykuł gen. Zajęca, zarówno warunków jak i możliwości naszych osiągnięć w pracach nad organizacyjnym i materiałowym przygotowaniem obrony Państwa.

Będę się głównie starał wyjaśnić, czy byliśmy w stanie wystawić większą ilość formacji, niż te, które zmobilizowaliśmy w czasie naszej wojny. Dla informacji podaję, że wojsko lądowe bez lotnictwa i marynarki składało się według planu mob. „W2”, który był zrealizowany, z 39 dyw. p. (w tym 3 dywizje drugiego rzutu), 11 brygad kaw., 2 brygad zmotoryzowanych (druga była w trakcie szybkiej organizacji) i odpowiedniej ilości dowództw oraz wojsk i służb pozadywizyjnych. W sumie liczba zmobilizowanych łącznie z lotnictwem i marynarką oraz formacjami krajowymi wynosiła blisko półtora miliona ludzi.

Nim przejdę do właściwych wywodów chciałbym zwrócić uwagę na dwa zagadnienia, o których należy stale pamiętać przy ocenie znaczenia poszczególnych czynników, od których zależy zdolność mobilizacyjna Państwa. Dla jasności obrazu będę mówił tylko o wojsku lądowym z wyłączeniem lotnictwa i marynarki, które stanowią oddzielne siły, organizowane według odmiennych zasad. Musi się je jednak włączyć do wszelkich kalkulacji tam, gdzie jest mowa o pokrywaniu kosztów, ponie-

waż wydatki na te bronie były włączone do budżetu Ministerstwa Spr. Wojsk.

Pierwsza sprawa, na którą chcę zwrócić uwagę, to jest sprawa struktury organizacyjnej sił zbrojnych. Struktura tych sił musi stanowić logiczną całość odpowiadającą wymaganiom nowoczesnej wojny. Jeżeli byśmy tę strukturę przedstawili w formie rysunku, i u jego podstaw wrysowali wielkie jednostki (w tym wypadku dywizje piechoty), a na szczycie Kwaterę Główną Naczelnego Wodza, to między dywizjami a Naczelnym Wodzem musielibyśmy wrysować cały szereg wyższych dowództw, oddziałów broni i służb pozadywizyjnych, zakładów, magazynów itd. Ilość tych oddziałów i zakładów musi harmonizować z ilością dywizji, od tej bowiem harmonii zależy wydajność pracy całości. Jeżeli zatem chcemy w planie mobilizacyjnym zwiększyć ilość dywizji, to musimy równocześnie zwiększyć ilość jednostek pozadywizyjnych, w przeciwnym bowiem razie cała struktura ulegnie załamaniu. Nie można zatem, wstawiając do planu dodatkowe dywizje, ograniczyć się tylko do kosztów wystawienia tych dywizji, trzeba do tych kosztów dodać także i koszt wystawienia tych jednostek pozadywizyjnych, które muszą być wystawione łącznie z tymi dywizjami. To ma duży wpływ na wysokość całości kosztów. Koszt bowiem tych dodatkowych jednostek jest stosunkowo wysoki. W tym czasie gdy gen. Zajac opracowywał swój plan, koszt tych jednostek wynosił około 40-50% kosztów wystawienia dywizji; ale już w ostatnich latach przed wojną wynosił on około 100% kosztów dywizji — dzisiaj jest on wielokrotnie wyższy.

Drugie zagadnienie, na które chciałbym zwrócić uwagę, to sprawa budżetu. Budżet Ministerstwa Spraw Wojsk dzieli się na dwie części, na tak zwany budżet vegetacyjny, obejmujący koszty utrzymania istniejących w czasie pokojowym sił zbrojnych i uzupełnienie sprzętu i materiału zużytego w czasie pracy pokojowej oraz tzw. potocznie budżet rezerwy strategicznej, obejmujący wydatki na pokrycie potrzeb materiałowych przewidzianej w planach mobilizacyjnych siły zbrojnej. Ponieważ wydatki na cele obrony Państwa w żadnym państwie nie są wyrazem potrzeb, a przede wszystkim wyrazem możliwości finansowych państwa, sprawa utrzymania równowagi między tymi dwoma rodzajami wydatków miała zasadnicze znaczenie. W tak zamkniętym bowiem budżecie powiększanie kwot na materiałowe przygotowanie wojny mogło się odbyć tylko kosztem budżetu vegetacyjnego, która to operacja nie mogła być nieograniczona z uwagi na to, że od stanu pokojowego sił zbrojnych, od ich przygotowania do wojny zależały, zarówno wielkość jak i wartość zmobilizowanych sił zbrojnych. Umiejętne administrowanie budżetem miało bezsprzecznie duże znaczenie w harmonijnym osiągnięciu celów w pracy przygotowania do wojny, ale niestety nie mogło ono zastąpić zbyt niskich kwot budżetowych.

Po tym wstępie przechodzę do wymienienia tych czynników, od których zależą możliwości mobilizacyjne, oraz do wykazania jak te czynniki grały w warunkach naszej rzeczywistości. Dla lepszego zobrazowania sytuacji przyjmę jako podstawę owych 60 dyw. piech. z planu gen. Zajaca.

Wielkość zmobilizowanych sił zbrojnych zależy:

- 1) od liczebnego stanu kadry zawodowej, tak oficerskiej, jak i podoficerskiej,
- 2) od wysokości stanu czynnego szeregowych niezawodowych i od ilości planowo wyszkolonych rezerw.
- 3) od ilości posiadanej broni, sprzętu i materiału,
- 4) od ilości zmagazynowanej amunicji,
- 5) od ilości i pojemności koszar, magazynów mob., osłonowych i centralnych wraz z urządzeniami za- i wyładowniczymi,
- 6) od stanu przemysłu wojennego.

Przejdźmy po kolei te punkty pod kątem widzenia naszej sytuacji, a zatem i naszych możliwości.

Kadra zawodowa

We wszystkich państwach przyjmuje się sprawdzoną doświadczeniami zasadę, iż ze stanu pokojowego kadry zawodowej tylko około 40% idzie na obsadę wielkich jednostek, reszta zaś tj. około 60% odchodzi na obsadę dowództw, wojsk i służb pozadywizyjnych, przede wszystkim do lotnictwa broni pancerniej i artylerii przeciwlotniczej, oraz obsadę dowództw krajowych łącznie z Ministerstwem Spraw Wojskowych, wojsk krajowych, zakładów i magazynów.

Jeżeli w naszych kalkulacjach wyłączymy brygady kawalerii z grupy wielkich jednostek i włączymy je do grupy pozadywizyjnych formacyj, to zachowując ten sam stosunek procentowy (40:60) zwiększamy automatycznie procent kadry w dywizjach piechoty.

Ilość kadry zawodowej w wojennej dywizji piechoty oblicza się na około 160 oficerów zawodowych i 400 podoficerów zawodowych. Przy 60 dywizjach wyniosłoby to 9.600 oficerów zaw. i 24 tys. podoficerów zawodowych. Jeżeli do tych liczb dodamy 60% na inne zmobilizowane formacje, to ilość kadry zawodowej potrzebna do wystawienia siły zbrojnej o 60 dywizjach piechoty musiałaby wynosić około 24 tysięcy oficerów zawodowych i 60 tysięcy podofic. zawodowych. A mieliśmy w czasie pokojowym tylko około 18.500 ofic. zaw. (łącznie z blisko 800 oficerami kontraktowymi) i niespełna 40 tys. podof. zaw. (łącznie z nadterminowymi). Toteż już mobilizacja 39 dywizji piech. natrafiała na bardzo poważne trudności z powodu braku kadry zawodowej na zawiązki mobilizacyjne. Dalsze zmniejszenie tych zawiązków postawiłoby pod poważnym znakiem zapytania bojową wartość zmobilizowanych oddziałów.

Rzecz jasna, że można było usunąć te trudności przez zwiększenie liczebne kadry zawodowej w czasach pokojowych.

Podniosłoby to jednak bardzo wydatnie koszt utrzymania pokojowych sił zbrojnych (budżet wegetacyjny) zostawiając niewiele, albo i nic na potrzeby materiałowego przygotowania wojny.

Rezerwiści

Ilość żołnierzy w zmobilizowanych siłach zbrojnych wynosi mniej więcej tyle, co ilość wielkich jednostek (w tym wypadku dywizji piech.) pomnożone przez 30-40. Im więcej w zmobilizowanych siłach zbrojnych jest innych wojsk poza dywizjami piechoty (im silniejsze jest lotnictwo, artyleria przeciwlotnicza i ciężka, broń pancerna itd.), tym mnożnik musi być wyższy. U nas dawałoby to przy 60 dywizjach piech. ponad 2 miliony ludzi. Dla orientacji przypominam, iż stan naszych sił zbrojnych zmobilizowanych w 1939 r. wynosił przy 39 dywizjach piech. niespełna półtora miliona.

Roczne wcielenie poborowych wynosiło u nas stale około 110 tys. żołnierzy. Łącznie z poborowymi odbywającymi służbę w Korpusie Ochrony Pogranicza rocznik odchodzący do rezerwy wynosił około 125 tys. ludzi.

W planie mobilizacyjnym nie można przyjmować więcej jak 80% stanu wszystkich powołanych roczników; 20% bowiem oblicza się na straty naturalne (śmierć, zmiana kategorii zdrowia), konieczne reklamacje (przemysł wojenny, kolej, poczta i telegraf), emigrację, okresowe wyjazdy i pewien procent na niestawiennictwo. To dawało w rezultacie u nas około 100 tys. ludzi w jednym roczniku. Dla zmobilizowania 2-milionowych sił zbrojnych należałoby powołać zatem już w pierwszych dniach wojny ok. 20 roczników. To byłoby niezgodne z przyjętą wszędzie zasadą, że nie powinno się zaraz na początku powoływać więcej niż 10-12 roczników najmłodszych z przeznaczeniem do jednostek walczących i 5-6 roczników starszych (zależnie od zapotrzebowania) do formacji tyłowych i krajowych. Środkowe roczniki powinny stanowić rezerwę na pierwsze uzupełnienia strat na wojnie do czasu wyszkolenia młodszych roczników. W tym rachunku brak było w Polsce dla zmobilizowania 60 dyw. piech. około 300 tys. rez. Brak ten można było uzupełnić tylko przez podniesienie liczby rocznego wcielenia w czasie pokojowym o około 25-30 tys. ludzi, co nie natrafiało u nas na trudności za wyjątkiem tego, że utrzymanie tej nadwyżki obciążało znowu budżet wegetacyjny.

Ale szkolenie rezerw jest tylko jednym z zadań pokojowych sił zbrojnych, drugim, równie ważnym zadaniem jest dostarczenie do mobilizowanych jednostek zawiązków stanu czynnego w wysokości zapewniającej im wartość bojową już od pierwszego dnia wojny. Procentowa wysokość tych zawiązków jest różna w różnych broniach, wyższa w broniach technicznych, niższa w piechocie. W pierwszej wojnie światowej stosunek

ilościowy stanu czynnego do ilości wcielonych rezerwistów w dywizjach piechoty był we wszystkich państwach bardzo wysoki. Sądzę, że w 1924 r. w naszych planach należało przyjąć, że w następnej wojnie ten procent w dywizjach pełnowartościowych nie powinien być niższy, chociażby ze względu na spodziewany rozwój broni specjalnych w piechocie.

Zwiększenie zatem rocznego wcielenia o 25-30 tysięcy ludzi było koniecznością przy planowanych mobilizacyjnie 60-ciu dywizjach piechoty.

Kalkulacja powyższa opiera się na założeniu wojny trwającej dłuższy czas, sztab główny nie brał bowiem za podstawę swoich prac prowadzonych na kilka lat przed wojną możliwości wojny kilkutygodniowej.

Broń, sprzęt i materiał

Z niedużymi wyjątkami wszystka broń oraz cały sprzęt i materiał były produkowane u nas. Ilości produkcyjne zależały zatem wyłącznie od możliwości finansowych Państwa. Dlatego będę mówił o tym pisząc o stronie finansowej rozbudowy sił zbrojnych.

Amunicja

Amunicja należy do materiału. Wylączyłem ją tutaj dlatego, by zwrócić uwagę na znaczenie, jakie odgrywała ona w kosztorysach planów rozbudowy.

Każda broń wstawiona na wyposażenie oddziałów ma wartość tylko wtedy, jeżeli dla niej jest zdeponowana odpowiednia ilość amunicji. Podstawą do obliczeń zapasów amunicji są normy przeciętnego *dziennego* zużycia wojennego, opracowane na podstawie doświadczeń poprzednich wojen. Normy te u nas zatwierdził Komitet dla Spraw Uzbrojenia i Sprzętu (K.S.U.S.) Normy te należało pomnożyć przez ilość dni, na które amunicja powinna być przed wojną zdeponowana. Ilość dni ustalał u nas również K.S.U.S., który początkowo przyjmował jako minimum 3-miesięczny zapas, później jednak podniósł wysokość zapasów do 6 miesięcy wojny tj. 180 dni, wychodząc z założenia, że przemysł wojenny osiągnie dopiero w ciągu 6 miesięcy taką zdolność produkcji, iż będzie w stanie pokrywać całe zapotrzebowanie wojenne sił zbrojnych. Normy były na ogół niskie, przyjmowało się bowiem, iż w czasie wojny tylko część broni jest czynna, normy te jednak pomnożone przez 90 wzgl. 180 dawały ilości wysokie, nieraz nawet b. wysokie. Dla przykładu podam dwie cyfry: norma dzienna na działo 75 m/m wynosiła 14 pocisków a pomnożona przez 180 dawało około 2.500 pocisków, ale dla działka 40 m/m przeciwlotniczego norma została ustalona na 60 pocisków dziennie, co pomnożone przez 180 dawało

około 11 tys. pocisków, których koszt znacznie przewyższał koszt działka wraz z pełnym wyposażeniem.

Jest zrozumiałe, że koszt wyprodukowania i konserwowania zapasów broni, sprzętu i materiału będzie znacznie wyższy dla 60 dyw. niż dla 39 dyw.

Koszary i magazyny

Powiększenie stanów kadry zawodowej, a w szczególności zwiększenie ilości roczników wcielanych corocznie do służby czynnej musiałyby pociągnąć za sobą rozbudowę koszar, podniesienie zaś w planie mobilizacyjnym ilości oddziałów mobilizowanych zmuszałoby do powiększenia ilości i pojemności magazynów mobilizacyjnych, osłonowych i centralnych. Nie można tego zagadnienia pominąć w kosztorysie rozbudowy ze względu na wysokie koszty tych inwestycji. Szczególnie drogo kalkuluje się rozbudowa magazynów osłonowych i centralnych, które muszą posiadać urządzenia komunikacyjne tak kolejne jak i drogowe zapewniające sprawny i szybki załadunek i transport. Do tych jednorazowych kosztów dochodzą jeszcze stałe wydatki na utrzymanie zwiększonej obsługi, która ze względu na prace konserwacyjne musi się składać w dużej części ze specjalistów. Te wydatki trzeba także uwzględnić, gdy się oblicza koszty rozbudowy.

Przemysł wojenny

W okresie przedwojennym, kiedy sprzęt nie był tak skomplikowany i różnorodny, jak dzisiaj, wszystkie państwa starały się pokryć możliwie całe swoje zapotrzebowanie na sprzęt i materiał wojenny własną produkcją. Odgrywały tu rolę nie tylko trudności, prawie nie do pokonania, pokrywania kosztów nabycia sprzętu dewizami zagranicznymi, ale także troska o to by zapewnić sobie na czas wojny dopływ zaopatrzenia z własnych wytwórni, niezależniąc się w ten sposób od niepewnych warunków transportowych. Tylko nieliczny sprzęt nabywało się za granicą, bądź taki, którego dany kraj nie mógł produkować, bądź taki, którego produkcja ze względu na nieduże ilości nie opłacała się.

Zagadnienie produkcji sprzętu wojennego w państwach wysoko przemysłowo rozwiniętych nie natrafiało na żadne trudności i nie wymagało ze strony państwa specjalnych inwestycji. Przemysł ogólny bowiem był w stanie zaspokoić każde prawie zapotrzebowanie wojska — a tylko w wyjątkowych wypadkach państwo angażowało się własnymi inwestycjami w działalność produkcyjną.

U nas ta sprawa przedstawiała się — niestety — inaczej. Przemysł ogólny był bardzo słaby i nie był w stanie przyjąć

poważniejszych zamówień do wykonania. Polskich kapitałów prywatnych było niewiele, a te, które były wystarczająco zaledwie na budowę małych wytwórni, które mogły się podjąć jedynie produkcji części składowych wzgl. drobnych przedmiotów. Kapitał obcy ze względu na nasze położenie geo-polityczne unikał inwestycji u nas i tylko w wyjątkowych wypadkach i niedużymi wkładami brał udział w prywatnych naszych przedsiębiorstwach. Ten stan rzeczy spowodował, iż Państwo nasze, chcąc rozbudować przemysł wojenny było zmuszone do znacznie większego zaangażowania w tym celu funduszy państwowych, niżby to normalnie było usprawiedliwione. Obciążało to w pierwszym rzędzie Ministerstwo Skarbu i Ministerstwo Przemysłu i Handlu, ale i Ministerstwo Spraw Wojskowych nie mogło się uchylić od wzięcia na siebie poważnej części tego zadania.

Budowę obiektów przemysłu wojennego rozpoczęliśmy od zarania naszej niepodległości jeszcze w czasie wojny polsko-bolszewickiej, budowaliśmy stale przez cały okres 20-lecia, z każdym rokiem coraz więcej planowo i coraz szerzej. Głównie rozbudowaliśmy wytwórnie broni wszelkich rodzajów, będących na wyposażeniu wojska aż do dział ciężkich i przeciwlotniczych włącznie, amunicji do tych broni, wytwórnie prochów i materiałów wybuchowych, wytwórnie samolotów i silników samolotowych, wytwórnie czołgów i samochodów specjalnych itd. W ostatnich czterech latach, dzięki pożyczce francuskiej w wysokości 250 mln. fr. przeznaczonej specjalnie na rozbudowę przemysłu wojennego poszerzyliśmy znacznie nasze możliwości produkcyjne tak, że mogliśmy produkować prawie wszystko co było wojsku potrzebne i to w szybkim tempie. W ostatnich dwóch latach przed wojną przekonaliśmy się, jak bardzo celowymi były wydatki w tej dziedzinie. W tym czasie bowiem wszystkie państwa zaczęły się dozbierać, w konsekwencji czego zakup sprzętu uzbrojenia za granicą był prawie zupełnie niemożliwy.

O tych wydatkach również nie można zapominać, gdy się robi bilans wydatków na obronę Państwa w ciągu 20-lecia.

Fundusze na obronę Państwa

Jak już powyżej zaznaczyłem, prawie wszystek sprzęt i materiał mogliśmy produkować w kraju. Zdolność produkcyjna naszych wytwórni, z początku mała, podnosiła się z każdym rokiem tak, że w ostatnich latach mogła zaspokoić prawie wszystkie nasze wymagania. W tym warunkach ilość otrzymywanych materiałów z wytwórni zależała prawie wyłącznie od wysokości przyznawanych na ten cel kredytów. Piszę „prawie”, gdyż były w produkcji pewne hamulce, które nawet przy dysponowaniu odpowiednimi kredytami nie dały się zwolnić. Dotyczyło to przede wszystkim produkcji w krótkim czasie nowych, dotychczas nie wyrabianych broni. Podam dwa przykłady:

W końcu 1935 r. zakupiliśmy małą serię działek przeciwlotniczych 40 m/m wraz z amunicją w szwedzkiej firmie Bofors wraz z licencją na ich wyrób u nas. Pierwsze wzory działek i amunicji otrzymaliśmy w drugiej połowie 1936 r. Przystąpiono natychmiast do uruchomienia produkcji. Produkcja działek oprowadzona została w rekordowym czasie tak, że już w 1938 pokrywaliśmy zamówienia zagraniczne. Gorzej poszło z amunicją, gdzie techniczne opanowanie trudności związanych ze specjalnie w tej amunicji czułymi zapalnikami zajęło tak dużo czasu, że pierwszą serię mogliśmy otrzymać dopiero w drugiej połowie 1938 r., przy czym produkcja amunicji była tak powolna, że nie mogła pokryć naszego zapotrzebowania. Chcąc zapewnić przynajmniej minimum amunicji na działko nie mogliśmy zamawiać większej ilości działek. I tak wojna zastała nas z małym zapasem amunicji, której nabyć nigdzie nie można było.

Jeszcze bardziej drastycznym przykładem trudności, niezależnych od wysokości przyznanych kredytów była sprawa konstrukcji samolotu myśliwskiego „Jastrząb”. Już na przełomie 1934/35 r. Dowództwo Lotnictwa zdecydowało się przystąpić do konstrukcji nowoczesnego aparatu myśliwskiego, któryby zastąpił przestarzałe już samoloty P11. Prace zaczęły rozwijać się bardzo pomyślnie, samolot był gotowy już w 1936 r. — niestety niespodziewana śmierć konstruktora silnika inż. Nowkuńskiego spowodowała tak poważne opóźnienie w konstrukcji prototypu, że mógł on być przedstawiony Komisji dopiero na wiosnę 1939 r. To, a nie względy finansowe spowodowało, żeśmy poszli na wojnę bez nowoczesnego lotnictwa myśliwskiego, o możliwości zakupu bowiem za granicą samolotów w ostatnich dwóch latach nie było już prawie mowy, nawet gdybyśmy nie mieli trudności w zebraniu potrzebnych na ten cel dewiz zagranicznych.

Te przykłady wykazują na jakie trudności natrafiać musi państwo młode o bardzo słabym przemyśle i braku odpowiedniej ilości wysoko kwalifikowanych kadr technicznych. Przykłady te należałoby raczej zaliczyć do wyjątków. W warunkach wymagań które w dziele przygotowania państwa do wojny stały przed władzami państwowymi w 20-leciu naszej niepodległości, decydujący jednak był czynnik finansowy. Aby dać obraz naszych wysiłków na te cele w tym okresie czasu trzeba by napisać obszerną pracę. Dlatego ograniczę się tutaj tylko do naświetlenia kilku spraw, a jako punkt wyjściowy do tych rozważań przyjmę kosztorys rozbudowy podany w artykule gen. Zająca.

Gen. Zając przyjmował w swoim planie, że na materiałowe wyposażenie sił zbrojnych o składzie 60 dyw. piech. wraz z trzymiesięczną rezerwą sprzętu i materiału potrzebaby było około 200-300 milionów zł. rocznie przez 10 lat tj. do r. 1935. Razem wynosiłoby to około 21/2 miliarda zł. W tych dziesięciu latach budżet rezerwy strategicznej, tj. kwoty przeznaczone na materiałowe przygotowanie wojny wynosił rocznie nie wiele ponad

100 mln. zł. razem około 1.200 mln. zł. Te kwoty nie zostały zmarnowane. Poszły one na całkowite przebrojenie 30 dyw. czwanych w nowoczesną podstawową broń polskiego już wyrobu (kb, rkm, ckm), analogiczny sprzęt dla trzech dywizji rezerwowych, uzupełnienie sprzętu artyleryjskiego (haubice 100 m/m i 155 m/m oraz armaty 105 mm., zakup artylerii najcięższej (220 mm), na produkcję samolotów myśliwskich P7 i P11, samolotów obserwacyjnych oraz liniowych (Karasie), na rozbudowę magazynów oraz na rozbudowę przemysłu wojennego. W r. 1935 mieliśmy siły zbrojne w sile 33 dyw. p. gotowe do wojny, uzbrojone dość dobrze, ale według wymagań poprzedniej wojny światowej, nie gorzej jednak, niż ówczesna armia francuska za wyjątkiem czołgów wolnobieżnych Renault, których Francja posiadała duże ilości, ale które w 1940 r. nie odegrały prawie żadnej roli.

Wyposażenie to staowało się jednak już niewystarczające. Studia i próby konstrukcyjne prowadzone we wszystkich prawie państwach wykazały, że przyszła wojna prowadzona będzie bardziej udoskonalonymi bronią. Wysuwały się na plan pierwszy: nowoczesne lotnictwo, artyleria przeciwlotnicza, szybkie czołgi i broń przeciwpancerna, szybkie wielkie jednostki zmotoryzowane, szerokie wyposażenie w sprzęt radio itd. Polskie kierownictwo wojskowe stanęło zatem w tym roku wobec nowych zadań wymagających znacznie większego wysiłku finansowego.

Opracowany wówczas kosztorys czteroletniego planu rozbudowy sił zbrojnych przyjmujący za podstawę *tylko 40 dyw. piech.* miał wynosić około 6 miliardów złotych. Gdy porównamy cyfrę z 21/2 miliardami, za które w planie gen. Zająca miały być rozbudowane siły zbrojne o 60 dyw. piech., to widzimy, że ta druga cyfra nie mogła odpowiadać rzeczywistym kosztom, względnie że obejmowała ona koszty tylko samych dywizji z zupełnym pominięciem innych formacji.

Te same trudności finansowe Państwa, które nie pozwoliły na realizację planu rozbudowy opracowanego przez gen. Zająca, zaciążyły także i nad planem czteroletnim. Skarb Państwa nie był w stanie dostarczyć tak wysokich kwot, wskutek czego realizacja czteroletniego planu musiała się także rozciągnąć na więcej lat. I nie było tu winy niczyjej, a tylko wymogi twardej rzeczywistości naszego życia państwowego. Jeżeli prześledzamy budżety nasze na obronę Państwa w ciągu całego 20-lecia, to z dumą musimy stwierdzić, że wydatki nasze były bardziej ciągłe i konsekwentne, niż wydatki na te same cele we wszystkich innych państwach europejskich. Statystyka Ligi Narodów wykazuje na rok 1934/35, że procent wydatków na cele wojskowe był najwyższy w Polsce i wynosił 33% wszystkich wydatków państwowych. Za nami była druga Litwa z 27%, podczas gdy Francja wydawała tylko 14%, a bogata Belgia 12%. A w ostatnich czterech latach przed wojną suma wszystkich wydatków na obronę Państwa, łącznie z kwotami ukrytymi w budżetach Ministerstw: Komunikacji, Poczty i Telegrafów,

Spraw Wewnętrznych i Przemysłu i Handlu oraz kwotami poza-budgetowymi przekraczała 40% wszystkich wydatków państwowych. Czy można było wymagać więcej? Nie byliśmy państwem zamożnym, nasze życie gospodarcze budowaliśmy prawie od zera i jeżeli w tych warunkach zdobywaliśmy się stale na tak duży wysiłek na cele obrony Państwa, świadczy to o głębokim zrozumieniu przez społeczeństwo konieczności obrony niepodległego bytu.

Niektórzy krytycy na emigracji twierdzą, że gdyby Rząd zdecydował się w odpowiednim czasie na dewaluację złotego, to sytuacja gospodarcza państwa poprawiłaby się tak znacznie, że państwo byłoby w stanie przeznaczyć znacznie większe sumy na materiałowe przygotowanie do wojny. W sprawie tej zabierałem już głos na łamach „Bellony” (zeszyt III, 1959), gdzie starałem się wykazać, że jakkolwiek dewaluacja prawdopodobnie poprawiłaby na dłuższą metę sytuację gospodarczą Państwa, to ze względu na krótki okres czasu, jaki mieliśmy do dyspozycji, odbiłaby się ona raczej ujemnie na wysokości dotacji państwowych dostarczanych na cele rozbudowy sił zbrojnych.

Nie chciałbym stwarzać tutaj wrażenia, że wszystko cośmy robili, było doskonałe i że w pracach naszych nie było błędów i niedopatrzeń. Błądziliśmy nieraz — *errare humanum est* — ale doszukiwanie się jeszcze dzisiaj w naszych błędach przyczyn nie dużych osiągnięć w stosunku do osiągnięć bogatego przeciwnika wydaje mi się anachronizmem. Przyczyna główna tkwi w krótkim okresie naszego niepodległego bytu — potrzeba nam było jeszcze co najmniej drugiego dwudziestolecia.

Muszę jeszcze poruszyć jedną sprawę, która mnie uderzyła w artykule gen. Zająca. Chodzi mi o zawartą w pierwszej części artykułu pretensję do marszałka Piłsudskiego, który był w tym czasie Szefem Sztabu Gen., że przedstawionego mu planu nie tylko nie zatwierdził, ale nawet odniósł się do niego lekceważąco. Gen. Zając przyznaje, że Marszałek cały dokument zawierający około 100 stron maszynowego pisma gruntownie przestudiował, a nawet że zwołał specjalną konferencję dla przedyskutowania powyższego projektu, pisze nawet z odcieniem zdziwienia, że Marszałek w czasie tej konferencji zapytał się go, dlaczego proponuje 60 a nie 100 dywizji, tak jakby ironia zawarta w tym pytaniu nie była dla niego widoczna. Gdy czytałem ten ustęp przypomniła mi się konferencja u Marszałka, w której brałem osobiście udział. W tym samym czasie, gdy gen. Zając był Szefem Oddziału I Sztabu Gen., byłem Szefem Wydziału Etapowego w Oddziale IV-tym. Szefem Wydziału Zaopatrywania w tym samym Oddziale był mjr Krzysik. Pewnego dnia zostaliśmy wezwani na konferencję do Szefa Sztabu Gen., którym był wówczas marszałek Piłsudski. Tematem konferencji był opracowany przez mjra Krzysika projekt organizacji służby zaopatrywania w czasie wojny. Projekt ten był wzorowany całkowicie na organizacji francuskiej, której system zaopatrywania oparty był na tak zwanych stacjach rozdzielczych, umieszczo-

nych w rejonach węzłów kolejowych, gdzie z pociągów z jednolitym materiałem przybywających z magazynów centralnych zestawiało się składy dla poszczególnych dywizji według ich zapotrzebowania i skierowywało na front. Marszałek nie był zwolennikiem tej organizacji, uważał, że może ona funkcjonować jedynie w warunkach wojny pozycyjnej, w wojnie ruchomej musi się natomiast załamać. Przewidując u nas wojnę ruchomą uważał, że bardziej celowym będzie oparcie organizacji zaopatrywania na większej ilości mniejszych magazynów, częściowo wysuniętych ku przewidywanemu frontowi, a częściowo rozmieszczonych eszelonowo w głąb kraju. (Ostatnia wojna wykazała, jak dużo racji było w tym stanowisku marszałka Piłsudskiego).

W toku konferencji Marszałek zwrócił się do mjra Krzysika z zapytaniem, ile znajduje się żyta i owsa we wschodnich magazynach osłonowych. Gdy mjr. Krzysik odczytywał z posiadanego wykazu żądane cyfry, Marszałek kazał sobie je kilka razy powtórzyć i coś na kartce notował. Znając Marszałka wiedziałem, że takie notowanie nie oznacza nic dobrego, toteż po zakończeniu konferencji zwróciłem majorowi Krzysikowi uwagę na ten fakt i zapytałem, czy jest pewny meldowanych ilości, na co otrzymałem odpowiedź, że cyfry te odczytywał z wykazu przysłanego mu przez Szefa Administracji Armii dnia poprzedniego. Po 2-3 tygodniach zostaliśmy znowu wezwani na dalszy ciąg tej samej konferencji, w czasie której Marszałek zwrócił się znowu do mjra Krzysika z tym samym zapytaniem. Mjr. Krzysik powtórzył te same cyfry. I wtedy nastąpił wybuch. Cóż się stało? Otóż Marszałek po pierwszej konferencji wysłał płka Litwinowicza do wschodnich magazynów osłonowych z poleceniem zameldowania mu pod osobistą odpowiedzialnością ilości żyta i owsa zdeponowanych w tych magazynach. Z raportu płka Litwinowicza dowiedział się Marszałek, że ilości żyta są zgodne z tymi, co podał mjr Krzysik, natomiast owsa nie było zupełnie. Szef Administracji Armii bowiem nie mając w swoich magazynach owsa na pokrycie bieżącego zapotrzebowania oddziałów kazał wydać owies z magazynów osłonowych z równoczesnym poleceniem oddania do tych magazynów tych samych ilości owsa po dokonaniu zakupów z nowego budżetu.

Czyż można się dziwić Marszałkowi Piłsudskiemu, że po takich doświadczeniach nie miał pełnego zaufania do cyfr podawanych mu w pracach oficerów Sztabu Gen., którzy w tych latach nie mieli jeszcze tyle doświadczenia, by wiedzieć, że między stanem w aktach urzędowych a stanem rzeczywistym są nieraz nieraz bardzo głęboko różnice?

Czyż można się dziwić marszałkowi Piłsudskiemu, że odniósł się sceptycznie do planu rozbudowy opracowanego przez Oddział I Sztabu, gdy przeczytał w tym planie, że „mamy broń, sprzęt i materiał na trzydzieści kilka dywizji”, podczas gdy Marszałek doskonale znał tę broń i materiał, były one bowiem te same, które oddziały przywoziły ze sobą do garnizonów

wprost z pola walki? Broń różnych typów, na różną amunicję, zużyta w czasie 6-letniej wojny, sprzęt i materiał z różnych armii, w znacznej części zdobyty, niesharmonizowany, zużyty, a w dużej części nie nadający się w ogóle do użytku. Czyż można było na takich wartościach budować plan? Rozumiem prawo krytyki działalności każdej osoby, a więc i marszałka Piłsudskiego, ale wydaje mi się, że w tym wypadku mamy do czynienia nie z dopuszczalną krytyką, a tylko z nieuzasadnionymi pretensjami o niezatwierdzenie planu rozbudowy, opartego na nierealnych podstawach.

Gen. Zając podaje nazwiska oficerów, którzy opracowywali ten plan pod jego kierunkiem. Znałem ich wszystkich bardzo dobrze. Byli oni moimi towarzyszami broni i przyjaciółmi z czasów służby legionowej, a później kolegami z Wyższej Szkoły Wojennej. Wnieśli oni do pracy w Sztabie Gen. nadzwyczajny zapał, chcieli budować siły zbrojne jak największe i to w jak najkrótszym czasie, ale nie bardzo wiedzieli, tak jak my wszyscy, jak się do tego zabrać. Wyższa Szkoła Wojenna nie uczyła nas pracy w pokojowych sztabach, nasi bezpośredni przełożeni nie mieli także doświadczenia w tej pracy, nieliczni oficerowie z armii zaborczych, którzy mieli ukończone wyższe studia wojskowe, w sztabach pokojowych państw zaborczych albo nigdy nie pracowali, albo jeżeli pracowali to na podrzędnych stanowiskach. Byli jeszcze oficerowie francuscy przydzieleni jako instruktorzy do poszczególnych oddziałów Sztabu, ale znali oni tylko organizację i metody pracy francuskie i to każdy w ciasnej tylko swojej specjalności, co zamiast ułatwiać, utrudniało nam tylko znalezienie właściwych dla naszych warunków rozwiązań.

W tych warunkach jedynym źródłem, z którego mogliśmy czerpać wskazówki do naszej pracy była literatura wojskowa w językach obcych.

Nic też dziwnego, że w naszych pierwszych pracach więcej było teorii niż zrozumienia trudności, na jakie natrafiało zastosowanie tej teorii do życia praktycznego. Dopiero później gdyśmy dowodząc oddziałami liniowymi mieli możliwość skonfrontowania naszej wiedzy z warunkami życia codziennego i ogólnego państwowego, dochodziliśmy do tego stopnia przygotowania do naszych prac, gdzie posiadana wiedza teoretyczna połączona z doświadczeniami pozwalały nam na właściwe ujmowanie opracowanych przez nas zagadnień.

Nie sądzę, aby było rzeczą niewłaściwą przyznać się do tego okresu ząbkowania, przecież jest on nieodłączną właściwością każdego organizmu i nie widzę racji, dlaczego wojsko miało być od tego zwolnione. Natomiast wydaje mi się błędnym przecenianie wartości naszych prac z tego okresu; błędnym i niebezpiecznym, gdyż wprowadza tylko chaos w umysłach czytelników nie znających warunków pracy na tym szczeblu.

Józef WIATR, gen. bryg.

Kronika kulturalna

O Kazimierzu Ajdukiewiczu

Nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego ukazała się książka *Język i poznanie*, zbiór artykułów Kazimierza Ajdukiewicza, opublikowanych w okresie między dwoma wojnami (1). Inacjatywa wydania tej książki wyszła od PWN, za co winniśmy mu wdzięczność i podziękowanie. Artykuły prof. Ajdukiewicza były rozproszone w trudno dostępnych czasopismach, a niektóre z nich nie były nigdy opublikowane w polskim języku. Wydając artykuły w formie książkowej PWN oddał przysługę czytelnikom i wzbogacił polską kulturę umysłową cenną publikacją o wielkiej naukowej wartości. Należy jedynie wyrazić życzenie, by PWN udostępnił niezadługo czytelnikom tom następny obejmujący prace powojenne autora.

Prof. Ajdukiewicz jest jednym z czołowych polskich logików i filozofów o międzynarodowej reputacji. Lecz ze względów, o których będzie mowa, jest on może mniej znany szerokim kołom czytelników aniżeli był kiedyś Jan Łukasiewicz lub Leon Chwistek, a obecnie jest Tadeusz Kotarbiński. Z tej przyczyny jest rzeczą wskazaną, by przy okazji publikacji omawianego zbioru artykułów podać kilka ważniejszych faktów z życia ich autora oraz omówić zwięźle jego wkład i miejsce w rozwoju filozofii w Polsce i w świecie.

Kazimierz Ajdukiewicz urodził się w 1890 roku w Tarnopolu. Studiował filozofię, matematykę i fizykę na Uniwersytecie Lwowskim, gdzie uzyskał stopień doktora w 1912 roku. Jego nauczycielami byli Kazimierz Twardowski, Jan Łukasiewicz, Wacław Sierpiński i Władysław Witwicki, jego starszymi kolegami studiów i współpracownikami w pracy naukowej i dydaktycznej, która ugruntowała tradycję nowoczesnej filozofii naukowej w Polsce, byli Tadeusz Czeżowski, Tadeusz Kotarbiński, Stanisław Leśniewski i Zygmunt Zawirski.

(1) K. Ajdukiewicz, *Język i poznanie*. Tom I: Wybór pism z lat 1920-1939. Warszawa, PWN, 1960, str. 8 i 376.

Kazimierz Ajdukiewicz habilitował się na Uniwersytecie Warszawskim w 1921 roku i wykladał filozofię we Lwowie i w Warszawie. W 1928 roku powołany został na katedrę na Uniwersytecie Jana Kazimierza, gdzie wychował liczne grono uczniów, celujących nade wszystko w zakresie filozofii i metodologii nauk. Wielu jego uczniów zajęło wysokie stanowiska w hierarchii uniwersyteckiej w kraju i poza jego granicami. Do nich należy prof. Izydora Dąmbska, kierownik katedry historii filozofii U.J., prof. Maria Kokoszyńska, kierownik katedry logiki Uniwersytetu Wrocławskiego, prof. Seweryna Romahnowa, kierownik katedry logiki Uniwersytetu Poznańskiego, oraz prof. Henryk Mehlberg, profesor filozofii w University of Chicago. Wśród jego słuchaczy bądź rokujących wielkie nadzieje bądź znanych z osiągnięć w młodym wieku należy wymienić Leopolda Blaustejna i Zygmunta Schmierera, zamordowanych przez hitlerowskich okupantów. Prof. Ajdukiewicz był razem z Kazimierzem Twardowskim i Romanem Ingardenem założycielem i redaktorem obojęzycznego czasopisma filozoficznego *Studia Philosophica*, którego dwa tomy ukazały się przed 1939 rokiem. Wznowione po wojnie nie przetrwały długo, gdyż w 1951 *Studia Philosophica* podzieliły los *Przeglądu Filozoficznego*, *Kwartalnika Filozoficznego* i *Ruchu Filozoficznego*, tzn. z rozkazu władz komunistycznych przestały wychodzić.

Prof. Ajdukiewicz opuścił Lwów w 1945 roku i objął katedrę teorii i metodologii nauk w Uniwersytecie Poznańskim. Po kilku latach przeniósł się do stolicy i został kierownikiem Katedry logiki w Uniwersytecie Warszawskim. Jest członkiem Polskiej Akademii Nauk, zastępcą dyrektora Instytutu Filozofii i Socjologii oraz kierownikiem zakładu logiki w tymże Instytucie. Jest on również redaktorem *Studia Logica*, wydawnictwa ciągłego, które zaczęło wychodzić w 1953 roku, liczy obecnie dziesięć obszernych tomów i znane jest przez fachowców w całym świecie. *Studia Logica* są jednym z bardzo nielicznych wydawnictw poświęconych całkowicie logice formalnej, logice matematycznej i metodologii nauk, ustępując pierwszemu miejscu jedynie *Journal of Symbolic Logic*, czołowemu periodykowi logicznemu w skali światowej, który ukazuje się w Stanach Zjednoczonych od 1936 roku. Prof. Ajdukiewicz jest zastępcą przewodniczącego sekcji logiki, metodologii i filozofii nauk w *International Union for History and Philosophy of Science*.

Prof. Ajdukiewicz łączy w sobie talent dydaktyczny z zaletami umysłu analitycznego o wielkiej wnikliwości i pomysłowości metodologicznej. Jest on autorem wielu podręczników (2), które nie mają sobie równych w polskiej literaturze dzięki przejrzystości konstrukcji, jasności i dokładności aparatu pojęcio-

(2) *Główne kierunki filozofii* (1923), *Główne zasady logiki formalnej i metodologii nauk* (1928), *Logiczne podstawy nauczania* (1936), *Propeutyka filozofii* (1938), *Zagadnienia i kierunki filozofii* (1949), *Zarys logiki* (1953).

wego, zwartości i prostocie języka. Autor przekazuje w nich to, co zastał i nauczył się od innych oraz to, co sam wykrył, nie roszcząc sobie praw autorskich do własnego wkładu. Podręczniki te odznaczają się rzadko spotykanym połączeniem walorów dydaktycznych z wartościami naukowymi, są jednocześnie nieocenioną pomocą dla uczących się oraz wkładem do teorii i dydaktyki przedmiotu.

Jak istnieją malarze dla malarzy lub poeci dla poetów, tak istnieją również filozofowie dla filozofów. Jednym z nich jest Kazimierz Ajdukiewicz. Jest on filozofem nie tylko dla polskich, ale również obcych myślicieli i cieszy się dużym rozgłosem w krajach anglosaskich, wśród angielskich analityków, amerykańskich logicznych i analitycznych empiryków i w ogólności logicznie zorientowanych filozofów. W ostatnich kilku latach zdobył również niespodziewany rozgłos wśród marksistów-leninistów różnej narodowości, zwłaszcza w Rosji Sowieckiej. Rozgłos ten zawdzięcza esejowi *Zmiana i sprzeczność*, opublikowanemu w *Mysli Współczesnej* w 1948 roku, w którym zajął się jedną z podstawowych tez filozofii marksistowsko-leninowskiej, mianowicie twierdzeniem, iż rzeczywistość jest wewnętrznie sprzeczna w dosłownym tego słowa znaczeniu, tzn. że przedmiotom jednocześnie przysługują i nie przysługują pewne własności pod tym samym względem. Prof. Ajdukiewicz poddał argumenty pozornie przemawiające za tym poglądem starannej i wszechstronnej analizie logicznej i przekonał znaczną większość dialektyków. w każdym razie w Polsce, iż winni się wycofać z absurdałnej, irracjonalnej i z gruntu błędnej doktryny przypisującej rzeczywistości wewnętrzne sprzeczności. Odrzucenie zaś tezy, iż sprzeczność *sensu stricto* jest motorem wszelkiej zmiany i ruchu stanowiło doniosłą w następstwa rewizję marksizmu-leninizmu.

Prof. Ajdukiewicz jest autorem licznych i znakomych artykułów z zakresu logiki, filozofii języka, filozofii i metodologii nauk, teorii poznania. Jego pozycja międzynarodowa opiera się na kilku publikacjach ogłoszonych po niemiecku. Są to w pierwszym rzędzie *Die syntaktische Konnexität, Sprache und Sinn* i *Weltbild und Begriffsapparatur* drukowane w *Studia Philosophica* i *Erkenntnis*, czasopiśmie wydawanym w latach trzydziestych przez Koło Wiedeńskie (3). Artykuł *Epistemology and Semantics*, streszczenie odczytu nadesłanego na Międzynarodowy Kongres Filozofii w Amsterdamie (1948), „przepadł” w sprawozdaniach kongresowych i nie zyskał należnego rozgłosu.

Trzy pierwsze z wspomnianych artykułów zostały zamieszczone w zbiorze *Język i poznanie*, czwarty, razem z pełnym tekstem komunikatu zjazdowego opublikowanym w *Przeglądzie*

(3) *Die wissenschaftliche Weltperspektive*, artykuł ogłoszony w *Erkenntnis* oraz opublikowany w polskim tłumaczeniu w *Język i poznanie*, został przetłumaczony na angielski i zamieszczony w zbiorze *Readings in Philosophical Analysis*, selected and edited by H. Feigl and W. Sellars. New York, Appleton-Century-Criffs, Inc., 1949.

Filozoficznym (1948) pt. *Epistemologia i semantyka*, wejdzie zapewne do tomu drugiego. W zbiorze właśnie opublikowanym znaleźć jednak można odczyt *Problemat transcendentálního idealizmu w sformułowaniu semantycznym*, wygłoszony na III Polskim Zjeździe Filozoficznym w Krakowie (1936), w którym znajdujemy pierwsze sformułowanie zadań i metod semantycznej teorii poznania. Główną ideę semantycznej epistemologii można tak w okrótkości scharakteryzować. W teorii poznania zajmujemy się bądź poznaniem w sensie psychologicznym bądź poznaniem w sensie logicznym. Poznaniem w sensie psychologicznym są takie procesy jak przedstawianie, sądzenie, rozumowanie, itp. Poznanie w sensie logicznym jest zbiorem zdań, lecz nie określonym zbiorem napisanych lub wypowiedzianych zdań. (Taki pogląd nastroczałby bardzo poważne trudności zarówno na gruncie nominalizmu jak i realizmu pojęciowego). Dźwięki, względnie napisy, są jakby nosicielami znaczeń, jakie zdaniom w danym języku przysługują. Wspólne i identyczne znaczenie jakim wyposażone są zdania w jakimś języku, nazywamy zdaniem lub sądem w sensie logicznym. Poznanie w sensie logicznym to zbiór zdań w sensie logicznym. Wynika z tego, iż poznanie znaczeń w oderwaniu od wszelkiego języka, którym się posługujemy, nie jest możliwe. Istnieje zatem aspekt językowy poznania i do zagadnień poznawczych należy podchodzić świadomie od strony języka. Przez język rozumiemy system znaków wyposażonych w znaczenie. Może to być język naturalny lub sztuczny, język codzienny lub język nauki, język symboliczny logiki lub matematyki. Semantyczna teoria poznania nie twierdzi, iż wszystkie problemy poznania są zagadnieniami języka, jak to niektórzy krytycy semantycznej teorii poznania utrzymywali i nadal utrzymują. Twierdzi ona tylko tyle, iż zagadnień poznawczych nie można oddzielić, ani w teorii ani w praktyce, od języka, w którym są sformułowane. Analiza języka jest przeto nieodłączną częścią trafnej i poprawnej analizy poznania w sensie logicznym.

Semantyczna teoria poznania idzie dalej, zasługą prof. Ajdukiewicza jest przejście od tych ogólnych obserwacji do badań konkretnych. Chodzi o to, iż niektórych tradycyjnych zagadnień teorii poznania nie można jasno i poprawnie wyrazić, a problemów, jakie nastroczą, rozwiązać zanim się im nie nada sformułowania w terminach semantycznej teorii poznania. Prof. Ajdukiewicz zastosował metodę semantyczną — posługuje się ona pojęciami logicznej teorii języka, w szczególności tej jej części, która nosi miano „semantyki”, skąd pochodzi nazwa „semantyczna teoria poznania” — w badaniach nad tzw. transcendentálním lub obiektywnym idealizmem (reprezentowanymi przez neo-kantystów szkoły marburskiej, Cohena i Natorpa, oraz szkoły badeńskiej, w szczególności przez Rickerta), a po wojnie w badaniach nad idealizmem subiektywnym Berkeleya. W tych pomysłowych pracach wykazał w sposób przekonujący, iż aparat pojęciowy współczesnej logiki i teorii języka jest bar-

dzo pomocny w dociekaniach epistemologicznych, pozwala osiągnąć cenne rezultaty i ewentualnie rozwiązać zagadnienia stawiające zwyczajny opór próbom ich rozstrzygnięcia przy użyciu metod mniej precyzyjnych.

Nie wszystkie artykuły w tomie *Język i poznanie* dotyczą roli języka w procesie poznawczym. Tom ten zawiera rozprawy z zakresu logiki formalnej i metalogiki, teorii języka, metodologii nauk i zagadnień uniwersaliów czyli powszechników. Znajdujemy w nim nadto przejrzysty i erudycyjny przegląd kierunków i prądów filozoficznych XX wieku do wybuchu drugiej wojny światowej, szkic o pojęciu sprawiedliwości i analizę pojęć psychologicznych niezbędnych do opisu postępowania człowieka. Treść zbioru artykułów zaczerpnięta jest z wielu dziedzin logiki i filozofii. Ale mimo różnorodności zagadnień problematyka języka, jego roli w nauce i filozofii, w tej lub innej formie, wyciska swe piętno na całej twórczości prof. Ajdukiewicza. Nauka o języku lub filozofia języka jest też dziedziną, w której jego wkład do rozwoju nauki jest bodaj największy i najoryginalniejszy.

Poza Polską prof. Ajdukiewicz jest nade wszystko znany z prac z tego właśnie zakresu. Wielu współczesnych filozofów i logików w Stanach Zjednoczonych, Ch. W. Morris, W.V. Quine i inni, podkreślają pionierską rolę, jaką rozprawy prof. Ajdukiewicza odegrały w rozwoju filozofii języka. Artykuł *Sprache und Sinn*, opublikowany w polskim przekładzie w zbiorze *Język i poznanie*, jest jedną z najczęściej cytowanych polskich publikacji ogłoszonych w ostatnich kilkudziesięciu latach. Ta rozprawa miała kiedyś „złą sławę”, gdyż przeciwstawiała się syntaktycznej teorii znaczenia. Syntaktyczna teoria znaczenia była sformułowana przez myślicieli Koła Wiedeńskiego, w szczególności przez Carnapa. Swego czasu cieszyła się wielką liczbą zwolenników, gdyż uchodziła za najwyższe osiągnięcie naukowego podejścia do zagadnień języka. Prof. Ajdukiewicz odrzucił pogląd Carnapa, iż język można jednoznacznie scharakteryzować odwołując się wyłącznie do jego słownictwa i reguł składni. Języka nie można adekwatnie określić bez wprowadzenia przyporządkowania wyrażeniom znaczeń właściwych dla tego języka. Możemy to uczynić przez wyliczenie i specyfikację dyrektyw użycia wyrażeń, czyli dyrektyw językowych, które wyznaczają przyporządkowanie znaczeń wyrażeniom i słowom tego języka. Prof. Ajdukiewicz zbudował pragmatyczną teorię znaczenia (według później wprowadzonej terminologii), pierwszą teorię znaczenia tego typu od czasów Charlesa Peirce'a, korzystając w tym celu z aparatury pojęciowej współczesnej logiki i metodologii. Rozprawa *Sprache und Sinn*, doceniona w pełni dopiero w kilka lat po jej ogłoszeniu, nadal inspiruje nowe pomysły i próby zbudowania filozoficznej teorii języka.

Dzisiaj stało się rzeczą banalną podzielać stanowisko, iż język odgrywa ważną rolę w procesie poznawczym. Rola ta

polega na dwojakiej funkcji: język jest środkiem komunikowania i utrwalania poznania oraz język prezentuje przedmioty, które inaczej nie byłyby w ogóle dostępne lub nie mogły stać się przedmiotem poznania w sensie logicznym. Prof. Ajdukiewicz położył wielkie zasługi w wydobyciu na powierzchnię tej drugiej roli języka w poznaniu i w wypracowaniu metod pozwalających badać zależności między językiem a poznaniem. Gdy porówna się np. rozprawę Gilberta Ryle *The Theory of Meaning* (1957) z artykułem prof. Ajdukiewicza *O znaczeniu wyrażen* (1930), jasną staje się rzecz, iż prof. Ajdukiewicz znacznie wyprzedził myślicieli zachodnich oraz pod niejednym względem znalazł trafniejsze i precyzyjniejsze rozwiązanie aniżeli te, jakie zalecają dzisiaj filozofowie lingwistyczni w Oxford. To porównanie uwzględnia jedynie podobieństwo teorii znaczenia sformułowanej przez prof. Ajdukiewicza z poglądami o języku jakie wyznają oxfordzcy filozofie lingwistyczni. Albowiem poglądów i metod filozoficznych szkoły oxfordzkiej prof. Ajdukiewicz nigdy nie podzielał.

Rezultaty badań nad językiem sprawiły, iż w teorii nauki prof. Ajdukiewicz jest konwencjonalistą, a stanowisku, jakie swego czasu sformułował, nadał miano radykalnego konwencjonalizmu. Konwencjonalizmem nazywamy pogląd, iż w nauce istnieją problemy, których nie można rozwiązać odwołując się wyłącznie do doświadczenia. Celem ich rozwiązania musimy wprowadzić pewne konwencje czyli umowy, w pewnym sensie tego wyrażenia — stosownie do naszego uznania. Te umowy łącznie z danymi doświadczenia pozwalają znaleźć poszukiwane rozwiązanie. Radykalny konwencjonalizm idzie dalej i głosi, że żadne uznane zdanie, z którego składa się nasz obraz świata, nie jest jednoznacznie wyznaczone przez dane doświadczenia. Nazwijmy obrazem świata ogół zdań o świecie, które dają się zbudować z pojęć składających się na daną aparatę pojęciową i które musimy uznać ze względu na dane doświadczenia. Radykalnym konwencjonalizmem będzie pogląd, iż obraz świata nie jest jednoznacznie wyznaczony przez dane doświadczenia, lecz że zależy również od aparatury pojęciowej. Albowiem przy tych samych danych doświadczeniach obraz świata może wypaść odmiennie stosownie do wyboru aparatury pojęciowej. W tym sensie obraz świata jest dowolny, z czego nie wynika jednak, iż dowolny i poprawnie zbudowany obraz świata jest prawdziwy, tzn. zgodny z rzeczywistością. Jest natomiast rzeczą jasną, jak podkreśla prof. Ajdukiewicz, że „człowiek w swym dążeniu do poznania nie staje przed gotowym już materiałem doświadczenia, które ma już tylko ująć w ramy teorii, lecz że dobiera on sobie aparat pojęciowy, przez który zostaje dopiero wyznaczone zdania empiryczne i przez który z pełnego obrazu świata wyodrębnia pewien jego wycinek, czyli pewną perspektywę światową, spełniającą określone warunki”. Do tych warunków należy zaliczyć warunek niesprzeczności, systematycznego ładu, stopnia empirycznej sprawdzalności, oraz inne których pełnej listy nie było zamiarem

autora sporządzić. Osoby obznajmione z współczesnymi tendencjami w metodologii nauk empirycznych natychmiast dostrzegą, iż również w tej dziedzinie prof. Ajdukiewicz znacznie wyprzedził koncepcje lansowane obecnie w anglosaskiej literaturze przedmiotu.

Niektórzy krytycy radykalnego konwencjonalizmu — a było ich w Polsce w ostatnich latach sporo — nie dostrzegali różnicy jaka istnieje między uznaną tezą języka *J* a tezą prawdziwą języka *J*, walcząc na skutek tego z urojonym przeciwnikiem. Krytycy, którzy stali na gruncie marksizmu-leninizmu dowodzili, że radykalny konwencjonalizm jest teorią jawnie fałszywą i absurdalną. Zarzut absurdalności nie był uzasadniony, gdyż opierał się na postępowaniu, którego nie daje się na gruncie konwencjonalizmu odtworzyć; jest ono *explicite* wykluczone w sformułowaniu radykalnego konwencjonalizmu. Zarzut, iż radykalny konwencjonalizm jest doktryną fałszywą, byłby trafny, gdyby rzeczywiście głosił to, co mu krytycy przypisują, mianowicie, że prawdziwość danej tezy, tzn. jej zgodność z rzeczywistością, jest zależna od aparatury pojęciowej. Lecz tego poglądu prof. Ajdukiewicz nigdy nie reprezentował. W okresie stalinowskim prof. Ajdukiewicz skupił na sobie liczne i gwałtowne ataki partyjnych ideologów, oskarżających go o popieranie „sztandarowej filozofii reakcji imperialistycznej”, tzn. skrajnego idealizmu, na które odpowiadał z podziwu godną cierpliwością, prostując błędy rozumowania i dostarczając pouczających informacji błędnych w wyniku ignorancji. Należy dodać, że w dyskusji, jaka miała miejsce na *III* Polskim Zjeździe Filozoficznym (1936), prof. Ajdukiewicz zrezygnował z ostrzejszego sformułowania swej teorii nauki. Łączyło się to z odrzuceniem koncepcji tzw. spójnych i zamkniętych języków, a odrzucenie tej koncepcji przekreśliło ostrzejsze sformułowanie tezy radykalnego konwencjonalizmu. Pozostaje jedynie sformułowanie słabsze, które mówi o tym, iż żaden element obrazu świata nie jest wyznaczony jednoznacznie przez dane doświadczenia. Albowiem do zbudowania obrazu świata niezbędny jest jakiś język, a język, system wyrażen wyposażonych w znaczenie, zależy od aparatury pojęciowej i związanej z nią dyrektyw językowych.

W Polsce wpływ prof. Ajdukiewicza jest wszechstronny i głęboki, choć z przyczyn wyżej wspomnianych ograniczony do wąskiego świata filozofii akademickiej. Prof. Ajdukiewicz jest uosobieniem ducha i metody filozofii analitycznej z jej programem badania problemów cząstkowych, rozwiniętym i wyspecjalizowanym aparatem logicznym i metodologicznym, dbałością o precyzję sformułowań, jasność języka i poprawność rozumowań. Jest on jednym z tych filozofów polskich, którzy umacniają przekonanie, iż związek filozofii z naukami szczegółowymi, empirycznymi i dedukcyjnymi, jest niezbędny dla rozwoju filozofii oraz że nic nie zastąpi fachowości logicznej i metodologicznej, znajomości osiągnięć i teorii nauki, wreszcie rzeczowości nie dającej się sprowadzić na manowce spekulacji, atrak-

cyjnym dla wyobraźni i emocji, lecz pozbawionym rozumowego i empirycznego uzasadnienia.

Prof. Ajdukiewicz stroni od zabierania głosu w sprawach wykraczających poza zagadnienia filozofii akademickiej. W dwóch wypadkach odstępuje od czasu do czasu od tej zasady. Pierwszy dotyczy problematyki dydaktycznej. Artykuł z tego zakresu pozwalają dostrzec, iż wbrew pozorom prof. Ajdukiewicz nie traktuje filozofii wyłącznie jako działalności czysto teoretycznej, pozbawionej znaczenia dla życia praktycznego. Podobnie, jak jego nauczyciel Kazimierz Twardowski, nie uważa on filozofii za zawód, lecz za powołanie, które na jej adeptów nakłada wysokie wymagania osobiste i społeczne. Życia człowieka nie wypełniają tylko funkcje poznawcze i intelektualne, lecz rzetelność myślenia spełnia ważną rolę w całym życiu ludzkim. Na solidnym gruncie rzetelnego myślenia wyrasta kult prawdy, sprawiedliwości, dobra publicznego jakie postawić trzeba ponad dobro własne. Rzetelność myślenia zaszczerpa cnoty obowiązkowości, tolerancji, systematyczności, pracowitości i planowego wysiłku, które są jednocześnie fundamentem ładu społecznego.

Drugim odstępstwem od wyłącznego pochłonięcia zagadnieniami teoretycznymi jest sprawa wolności nauki, której prof. Ajdukiewicz poświęcił dwa eseje opublikowane w 1946 i 1957 r. (4). Przywodzą one na myśl rozdział II *On Liberty* Johna Stuarta Milla. Podobnie jak Mill, prof. Ajdukiewicz wyrzeka się rozumowań dających się wywieść z abstrakcyjnych zasad oraz wprowadza kryterium szeroko pojętej użyteczności jako sprawdzian argumentów za wolnością nauki. Użyteczność, o której mowa, to jednocześnie użyteczność sprawdzalna, którą należy wykazać wyłącznie w oparciu o fakty, społeczne doświadczenie i argumenty. Mill pisał swój esej w czasach optymizmu, wiary w postęp i zwycięstwo rozumu. Prof. Ajdukiewicz zwraca się do audytorium, które optymizmu Milla nie jest w stanie podzielać. Postęp, jak go w czasach Milla rozumiano, okazał się iluzoryczny, a intelekt jest zagrożony przez różnorodne tendencje irracjonalistyczne, kultu jednostki i autokracji. Wiara w ideologię służącą celom politycznym zastąpiła szacunek dla faktów, dla sprawnego i poprawnego myślenia, dla prawdy odkrytej własnym rozumem. W tej nowej atmosferze intelektualnej zadanie obrony wolności nauki jest bez porównania trudniejsze aniżeli w czasach Milla. Cóż filozof może przeciwstawić władzy opartej na przemoc, wnoszącej roszczenia do nieomyślności, narzucającej własne przesady rozkazem i wymuszaniem posłuszeństwa? Wyrażenie „przesąd” nie jest w tym kontekście inwektywą i w sensie użytym można go znaleźć u Milla. Nawet prawdziwa opinia, Mill pisał, jeśli jest podzielana niezależnie od

(4) *O wolności nauki*, *Życie Nauki* 1946, 6-7, 155-176; *O wolności nauki*, *Nauka Polska*, 5, 1957 (3), 1-20. Ten ostatni esej jest również dostępny w tłumaczeniu angielskim: *On Freedom of Science*, *The Review of the Polish Academy of Sciences*, 2, 1957 (1-2), 1-9.

rozumowania i głucha na wszelkie argumenty, jest tylko jednym przesądem więcej. Istota rozumna nie w ten sposób wyznaje prawdę.

W okolicznościach powrotnej fali autokratycznej kontroli rządzących nad umysłami rządzonych, które Mill traktował przedwcześnie jako nieodwołalnie przewyciężone, kryterium użyteczności jest szczególnie skuteczne. Ani faktów, ani zasad poprawnego myślenia nie można lekceważyć bezkarnie, gdyż następstwa takiej postawy zwracają się ostatecznie przeciw tym, którzy w imię takiej lub innej ideologii ograniczają wolność nauki i wolność myśli. W naszych czasach świadomość tego związku stała się powszechnym historycznym doświadczeniem i przeniknęła nawet w szeregi i tych, którzy do niedawna praktykowali maksymę *fiat doctrina, pereat mundus*. Prof. Ajdukiewicz odwołuje się do tego argumentu i czyni z niego przekonywujący użytek w obronie wolności uprawiania nauki. Obejmuje ona cztery swobody: wolność wyboru zagadnień, wolność wyboru metody ich rozwiązania, wolność myśli i wolność słowa. Jego wywody są tym cenniejsze że rozpatruje treść i zakres tych swobód w świetle doświadczeń, jakich zaznali uczeni w warunkach całkowitego stłumienia wolności uprawiania nauki i znając obiektywne i subiektywne warunki sprzyjające powstaniu tego stanu rzeczy. Jako filozof prof. Ajdukiewicz ogranicza się do wyłożenia względów, jakie przemawiają za uszanowaniem wolności nauki, a fakty społecznego doświadczenia i rzeczowe argumenty, uzasadniające jego konkluzje, wykląda niezrównaną prostotą, dokładnością i klarownością myśli. Jego argumenty opierają się na założeniu, że ludzie mogą, jeśli zechcą, nabyć umiejętność kierowania się racjonalnymi kryteriami przy wydawaniu doniosłych sądów i podejmowaniu ważkich decyzji. To założenie nie jest jednak realistyczne w obecnej sytuacji i nie odzwiercadla tego co ludzie rzeczywiście czynią, szczególnie osoby sprawujące władzę, gotowe za wszelką cenę, łącznie z tłumieniem dyskusji i ograniczaniem wolności słowa naukowego, chronić teorię stojącą u podstaw ich poczynań. Prowadzi to ostatecznie do metodologicznego dogmatyzmu i doktrynerstwa, tzn. do trzymania się określonych poglądów pomimo wystarczających racji do ich odrzucenia. Dlatego prof. Ajdukiewicz podpira swe założenie wywodem, iż racjonalne kryteria nie tylko są najlepsze z teoretycznego, ale również najskuteczniejsze na długą metę z praktycznego punktu widzenia. Zatem ludzie szczerze i głęboko przekonani o słuszności swych celów nie narażają się na porażkę pozostawiając nienaruszoną wolność uprawiania nauki i nie leży w ich interesie tłumienie rzetelnej naukowej dyskusji. Komu są drogie cele, temu winno również zależeć na znalezieniu właściwych środków ich realizacji, a do tego rzeczą konieczną jest dopuszczenie do głosu każdego, kto wnieść może wkład do dyskusji. Skuteczność polityki, którą wykonują wielkie masy społeczeństwa, zależy od społecznego poparcia. Poparcie zaś posiadają politycy, którzy cieszą się opinią prawdomównych, mówią-

cych otwarciu o rzeczach im niemiłych i gotowych wysłuchać każdej krytyki. Tylko bowiem wówczas przekonać mogą społeczeństwo, że rzeczywiście zależy im na osiągnięciu celów, w imię których prowadzą określoną politykę. Technika rządzenia i technika wyboru środków zgodnie postulują, by nie tłumić żadnej rzetelnej dyskusji, a zwłaszcza dyskusji naukowej.

Prof. Ajdukiewicz jest świadomy, iż wolność uprawiania nauki nie będzie bezpieczna dopóki zwyczaj krytycznego sposobu myślenia i znajomość poprawnego rozumowania nie będą silnie ugruntowane w całym społeczeństwie, wśród rządzących i rządzonych. Filozof jest powołany do tego, by zachęcać i zapierać do zajmowania racjonalnej postawy w stosunku do własnych i cudzych poglądów. Temu powołaniu prof. Ajdukiewicz służy wiernie, a czyni to ucząc innych w słowie i w piśmie oraz własnym przykładem. W życiu, na katedrze uniwersyteckiej i w swych pracach naukowych jest on chlubą i ozdobą polskiej kultury umysłowej.

Zbigniew JORDAN

Prekursor anachroniczny

Młodzieńcy seminarzysta, przybrany syn Wielkiego Pana, decyduje że uroki tego świata pociągają go bardziej od perspektywy nieba. W wielu lat osiemnastu wyjeżdża ze swej rodzinnej Polski do Paryża, gdzie czar jego rozmowy otwiera mu drzwi wszystkich salonów. Mając dwadzieścia cztery lata prowadzi tajne rokowania między dwoma Mocarstwami w stanie wojny, przy pomocy Księcia Krwi Królewskiej i Generała Jezuitów. Sytuacja jego ojczyzny sprawia że, pozostając jej na swój sposób zawsze wierny, oddaje swój talent na usługi innych mocarstw. Poznaje więzienia trzech krajów. Gra czynną rolę w egzotycznej rewolucji. Prowadzi Ambasadę do Moskwy, a w dwa lata później, pod fałszywym nazwiskiem, tajną misję do okupowanego kraju, podczas gdy trzy Mocarstwa nakładają cenę na jego głowę. Przez całe życie snuje Wielki Plan: zjednoczenia Europy. Umiera, będąc przyjacielem Wielkich tego Świata, równie biedny jak kiedy w świat wkraczał.

Józef Retinger nie miałby mi za złe tej schematycznej biografii w formie osiemnastowiecznej. Czyż bowiem, tak wiernie opowiedziane, życie jego nie przywodzi nam na myśl Casanovy, Kawalera d'Eon, Capo d'Istria, Abbé de Saint-Pierre'a? Nieprzyjaciele często nazywali Retingera awanturnikiem politycznym. Ale wystarczy wyprowadzić „awanturnika” od *aventure*

w sensie przygody, aby uchwycić znaczenie tego życia pozornie anachronicznego, mającego charakter wyzwania rzuconego socjologii naszego wieku. Lubiany i szanowany przez przyjaciół, którzy znali jego osobistą lojalność, jego odwagę, jego całkowitą bezinteresowność, Retinger sam się lubował w demonicznej sylwetce swego własnego cienia. *Le Père Joseph, Le diable boiteux* — nawet koledzy i bliscy współpracownicy żywili jego legendę tymi przydomkami. Pasja czynu, niepohamowana żądza władzy, ale *wplywu* na wypadki, pogarda którą odczuwał dla tytułów, odznaczeń i honorów predestynowała go do roli „szarej eminencji”. Często, wyprzedzając w parę godzin butelkę koniaku, opowiadał mi epizody ze swego życia. Były to zawsze wydarzenia godne Gil Blas'a: przyjaciele meksykańscy zabijani z rewolweru siedząc obok niego w restauracji, noc spędzona w celi Conciergerie, z której idzie wprost na zamknięcie balu u Boni de Castellane, tajne rokowania pod fałszywym nazwiskiem, granice przekraczane z przemytnikami; postać Józefa Retingera zdawała się należeć do innego wieku. Ale ta wenecka bauta, ta peleryna, ta szpada były na służbie wizji politycznej zawsze wyprzedzającej teraźniejszość.

Urodzony w Krakowie w r. 1888, wychowany przez filantropa i dziwaka Władysława Zamoyskiego, Retinger chciał początkowo zostać mnichem. Na Sorbonie uzyskuje doktorat z literatury. W r. 1911 Polski Komitet Narodowy mianuje go przedstawicielem w Londynie. Stara się on wówczas pozyskać angielską opinię polityczną dla sprawy polskiej i ogłasza po angielsku książkę pt. „Polska i Prusy”. Podczas wojny krąży między Londynem i Paryżem i pozyskuje przyjaźń i zaufanie polityków tej miary co Asquith, Balfour, Briand i Berthelot. W r. 1916 udaje mu się przekonać Asquitha, ówczesnego premiera i Northcliffa, właściciela i redaktora „Timesu”, do planu odrębnego pokoju z Austrią i staje się głównym negocjatorem tych rokowań, w których pomagają mu brat cesarzowej Zyty, ks. Sykstus de Bourbon-Parma i General Jezuitów Ledóchowski. Rokowania urywają się jednak na skutek presji niemieckiej na Austrię. Retinger poświęca się nadal sprawom polskim i ogłasza dwie książki po francusku: „Polska i Równowaga Europejska” (1916) i „Kilka uwag o przyszłości gospodarczej Polski” (1917). W tych latach również zaprzyjaźnia się z Gidem i Józefem Conradem, któremu później poświęci najlepszą swoją książkę. W r. 1917 Retinger sprzeciwia się formacji na terenie Francji Wojska Polskiego złożonego z jeńców wojennych z niemieckich i austriackich sił zbrojnych. Sprzeciw ten pociąga za sobą ekspulsję z wszystkich krajów alianckich. Retinger wyjeżdża do Meksyku, gdzie powróci dziesięć razy między r. 1918 i 1939. W Meksyku organizuje Retinger związki zawodowe i odgrywa nieprzeciętną rolę polityczną. Toczy się tam wówczas prawdziwa wojna między władzami meksykańskimi i amerykańskim monopolem naftowym. Retinger przedstawia rządowi meksykańskiemu niezwykle na owe czasy śmiały plan

nacjonalizacji nafty. Po realizacji tego planu, rząd meksykański powierza Retingerowi tajne rokowania z Waszyngtonem. Pozna wówczas Retinger więzienia amerykańskie, po więzieniach francuskich i austriackich. Urodzony negocjator, to znów on podejmie się misji ułożenia stosunków między Meksykiem i Watykanem.

W r. 1924 Retinger organizuje swą pierwszą wielką konferencję międzynarodową — Robotniczych Związków Zawodowych w Meksyku. W międzyczasie odwiedza kilkakrotnie Polskę, gdzie łączy go bliskie stosunki z P.P.S. Stara jego przyjeżdż z Sikorskim zbliża go później do „Frontu Morges”.

Polityczna rola Retingera w czasie wojny lepiej jest znana Polakom, mimo że tendencja do demonizacji dochodzi tutaj do szczytu. Warto przypomnieć że to Retinger, latając jak opętany wojskowym samolotem między Londynem, Angers i Bordeaux, przekonał Sikorskiego do przeniesienia rządu i wojska do Anglii. W Londynie, zawsze wierny swym federalistycznym koncepcjom, staje się inicjatorem traktatu polsko-czeskiego, zniweczonego późniejszym rozwojem wypadków. Jego rola najważniejsza i najbardziej kontrowersyjna w tym okresie — to udział w negocjacji paktu Sikorski — Stalin. Po jego podpisaniu Sikorski powierza mu zorganizowanie polskiej misji dyplomatycznej w Moskwie. Najbardziej dramatyczny — i dotychczas jeszcze najbardziej tajemniczy epizod — to tajna misja Retingera do Polski pod pseudonimem „Salamandra” po śmierci Sikorskiego. Ten pięćdziesięciosześcioletni skoczek spadochronowy w binoklach, miał w Polsce przygody godne najlepszej powieści Simenona — jak wynika choćby ze świadectwa Korbońskiego. Spóźnienia na samoloty, sprzeczne instrukcje, kilka godzin w lodowatej wodzie — Retinger powraca do Londynu sparaliżowany i nigdy już nie odzyska w pełni swoich władz fizycznych.

Po wojnie Retinger uzyskuje od rządu brytyjskiego wielkie dary dla odbudowy Polski, ale od polskiej polityki odchodzi.

Kiedy Winston Churchill rzuca po raz pierwszy w Fulton myśl zjednoczenia Europy, Retinger poświęci się stworzeniu baz organizacyjnych dla urzeczywistnienia snu swego całego życia. Churchill, de Gasperi, Spaak powierzają mu tworzenie „Ruchu Europejskiego”, nadrzędnej organizacji centralizującej wszystkie federalistyczne związki i objęcie jej sekretariatu generalnego. W r. 1952, Retinger ofiarowuje swe talenty organizatorskie Przymierzem Atlantyckiemu. Zakłada tzw. „Grupę Bilderberg”, w której ramach mężowie stanu, potentaci prasowi, wielcy przemysłowcy, syndykaliści, myśliciele polityczni Stanów Zjednoczonych i krajów Europy Zachodniej omawiają, bez „porządku dnia”, bez rezolucji, bez komunikatów prasowych, wszystkie wspólne problemy i zastanawiają się nad sposobami usunięcia punktów tarcia między Europą i Ameryką.

Dziś, kiedy świat zachodni zwolna idzie w kierunku form organizacyjnych wybiegających poza tradycyjną suwerenność narodową, Retinger wydaje się prawdziwym prekursorem. Nie

był on nigdy abstrakcyjnym internacjonalistą. To czego zawsze szukał — to nie idealnej „Pan-Europy”, ale zasady integracji ponad narodowej, federalnej, która by gwarantowała prawa nie tylko istniejących narodów, ale każdej grupy dążącej do swobodnego rozwoju.

Zawsze przeciwny dyktatorom, Retinger nie zadowolął się ideologią liberalną i parlamentarną. Rozumiał on nowe struktury społeczeństwa przemysłowego i o międzynarodową współpracę, o system demokratyczny walczył przede wszystkim w ramach związków zawodowych.

Jego działalność meksykańska, jego rola w nacjonalizacji nafty, jego walka z kapitałem amerykańskim nabiera dziś szczególnej aktualności wobec strukturalnych przeobrażeń całej Południowej Ameryki. Ale, przeciwnik kapitału amerykańskiego przed „New Dealem”, Retinger należał do tych, którzy najlepiej zrozumieli olbrzymi wkład Stanów Zjednoczonych do świata powojennego. Tworząc grupę Bilderberg, niestrudzenie „tłumaczył” Europę Amerykanom i Stany Zjednoczone Europejczykom.

Federalista, demokracja, prekursorski zwolennik *Welfare State*'u, Retinger potrafił pogodzić swe przywiązanie do Polski z solidarnością europejską i swą europejską solidarność ze zrozumieniem konieczności współpracy atlantyckiej. Ta postać osiemnastowieczna była na służbie najbardziej zaawansowanych koncepcji naszego wieku.

K. A. JELEŃSKI

Wokół „Pornografii” i Gombrowicza

Nagroda „Kultury” za r. 1960 udzielona Witoldowi Gombrowiczowi za „Pornografię” wywołała różnorodne głosy naszych czytelników. P. Kazimierz Borkowski przesłał nam — à propos książki Gombrowicza — bardzo ciekawy artykuł amerykańskiego pisarza Paul Goodmana pt. „Pornografia, Sztuka i Cenzura” (*Commentary*, marzec 1961), Goodman krytykuje zarówno cenzurę jak i ustawodawstwo dotyczące pornografii, dowodząc, że opierają się one dotychczas na moralnych zasadach dziewiętnastowiecznego poglądu. Zniesienie wszelkiej cenzury dotyczącej spraw seksualnych usunęłoby, zdaniem Goodmana, zapotrzebowanie na nielegalną pornografię niskiego gatunku, oraz uzdrowiłoby kulturę masową, która aby ominąć cenzurę i przepisy prawne, przemycą elementy erotyczne pod szkodliwą maską sadyzmu i taniej podniety. Udostępnienie natomiast tematyki seksualnej poważnej sztuce i literaturze mogłoby — zdaniem autora — przyczynić się do zlikwidowania grzącej współczesnemu człowiekowi neurozy.

P. Bogusław S. Szystowski protestuje przeciw „zbyt niemu windowaniu naszego Gombrowicza w towarzystwie istotnych klasyków, o którym napisano sporo studiów i książek, jak o Kafce, jak o Joyce'ie”. Przy okazji pyta się on „kto to jest ów tajemniczy „Beniamin” (również wymieniony w notatce „Kultury”). Walter Benjamin należy, zdaniem wielu krytyków współczesnych, do „klasyków XX wieku”, podobnie jak Robert Walther (mistrz Kafki), Italo Svevo, Maurice Blanchot, Mirosław Krleża, o których, jak i o Gombrowiczu, nie napisano jeszcze „sporo studiów i książek”.

P. Jan Kowalski, p. Danuta Rodziewiczowa, p. Anna Dobek twierdzą, że nie widzieli w obcej prasie żadnych entuzjastycznych głosów na temat „Ferdynurka”. Ograniczamy się tutaj do zacytowania kilku opinii z prasy niemieckiej, które nadeszły ostatnio do „Kultury”.

„Na koniec odkryty dla Zachodniej Europy genialny autor „Ferdynurka” (*Neue Zuercher Zeitung*).

„...bezwstydna wielkość tego dzieła przy najgorszej woli nie może pozostać niedostrzeżona (*Du*).

„Jeden z najbardziej niezwykłych i najbardziej zasługujących na uwagę pisarzy współczesnych (*Deutsche Zeitung*).

„Dziwaczne arcydzieło polskiego pisarza Gombrowicza” (*Der Monat*).

„Ferdynurka, jedna z nadszłuchniejszych i najbardziej zasługujących na uwagę książek nowoczesnej literatury” (*Arbeiter Zeitung*).

„Porównuje się Gombrowicza z Kafką i niejedni mówią o nim jak o geniuszu” (*Stuttgarter Zeitung*).

„Objawia się nam tutaj talent wielki, ale zarazem niezwykle niebezpieczny i agresywny” (*Der Tagesspiegel*).

Kronika

JUBILEUSZOWY KONKURS NA SZTUKĘ TEATRALNĄ

Dla uczczenia 20-lecia OGNISKA POLSKIEGO w Londynie i 20-tej rocznicy powstania pierwszego TEATRU POLSKIEGO NA UCHODZ-STWIE Związek Artystów Scen Polskich Zagranicą i „Ognisko Polskie” w Londynie ogłaszają KONKURS NA SZTUKĘ TEATRALNĄ.

Udział w konkursie mogą brać pisarze polscy, przybywający w kraju i na uchodźstwie.

Nagrody:

1. Nagroda „Ogniska Polskiego” w kwocie £ 75, O.O. przypadnie sztuce poruszającej zagadnienia polskie w przeszłości, lub w chwili obecnej.

2. Nagroda Z.A.S.P. w kwocie £ 50.0.0. za utwór o najpełniejszych walorach teatralnych.

3. NAGRODA MŁODYCH, ufundowana przez Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego w kwocie £ 30.0.0. Nagroda ta jest zastrzeżona dla autora, którego żaden utwór nie został jeszcze wystawiony. Będzie ona przydzielona jednej z trzech sztuk wyróżnionych, jeśli okaże się, że autor

odpowiada jej warunkom. W wypadku braku odpowiedniego kandydata, otrzyma ją autor sztuki, wystawionej przez Teatr ZASP w sezonie 1961-62, który będzie odpowiadał jej warunkom.

Skład Jury, wybrany przez Zarząd Ogniska, Towarzystwo Przyjaciół Teatru i ZASP, zostanie podany do wiadomości w terminie późniejszym.

Warunki Konkursu:

1. Rodzaj sztuki może być dowolny. Tragedia, dramat, komedia, sztuka, farsa, komedia muzyczna, opera, dramat muzyczny. (W wypadku utworu muzycznego, obowiązuje dostarczenie — poza tekstem — wyciągu fortepianowego).

2. Sztuka musi wypełnić cały wieczór teatralny (około 1 godz. i 30 min. tekstu).

3. Temat utworu może być dowolny. (Pewne ograniczenia wynikają z charakteru 1-szej nagrody).

4. Utwór musi być oryginalną pracą autora.

5. Sztuka konkursowa i nie może być uprzednio wystawiona w teatrze, w radiu czy telewizji, ani też wydana drukiem.

6. TERMIN NADSYŁANIA PRAC upływa z dniem 1 października bież. roku.

Ogłoszenie wyniku konkursu nastąpi na scenie „Ogniska Polskiego” w Londynie dnia 11 listopada 1961 r.

Prace winny być zaopatrzone GODŁEM. Do przesyłki należy dołączyć zamkniętą kopertę, zawierającą nazwisko autora, jego adres godło i tytuł sztuki. (Również zastrzeżenie, jeśli autor nie chce wyjawiać swego nazwiska, lub chce, by sztuka była grana pod pseudonimem).

Nadesłanie utworu na konkurs jest jednoznaczne z upoważnieniem do wystawienia sztuki przez TEATR POLSKI ZASP w Londynie. Kierownictwo Teatru wypłacać będzie autorom normalne honorarium.

Prace należy nadsyłać na adres: „ZASP — THE POLISH HEARTH” (KONKURS) — 55, Exhibition Road, London, S.W.7.

KONKURS NA PROJEKT POMNIKA T. SZEWCZENKI W WASZYNGTONIE

W związku ze stuleciem śmierci Tarasa Szewczenki i 150-cioletnią rocznicą jego urodzin, która przypada na rok 1964, Miejscowy Komitet Budowy Pomnika ogłasza konkurs na projekt jego pomnika w Waszyngtonie.

Warunki konkursu są następujące:

1. *Wielkość pomnika*: całość nie powinna przekraczać 30 stóp (stopa równa się w przybliżeniu 30 cm.). Pomnik ma wyobrażać postać poety w brzoju na cokole. Projekt może obejmować także i inne postacie — trzymiarowe lub w płaskorzeźbie — trzeba jednak brać pod uwagę, że koszt budowy pomnika nie może przekraczać sumy 250.000 dolarów.

2. *Postać poety*: Życzeniem szerokich kół naszego społeczeństwa jest, by pomnik przedstawiał poetę w młodym wieku, przed jego zesłaniem w

1847 roku. Jednakowoż nie jest to warunek konieczny. Postać poety powinna być ponad naturalnej wielkości. Najważniejszym zadaniem projektodawców jest znalezienie takiej koncepcji pomnika, która by uwypuklała narodowe i ogólnoludzkie znaczenie Tarasa Szewczenki.

3. *Tło pomnika*: Zyczeniem Miejskiego Zarządu parków w Waszyngtonie, któremu podlegają wszystkie pomniki i który będzie opiekował się również pomnikiem Szewczenki, jest, by pomnik dobrze harmonizował z otaczającym go tłem. Dlatego należy w projekcie uwzględnić tego rodzaju elementy jak taras ze schodami, wodotryski, klomby, drzewa, ławki etc. Zaleca się więc, aby uczestnicy konkursu opracowywali projekty w porozumieniu z architektami.

4. *Miejsce pomnika*: Ponieważ dzielnica Waszyngtonu, w której ma stanąć pomnik, jest obecnie w stanie przebudowy, wielkość i forma placu pod pomnik nie została ostatecznie zdecydowana. Projektodawcy powinni orientacyjnie brać pod uwagę teren mający ok. 150 stóp szerokości i tyleż długości, otoczony ulicami i obsadzony wysokimi drzewami.

5. *Wielkość projektu*: Projekt ma być wykonany w skali 1 cal równa się 1 stopie, to jest w skali 1:12. Projekty mogą być wykonane w gipsie w drzewie, etc. Model musi być spatynowany na kolor pomnika (brąz lub kamień).

6. *Dodatkowe projekty*: Niezależnie od projektu rzeźby autorzy powinni przysłać szkice obrazujące tło pomnika. Skala rysunków 1 stopa terenu równa się 1/8 cala na rysunku.

7. *Termin nadsyłania prac*: Prace winny być nadesłane Komitetowi najpóźniej do dnia 28 lutego 1962 roku. Jeden autor może opracować najwyżej dwa projekty. Przesyłka projektów jest na koszt projektodawcy. Ubezpieczenie w okresie trwania konkursu i koszty zwrotu — obciążają Komitet. Projekty winny być opatrzone godłem, zaś nazwiska i adresy autorów winny być dołączone w zamkniętej kopercie, oznaczonej tym samym godłem.

8. *Jury*: Komitet wyłoni w porozumieniu z Komisją Artystyczną jury dla oceny nadesłanych prac. Skład jury będzie podany później. Jury ogłosi wynik konkursu nie później niż w 2 tygodnie po dostarczeniu mu prac przez Komitet.

9. *Nagrody*: Komitet Budowy Pomnika Tarasa Szewczenki przewiduje 5 nagród za najlepsze prace:

Jedną pierwszą nagrodę w wysokości 1500 dolarów

Dwie drugie nagrody w wysokości 1.000 dolarów każda

Dwie trzecie nagrody w wysokości 750 dolarów każda.

Niezależnie od nagród pieniężnych przewidziane są odznaczenia honorowe.

10. *Kompetencje jury*: Zadaniem jury jest wybranie najwartościowszych projektów z punktu widzenia artystycznego. Jednakże przyznanie pierwszej nagrody nie zobowiązuje Komitetu do wykonania pomnika według tego projektu. Komitet bowiem musi wziąć pod uwagę takie kwestie jak: koszt budowy pomnika, wymagania komisji artystycznej m. Waszyngton itd.

11. *Wykonanie pomnika*: Komitet podpisze osobną umowę z autorem projektu, który ostatecznie zostanie zakwalifikowany do budowy. Nagrodzone projekty stają się własnością Komitetu, inne będą odesłane autorom.

12. *Adres do nadsyłania prac konkursowych*:
SHEVCHENKO MEMORIAL COMMITTEE OF AMERICA, Inc.,
302-304 West, 13th Street — NEW YORK 14, N.Y. — USA.

Za Komitet:

Roman SMAL-STOCKI — Przewodniczący

POLSKIE CMENTARZE WE WŁOSZECH

Równoległe z akcją zbiórki na utrzymanie cmentarzy żołnierzy 2 Korpusu we Włoszech — Komitety Opieki nad tymi cmentarzami w Londynie i w Rzymie podjęły kroki w celu przygotowania programu robót konserwacyjno-naprawczych na cmentarzach na Monte Cassino, w Loreto i w Bolonii. Z początkiem kwietnia przedstawiciele Komitetu odwiedzili te cmentarze.

Według złożonego sprawozdania istnieje konieczność wykonania na wszystkich trzech cmentarzach, w pierwszej kolejności robót, które by zapobiegły powstawaniu dalszych szkód w konstrukcjach cmentarzy. Dotyczy biegły powstawaniu dalszych szkód w konstrukcjach cmentarzy. Dotyczy w szczególności odczyszczenia i naprawy uszkodzonych urządzeń murów niających, wykonania dodatkowo nowych, oraz naprawy zniszczonych murów i innych części konstrukcyjnych. Potrzeby i roboty w tym tylko najpilniejszym zakresie są duże, kosztowne i trudne pod względem technicznym.

W najgorszym stanie pod względem konstrukcyjnym i rozmiaru potrzeb jest cmentarz w Loreto, jakkolwiek troskliwa i wszechstronna opieka nad tym cmentarzem SS. Nazaretanek w Loreto oraz p. K. Chmielewskiego z Osimo wybitnie zapobiega powstawaniu nowych zniszczeń. Cmentarz ten z uwagi na bardzo trudne warunki terenowe i ciężką konstrukcję murów oporowych doznał dużych uszkodzeń i szkód. W ostatnich latach władze włoskie wykonały pewne prace naprawcze na tym cmentarzu, koncentrując się na odbudowie zniszczonych grobów na dwu najwyższych poziomach cmentarza i na naprawie murów wewnętrznych. Szybkiej naprawy, bezwzględnie przed nastaniem pory deszczowej, wymaga system odwadniania dolnych poziomów, oraz mury zewnętrzne. Są nadzieje na pomoc władz włoskich, ale tylko w odbudowie części zniszczonych grobów.

Stan cmentarza na Monte Cassino uległ znacznemu pogorszeniu w okresie ostatnich dwu lat. Podobnie jak na cmentarzu w Loreto, niecierpiąca zwłoki jest konieczność wykonania pewnych robót naprawczych, oraz usprawnienia istniejącego systemu odwadniającego.

Cmentarz w Bolonii posiada niewielkie uszkodzenia techniczne, które jednak wymagają szybkiej naprawy. Cmentarz ten jednakże robi wrażenie zaniedbania i wymaga radykalnych zmian w systemie jego utrzymania.

Szczegółowe sprawozdania stanu technicznego cmentarzy we Włoszech było przedmiotem obrad Komisji Technicznej Komitetu w Londynie w dniu 27 kwietnia.

Wnioski opracowane przez Komisję Techniczną zostały przyjęte na zebraniu Zarządu Komitetu w dniu 13 maja.

Ustalony przez Komitet program prac i ich kolejność przesłane zostały wraz z preliminowaną kwotą £ 3.000 Komitetowi w Rzymie.

Prace zostaną rozpoczęte w najbliższych tygodniach.

Komunikat sprawozdawczy z akcji zbiórki, która jest prowadzona nadal — ukaże się z końcem lipca br. (adres Komitetu — 42, Emperors Gate, London, S.W.7. — czeeki prosimy wystawiać na: „Loreto War Cemetery Fund”).

TOM LXIII BIBLIOTEKI "KULTURY"

**BOGDANA CZAYKOWSKIEGO
I BOLESŁAWA SULIKA**

POLACY W W. BRYTANII

Polacy w W. Brytanii znajdą w tej książce wizerunek ich życia a wielu z nich własne sylwetki!

Książka zawiera 560 stron druku plus indeks, obejmujący setki nazwisk.

Cena książki: NF 30; (43/6; dol. 6).

TOM LXIV BIBLIOTEKI "KULTURY"

DANUTA MOSTWIN

AMERYKO! AMERYKO!

Wielki fresk powieściowy o nowej i starej emigracji
na tle Stanów Zjednoczonych

Str. 394

Cena egzemplarza NF 15 (§ 3; 22 sh.)

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

KEHRT DEUTSCHLAND IN DEN OSTEN ZURÜCK ?

IN DEUTSCHER SPRACHE

112 Seiten zellophanierter Pappband DM 6.80.

COLLOQUIUM VERLAG

BERLIN DAHLEM

Unter den Eichen 93

Książki

Tom III Makiety "Historii"

ZAGADNIENIA KULTURALNE

Część pierwszą III tomu „Historii Polskiej” zamyka rozdział zatytułowany „Kultura polska w drugiej połowie XIX wieku”^{*)}. Liczy on ponad 180 stron druku w stosunku do całości liczącej 772 strony. Nie jest to za wiele, ale nie jest też mało. Z wszystkich osiemnastu rozdziałów próbnego opracowania czyli, jak się teraz mówi, „makiety” rozdział poświęcony zagadnieniom kulturalnym jest nie tylko najobszerniejszy, ale i najbardziej urozmaicony, malowniczy. Składa się z trzynastu odrębnych artykułów, które poprzedza obszerny wstęp i zamyka zbyt lakoniczne *résumé* Kazimierza Wyki.

^{*)} „Historia Polski”. Opracowanie zbiorowe pod redakcją Stanisława Arnolda i Tadeusza Manteuffla. Tom III: 1850-1864 — 1918. Część I: 1850-1864 — 1900 pod redakcją Zanny Kormanowej i Ireny Pietrzak-Pawłowskiej opracowali J. Buszko, A. Galos, A. Grodek, St. Kalabiński, J. Kancewicz, Z. Kormanowa, I. Pietrzak-Pawłowska, K. Piwarski, K. Dunin-Wąsowicz, K. Wyka i inni. Polska Akademia Nauk. Warszawa 1960. Stron 784, mapy w tekście i na osobnych załącznikach, ilustracje. Rozdział osiemnasty. Kultura polska w drugiej połowie XIX w. (red. K. Wyka);

1. Warunki i przebieg rozwoju kultury polskiej w drugiej połowie XIX w. (K. Wyka). 2. Urbanistyka i architektura (S. Herbst). 3. Kultura materialna na ziemiach polskich (J. Pazdur). 4. Szkolnictwo i działalność oświatowa. Nauki pedagogiczne (J. Dobrzański). 5. Zarys rozwoju prasy polskiej (B. Krzywobłocka-Tyrowiczowa i T. Butkiewicz). 6. Rozwój nauki polskiej (J. Bakicz, St. Dobrzycki, W. Hubicki, E. Olszewski, B. Skarżyński, A. Teske). 7. Stan filozofii i socjologii (A. Molska-Osiadacz). 8. Nauka historyczna (M. Serejski). 9. Zarys polskiej myśli ekonomicznej (T. Kohalik). 10. Zarys polskiego językoznawstwa (Z. Klemensiewicz). 11. Literatura polska lat 1864-1890 (H. Markiewicz). 12. Teatr polski (Z. Raszewski). 13. Sztuka polska w latach 1864-1895 (J. Starzyński). 14. Zagadnienia kultury muzycznej (Z. Lissa). 15. Podsumowania (K. Wyka).

• Jest to rozwiązanie słuszne i celowe. Zamiast wszechobejmującego, nieuchronnie powierzchownego omnibusu zgromadzone pod jednym wspólnym nagłówkiem szereg mniejszych ujęć szczegółowych. Oświetlają one po kolei: urbanistykę i architekturę, kulturę materialną, szkolnictwo i oświatę, prasę, rozwój nauki, filozofię i socjologię, historię, ekonomię, językoznawstwo, literaturę, teatr, sztuki plastyczne i muzykę. Jest to zbiorowe dzieło osiemnastu autorów-specjalistów, którzy dla tego opracowania przeprowadzili nieraz pionierskie badania lub podsumowali wyniki cudze i własne.

Cząstki, kamyki składające się na mozaikę kultury polskiej między powstaniem styczniowym a świtem nowego stulecia, przedstawiają oczywiście różne formy, rozmaity stopień oszlifowania, odmienną siłę sugestywną, co jest nieoddzielne od techniki mozaikowej. Ale tworzą całość.

Niemniej ważne jest to, że jako całość — bardziej mimowiednie, niż świadomie, bardziej pod naciskiem uwzględnianych faktów, niż teoretycznych założeń — przeciwstawiają się zasadom redakcyjnym wyłożonym w przedmowie. Jest to pouczające a nawet zabawne śledzić jak „metodologiczne założenia marksizmu” z pierwszych stronic nie są w stanie osiągnąć ostatnich stronic, jak fakty kulturalne w ogóle, a na gruncie polskim w szczególności wymykają się dogmatycznie i prostacko stosowanemu kategoriom marksistowskim. Oczywiście polska nauka historyczna, muzyka, nawet teatr nie mają nic wspólnego z „kapitalizmem wolnokonkurencyjnym i przejściem do imperializmu” nawet wtedy, jeśli rzeczony „imperializm” pojmuje się zgodnie „ze wskazówkami analizy leninowskiej”.

Należy czerpać z tego pociechę, że również autorzy niechlubnie zapisani w „minionym okresie”: Henryk Markiewicz, autor artykułu o literaturze, Juliusz Starzyński piszący o plastyce, Zofia Lissa pisząca o muzyce wystrzegają się prymitywizmu marksistowskiego. Starzyński stwierdza wyzwalanie się świadomości i wizji czysto malarskiej; Markiewicz wprawdzie poświęca sporo miejsca rozbiorem ideologicznym, ale na ogół trafnie umie z nimi powiązać przemiany formalne w powieści dziewiętnastowiecznej, pani Lissie tylko jeden raz wyrwie się westchnienie zdradzające żal, że „Straszny dwór” jest „wyraźnie tworem innego etapu świadomości społecznej, niż 'Halka'”.

Przeważająca większość artykułów ma charakter rzeczowy, jasny, precyzyjny. Zwłaszcza trzy wyróżniają się obiektywizmem i sugestywnością informacyjną: Henryka Serejskiego o rozwoju badań historycznych, Zygmunta Klemensiewicza o językoznawstwie i Zbigniewa Raszewskiego o teatrze. Ten ostatni stanowi prawie wzór opracowania: operuje konkretami, cyframi, datami w celowym doborze, tylko przy zbiorowych zagadnieniach stylu („szkoła krakowska”) ucieka się do ogólników, obejmuje teatr emigracyjny i teatr mniejszości na ziemiach polskich (ciekawe dane o teatrze żydowskim), nie waha się stwier-

dzić faktu, że scena galicyjska drugiej połowy XIX w. stała „uporem trzech hrabiów” (Skarbka, Skorupki i Koźmiana).

Na przeciwnym biegunie, prawie odosobniony, stoi szkic Tadeusza Kowalika o rozwoju myśli ekonomicznej, pobieżny i nierzeczowy. Jest on napisany metodą „czarne-białe”. Józef Sipiński stanowi dla tego autora wcielenie „drobnomieszczańskiego sentymentalizmu i romantyzmu ekonomicznego” i nawet ekonomista francuski Bastiat zasłużył sobie na epitet: „wulgarny”, co jest może publicystyczną połajanką, ale nie zawiera uchwytniej treści pojęciowej.

Na ogół autorzy wystrzegają się tego stylu. Ale znaczna część uprawia to co Anglicy nazywają *lip-service* — modleniem się tylko wargami, a co w Polsce nazywa się „deklaratywnością”. Zwłaszcza dwa terminy narzucają się ze stałym zabarwieniem ujemnym: „burżuazja, burżuazyjny” i „solidaryzm, solidarystyczny”. Są to dwie zmyzy pierwotne. Gdy jeden czy drugi autor weźmie na serio ten ich charakter, stawia rzecz na głowie i wikła się w sprzeczności. Bożena Krzywobłocka-Tyrowiczowa i Tadeusz Butkiewicz piszą np. o „Katoliku”, założonym przez Karola Miarkę: „Pismo to aczkolwiek hołdujące zasadom solidaryzmu i pozostające pod wyraźnym wpływem ośrodków klerykałnych, odegrało poważną rolę przy (!) budzeniu polskości na Śląsku”. Właściwie należałoby temu zdaniu nadać sens odwrotny: pismo Miarki podtrzymywało polskość, często stwarzało ją od nowa przez odwoływanie się do uczuć religijnych i instynktów narodowych.

Temu „antyburżuazyjnemu” i „antysolidarystycznemu” kalwinizmowi może najsilniej podlegać Wyka, redaktor rozdziału poświęconego kulturze w III tomie „Historii Polski” i autor „słowa wiążącego” pojedyncze opracowania. Trzeba stwierdzić, że jego wstęp zarysowujący „warunki i przebieg kultury polskiej w połowie XIX wieku” jest najinteligentniejszym, najbardziej wnikliwym zarysem syntetycznym tego okresu. Co prawda tu i ówdzie Wyka nasuwa podejrzenie, że nie czytał artykułów, które sam zamówił: wymienia np. drugorzędного aktora Żelazowskiego a pomija Żółkowskiego, Królikowskiego i Rychtera.

Ala to są drobniagzi. Drobiazgiem, choć nieco większym, jest zatrata proporcji, gdy „jubileatyzm”, obchodomanię stawia na równi z natężeniem roztrząsań o przeszłości i badań historycznych, z odkrywczo zakreślonym przez siebie humanistycznym, a nie przyrodniczo-technicznym profilem kultury polskiej itd. Nawet ten nieco większy drobiazg oświetla Wyka po swjemu pisząc: „obchodzenie świąt narodowych odpowiednio czczonych a mianowicie w sposób zacofany i solidarystyczny”. Trzeba stwierdzić, że święto narodowe czczone „niesolidarystycznie” nie byłoby ani świętem ani narodowym.

Ta sprzeczność przewija się przez cały wstęp i wraca echem w wielu artykułach. Wyka i inni współpracownicy działu kulturalnego „Historii” najsłuszniej podkreślają ponadzaborowy i ponadklasowy charakter kultury polskiej. „Muzyka — pisze

pani Lissa — mogła silniej niż inne sztuki działać jednocząco na świadomość narodową”, „przenikała z łatwością do najszerszych i różnych klas społecznych pełniąc w specyficznych rozbiorowych warunkach szczególnie ważną rolę”. Trudno zrozumieć jak z tym stwierdzeniem godzą się pretensje do „solidaryzmu” czyli po prostu — patriotyzmu.

Drugą słabość wstępu Wyki stanowi oświecenie genezy i roli inteligencji. Wyka wywodzi ją całą z ziemiaństwa przecząc jej dopływy mieszczańskie (choćby Estreicher, Matejko, Modrzejewska) i chłopskie (choćby Kasprówic). I całą ją uważa za „przeżytek szlachecki”. Jest to dziedziczne obciążenie „Genealogią inteligencji polskiej” Chałasińskiego, która miała może sens publicystyczny kilkanaście lat temu, ale dziś jest czymś całkowicie przebrzmiałym. W świetle faktów zgromadzonych w rozdziale zredagowanym przez Wykę w świetle wniosków na ich podstawie wysnutych, inteligencja była w drugiej połowie XIX w. „warstwą przodującą”, motorem przemian i rezerwua-rem świadomości zbiorowej.

Ze wstępem Wyki można się spierać, trzeba żądać usunięcia zawartych w nim sprzeczności, wyrównania ztraconych proporcji. Nie do przyjęcia jest jego „podsumowanie”. Liczy ono 1 (słownie: jedną) stronicę. Jest najbłahszym i najbanalniejszym ustępem z całej książki. Stanowi jakby dworny ukłon pod adresem redaktorów i ich przedmowy.

Większość prac jest szkicowa, niektórym zbywa na przejrzystości, niektórym brak ostatecznego szlif stylistycznego, ale mimo niedociągnięć ten końcowy rozdział III tomu „Historii Polski”, stanowiący monograficzny zarys naszej kultury od połowy XIX do prognozy XX w., jest poważnym osiągnięciem naukowym. Jest również naocznym ujawnieniem prawdy, że naród w niewoli politycznej może obronić swoją wolność kulturalną, może ją rozwijać, może z niej uczynić rękojmię poręczającą przyszłość.

Tymon TERLECKI

Zelwerowicz w Łodzi

Książka Wandy Lipiec „Zelwerowicz i scena łódzka”*) jest dosyć dziwaczna w założeniu i sporna w metodzie, ale mimo to przynosi wyniki niezapobawione ważkości. W kraju jej nie doceniono, tym bardziej więc warto o niej mówić.

*) Wanda Lipiec: *Zelwerowicz i scena łódzka*. Wydawnictwo Łódzkie 1960. Stron 320, ilustracje.

Zeby zacząć od rzeczy drobnej a uciążliwej: nie wiem dokładnie kto tę książkę napisał, choć znam autorkę z rozmaitych prac polonistycznych, teoretyczno-literackich (ogłoszonych w „Zagadnieniach Rodzajów Literackich”) i teatrologicznych. Forma nazwiska użyta na karcie tytułowej jest sprzeczna z duchem polszczyzny, jest jej zubożeniem. Na przekór temu że ma ona osobne formy żeńskie, w pewnych przypadkach nawet dwie („panieńską” i „mażeńską”) ostatnio uogólnia się forma bezpłciowa czy ponadpłciowa wywodząca się chyba z paszportów, biurokratycznych rejestrów, spisów kacetowych. I w tym przypadku trudno zgadnąć o kogo chodzi: o Lipcową? o Lipównę? I nie wiadomo jak tego kogoś cytować, jeśli się nie chce zabrnąć w taką już utrwaloną w druku surrealistyczną brednię: „Kapitan powiadziała do porucznik — Niech porucznik każe sierżant, żeby poszła do major i zameldowała o przyjeździe pułkownik...”.

Wanda Lipiec napisała — jak sama określa — „kronikę łódzkich sezonów Zelwerowicza”. Wybrała z jego biografii artystycznej to co się wiąże z Łodzią: pierwszy terminatorski okres 1899-1900, bez mała trzy i pół roku samodzielnego dyrektorowania w latach 1908-11, związaną się z tym miastem w podobnym charakterze po pierwszej wojnie w sezonie 1920-21 i wreszcie epizod łódzki po drugim kataklizmie wojennym 1945-46.

Takie założenie wydaje się zupełnie mechaniczne, skupienie pod jedną okładką strzępków, luźnych epizodów bogatej kariery — dowolne i niecelowe. Zelwerowicz działał w sumie pół wieku (umarł w r. 1955), lata kształtujące jego profil artystyczny przeżył w Krakowie Wyspiańskiego, lata dojrzałości artystycznej związał z Warszawą.

Ale książka pani Lipiec broni się na wiele sposobów. Ukazuje w Zelwerowiczu protoplastę dzisiejszej Łodzi, która jest miastem uniwersyteckim, ma kilka teatrów i dzięki Dejmkomu zupełnie odrębny styl teatralny. Ukazuje w nim też jednego z promotorów teatru ludowego, powszechnie dostępnego.

Od tych aktualnych aspektów książki jeszcze ważniejsze są jej wyniki historyczne. Przynosi ona materiały do artystycznego życiorysu Zelwerowicza, do historii scen łódzkich i do dziejów teatru polskiego w pierwszej połowie stulecia. Pani Lipiec ogarnęła rozległy zakres źródeł: akta rosyjskiego policmajstra i akta miejskie wolnej Łodzi, czasopisma, egzemplarze teatralne, świadectwa współuczestników, informacje żyjących świadków. Niestety tymi skrzętnie zgromadzonymi źródłami posługuje się w sposób nieporadny, niekrytyczny, niepogłębiany. Nie umie przeniknąć do wnętrza teatru, do środka jego mechanizmu. Stąd np. jej uwagi o poszukiwaniach formalnych sprwadzają się do ogólników w rodzaju: „Wzory tła scenicznego czerpie (Zelwerowicz) z ówczesnego stylu Reinhardta i Stanisławskiego”. Stosunek autorki do bohatera książki jest uproszczony, naiwny, hagiograficzny. Wyraża się on pustą eksklamacyjnością, czasami ześluguje się w mimowolną humorystkę takich stwierdzeń: „Znakomity artysta umiał zawsze przesądzać żywioł włas-

nego talentu przez filtr umysłu", „posiadł już od młodości sztukę myślenia"... Również zastosowany przez panią Lipiec system odsyłaczy jest jednym z najbardziej niepraktycznych, najbardziej nużących, jakie można sobie wyobrazić.

Te wszystkie niedobory nie przekreślają wartości pracy. Wystarczy zestawić to co sam Zelwerowicz zapisał w swoich „Gawędach starego komedianta” (Warszawa 1958) z tym co wydobywa na światło metodycznie niedoskonała, stylistycznie nieporadna książka Wandy Lipiec, żeby ocenić jej pionierską zasługę. Zwłaszcza najdłuższy epizod łódzki z przełomu pierwszego i drugiego dziesięciolecia bieżącego wieku w tym nowym oświetleniu potwierdza ogólnikowy sąd Zelwerowicza: „Był to może okres o nieprzemijającym znaczeniu, zasłużenie godzien zanotowania w historii teatru a już co najmniej w dziejach sceny łódzkiej”. Przed tym upomnieniem się artysty o siebie to i owo krążyło w mówionej legendzie. Teraz stanęliśmy na gruncie faktów; jeszcze brak takiego lub innego szczegółu, ale nigdy dotąd nie wiedzieliśmy tyle, ile wiemy teraz. Nie wiedział, nie pamiętał tyle nawet Zelwerowicz, gdy na schyłku życia pisał swój pamiętnik. Zasługa pani Lipiec polega na zgromadzeniu materiału faktycznego. Nie starczyło jej wiedzy i umiejętności, żeby wyciągnąć z niego wnioski, żeby go włączyć w kontekst historyczny.

Gdy 28-letni Zelwerowicz objął dyrekcję teatru łódzkiego miał za sobą osiem lat pobytu w Krakowie. Był urobiony przez to miasto i jego atmosferę, był — jak Leon Schiller — tworem Młodej Polski krakowskiej. Do kosmopolitycznej, polsko-niemiecko-żydowskiej Łodzi przyniósł trzy kulty: polskiej dramatyki romantycznej, Wyspiańskiego i twórczości Skandynawów. Od razu jego wstępny sezon w r. 1908, zakończony pożarem teatru „Victoria”, znamienne nazaczyły trzy utwory: „Wesele” po raz pierwszy wystawione w Królestwie, „Dziady” oczywiście w inscenizacji Wyspiańskiego z r. 1901 i prapremiera, wstępna próba uszcnicznienia „Irydiona” (pierwsze przedstawienie trwało 5 godzin!).

Podobnym torem szły dalsze sezony. W r. 1909-10 Zelwerowicz pierwszy wprowadził na deski sceniczne zakazaną w Galicji „Klątwę” Wyspiańskiego i trzy niedokończone, nigdy niegrane fragmenty Słowackiego: „Beniowski”, „Zawsza Czarny” i „Konrad Wallenrod”. W sezonie 1910-11 porwał się na gigantyczną ruinę „Samuela Zborowskiego”.

Te niebывале ambicje urzeczywistniał w mieście fabrycznym o mieszaną ludność, w teatrze prowincjonalnym, słabo wspieranym przez miejscowe Towarzystwo Przyjaciół Teatru, zmuszonym do wystawiania dwóch premier tygodniowo (spis sztuk wystawionych w pierwszym sezonie obejmuje ok. 60 tytułów). Dla tych ambicji zdobył poparcie publiczności: „Wesele” szło w ciągu pięciu kwartałów 51 razy (Kraków grał je w podwójnej ilości nie kwartałów ale lat 80 razy), „Dziady” — 32,

„Irydion” — 16. Rozmach repertuarowy wysunął teatr w Łodzi przed wszystkie inne teatry w Królestwie, nawet przed warszawskie „Rozmaitości” z prawie stuletnią wspaniałą tradycją i ciągle olbrzymią subwencją rządową.

W świetle tych kilku wybranych faktów Zelwerowicz ukazuje się jako ogniwo łączące między Galicją a Królestwem, między Krakowem a Warszawą, między teatrem Pawlikowskiego, Kotarbińskiego i Solskiego a Teatrem Polskim. Przecież Szyfman zainauguruje w r. 1913 ten rewolucyjnie nowy teatr warszawski właśnie „Irydionem”, któremu Zelwerowicz utarł drogę na ciastej scenie łódzkiej (dostrzegł to Wilam Horzyca w swoim studium o Zelwerowiczu z r. 1935, powtórzyli za nim Jerzy Macierakowski i Wojciech Natanson w zarysie monograficznym „Aleksander Zelwerowicz”, 1957).

Ta rola Zelwerowicza sięga głębiej, przekracza granicę niepodległości. Jako dyrektor teatru łódzkiego w 1919-20 wystawił „Dziady” w inscenizacji Węgierki, stanowiącej pierwszą lub jedną z pierwszych prób wyjścia poza kanon inscenizacyjny ustalony przez Wyspiańskiego. Od tych „Dziadów” i od „Samuela Zborowskiego” z poprzedniego okresu prowadzi prosta linia do tego co w międzywojennym dwudziestolecu utarło się nazywać „polskim stylem monumentalnym”. „Samuel Zborowski” (Teatr Polski 1927) i „Dziady” (Lwów 1932) stanowią właśnie dwa najwyższe osiągnięcia tego stylu: pierwsze co do zuchwalości zamysłu, drugie co do pełni i czystości wyrazu.

Z książki pani Lipiec można prowadzić inne takie linie. Niedawno zmarły Andrzej Pronaszko, scenograf Zelwerowicza w Łodzi w 1920-21, pierwszy „formista” polski na scenie, będzie dominującą osobowością plastyczną w warszawskim Teatrze im. Bogusławskiego (1924-1926) a w tym teatrze objawił się Schiller i skryształował się styl monumentalny.

W eksperymentatorstwie aktorskim, inscenizatorskim i reżyserskim Zelwerowicza wolno widzieć przygotowanie tego stylu, zaczyn fermentu, który poruszał teatr polski w pierwszych latach niepodległości. Niestety autorka książki o Zelwerowiczu w Łodzi ma o tym niewiele do powiedzenia. To prawda, że materiał wzmianek i dyletanckich recenzji, na którym się opiera jest niewdzięczny przez swoją ogólnikowość ale jej własna ignorancja i nieporadność jeszcze osłabia jego wymowę. „Sklonność Zelwerowicza do groteski i karykatury — twierdzi pani Lipiec — ma wyraźne powiązanie z rzeczywistością powojennego bytu w kraju...”. To jest materializm historyczny ale już w zupełnie dzieciennym wydaniu. Naprawdę ciężenie Zelwerowicza ku grotesce było przewyżczeniem realizmu opisowego, było szukaniem nowych możliwości ekspresji teatralnej.

I na koniec jeszcze jeden rys, który z Zelwerowicza łódzkiego czyni postać kluczową: w czasie swego trzyletniego dyrektorstwa objawił się on jako akuszer talentów, jako urodzony pedagog. W tym okresie byli z nim: Jaracz, Junosza-Stępowski i Grabowski, a także Chaberski i Borowski, którzy mieli się

później zaznaczyć nie jako aktorzy ale reżyserzy. Wszyscy oni w znacznej mierze nadawali ton dwudziestolecu. W szczególności Jaracz, któremu Zelwerowicz umożliwił wystąpienie w „Szczerściu Frania”, w „Ryszardzie III” i „Kupcu weneckim”, jako artysta urodził się w Łodzi.

Tu również wzięła początek cała kilkudziesięcioletnia działalność wychowawcza „Zelwera”, pasja kształtowania ludzi teatru. Jej rozmiar zakreślił jeden z uczniów w parafrazie powiedzenia Krasieńskiego o Mickiewiczu: „My wszyscy z niego”.

Takie wnioski dadzą się wysnuć z pozornie oschłej, trochę dziwnie pomyślanej, zsztytowanej dość mechanicznie, brzydtko napisanej pracy „Zelwerowicz i scena łódzka”. Jedno tylko pozostaje poza jej zasięgiem: osobowość artystyczna Zelwerowicza. W ujęciu pani Lipiec wychodzi on płasko, jednowymiarowo, jako inteligentny (według legendarnej opinii Tadeusza Pawlikowskiego „za inteligentny na aktora”), dynamiczny, żywotny, pomysłowy kierownik sceny, borykający się z inflacją i biurokracją magistracką, z trudnościami technicznymi i klęskami żywiołowymi (w r. 1911 spalił mu się drugi budynek teatralny). A był to jeden z najbardziej złożonych fenomenów ludzkich i aktor-skich jakie przeszły przez scenę polską w całej jej historii. Można by o nim powtórzyć to co Stanisław Witkiewicz powiedział o Aleksandrze Gierymskim: „W naturze jego leżała moc najnie-możliwiej ustosunkowanych sprzeczności”.

Tego splotu psychologicznego książka Wandy Lipiec nie rozwiązuje, prawie go nie dotyka. Stanowi przygotowanie do przyszłej książki o Zelwerowiczu, stanowi jeden szczebel ważny przez to, że nie imaginacyjny ale konkretny.

Tymon TERLECKI

Historia P. P. K.

Od czasu dojścia do władzy komunistów, ideologia, organizacja i międzynarodowe powiązania Partii Komunistycznej mają ogromne znaczenie dla przyszłego rozwoju Polski. Dokumenty i informacje źródłowe na ten temat są niestety bardzo skąpe. Partia Komunistyczna wiodła przez długie lata na ziemiach polskich życie konspiracyjne, a działalność komunistów polskich w Niemczech czy w Rosji Sowieckiej okryta jest do dzisiejszego dnia

M.K. DZIEWANOWSKI *The Communist Party of Poland. An Outline of History*, Harvard University Press, Cambridge Massachusetts, 1959, 369 stron.

tajemnicą. Na tym tle nie trudno jest obecnemu kierownictwu Partii w Polsce wydobywać z archiwów poszczególne dokumenty, uzasadniające w sposób „niezbity” zgodność każdorazowych pociągnięć politycznych z „tradycyjną linią Partii. Potrzeba wyczerpującego i obiektywnego opracowania historii Polskiej Partii Komunistycznej była więc bardzo wielka.

Praca Mariana-Kamila Dziewanowskiego, profesora uniwersytetu w Bostonie i długoletniego współpracownika *Russian Research Center* uniwersytetu w Harvardzie oparta jest na najlepszych źródłach, dostępnych na Zachodzie: słynne archiwa Drugiej Międzynarodówki w Amsterdamie, Archiwa Trockiego w Harvard, czy Dokumenty Polskiej Armii Krajowej w Londynie. Dzięki długoletniej pracy, autor był w stanie powiązać w jedną całość poszczególne fazy działalności ugrupowań, w których zarówno skład osobisty, jak i więzy organizacyjne czy tezy ideologiczne ulegały ciągłej zmianie. Jako nić przewodnią pozostał tylko mit władzy proletariatu, wykonywanej za pośrednictwem partii elitarniej i opartej na zasadach autorytaryzmu, oraz stałe podporządkowanie interesów narodu polskiego, interesom klasowym Międzynarodówki lub mocarstw ościennych, a w szczególności Rosji Sowieckiej.

Prof. Dziewanowski wykazuje, że socjalizm polski, wywodzący się od tradycji Towarzystwa Demokratycznego, od działalności na emigracji Worceła, Lelewela, czy Jarosława Dąbrowskiego, ma znacznie starszą tradycję aniżeli polski komunizm. Początki komunizmu widzi w działalności, w latach 1881-1882, grupy „Proletariat” z Waryńskim na czele, oraz w powstałej po secesji Polskiej Partii Socjalistycznej w 1893 roku Socjal-Demokracji Królestwa Polski, kierowanej przez Różę Luksemburg, Jogichesa, Marchlewskiego i Warszawskiego. Polski ruch socjalistyczny był tradycyjnie gorącym orędownikiem niepodległości Polski, której zasada była mocno popierana przez Marksa i Engelsa. Róża Luksemburg i jej towarzysze z S.D.K.P. (przemianowanej w 1899 r. na S.D.K.P. i L. — Socjal-Demokracja Polski i Litwy), byli niepodległości Polski przeciwni.

Stanowisko to skłaniało S.D.K.P. i L. do fuzji z Socjal-Demokracją rosyjską, pomimo trudności wynikających z różnic ideologicznych. Róża Luksemburg nie chciała, nawet ze względów taktycznych, uznać zasady samostanowienia narodów, pomniejszała wolę chłopów w przyszłej rewolucji i krytykowała leninowską koncepcję Partii ślepo podporządkowanej Centralnemu Komitetowi. Do fuzji doszło dopiero pod wpływem rewolucji rosyjskiej 1905 r., a na kongresie w Londynie w 1907 r. dwóch członków S.D.K.P. i L., Jogichesa i Warszawskiego, weszło w skład Centralnego Komitetu rosyjskiej Socjal-Demokracji. W okresie poprzedzającym pierwszą wojnę światową S.D.K.P. i L. najczęściej popierała bolszewików w sporach wewnątrzpartyjnych. Spory te odbijały się zresztą w łonie S.D.K.P. i L.; doszło do scysji, w której Komitet Warszawski, z Dzierżyńskim, Warszawskim i Radkiem, szczególnie oddany Leninowi, nie uznawał Centralnego Komitetu S.D.K.P. i L. kierowanego na emigracji przez Jogichesa.

W latach 1914-1917, S.D.K.P. i L. zdecydowanie popierała stanowisko Lenina o konieczności powszechnej wojny domowej interesując się głównie wewnętrznymi problemami socjal-demokracji niemieckiej i rosyjskiej oraz możliwościami wzniesienia rewolucji w skali światowej. Powstanie Państwa Polskiego stanowiło dla przywódców S.D.K.P. i L. przykrą niespodzianką, z którą nielato im było się pogodzić. Główną ich aspiracją w tym okresie

było przyłączenie Polski do Rosji Sowieckiej i zrobienie z niej pomostu, przez który sowiecka pożoga rewolucyjna objęłaby Niemcy i całą Europę. Stąd też próba stworzenia „Prowizorycznego Rządu Komunistycznego” Polski w dniu 2.VIII. 1920 r., w najbardziej krytycznym momencie inwazji Armii Sowieckiej Tuchaczewskiego. Nazwiska Dzierżyńskiego i Unslichta, późniejszych dygnitarzy sowieckich czy Marchlewskiego, Kona i Smilgi, członków tego „rządu”, są najlepszym świadectwem losu, jaki gotowano w tym czasie Polsce. Analogia z „rządem” lubelskim stworzonym w lipcu 1944 r. przez Osóbkę-Morawskiego, Bermana i Wandę Wasilewską jest aż nadto widoczna.

Prof. Dziewanowski podkreśla, że założenie w grudniu 1918 r. Komunistycznej Partii Polski, nie oznaczało bynajmniej uznania państwowości polskiej. Z niepodległością Polski, Partia pogodziła się dopiero na 2-gim kongresie w Moskwie w sierpniu 1923 r. Chociaż kierownictwo Partii zmuszone było do publicznego „*mea culpa*” w tej sprawie, włączono do programu postulat oddania wschodnich ziem Polski, sowieckiej Ukrainie i Białorusi.

W okresie Polski niepodległej, mamy do czynienia z dwiema historiami Partii. Historia kierownictwa Partii — działającego oficjalnie w Rosji Sowieckiej pod opieką Partii Bolszewików i historia działalności nielegalnej poszczególnych ugrupowań komunistycznych i para-komunistycznych w Polsce. Paradoxem tej sytuacji jest fakt, że los polskich komunistów w Polsce był znacznie szczęśliwszy od losu ich towarzyszy w Sowietach. W Polsce, pomimo braku legalnego charakteru Partii, komuniści zdobywali nawet mandaty w Sejmie dzięki odłomom partii lewicowych i poparcium frakcji mniejszości narodowych. Trudna sytuacja gospodarcza Polski, kryzys lat 1930-1933, rosnący proletariats miejski i przeludnienie wsi, jako i też strajki robotnicze i chłopskie pozwalały na zyskiwanie wpływów. Największym hamulcem rozwoju Komunistycznej Partii Polski było jednak jej organiczne związanie z Partią Bolszewików. Czując się w Partii Bolszewików jak u siebie, komuniści polscy mieszały się do sporów wewnętrzno-partyjnych ale na nieszczęście, postawili w latach 20-tych na złego konia — Trockiego. A tego Stalin nie mógł im nigdy wybaczyć. Stąd fizyczna eksterminacja prawie wszystkich kierowników Partii, znajdujących się w Rosji, w latach 30-tych i rozwiązanie w 1938 r. Komunistycznej Partii Polski jako trockistowskiej. To ostatnie pociągnięcie Stalina nie jest jednak dostatecznie wyjaśnione i autor przypuszcza, że chodziło o przygotowanie przyszłych rękopisów Stalina z Hitlerem.

Największa część książki obejmuje okres 2-giej wojny światowej oraz rządy komunistyczne w Polsce powojennej. Dojście do władzy komunistów było w rzeczywistości niczym innym jak częściowym przekazaniem władzy przez okupantów sowieckich, ułatwionym przez tragiczne nieporozumienie Powstania Warszawskiego. Historia Partii staje się w latach 1945-1958, historią rządów komunistów w Polsce. Tego rodzaju ujęcie pozwala zrozumieć dokonane przemiany, jak również i polski październik 1956 r., nie jako wynik wewnętrznej walki frakcji partyjnych, ale jako rezultat aspiracji narodu, które chociaż częściowo należało uwzględnić.

Pewna liberalizacja stosunków w Polsce i względna autonomia w bloku sowieckim, nie wynikają bynajmniej z tradycji Partii komunistycznej czy z jej ideologii. Autor wykazuje, że jest to zbieg pewnych wyjątkowo ko-

rzystnych okoliczności, jak: śmierć Stalina i walka o władzę w Rosji, możliwość zastąpienia skompromitowanej ekipy komunistycznej grupą Gomulki, otoczona aureolą męczeństwa, oraz wyjątkowo spokojna postawa społeczeństwa. Wniosek ten nastraja autora pesymistycznie odnośnie przyszłości swobód osobistych w Polsce. Dziewanowski nie wierzy w możliwość istotnych zmian wewnętrznych w Polsce, tak długo, jak długo Polska znajduje się w bloku sowieckim. Próba zaś opuszczenia tego bloku, stanowiłaby dla Polski w obecnych warunkach samobójstwo.

Koniec dominacji i władzy komunistów w Polsce zależy więc nie tylko od postawy narodu polskiego, ale od rozwoju stosunków między Wschodem i Zachodem i od ewolucji systemu rządów w Rosji.

Jan KONKOLNICKI

Nadesłane nowości wydawnicze

Ravensbrück. Wiersze Obozowe. (Autorki: Grażyna Chrostowska, Zofia Górka Romanowiczowa, Halina Golczowa, Maria Rutkowska Kurcuszowa, Irena Panenkowa, Teresa Bromowicz, Zofia Iwanicka, Zofia Karpińska, Maria Kociubska, Wanda Kosmowska, Halina Krahelska, Jadwiga Krasicka, Zofia Pienkiewicz Malanowska, Zofia Pociłowska Kann, Elżbieta Popowska, Maria Zientara Malewska. Str. 192. (Wyd. Związek Bojowników o Wolność i Demokrację, Zarząd Główny Ravensbrück, Warszawa, 1961).

ZAMOYSKA (Jadwiga) *Wspomnienia.* Rękopis opracowała, poprzedziła wstępem i zaopatrzyła w przypisy i indeksy Maria Czapka. Str. XXXII i 434; 14 ilustracji. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1961, cena: w opr. 48/-, broszura 42/-).

DONZOW (Dmytro). *Der Geist Russlands.* Str. 96. (Wyd. Schild-Verlag, München, 1961).

PARNICKI (Teodor) *Twarz księżycy.* Powieść z wieków III-IV.

Cz. I-a. Str. 402. (Wyd. PAX, Warszawa, 1961, cena 50 zł.).

Polen Erzählt. *Zweiundzwanzig Erzählungen.* (Autorzy: Jerzy Andrzejewski, Zofia Kossak, Kazimierz Brandys, Jarosław Iwaszkiewicz, Roman Brandstaetter, Gustaw Morcinek, Tadeusz Nowakowski, Maria Kuncewiczowa, Marek Hlasko, Zofia Nalkowska, Adolf Rudnicki, Włodzimierz Odojewski, Czesław Miłosz, Wojciech Żukrowski, Bohdan Czeszko, Maria Dąbrowska, Tadeusz Borowski, Sławomir Mrożek, Jan Parandowski, Witold Gombrowicz, Stanisław Dygat, Kornel Filipowicz). Str. 188. (Wyd. Fischer Bücherei, Frankfurt/Main, 1961).

PANKOWSKI (Marian). *Anthologie de la poésie polonaise.* Du quinzième au vingtième siècle (Zawiera przekłady utworów: Adama Asnyka, Anonima w. XV, Władysława Broniewskiego, Jana Brzękowskiego, Józefa Czechowicza, Konstantego I. Gałczyńskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Mariana Jachimowicza.

- Franciszka Karpińskiego, Jana Kasprowicza, Jana Kochanowskiego, Marii Konopnickiej, Ignacego Krasickiego, Jana Lechonia, Bolesława Leśmiana, Tadeusza Micińskiego, Adama Mickiewicza, Czesława Miłosza, Andrzeja Morsztyna, Cypriana Kamiła Norwida i Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej). Str. 140. Przełożył Marian PANKOWSKI, przedmowa Claude Backvisa. Wyd. André de Rache, Aalter (Belgia). Cena egz. 84 NF.).
- CRACIUNAS (Silviu). *Un demier Regard*. Str. 348. Przekład z ang. R. Pomerand. (Ed. le Livre Contemporain, Paris, 1961).
- Sacrum Poloniae Millennium*. Rozprawy. Szkice. Materiały Historyczne. T. VII. Str. 637. (Rzym, 1960).
- MAVER (G.), ŻMIGRODZKA (M.), MERIGGI (B.), BILIŃSKI (B.), *Juliusz Słowacki nel 150 Anniversario della nascita*. Str. 80. Zeszyt 11. „Konferencji”. Biblioteka Polskiej Akademii Nauk. (Wyd. Angelo Signorelli, Rzym, 1961).
- ABRAMOVICH (Moche). *Les Juifs et le Recensement Soviétique de 1959*. Str. 20. (Odbitka z „Les Juifs en Europe de l'Est”).
- KAMENETSKY (Ihor). *Lebensraum in Hitler's War Plan*. The Theory and the Eastern European Reality. Str. 313-326. (Odbitka z „The American Journal of Economics and Sociology”, April 1961, No 3, vol. 20).
- KAMENETSKY (Ihor). *Origins of the New British Imperialism*. Str. 10. (Odbitka z nr 13 „Papers”. Wyd. Shevchenko Scientific Society, Inc., New York, 1960).
- SYMMONS-SYMONOLEWICZ (Konstantin). *Bronislaw Malinowski: An Intellectual Profile*. Str. 22. (Odbitka z „The Polish Review”, Vol. III, No 4, New York, 1958).
- SYMMONS-SYMONOLEWICZ (Konstantin). *Bronislaw Malinowski: Individuality as a Theorist*. Str. 13. (Odbitka z „The Polish Review”, Vol. V., No 1, New York, 1960).
- SYMMONS-SYMONOLEWICZ (Konstantin). *The Origin of Malinowski's Theory of Magic*. Str. 9. (Odbitka z „The Polish Review”, Vol. V., No 4, New York, 1960).
- SYMMONS-SYMONOLEWICZ (Konstantin). *Bronislaw Malinowski: Formative Influences and Theoretical Evolution*. Str. 28. (Odbitka z „The Polish Review”, Vol. IV, No 40, New York, 1959).
- PIEKUT (Stanisław). *Pio IX nel pensiero di Sigismondo Krasiński*. Str. 14. (Odbitka z „Sacrum Poloniae Millennium”, Rzym, 1960).
- JORDAN (Z.). *The Development of Philosophy and Marxism-Leninism in Poland since the War*. Str. 88-99. (Odbitka z „Studies in Soviet Thought”, Dordrecht, 1961).
- ZEROW (M.). *Nowe Ukrainkie Pyśmiennictwo*. Istorycznyj Narys. Str. 306. (Instytut Literatury, Monachium 1960).
- Psalmi abo Swiaty Hymni*. Perespiwaw O dr. W. Dzioba. Str. 216. (Rim-Manczester-Miunchen, 1944-1961).
- KOSKO (Maria). *Un „Best-seller” 1900. Quo Vadis?* Str. 185 i 7 nlb. (Wyd. Librairie José Corti, Paryż, 1961).
- KOŁACIŃSKI (Władysław-Żbik-Kaniewski). *Między młotem a swastyką*. Konspiracja-Egzekutywa. Partyzantka w Polsce 1940-1945. Str. 283. (Nakładem autora. 1961. Skład Główny Polish American Book Co, 1136, Milwaukee Ave., Chicago, Ill. USA).
- DEN (Petr). *Pocitadlo*. Sedm proslovu k jeho Velicenstvu Lidu. Str. 114. (Wyd. Universum Press Company, New York, 1961).

Bibliografia

Polska prasa emigracyjna 1939-1959 (2)

BIBLIOGRAFIE REGIONALNE PRASY

AFRYKA

16. HOFFMAN, Jakub: *Polonica bibliograficzne afrykańskie z lat 1943-1949*. TB, zeszyt B, s. 173-186
Zestawia 25 opisów bibliograficznych wydawnictw prasowych oraz jednodniówek ze środowisk polskich w Afryce.
17. *Wykaz prasy. Afryka Południowa. Kenia. Rodezja Północna. Tanganika*. PWPP (Londyn, 1950). S. 33, 36, 42, 44.
Tytuły pism polskich w Afryce, ukazujących się tam podczas wojny, i tuż po wojnie.

ARGENTYNA

18. DITTMAR, Jerzy: *Bibliografia polska w Argentynie*. „Głos Polski” (Buenos Aires), 1954, nry 2422-2425.
Przegląd prasy polskiej starej i nowej emigracji. W części drugiej omówiono wydawnictwa książkowe.
- 18a. DITTMAR, Jerzy i STEMPOWSKI Jeremi C.: *Polonica argentyńskie (do roku 1954)*. Klub Polski, Buenos Aires 1955. 4°. s. 69.
Pierwsza bibliografia regionalna poloników argentyńskich, notująca również prasę polską w tym kraju. Oprawione dwa manuskrypty tej pracy znajdują się w Buenos Aires, oraz w Bibliotece Polskiej w Londynie, ponadto istnieje odpis ręczny w „Polish Emigre Press Archive” w Mountain View, Calif., sporządzony przez J. Dittmara.
19. OSTROWSKI, Wiktor: *Genealogia Polonii argentyńskiej*. K V: 1951, nr. 7/45-8/46, s. 135-145.
Chronologiczne zestawienie argentyńskich poloników prasowych.

20. PYZIK, Stanisław: *Dzieje prasy polskiej w Argentynie*. „Głos Polski” (Buenos Aires), maj-czerwiec 1960.
21. RACHAUS, Jerzy: *List z Uruguayu*. „Głos Polski” (Gmunden), II: 1947, nr. 22.
Wymienia najważniejsze pisma z terenu Argentyny.
22. WIERZBIANSKI, Bolesław: *Prasa (polska w Argentynie do roku 1939)*. PS (Londyn, 1946), s. 1948.
23. *Wykaz prasy. Argentyna*. PWPP (Londyn, 1950), s. 33.
Tytuły czterech pism polskich z Argentyny, znajdujących się na wystawie prasy polskiej w Londynie.
24. (z): *Początki prasy polskiej w Argentynie*. „Kurier Polski” (Buenos Aires), II: 1958, nr. 47.
Omówienie historii pism: „Echo Polskie”, „Wiadomości Polskie”, „Słowo Polskie”, „Głos Polski”, „Goniec Polski”, i innych.

AUSTRALIA

25. SOJKA, Wojciech, ks.: (*Polskie pisma w Australii*). Maszynopis znajdujący się w „Polish Emigre Press Archive” w Mountain View, Calif. 4°, s. 4.
Krótki przegląd i charakterystyka wydawnictw prasowych Polaków w Australii.
26. TRZECIAK, Konrad Edmund, ks.: (*Prasa polska w Australii*). Maszynopis znajdujący się w „Polish Emigre Press Archive” w Mountain View, Calif. 4°. Kart 4.
Szczegółowy przegląd i charakterystyka pism polskich w Australii.
27. *Wykaz prasy. Australia*. PWPP (Londyn, 1950), s. 33.
Tytuły pism polskich w Australii, znajdujących się na wystawie prasy polskiej w Londynie.

AUSTRIA

28. KOWALIK, Jan: *Polska prasa emigracyjna po roku 1939. Część XIII. Nad modrym Dunajem*. DTOW XI: 1958, nr 7/473.
Przegląd i ogólna charakterystyka pism wychodzących z Austrii.
29. SOŃKA-DĄBROWSKI, Leon: *Polska prasa emigracyjna w Austrii w latach 1945-1950*. Manuskrypt znajdujący się w „Polish Emigre Press Archive” w Mountain View, Calif. 4°. Kart 12. (Nowy York, paźdz. 1959).
Szczegółowy przegląd najważniejszych pism polskich z Austrii, wraz z materiałem historycznym odnośnie tej prasy.
30. WARUSZYŃSKI, Zbigniew W.: *Ciąg wydawniczy Zbigniewa Waruszyńskiego*. Maszynopis znajdujący się w „Polish Emigre Press Archive”, w Mountain View, Calif. 4°. s. 5.
Zestawienie wydawnictw, oraz historia prasy, redagowanej przez jednego z najczynniejszych dziennikarzy polskich w Austrii.
31. *Wykaz prasy. Austria*. PWPP (Londyn, 1950), s. 33.
Trzyście tytułów polskiej prasy z terenu Austrii.

32. ZAGÓREWICZ, Tadeusz A.: *Polonica austriackie (1945-1955)*. San Francisco, Calif, 1957 8°. Kart 22 - V. Manuskrypt znajdujący się w „Polish Emigre Press Archive” w Mountain View, Calif.
Bibliografia regionalna druków polskich w Austrii, przynosi m.in. zestawienie pism ukazujących się po wojnie w Austrii.

BELGIA

33. JURKSZUS, Jadwiga: *Bibliographie des publications périodiques polonaises en Belgique, 1945-1948*. Editions de l'Institut d'Etudes Polonaises en Belgique, Bruxelles 1950. 4°. s. 13.
Wyczerpująca i jedyna, przez wychodźstwo polskie opublikowana monografia bibliograficzna prasy, a zarazem katalog zbiorów tej prasy, znajdującej się w PIN, w Brukseli.
34. JURKSZUS-TOMASZEWSKA, Jadwiga: (*Polska prasa w Belgii, 1939-1948*). Maszynopis znajdujący się w „Polish Emigre Press Archive” w Mountain View, Calif. 4°. Kart 3. (Toronto, 1958).
35. KOWALIK, Jan: *Polska prasa emigracyjna po roku 1939. Część XVII. W Belgii, Holandii i Danii*. DTOW XII: 1959, nr. 13/529.
Przegląd i omówienie prasy polskiej w Belgii.
36. *Wykaz prasy. Belgia*. PWPP (Londyn, 1950), s. 33.

BLISKI I ŚRODKOWY WSCHÓD

37. BIELATOWICZ, Jan: *Czasopiśmiennictwo polskie na Środkowym Wschodzie. Szkic bibliograficzny*. OB III: 1944, nr. 12/152.
Szczegółowy wykaz prasy polskiej na Środkowym Wschodzie, w Indiach, Afryce, ZSSR, ukazującej się w czasie od I.IX.1939 do wiosny 1944 r.
38. ORDEGA, Adam: *Prasa polska na Bliskim Wschodzie*. PW III: 1941, nr. 30.
39. *Wykaz prasy. Środkowy Wschód*. PWPP (Londyn, 1950), s. 43-44.

BRAZYLIA

40. PIASECKI, St. ks.: *Prasa polska w Brazylii*. W. „Kalendarz Emigracyjny „Ludu” 1948”, (Curitiba, 1948), s. 118-121.
Zestawienie prasy polskiej w Brazylii za czas 1892-1947.
41. SOJKA, Wojciech, ks. [pseud. A.S.]: *Prasa polska w Brazylii po roku 1939*. „Głos Polski” — „Prąd” (Toronto), II: 1959, nr. 2/10.
Kontynuacja bibliografii ks. Piaseckiego za ostatnie 12-lecie.
42. *Wykaz prasy. Brazylia*. PWPP (Londyn, 1950), s. 34.

CHILE

43. PORADOWSKI, Michał ks.: *(Prasa polska w Chile)*. Manuskrypt-list, znajdujący się w „Polish Emigre Press Archive”, w Mountain View, Calif. 8°. Kart 2. (Santiago de Chile, 1959).

DANIA

44. KOWALIK, Jan: *Polska prasa emigracyjna po roku 1939. Część XVII. W Belgii, Holandii i Danii*. DTOW XII: 1959, nr. 13/529. Przegląd i omówienie prasy w Danii.
45. *Wykaz prasy. Dania*. PWPP (Londyn, 1950), s. 34.

EGIPT

46. KOWALIK, Jan: *Polska prasa emigracyjna po roku 1939. Część XI. W Palestynie i Egipcie*. DTOW X: 1957, nr. 46/464. Przegląd i omówienie prasy polskiej w Egipcie.
47. *Wykaz prasy. Egipt*. PWPP (Londyn, 1950), s. 34. Tytuły prasy polskiej na terenie Egiptu.

FRANCJA

48. *Bibliothèque Nationale. Catalogue des Périodiques Clandestins diffusés en France de 1939 à 1945*. Bibliothèque Nationale, Paris 1954. 8° s. 205-220. Katalog druków podziemnych z terenu Francji, znajdujących się we francuskiej Bibliotece Narodowej w Paryżu. Zawiera prawie wszystkie periodyki polsko-języczne.
49. CHCIUK, Andrzej: *Nielegalna prasa polska podczas okupacji we Francji, 1939-1945*. Manuskrypt znajdujący się w „Polish Emigre Press Archive” w Mountain View, Calif. 4°. Kart 5. Omówienie pism: „Wrócimy”, „Służba”, „Mit Polski”, „Polskie Pachole”, „Razem”, „Wiarus Polski” oraz „Niepodległość”, jak również wydawnictw „Polskiej YMCA”, których autor był naczelnym redaktorem.
50. KOWALIK, Jan: *Polska prasa emigracyjna po roku 1939. Część III. Przylądek Dobrej Nadziei: Francja*. DTOW X: 1957, nr. 23/441. Ogólny przegląd i charakterystyka polskich wydawnictw prasowych we Francji, w czasie wojny, oraz w latach powojennych.

51. *Wojskowy i konspiracyjny wysiłek Polski we Francji 1939-1945*. Wydawnictwo Wydziału Kulturalno-Oświatowego Polskiej Wojskowej Misji Likwidacyjnej we Francji, [Paryż] 1946. s. 70-71. Pobeżny przegląd ważniejszej prasy polskiego Podziemia we Francji.
52. *Wykaz prasy. Francja*. PWPP (Londyn, 1950), s. 34-35. Tytuły prasy polskiej we Francji.

HISZPANIA

53. KOWALIK, Jan: *Prasa polska w Hiszpanii*. Manuskrypt w „Polish Emigre Press Archive” w Mountain View, Calif. 4°. Kart 3. Przegląd polskich wydawnictw ukazujących się w Hiszpanii po r. 1939.
54. SZUMLAKOWSKI, Marian: *Brygada Dąbrowskiego w Hiszpanii*. DTOW VII: 1953, nr. 42/260. Omawia m.in. pisma tej międzynarodowej brygady.
55. ZALESKA, Antonina: *(O prasie polskiej w Hiszpanii)*. Manuskrypt-list, znajdujący się w „Polish Emigre Press Archive” w Mountain View, Calif. 4° s. 2. Uwagi o prasie polskiej w Hiszpanii, spisane przez żonę wybitnego publicyści śp. Wojciecha Zaleskiego.

HOLANDIA

56. KOWALIK, Jan: *Polska prasa emigracyjna po roku 1939. Część XVII. W Belgii, Holandii i Danii*, DTOW XII: 1959, nr. 13/529. Przegląd i omówienie prasy polskiej w Holandii.
57. STRENG, Billy: *Życie polskie w Holandii. Działalność prasowo-wydawnicza*. „Tydzień Polski” — „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” XX: 1959, nr. 99/13.

INDIE

58. BŁOTNICKI, Władysław: *Polonica bibliograficzne indyjskie z lat 1942-1943*, głównie z „Iraq Times” oraz „Al-Iraq”. Zestawia między innymi prasę polską w Indiach.
59. KOWALIK, Jan: *Prasa polskiej emigracji po r. 1939. Indie*. Manuskrypt w „Polish Emigre Press Archive” w Mountain View, Calif. 4°. Kart 5.
60. *Wykaz prasy. Indie*. PWPP (Londyn, 1950), s. 35-36.

IRAK

61. SŁOWIKOWSKI, Henryk: *Polonica bibliograficzne irackie, z lat 1940-1946*. TB zeszyt B, s. 111-144. Zawiera m.in. zestawienie prasy polskiej w Iraku, bibliografię poloników prasowych w arabsko- i angielsko-języcznych periodykach Iraku z lat 1942-1943, głównie z „Iraq Times” oraz „Al-Iraq”.

62. KOWALIK, Jan: *Polska prasa emigracyjna po roku 1939. Część VIII. Przemarsz przez ziemię kalifów*. DTOW X: 1957, nr. 36/454. Przegląd i omówienie polskich wydawnictw w Iraku.
63. *Wykaz prasy. Irak*. PWPP (Londyn, 1950), s. 36.

IRAN

64. GOŁASZEWSKA, Melania i KOŚCIAŁKOWSKI Stanisław: *Polonica bibliograficzne irańskie z lat 1942-1943-1944*. SI III, s. 206-290. Zestawia prasę polską w Iranie, oraz przynosi bibliografię polonistów czasopiśmienniczych z gazet irańskich w językach: perskim, ormiańskim, angielskim, francuskim i rosyjskim.
65. GOŁASZEWSKA, Melania, KOŚCIAŁKOWSKI, Stanisław i ZDZIENSKI Roman: *Polonica bibliograficzne irańskie z roku 1945, tudzież uzupełnienia do lat 1942-1944*. TB zeszyt B, s. 1-22. Zestawia prasę polską w Iranie oraz polonica czasopiśmiennicze z prasy irańskiej, tak polskich jak i obcych autorów.
66. HOFFMAN, Jakub: *Bibliografia druków polskich w Iranie*. WD I: 1943, nr. 15; II: 1944, nr. 13/31. Daje szczegółowe zestawienia wydawnictw prasowych z terenu Iranu do roku 1943.
67. KOWALIK, Jan: *Polska prasa emigracyjna po roku 1939. Część VII. W Iranie*. DTOW X: 1957, nr. 33/451. Przegląd i omówienie polskich wydawnictw periodycznych z Iranu.
68. *Wykaz prasy. Iran*. PWPP (Londyn, 1950), s. 36.

JAPONIA

69. KOWALIK, Jan: *Prasa polskiej emigracji po r. 1939. Japonia*. Manuskrypt w „Polish Emigre Press Archive” w Mountain View, Calif. 4^o Kart 4. Przegląd i omówienie polskich wydawnictw periodycznych w Japonii.
70. NAZIM, Justyn: *Sejbo no Kishi (Rycerz Niepokalanej)*. Manuskrypt-list znajdujący się w „Polish Emigre Press Archive” w Mountain View, Calif.
71. PISKOR, Aleksander: *Polacy na Dalekim Wschodzie*. „Dziennik Polski” II: 1941, nr. 170. Omawia m.in. wydawnictwa polskiej placówki dyplomatycznej w Tokyo.
72. SZCZESNIAK, Bolesław: *Polonica japońskie. Materiały japońskie dotyczące wpływów kulturalnych oraz wiedzy o Japonii*. „Teki Historyczne”. VI: 1954, nr 3-4.
73. *Wykaz prasy. Japonia*. PWPP (Londyn, 1950), s. 36.

Polska Bibliografia Literacka za rok 1956

Uruchomienie Poznańskiej Pracowni Bibliograficznej Instytutu Badań Literackich PAN nastąpiło w roku 1949, trzeba jednak było dziesięciu lat, aby po licznych Scyllach i Charybdach dojść do osiągnięcia (mam na myśli *Polską Bibliografię Literacką za rok 1956*) (1), które nie jest wprawdzie całkowicie zadawalające, niemniej jednak ma pełne prawo być uznane jako dzieło *par excellence* naukowe, na wysokim poziomie wydawniczym.

W „Słowie wstępnym” prof. dr Stefan Wierczyński podaje założenia, jakie przyjęto przy opracowywaniu tego dzieła:

I. „Dajemy bibliograficzny obraz literatury polskiej i badań nad nią oraz recepcyj literatur obcych w Polsce w r. 1956. Uwzględniono — jak zawsze — książki, czyli tzw. druki zwarte, jako też w szerokim zasięgu materiał czasopiśmienny, ogłoszony w prasie periodycznej i codziennej.

II. „Bibliografia obejmuje:

1. polskie teksty literackie;
2. prace naukowo-literackie polskie i obce o literaturze polskiej;
3. teksty literackie obce w przekładach polskich i polskie prace naukowe o literaturach zagranicznych;
4. prace z zakresu teorii i metodyki literackiej;
5. prace, dotyczące teatru i filmu”.

III. „Bibliografia jest selekcyjna, zarówno w doborze źródeł, jak i materiału”.

Należy z uznaniem stwierdzić, że wszystkie te założenia zostały w opracowaniu zastosowane. Trzeba jednak dokładniej określić zasadę selekcji, która może być pojmowana różnie. Do ostatnich czasów stosowano ją w ten sposób, że z „zasady” pomijano cały literacki i naukowo-literacki dorobek emigracji, zaś w selekcji krajowego widoczny był wpływ kryteriów światopoglądowych.

(1) Opracował Zespół Poznańskiej Pracowni Bibliograficznej Instytutu Badań Literackich PAN pod kierunkiem prof. dra Stefana Vrtela-Wierczyńskiego. Wrocław 1960. Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich. Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk. Stron XXVIII, 724, in quarto (A4). Wydanie I. Nakład 600 + 200 egz.

Jakkolwiek uwzględniono obecnie dorobek emigracji, nie objęto wszystkich ośrodków, ograniczając się prawie wyłącznie do dwóch — europejskich, Londyn — Paryż. W „Spisie źródeł bibliograficznych” umieszczono z zagranicznych następujące:

1. DZIENNIK POLSKI I DZIENNIK ŻOŁNIERZA. Wyd. C. Londyn.
2. GŁOS LUDOWY (Tygodnik) Detroit. — Dodatek: People's Voice.
3. HORYZONTY. (Miesięcznik) Paryż — Londyn — Nowy York.
4. JUTRO POLSKI. Dwutygodnik polityczno-literacki. Londyn, R. 13.
5. KULTURA. (Miesięcznik). Paryż.
6. ORZEŁ BIAŁY. (Tygodnik). Londyn R. 16.
7. ROBOTNIK. (Miesięcznik). Centralny organ PPS. Londyn. R. 63.
8. SYRENA. Tygodnik Wolnych Polaków. Paryż R. 10. — Dodatek: Syrena.
9. ROCZNIK POLSKIEGO TOWARZYSTWA NAUKOWEGO NA OBCZYŻNIE, VI. Rok 1955/56 — Londyn.
10. WIADOMOŚCI. (Tygodnik). Londyn. R. 11.
11. WIADOMOŚCI — LES NOUVELLES. (Wychodzi 3 razy w tygodniu). Paryż R. 1.
12. ZWIĄZKOWIEC. Tygodnik poświęcony sprawom polskim i Polonii w Kanadzie. Toronto (Kanada). Dodatek: Związkowiec.
13. POLISH REVIEW, THE. A quarterly published by the Polish Institute of Arts and Sciences in America. New York, R. 1. (Ten kwartalnik w „Spisie źródeł bibliograficznych” został przez omyłkę zaliczony do „Czasopism obcych”).

Z wyjątkiem dwóch, polskie zamorskie ośrodki literackie i naukowo-literackie zostały zupełnie pominięte. Nie wyszukanego dorobku prasy polskiej w U.S.A., Argentynie, Australii i w innych krajach; nie ma wzmianek o licznych wydawnictwach i imprezach kulturalnych. W rozdziale „Teatr polski zagranicą” jest 10 pozycji poświęconych teatrom w Londynie, jedna scenie w Australii i jedna scenom w Kanadzie (Ottawa i Montreal). Ani słowa nie ma o teatrze polskim w U.S.A., Argentynie i gdziekolwiek indziej.

Trzeba także stwierdzić, że „polonica na obczyźnie” w *Polskiej Bibliografii Literackiej za rok 1956*, są bardzo niekompletne, fragmentaryczne, noszą znamiona przypadkowości a nie systematycznego gromadzenia materiału w szerokim zasięgu. Ponieważ jednak stało się to z braku odpowiednich kontaktów, a nie z pryncypialnych założeń albo bagatelizowania, przeto przy odrobinie dobrej woli z obu stron łatwo będzie można te braki uzupełnić. Dopiero z odpowiednim „Dodatkim”, uwzględniającym w pełni dorobek emigracji, rocznik 1956

Polskiej Bibliografii Literackiej będzie całością. Ale i z tego, co jest, można korzystać bardzo owocnie.

Polska Bibliografia Literacka za rok 1956 zawiera 8492 pozycje bibliograficzne (jednostkowe i zbiorowe) obejmujące materiał 38.000 kart bibliograficznych.

Zainteresowały nas dane dotyczące przekładów. Otóż w *Polskiej Bibliografii Literackiej za rok 1956* na literaturę obcą przypada (ogólnie biorąc) 5,500 pozycji, na literaturę obce 3,000 pozycji bibliograficznych. Stosunek cyfrowy tych dwóch zasadniczych członów bibliografii literackiej jest wprost imponujący, świadczy o dużym zainteresowaniu tym, co się dzieje w świecie, o żywych kontaktach literackich z innymi krajami.

Jakie są te obce literatury, które z nich dominują, jakie nowe wyłaniają się zainteresowania, to pozwolimy sobie unaocznnić w zestawieniu pozycji przypadających na poszczególne literatury. Ujmujemy je alfabetycznie, jak to jest w bibliografii, stawiając przy każdej ilości pozycji bez wchodzenia w żadne inne szczegóły.

LITERATURY OBCE

1. Albańska	2	poz 5225-26	30. Islandzka	6	5689-94
2. Amerykańska	179	5226-405	31. Japońska	7	5695-6601
3. Angielska	319	5406-725	32. Jugosłowiańskie	1	6602
4. Arabska	11	5726-36	Chorwacka	14	6603-16
5. Argentyńska	2	5737-38	Macedońska	1	6617
6. Australijska	4	5739-42	Serbska	13	6618-30
7. Austriacka	10	5743-52	Słoweńska	2	6631-32
8. Belgijska	6	5753-58	33. Kanadyjska	8	6633-40
9. Boliwijska	1	5759	34. Koreańska	5	6641-45
10. Brazylijska	5	5760-64	35. Kubańska	2	6646-47
11. Bułgarska	24	5765-88	36. Łacińska		
12. Celtycka	11	5780-99	Starożytna	12	6648-59
13. Chilijska	4	5800-03	Łacińska		
14. Chińska	38	5804-41	Średniowiecz.	13	6660-72
15. Cygańska	3	5842-44	Łużycka	2	6673-74
16. Czeska i			38. Malajska	3	6675-77
Słowacka	9	5845-53	40. Meksykańska	3	6678-80
Czeska	118	5854-971	41. Niemiecka	261	6681-6941
Słowacka	29	5872-6000	42. Norweska	18	6942-59
17. Duńska	19	6001-19	43. Nowozelandzka	1	6960
18. Egipska	5	6020-24	44. Portugalska	1	6961
19. Falaszów	3	6025-27	45. Rumuńska	10	6962-71
20. Fińska	1	6028	46. Szwajcarska	5	6972-76
21. Francuska	385	6029-6413	47. Szwedzka	14	6977-90
22. Grecka Star.	76	6414-89	48. Turcka	13	6991-7003
23. Grecka Now.	4	6490-93	49. Węgierska	44	7004-47
24. Hebrajska	15	6404-508	50. Wietnamska	2	7048-49
25. Hinduska	31	6509-39	51. Włoska	98	7050-7147
26. Hiszpańska	35	6540-74	52. ZSRR (ogól.)	13	7148-60
27. Holenderska	6	6575-80	Rosyjska	631	7161-7791
28. Hondurasu	1	5681	Abchazyjska	2	7792-93
29. Irańska	7	5682-88	Armeńska	9	7794-7802

Azerbajdżańska	3	7803-05	Łotewska	2	7856-57
Baszkirska	1	7806	Mańska	1	7858
Białoruska	21	7807-27	Mongolska	3	7859-7861
Czerkieska	1	7828	Nartowska	2	7862-63
Czukocka	2	7829-30	Nieniecka	1	7864
Dagestańska	1	7831	Osetyjska	3	7865-67
Estońska	3	7832-34	Syberyjska	1	7868
Gruzińska	8	7835-42	Tadżycka	3	7869-71
Karalkapacka	1	7843	Tatarska	3	7872-74
Kaukaska	1	7844	Ukraińska	107	7875-7981
Komi-			Uzbecka	2	7982-83
Permiacka	11	7845	53. Żydowska	22	7984-8004
Litewska	11	7846-55	54. Powszechna	23	8005-26

Analiza tych cyfr pozwala stwierdzić:

1. Polska w równym stopniu skierowuje swoje zainteresowania ku Wschodowi, jak ku Zachodowi. Mniej więcej 50% pozycji bibliograficznych przypada na ZSSR i blok wschodni i tyleż odnosi się do Zachodu i terenów nie powiązanych z komunizmem.

2. W zainteresowaniu Zachodem pierwszeństwo ciągle jeszcze przypada Francji (poz. 385), następnie idzie Anglia (poz. 319), Niemcy (poz. 261), Ameryka, U.S.A. (poz. 197), Włochy (poz. 98). Mniej więcej tak samo, jak przed wojną, z drobnymi przesunięciami w kierunku literatury anglosaskiej kosztem niemieckiej. Widać z tego, że upodobania narodu nie wiele się zmieniły.

3. ZSSR i jego blok zajmują pozycję uprzywilejowaną, co w obecnej sytuacji geopolitycznej jest zrozumiałe i nieodwołalne. Pomimo lekkiej supremacji Rosji uderza szeroki wachlarz powiązań w ramach bloku komunistycznego, jak i Bliskiego oraz Dalekiego Wschodu pozostającego w żywych stosunkach z tym blokiem. Rozszerzenie horyzontów na miarę dotychczas nie spotykaną należy uznać jako objaw dodatni, stwarzający dalekie perspektywy. W bibliografii za rok 1956 pojawiają się nazwy krajów i narodów, o których nigdy się nie słyszało, a co dopiero mówić o tłumaczeniach ich dzieł. To niewątpliwie wzbogaca naszą kulturę.

Poznańska Pracownia Bibliograficzna wydała dotychczas roczniki za lata 1944 do 1949, całkowicie pomijające twórczość emigracyjną. Wydany w 1958 roku „Dodatek za lata 1944-1949” jest, jeśli idzie o zagranicę, bardzo niekompletny i wymaga Dodatku do Dodatku.

Biorąc pod uwagę, że bibliografia ma doniosłe znaczenie we wszystkich gałęziach nauki, a więc i w literaturze jest nieodzownym elementem poznania dorobku literackiego, Polska Bibliografia Literacka — mimo dotychczasowych braków, spełni swe zadanie jeśli następne roczniki obejmą w równym stopniu dorobek emigracyjny jak krajowy.

Szczepan K. ZIMMER

Listy do Redakcji

Londyn, 23.5.61.

Drogi Panie Redaktorze!

Po przeczytaniu omówienia „Tamtego brzegu” Kajetana Morawskiego przez Józefa Czapskiego w majowym zeszytzie „Kultury” nasunęło mi się zdanie z opowiadania Tadeusza Różewicza z tomiku „Przerwany egzamin”: „E, panowie się tak tylko bawia”. Mógł jeden pan napisać, że za Piłsudskiego była w Polsce dżungla, może mu drugi pan odpowiedzieć: gdyby rządził pański Dmowski, dżungla byłaby niegorsza.

Nie może mi się bowiem w głowie pomieścić, aby sam Czapski wierzył w to, co o Dmowskim napisał: że „szalał on z radości” na wiadomość o dojściu Hitlera do władzy. Szaleństwo owo miało pono miejsce w salonie pani Sobańskiej, która potem mówiła o tym jednemu panu, czy też jednej pani. Już zatem tło nieznanego dotąd świata wypowiedzi politycznej Dmowskiego wydaje się dość osobliwe, zważywszy, że po Dmowskim zostały artykuły wstępne, również o hitleryzmie, zbyt często konfiskowane w czasie rządowej przyjaźni i paktu z Niemcami. Pozostała także działalność i poglądy obozu Dmowskiego, tj. Stronnictwa Narodowego, któremu nieraz zarzucano obsesję antyniemiecką. Dość przypomnieć świetną książkę najzdolniejszego, obok Adama Doboszyńskiego (zdaniem piszącego te słowa) teoretyka narodowego młodego wówczas pokolenia, prof. Karola Stojanowskiego „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie”. Można by jeszcze wspomnieć prof. Józefa Kostrzewskiego i Józefa Kisielewskiego, działaczy i publicystów poważnie potem przez Niemców wymordowanych, działaczy i publicystów poznańskich i pomorskich. *Si magna parvis comparare licet*, pamiętam, że niżej podpisanego aresztowano na Rynku w Krakowie wraz z kilkunastu kolegami za manifestację... antyhitlerowskie.

Niemcy po kampanii wrześniowej rozwinęły hulaśliwą propagandę, że Polskę namówili do wojny Anglicy, a zgubili „blindwuetige Deutschenasser” z Dmowskim na czele. Głosili oni, że marszałek Śmigły-Rydz zdradził idee Piłsudskiego, a opowiedział się za... Dmowskim i ściągnął przez to na Polskę katastrofę. Oczywiście, trudno Polakowi uwierzyć, by Piłsudski kiedykolwiek skapitulował przed Niemcami, ale jeśli istniały jakieś nieśmiałe rojenia proniemieckie wśród Polaków, to na pewno nie po stronie obozu Dmowskiego.

Dmowski bowiem jako pierwszy polski polityk, po kilku setkach lat niezmiennej i niewytłumaczonej ufności Polaków w Prusy i Niemcy, przedstawił polską politykę na zachód i rzucił jaskrawe światło na złowrogą rolę

Niemiec w dziejach upadku Rzeczypospolitej i ich zapamiętała walkę z polskością ziem zagrabionych. Dmowski stanął w obozie przeciwniemieckim w czasie pierwszej wojny światowej i walczył o zachodnie granice na konferencji pokojowej. W jednej z ostatnich książek Dmowskiego pt. „Przewrót” znajduje się rozdział o hitleryzmie, w którym autor przewiduje atak hitleryzmu na Polskę.

Jakże więc było z tą panią Sobańską? Czyżby Dmowski istotnie był, jak nazywał go jeden z czołowych publicystów obozu Józefa Czapkiego, Wincenty Rzymowski, „czcicielem diabła”? Czyżby swojemu stronnictwu głosił co innego i pisał co innego, a w salonach rozpowiadał całkiem inne rzeczy?

Nie przekonuje również wywód Józefa Czapkiego o „dżungli”. W polityce można oceniać tylko to, co rzeczywiście się stało, a nie to, co byłoby, gdyby... Wiemy, co się działo w Polsce po roku 1926. Nie wiemy natomiast, czy sprawdziłaby się wizja Czapkiego w wypadku, gdyby obóz Dmowskiego doszedł do władzy. Wiemy zresztą, co było do roku 1926, kiedy Stronnictwo Narodowe wchodziło do kolejnych rządów. Wbrew rozpowszechnionej opinii o groźnym „sejmowładztwie” itp., zręby państwowości i podwaliny pod gospodarkę dwudziestolecia niepodległości położono przed rokiem 1926. Były to lata rozkwitu polskiej demokracji.

Kto dokonał zabójstwa prezydenta Narutowicza? Eligiusz Niewiadomski. Prokurator Kazimierz Rudnicki, nawiasem mówiąc piłsudczyk, w mowie oskarżycielskiej stwierdził, że oskarżony działał sam, z pobudek własnych. To samo stwierdził Niewiadomski prosząc o karę śmierci dla siebie. Więc nie Stronnictwo Narodowe dokonało zabójstwa prezydenta, natomiast Stronnictwo Narodowe było przeciwnie wyborowi Gabriela Narutowicza na prezydenta. Czyż może to dziwić i gorszyć miłośników demokracji? Stronnictwo Narodowe i w ogóle prawica polska wysunęły w r. 1922 na prezydenta R.P. własnego kandydata: Maurycego Zamoyskiego. W pierwszym głosowaniu otrzymał on 222 głosów, podczas gdy Narutowicz otrzymał tylko 62. Dopiero w piątym głosowaniu, kiedy połączona lewica i wszystkie mniejszości narodowe doszły do przekonania, że nie przeprowadzą osobno żadnego ze swoich czterech kandydatów (jednym z nich był gloryfikowany przez Czapkiego świętny lingwista, lecz dziwak i anarchista w polityce, prof. Baudouin de Courtenay), Narutowicz otrzymał 289 głosów przeciw 227 oddanym na Zamoyskiego. Otóż narodowcy słusznie uznali, że o wyborze nowego prezydenta zadecydowały głosy mniejszości narodowych (było ich wyżej setki) i dlatego ostro krytykowali wybór Narutowicza. Bynajmniej nie dlatego, że był Żydem, gdyż nim nie był, lecz dlatego, że wybrany został żydowskimi głosami. Nie trzeba chyba dodawać, że w owych czasach znaczna część Żydów nie była jeszcze zupełnie lojalna wobec rządów polskich. Stanowisko narodowców można uważać za niesłuszne, ale dlaczego zaraz wołać o sąd i policję? Czyż takie wołanie bardziej nie przypomina dżungli?

I czyż nie lepiej byłoby na wygnaniu, gdyśmy już wszystko stracili, kiedy przeminęło całe pokolenie, poszukać wspólnych nam dążeń i celów i umiłować, zamiast bawić się po pańsku w Mordy i salony pani Sobańskiej i przez trzydzieści lat nie opuszczać wiecu studenckiego w Starym Teatrze i wnie przechowywać swoje z tamtych lat wrażenia?

Co zaś do rzucania jajkami, jest to istotnie polski narodowy obyczaj. We Włoszech rzuca się pomidorami, w Anglii skórkami z pomarańcz. W niektórych krajach bombami. Nie jesteśmy najgorsi ani pod względem pomysowości w tej dziedzinie ani pod względem brutalności.

Łączę wyrazy szacunku.

Jan BIELATOWICZ

Kitimat, B.C., 24.5.1961 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

List Pana K.J. z Toronto, Ont. (*Kultura* nr 5/163) w sprawie podobania się lub nie podobania się — jak Panu Nowojorczanowi — (*Kultura* 3/161) prac p. Mioszszewskiego, pobudza sprawę tolerancji myśli, wyrażonej za pomocą artykułów czy często ciętych uwag p. Mioszszewskiego. Obawiam się, iż nasz autor listu ze Stanów Zjednoczonych, będąc w kraju tolerancji drukowania myśli (bez obraźliwych wycieczek osobistych oczywiście — to pachnie sprawą sądową) nie nauczył się jeszcze tej tolerancji w stosunku do prasy polskiej. A byłby już czas po temu. Przydałoby się to wielu tym, którzy listy swoje publikują na łamach „Kultury”. Ale i p. K.J. artykuły p. Mioszszewskiego nie podobają się, ale nie odmawia im ich ukazywania się i nie proponuje listów do prasy polonijnej z protestami. Każdy wybiera drogę protestu jaka jest jemu wygodna. Jedno jest pewne, można się nie zgadzać z myślą niektórych wypowiedzi p. Mioszszewskiego, ale nie można przejść nad nimi do porządku dziennego. Osobiście, każdy numer „Kultury” z przywyczerzaniem zaczynam czytać od działu „Londyńczyka” (p. Mioszszewski) oraz jego artykułów. Czy pod wszystkim co pisze, podpisuję się rękoma i nogami? Nie! Ale przyznaję, iż prace jego pobudzają bardzo do myślenia i wyrobienia sobie własnej opinii na omawiane zagadnienie. Myślę, iż to właśnie jest celem prac p. Mioszszewskiego, pisania jak pisze, oraz Redakcji, ogłaszania jak ogłaszają. Tutaj tolerancja opinii zaczyna się już od samej Redakcji „Kultury”. Nie ma powodu jej niszczyć, drogą sugerowaną przez czytelnika z Nowego Jorku.

Myślę iż przydałaby się ankieta „Kultury” na temat samego pisma i prac często tych samych autorów, wśród czytelników dla zorientowania się, jak sprawy smaku i czytelnictwa przedstawiają się względem tego świetnego pisma.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku.

Zenon BUCZEWSKI

15 czerwca 1961

List do „Kultury” Jana Bielatowicza postawił mi przede wszystkim problem sumienia: czy pisząc WSPOMNIENIA mamy prawo powtarzać zasłyszane przed laty, lub powtórzone rozmowy i wypowiedzi?

Zdaje mi się, że tak, pod jednym warunkiem, że nic z własnych wspomnień nie fałszujemy ani kolorujemy. Wspomnienia to nie traktat historyczny oparty na tekstach, ale opowiadanie o tym, cośmy w pamięci własnej zachowali z atmosfery, z przeżyć dawnych lat.

Co do powtórzonej przeze mnie reakcji Dmowskiego nic nie umiałbym ani ująć, ani dodać jestem tego co napisałem pewny, Bielatowicz ma wszelkie prawo w ścisłość mego opowiadanie nie wierzyć. Argumenty Bielatowicza, że taka reakcja Dmowskiego na wypadki w Niemczech była niemożliwa nie są dla mnie przekonujące. Znamy wszyscy ideologię konsekwentnie antyniemiecką Dmowskiego, ale znamy również jego obsesję antyżydowską i antymasońską. Czy naprawdę było nie możliwe, aby antysemita

i antymason Dmowski nie uznał w pierwszej chwili, że zwycięstwo antysemitów i antymasona Hitlera to fakt historyczny, który może być pozytywny w rozgrywce światowej a nawet w rozgrywce polsko-niemieckiej? Czy naprawdę rzutując w przyszłość nie mógł przez krótką chwilę myśleć, że rewolucja nacjonalistyczna w sercu Europy jest może dla Polski mniejszym złem niż groza światowego komunizmu? Teksty z książek Dmowskiego czy innych wyznawców jego ideologii nie przekreślają możliwości takiej reakcji nawet u Dmowskiego, właśnie w rozmowie, wśród przyjaciół, w salonie.

Ten „salon” mi wynawia Bielatowicz! Nie jestem winien, że pani Sobańska przyjmowała wówczas jeszcze w salonie, a nie na wspólnej sali w domu dla najbiedniejszych, gdzie spędziła ostatnie lata swego życia, zapewniająco odwiedzających ją przyjaciół na parę tygodni przed śmiercią, że się tam czuje... bardzo szczęśliwa.

Zabójstwo Narutowicza. Bielatowicz czytał mój tekst nieuważnie, nigdy nie twierdziłem, że „narodowcy” zorganizowali zabójstwo Prezydenta, ale że nagonka prasy i wieców młodzieży endeckiej stworzyła ATMOSFERĘ, w której ta zbrodnia stała się możliwa. Myli się bardzo Bielatowicz myśląc, że o tym pisałem dla „pańskiej zabawy”. Żyję we Francji, gdzie w sferach nacjonalistycznych ulubionym jakoby tematem konwersacji ludzi, którzy by własnymi rękami muchy nie zabili, jest możliwość zamachu na de Gaulle'a — jedyny ratunek dla Francji. Wspomnienie tamtych czasów wciąż do mnie powraca i powoduje, że ostrzej niż wielu Francuzów widzę groźbę takiej nienawiści i takiej nieodpowiedzialnej gadaniny. Dlaczego jakiś młodzik z *Jeune Nation* nie miałby powtórzyć gestu ideowego nacjonalisty-zabójcy Ghandiego czy ideowego nacjonalisty-zabójcy Narutowicza?

Nie, wcale się nie bawię po pańsku wspominając zasłyszane w salonie rozmowy czy wiece krakowskie. Bielatowicz człowiek, którego szanuję i cenię jako żołnierza i pisarza, jeszcze dziś widzi w masowym głosowaniu na Narutowicza mniejszości narodowych argumenty wystarczające dla ówczesnej nieprzebiegającej w środkach, brutalnej przeciw niemu nagonki. Czyż to jedno nie świadczy, że teraz gdyśmy „wszystko stracili”, jest właśnie czas na to, by nie zacierać, ale przemyśleć naszą wspólną przeszłość do końca?

A jeżeli wspominam jajko rzucone na profesora Baudouin de Courtenay przed 40 blisko już laty, to wcale nie dlatego bym pomidory francuskie uważał za lepsze, ale że jajko to rzucone było POLSKĄ ręką i że takie właśnie „igraszki” młodych endeków wykrystalizowały raz na zawsze w tamtych czasach mój stosunek do endecji.

Józef CZAPSKI

Australia, 7 czerwca 1961 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Chciałbym sprostować mimowolną pomyłkę, jaka zakradła się do mojego „Listu z Australii” w numerze kwietniowym „Kultury”. Dziś otrzymałem numer „Tygodnika Katolickiego”, w którym — po przedrukowaniu znacznej części listu — redakcja na prośbę ks. Trzeciaka wyjaśnia, iż inicjatorem akcji „Domów Dziecka” był nie On, a ks. Janus, wspomniany zresztą w mej notatce. Więc i ja prostuję gwoli prawdy i za niecisłość

przepraszam Czytelników i zainteresowanych. Przy ks. Trzeciaku pozostaje niemała zasługa rozreklamowania tej tak potrzebnej akcji na łamach pisma, którego był redaktorem.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i uścisk dłoni.

Andrzej CHCIUK

Leeds, 7 czerwca 1961 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Czy lojalny czytelnik winien zwracać uwagę na niecisłość brukającą łamy pisma? I jeżeli tak, to gdzie kończy się spełnianie ciężkiego obowiązku a zaczyna nudna pedanteria?

Wydaje mi się mianowicie, że p. R. Królikowski zaufał niezbyt wiarygodnym źródłom pisząc w nr. 159/160 „Kultury” (str. 91) „O Mombasie wspomina w 100 A.D. pisarz Periplus jako o „wyspie wojny”. Nazwymano ją wówczas MVITA. W 8 wieku po Chrystusie zaczęli się tu osiedlać Arabowie, którzy rozpoczęli eksploatować Czarny Ląd. W XVI wieku rządili tu Portugalczycy...”

Otóż przede wszystkim „pisarz Periplus” nie istniał. „Periplus” to opis podróży, coś pośredniego między planem nawigacyjnym a przewodnikiem — użytkowy dokument nic nie mający wspólnego z „literaturą”. „Periplus Mari Erythraei” powstał prawdopodobnie około roku 60 n.szej ery. Zawiera on opis, potoczną greką, dróg handlowych wschodniego wybrzeża Afryki, Półwyspu Arabskiego oraz Środkowego i Dalekiego Wschodu. Autor, przypuszczalnie egipski Grek, dotarł osobiście aż do brzegów Indii. Korzystał on z cennego odkrycia zaskończonej przez arabskich kupców tajemnicy wiatrów monsunowych, dokonanego ok. 45 r. n.e. przez Hippalusa — Kolumba antycznej cywilizacji śródziemnomorskiej.

William Vincent, angielski tłumacz Periplusu, badając historię handlu świata antycznego w pierwszym dziesiątku lat ubiegłego stulecia sądził, że kanał koło wysp Pyralae był kanałem nad którym położona jest Mombasa. Obecnie wiadomo, że kanał Mombasy powstał daleko później i wyspy Pyralae to wyżej na północ położone Patta, Manda i Lamu.

Opis żeglugi poniżej tych wysp jest bardzo niecisły. Sądzi się, że albo autor Periplusu znał omawiane okolice jedynie ze słyszenia, bądź też tekst zniekształcili późniejsi kopiści. Menuthias może być zarówno Pembą, jak Zanzibarem lub Mafią. Rhapyt można więc doszukiwać się w okolicach Pangani, Bagamoyo lub Kilwa.

Arabowie już w I wieku n.e. byli zasiedzonymi władcami wybrzeża azańskiego. Potomkowie ich oraz kobiet Bantu stworzyli język Swahili, obecnej lingua franca dużych połaci kontynentu.

O samej Mombasie znajdujemy w „Eucyklopaedia Britannica”: „...nazwę wzięła z Mombasy w Omanie. Persko-arabskie osiedle powstało tam około XI wieku. Ibn Batuta w 1331 roku wymienia ją jako wielką miejscowość; pierwszym Europejczykiem tutaj był Vasco da Gama w 1498 roku... Władca miasta usiłował wciągnąć da Gamę w zasadzkę, względnie takie podejrzenia żywił portugalski żeglarz, i od tego czasu rozpoczęły się

walki w pełni uzasadniające nazwę miasta w języku Swahili: „Mvita” (wojna).

Przepraszam, że sprawę poruszam tak późno. Jednak nawet w moim obecnym miejscu zamieszkania niezbyt łatwo dotrzeć do „Periplusu”.

Pełen wyrzutów sumienia za nudzenie Pana, łączę wyrazy wysokiego szacunku i poważania.

Olgięrd W. CINIEWICZ

Londyn, 12.5.1961

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Czytając świetną recenzję J. Czapskiego z książki K. Morawskiego „Tamten brzeg” („Kultura”, nr 5/163, znajduję między innymi takie zdanie: „...Podczas czytania „Tamtego Brzegu” zdarzało mi się, że wracałem do „Najnowszej Historii Politycznej” Poboga-Malinowskiego. Zarzucają jej niektórzy stronniczość, pranie brudnej bielizny (jaka historia na świecie może się bez takiego prania obejść?), ale nie słyszałem, by ktokolwiek śmiał jej zarzucić najmniejsze świadome uchybienie prawdzie” (str. 130). — Niestety muszę p. J. Czapskiego rozczarować i właśnie skorzystać z tego jego zdania, by stwierdzić, że p. Pobóg-Malinowski świadomie czasem mija się z prawdą. Niestety ani czas, ani ochota, ani miejsce nie pozwalają mi na wytknięcie „minienia się świadomego z prawdą” w większym zakresie. Wiem zresztą, że ktoś inny przygotowuje większą recenzję z książki Malinowskiego i tam zapewne znajdziemy więcej przykładów na „świadome mijanie się z prawdą”. Tu wybiorę tylko dwa przykłady.

1. Omawiając sławne już w dziejach „chrzty w Hrynkach” powiada p. Pobóg-Malinowski, że „ludność rosyjsko-ukraińska” (co to za tego rodzaju ludność w tej wsi? przyp. mój) zbeszczyła tam ołtarz polowy. Skąd zaczerpnął p. Pobóg-Malinowski tego rodzaju wiadomość niestety w swej „historii” nie podaje. Stwierdzam więc, że żadnego zbeszczenia ołtarza polowego nie było. Sprawa przedstawia się następująco (w wielkim skrócie). K.O.P. zajął się nagle ni z tego ni z owego nawracaniem chłopów ukraińskich wyznania prawosławnego na wiarę katolicką. Najdelikatniej powiedziawszy, „spowodowano”, że chłopcy wsi Hrynki powiatu krzemienieckiego przyjęli chrzest w obrządku rzymsko-katolickim. Natomiast żony i dzieci tychże chłopów nie objawiły takich chęci, gdyż uważano to za pewne za najzupełniej zbędne. Po powrocie z przyjęcia na strażnicy, żony wspomnianych nawróconych chłopów kijami przepędziły swych mężów i przez trzy tygodnie nie gotowały im jedzenia, mówiąc by szli na strażnicę K.O.P-u po jedzenie.

Poseł Timoszenko, z grupy wołyńskich posłów na Sejm RP. wybrał się do tej wsi, by zbadać tamtejsze stosunki. Patrol K.O.P.-u odebrał mu legitymację poselską i nakazał mu natychmiastowe opuszczenie wsi. Jeden z odprowadzających posła Timoszenkę, powiedział mu, „Widzicie jak z Wami tak postępują, to co dopiero z nami”.

P. Pobóg-Malinowski pisząc o tych niesławnych chrztach nie uważał za stosowne przytoczyć jakie stanowisko w tej sprawie zajęła hierarchia Kościoła Katolickiego w Polsce, nie mówiąc już o Rzymie. Pozwolę więc sobie tu uzupełnić te wiadomości. I tak:

Ksiądz Jan Urban, T.J. w artykule „Wołyńskie rewindykacje” ogłoszonym w piśmie „Oriens” wychodzącym w Pińsku, zeszyt 3, 1938 r. ma zastrzeżenia odnośnie metod tego postępowania, przytacza fragmenty listu jakiegoś „pułkownika-misjonarza”, którego nazwiska nie podaje (idzie w danym wypadku o pułkownika dowódcę K.O.P. w Dederkałach powiatu krzemienieckiego, — przyp. J.H.). Następnie rozróżnia akcję „powrotu do Kościoła rzym.-kat.” od „akcji unijnej”. Odnośnie akcji unijnej winny ją, zdaniem ks. Urbana, cechować trzy znamiona: 1. Nie może ona być narządkiem żadnej polityki, żadnego wynarodowienia, jej cel jest ściśle religijny: odbudowanie jedności kościelnej Wschodu i Zachodu, potarganej przez schizmę bizantyjską. 2) Zapewnia ona powracającym do jedności katolickiej prawosławnym zachowanie ich obrządku wschodniego i wschodniego ustroju cerkwi. 3) W akcji unijnej decydującym motywem jest nie przywracanie stanu rzeczy sprzed trzech czy czterech pokoleń, nie zasada, że potomkowie mają być tej samej wiary co ich ojcowie, ale przekonanie, że wołą Chrystusa jest, aby Kościół jego był zjednoczony hierarchicznie pod najwyższym pasterzem, w jedności wiary, bez względu na obrządk, narodowe różnice i antagonizmy. Słowem, w akcji unijnej moment ściśle religijny nie tylko ma pierwszeństwo przed jakimikolwiek pobudkami politycznymi czy historycznymi, ale bez nich się obchodzi i sam sobie wystarcza”. Tyle ksiądz jezuita Urban.

Pisząc o tych wypadkach w Hrynkach, nie uwzględnił też p. Pobóg-Malinowski stanowiska arcybiskupa Józefa Feliksa Gawliny. Ks. Arcybiskup odżegnywał się stanowczo od tej „akcji rewindykacyjnej” i wypowiedział to w „Duszpasterzu Polskim za Granicą” z końcem 1949 lub początkiem 1950 roku (niestety zawieruszyła mi się odpowiednia notatka i nie mogę podać numeru odnośnego „Duszpasterza”, w Polskiej Bibliotece w Londynie nie ma tego wydawnictwa, a szkoda, gdyż od czasu do czasu ukazują się w nim cenne artykuły historyczne, że wymienię bodaj ks. prałata Meysztowicza, ks. Umińskiego, czy ks. Belcha, o których dowiaduję się tylko przypadkowo dzięki otrzymanywanym odbitkom autorskim).

Jeśli zaś idzie o stanowisko ks. arcybiskupa Gawliny w 1938 r. powtórzę tu gadkę o tym, jaka krążyła po Wołyniu w owym czasie. Znamczam, że to gadka, którą może potwierdzić lub odrzucić Arcybiskup. Opowiadano wtedy na Wołyniu, że ks. biskup polowy Gawlina przyjechał na wizytację placówek duszpasterskich w oddziałach wojskowych stacjonowanych na Wołyniu. Objechał wszystkie placówki omijając Dederkały. Domagał się bowiem *ponać* ks. Biskup Polowy usunięcia tamtejszego pułkownika K.O.Pu. Pułkownik podobno otrzymał dwutygodniowy urlop, a później go przeniesiono z Dederkał. Po wyjeździe wspomnianego pułkownika dopiero ks. Biskup Polowy odwiedził i Dederkały. Jak zaznaczyłem, była to gadka i siłą faktu *relata refero*. Jedynie ks. arcybiskup Gawlina może tę ówczesną gadkę potwierdzić, lub jej zaprzeczyć.

2. Pisząc o Związku Nauczycielstwa Polskiego p. Pobóg-Malinowski „stwierdza”: „komuniści... niemal w całości opanowali Związek Nauczycielstwa, zarówno w rozsianych po całym kraju dolach, jak i w ośrodku kierowniczym w Warszawie, zwłaszcza w jego Centrali Wydawniczej”. Stwierdzam, że jest to świadome minięcie się z prawdą i nie mogę zrozumieć czym się kierował Pobóg-Malinowski, podając tak nieprawdziwą wiadomość w swej „Historii”. Gdyby p. Pobóg-Malinowski przeczytał sobie protokoły Sejmu z dyskusji między mną a premierem ówczesnym, generałem Sławoj-Składkowskim, dowiedziałyby się, że cała ta historia ze Związkiem Nauczycielstwa jest przez Premiera bardzo a bardzo naciągana. Cała heca o „Plomyk” wyciągnięta w 1938 r. to numer z poprzedniego roku, a inne „dowody” przytoczone wówczas przez Premiera, są tego rodzaju, że tylko ramionami można wzruszyć. Mianowicie przytacza jakiś numer (zresztą także

sprzed roku) „Teatru Szkolnego”, w którym, wedle wyrażenia p. Premiera „jakaś paniusia” podaje projekt naśladowania teatru szkolnego w Sowietach. W istocie w Sowietach stworzono teatr szkolny, myśmy poszli za tą myślą, ale daliśmy w „Teatrze Szkolnym” treść polską, czego bodaj dowodem, że pisywali tam tacy ludzie jak śp. Jędrzej Cierniak, czy Maisner, czy też śpiewak Rutkowski, że podam tylko te nazwiska. Prócz tego p. Premier wypowiedział, że „cierpliwość jego się skończyła” i przytoczył bez podania treści numer „Głosu Nauczycielskiego” jeden z przeszłego roku, a drugi z sierpnia 1938. Ostatnio w październiku 1960 r. toczyła się dyskusja wokół tego zagadnienia na łamach „Tygodnia Polskiego” w Londynie. Odpowiedziałem na tę dyskusję obszernie, ale redaktor naczelny ani mej odpowiedzi nie opublikował, ani do dnia dzisiejszego nie raczył mi odpowiedzieć dlaczego, i artykułu mego nie zwrócił. Widać jakaś swoista cenzura wewnętrzna podyktowała tego rodzaju postępowanie redaktorowi naczelnemu „Tygodnia Polskiego”, na co nie ma innej rady jak tylko więcej do tego „Tygodnia” nie pisywać.

Zatrzymałem się na tych dwu przykładach świadomego mijania się z prawdą przez p. Pobóg-Malinowskiego w jego „Najnowszej historii politycznej”. Bardzo mi przykro, że musiałem rozczarować pojęcia o niej p. Józefa Czapskiego, którego bardzo sobie cenię i poważam, ale czasem takie rozczarowania o tyle dobrze robią, że zmuszają czytelnika do bardzo ostrożnego czytania współczesnej historii, pisanej przez niezbyt tęgich historyków.

Raczy WPan Redaktor przyjąć wyrazy wysokiego poważania.

J. HOFFMAN

Nowy Jork, 12 czerwca 1961

Szanowny Panie Redaktorze!

Na marginesie pięknego szkicu („Kultura” nr 4, 1961) jaki poświęcił p. Józef Czapski książce Kajetana Morawskiego pt. „Tamten brzeg”, nasuwają mi się następujące refleksje.

Szkic napisany jest z obiektywizmem tym bardziej uznania godnym, że p. Czapski zastrzega się iż pisać będzie o tej książce jako o przeżyciu, a więc subiektywnie, może nawet niesprawiedliwie i stronniczo. Tym więcej podkreślić trzeba niezmierny umiar, z jakim konfrontuje on książkę min. Morawskiego ze swymi wspomnieniami.

Z jednym wszelako zestawieniem trudno by mi się było zgodzić. Pisząc o użytym przez Morawskiego na określenie stosunków w okresie pomajowym wyrażeniu „prawo dżungli” i nie kwestionując jego zasadniczej słuszności, zestawia z nim p. Czapski — niewątpliwie w słusznym w zasadzie dążeniu do obiektywizmu — fakt, że jemu samemu określenie „dżungla” nasuwało się już znacznie dawniej, w stosunku do takich faktów jak zwłaszcza zamordowanie prezydenta Narutowicza i atmosfera, która do tego zamordowania doprowadziła.

Wydaje mi się, że postawienie takiego znaku równania nie uwzględniła w pełni tego, o co min. Morawskiemu chodziło.

Jeśli zdarzenie się wypadków łamania prawa zechcemy określić słowem „dżungla”, to słowo to obejmowałoby każdy kraj i każdy system. Punkt ciężkości w określeniu „prawo dżungli” spoczywa na słowie „prawo”, do

tym mianem określamy coś co ma za sobą ramię władzy. Chodzi tu więc o system, w którym popełnianie bezprawia ma sankcję z góry. W tym sensie o „prawie dżungli” można mówić tylko w odniesieniu do okresu, w którym było ono metodą rządzenia. Różnicę uwydatni łatwo fakt, że podczas gdy sprawca jednego z najhaniebniejszych w Polsce czynów, zamachu na prez. Narutowicza, nie tylko nie uszedł bezkarnie, ale sam na siebie domagał się, za złamanie prawa, kary śmierci która go też spotkała, to natomiast nigdy nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności sprawcy czy to kaźni brzeskiej, czy napadu na prof. Cywińskiego, czy też mordu na osobie gen. Zagórskiego. „Prawo dżungli” jest czymś znacznie zgubniejszym niż poszczególne przejawy bezprawia, gdyż jest bezprawiem kierowanym i nakazanym z góry. Stowując to określenie do czasów przedmajowych p. Czapski opuszcza, zresztą słusznie, słowo „prawo”. Ale właśnie dlatego powstaje koncepcja inna i odpada podstawa do postawienia znaku równania między dwoma pojęciami, które mimo podobieństwa brzmienia różnią się od siebie zasadniczo. Jeżeli przewrót miał być wybawieniem kraju z dżungli, trzeba stwierdzić, że stwarzając z niej system rządzenia, podniósł ją do dziesiątej potęgi.

Jan MORELOWSKI

Drogi Redaktorze!

Nawiązując do artykułu pt. „Kosynierzy” w nr. 5/163 „Kultury” pozwałam sobie w załączeniu przesłać własne tłumaczenie z fragmentu książki „Ich jagte Eichman” Simona Wiesenthala.

Wydaje mi się, że na tle tych wynurzeń sylwetka p. Rusinka wygląda nieco inaczej aniżeli maluje ją p. Melchior Wańkowicz.

Z uwagi na rodzinę w Polsce podaję nazwisko jedynie do wiadomości redakcji.

S.K.J.

Tytuł książki: „Ich jagte Eichmann” — „Polowałem na Eichmanna”. Autor: — Simon Wiesenthal. Wydawca: SM Buecher, Sigbert Mohn Verlag, Guetersloh, 1961, Buch Nr 2746, Printed in Germany.

Str. 11 do 14 (rzecz dzieje się w dwa dni po uwolnieniu więźniów obozu koncentracyjnego Mauthausen przez wojska amerykańskie).

7 maja po południu wreszcie poszedłem do leżącej na przeciwko kancelarii: „Schreibstube”. Miałem łaskę, na której się opierałem, i chciałem także mieć przepustkę. Zdawało się, że w kancelarii nikogo nie było, a kiedy błąkałem się po korytarzu, niespodziewanie z kimś się zderzyłem. Ktoś na mnie ryknął, rzucił na ziemię, kopnął mnie nogami, następnie porwał mnie za ramię i wyrzucił na dwór. Kiedy chciałem się podnieść, ponownie otrzymałem cios. Dopiero teraz poznałem, że pisarz rewiru, Kazimierz Rusinek, dobrze odżywiony Polak, stał przede mną i krzyczał:

„Ty przeklęty muzulmanie, ty nie masz prawa obracać się po kancelarii!”
Leżałem jeszcze przez chwilę. Koledzy z bloku VI, zauważyli mnie i zanieśli na pryczę. Podczas mojego długotrwałego uwięzienia w KC-cie bywało często, że mnie bito...

W Mauthausen nikt mnie nie bił. Wysłano mnie od razu do bloku śmierci. Po prostu nie dawano mi żadnej nadziei. Ale to wszystko działo się przecież za czasów mojego uwięzienia w KC-cie.

Gdy więc tak leżałem i odczuwałem ból w boku, uświadomiłem sobie. Przecież że jestem wolnym człowiekiem! Pobito mnie w dwa dni po tak zwanym uwolnieniu. Przecież to dziś 7 maja 1945.

Czy moje życie miało się w ten sposób dalej potoczyć? Czy odtąd miałem stale otrzymywać razy od fizycznie silniejszych i na zawsze pozostać muzułmanem, któremu nie daje się nadziei przeżycia? Wewnętrznie burzyłem się. Chciałem wstać z pryczy, ale koledzy mnie wstrzymali.

„Co ty zamierzasz, dokąd się wybierasz?” — pytali mnie.

„Idę do amerykańskiego komendanta, bito mnie! Przecież tak nie można! Czy nie zostaliśmy dopiero dwa dni temu uwolnieni?”

„Czekaj do jutra, komendant jest w wewnętrznym obozie, a to stąd, z dołu, jest dla ciebie daleka droga”.

Uspokojono mnie, ale byłem zdecydowany wydarzenie bezwzględnie zameldować amerykańskiemu komendantowi, płk. Levy. 8 lipca poprosiłem dwóch kolegów, dr. Laksa i dr. Rubinsteina (obaj obecnie w USA), aby mi towarzyszyli do komendanta...

Ale gdy Amerykanin wreszcie zapytał mnie, co mu zamierzam opowiedzieć, w tym momencie zapomniałem, po co przyszedłem. Nie potrafiłem zebrać swoich myśli. Wkrótce potem opowiedziałem, jak się nade mną znęcano, wymieniłem nazwisko pisarza rewirowego Rusinka i zapytałem, czy funkcjonariusze obozu ciągle jeszcze są uprawnieni do bicia więźniów. Amerykanin zapisywał notatki i powiedział:

„Niech się pan uspokoi, nikt już więcej pana nie będzie bił; my zajmujemy się tym człowiekiem; otrzyma pan od nas wiadomość”...

Zbliżył się do mnie pewien kolega, z którym już kilka razy rozmawiałem, a którego wielu w obozie szanowało jako uczciwy charakter. Był to Polak Cyrankiewicz. Z uśmiechem powiedział:

„Kolego, muszę z Tobą pomówić. Ty złożyłeś meldunek na Rusinka. Popelnił niesprawiedliwość, którą wszyscy potępiamy. Nie wiem, co go napadło, on tutaj wielu ludziom dopomógł i był członkiem ruchu podziemnego w obozie; proszę Ciebie, wycofaj meldunek”.

„On mnie bił, bez powodu. Ja przecież jestem wolnym człowiekiem”!

„Masz rację, było to poślisznięcie, którego nie rozumiem. Ale przecież nie możesz spowodować wysłania kolegi tam, gdzie siedzą SS-mani! Postaram się o to, że ciebie przeprosi i proszę, dojdź z nim do porozumienia”.

„Nie powiem ani nie, ani tak. To przyszło na mnie tak nagle, właśnie w samo uwolnienie”.

„Dobrze, powróć jeszcze wieczorem”.

Po godzinie przybyli jeszcze inni koledzy, którzy wszyscy prosili o przebaczenie dla Rusinka, między nimi były polski minister Putek, którego bardzo lubiano. Gdy Cyrankiewicz wieczorem przybył ponownie, powiedziałem mu, że meldunek wycofam. Cyrankiewicz powiedział, że Rusinek mnie publicznie przed wszystkimi kolegami przeprosi. Nazajutrz ponownie znalazłem się w „War Crimes”. Tym razem szedłem już sam, bez obcej pomocy. Cieszyłem się, że musiałem nieco czekać, mogłem więc sobie obejrzeć znowu ich pracę. Gdy potem już nadeszła moja kolejka, oświadczyłem: „Chciałbym wycofać mój wczorajszy meldunek, nie chciałbym szkodzić koledze”.

Jeszcze raz pytano mnie o nazwisko. Amerykanin notował coś i zwolnił mnie. Pytał jeszcze, czy Rusinek mnie przeprosił; odpowiedziałem, że mnie przeprosi, gdy wróci i to publicznie, przed wszystkimi kolegami.

„To chciałbym zobaczyć”, powiedział Amerykanin i kazał mi nieco zaczekać. Potem włożył czapkę i udaliśmy się do obozu. Doszliśmy przed

barak i udaliśmy się do kancelarii. W mig zebrało się wokół nas wielu więźniów z naszego i innych bloków, tak że plac przed kancelarią był zupełnie zapelniony. Teraz spostrzegłem zbliżających się Rusinka z Cyrankiewiczem. Na to zwróciłem uwagę Amerykanina. Poprosił więźniów, by się nieco cofnęli i utworzyli półkole. Rusinek podszedł do mnie i prosił mnie, abym mu przebaczył jego wybrzyk, że żałuje, tego co uczynił. Wreszcie powołał się na to, ilu kolegów uratował. Powiedziałem: „Dobrze, przyjmuję twoje przeproszenie”, ale ręki mu nie podałem. Rozeszliśmy się. Koledzy z bloku mieli do mnie pretensje, dlaczego nie podałem ręki Rusinkowi. Odpowiedziałem, że mnie razi słowo „uratowałem”, i jeśli opuszczę KC z jakimś urazem psychicznym, to będzie nim uraz wobec „ratowników”.

Ta niechęć sięga wypadku z roku 1941 koło getta we Lwowie... (Zresztą Cyrankiewicz jest dzisiaj premierem, a Rusinek wiceministrem kultury).

Anglia, maj 1961

Szanowny Panie Redaktorze!

W zeszytach „Kultury” na marzec i kwiecień br., ukazał się artykuł ppłk. dypl. pil. Franciszka Kalinowskiego pt. „Konspiracje w lotnictwie polskim”. Są w nim zrzuty przemilczeń i nieścisłości, które Autor miał znaleźć w moich wspomnieniach drukowanych pt. „Trop legendy” w „Kulturze” z września r. 1959.

W „Tropie legendy” nie mówiłem wszystkiego, co wiem w sprawach dotyczących konspiracji w lotnictwie, wyraźnie to zaznaczyłem, więc zarzut przemilczeń jest w danym razie bezprzedmiotowy. Zarzut nieścisłości poczytuję za dowód wielkiej odwagi autora artykułu opartego przeważnie na nietrafnych domysłach i bałamutnych pogłoskach. Odnoszę tu kilka uwag na marginesie tego artykułu — być może kiedyś szerzej omówię te sprawy.

Wbrew poglądowi p. Kalinowskiego, wyjąwszy nieliczne powiązania koleżeńskie oficerów zawodowych lotnictwa, żadna z konspiracji, o których wiem że działały w lotnictwie, nie była poddana takiemu celowi głównemu jak uzdrowienie lotnictwa. Są nimi: „Krzyż i miecz”, „Łańcuszek dobrych przyjaciół”, konspiracja wyłoniona z „Łańcuszka” — tzw. „Młodzi Turcy”, konspiracja pułkowników Demla i Smoleńskiego — ta bujnie się rozrastała w całych siłach zbrojnych od końca r. 43 i werbowała lotników, i konspiracja prolubelska, która od wiosny r. 44 rozwinęła działalność zwłaszcza wśród szeregowych.

Pominięcie przez p. Kalinowskiego dwóch ostatnich konspiracji, tłumaczę sobie zdumiewającą nieznajomością tematu, nieznanego mu bezpośrednio i nietkniętego umiejętnym badaniem. Gdyby np. przejrzał drukowane w latach 41 i 42 broszurki pióra Niewiarowskiego (wydane oczywiście pod pseudonimem), nie byłby przynajmniej wysuwał tak powierchowych przypuszczeń jakoby „Łańcuszek” był kontynuacją „Krzyża i miecza”.

W związku z powołaniem na stanowisko d-cy lotnictwa M. Iżyckiego i zmianami w lotnictwie, które nastąpiły po objęciu stanowiska N.W. przez gen. K. Sosnkowskiego, Autor powiada że „Przysłowiove drzwi od kuchni — niestety nowego N.W. — były otwarte dla „Młodoturków” („Kultura” 4/162 str. 98). Szkoda że tak nie było, ale nie było. Było natomiast tak, że w lipcu r. 43 mjr dypl. St. Poziomek i niektórzy oficerowie z nami związani, spodziewali się raportu u N.W. i chcieli przedstawić wtedy nasze wspólne poglądy na zmiany w lotnictwie. Te wspólne poglądy zostały

cydowanej większości. Być może byli to ludzie niegodni uznania ze strony lepszoologii praktycznej, ale ja poczytuję sobie za wielki zaszczyt że byłem z nimi. Oficerowie zawodowi wśród nas, chcieli zmian w lotnictwie, lecz przecież nie ten cel skłonił ich do działania konspiracyjnego, gdzie stawką było wszystko co mieli — stopnie i dobre imię żołnierskie. Byli to przeważnie ludzie o sprawdzowej ofiarności. Ambicyjki? Nie, to nie były dla nich taniutki gierki to chodziło o Polskę. Powiada Autor, że w „Tropie legendy” dawałem wyraz żalom. Tak, ale jakim... Pan Kalinowski też daje wyraz żalom, ot np. że umiał po angielsku, więc tylko dlatego nie został bohaterem, to znów że mu świnię podpuścili więc ciut ciut ale minęły go sztabowe splendory. To jest ludzkie, zrozumiałe, ale przecież jak się mówi o tamtych czasach, było coś w nich stokroć ważniejszego i godnego żalu. O tym nic. I wierzenie, że konspiracje są złem, to odkrywanie dawnie odkrytej Ameryki. Wojny też są złem. Konspiracje młodych w Polskich Siłach Zbrojnych podczas ostatniej wojny, były przede wszystkim aktem samoobrony narodu i w tym sedno sprawy.

Łączę wyrazy szacunku.

Stanisław SEP-SZARZYŃSKI

Monachium, 15 czerwca 1961 r.

Drogi Panie Redaktorze!

To bodajże mój pierwszy list otwarty do „Kultury”, a także samo do jakiegokolwiek Redakcji. Cóż, okoliczności się proszą, stąd wylom okrutny w tej mojej, być może niezbyt fortunnej, zasadzie nie pisania listów do żadnej Redakcji.

Pan Redaktor wie: Stefan Kisielewski, głośny w Polsce „Kisiel”, nie znam się z nim osobiście, nigdy go w życiu nie spotkałem, ale mam wiele i to również osobistych powodów, żeby go wynosić pod niebiosa. Co też czynię, ilekroć się do tego nadarzy sposobność. W myśli, w mowie i w uczynku.

Co mi takiego zrobił Kisiel, że proszę Pana Redaktora o cenną stroniczkę w „Kulturze” na jego rachunek?

A no, po długich latach „duchowej koegzystencji” podrapał mnie trochę Kisiel. Nie w złej intencji oczywiście, nie ze złej woli, ale jak sądzę dlatego, że w trakcie morderczej pracy nawalił mu — wybory do tychczas słuch.

Słuch! Niem przejdę do symptomu kisielowej dolegliwości — mała historia. Niedawno w Warszawie, jak wiadomo, odbyły się zawody piłkarskie Polska — ZSSR. Zawody stały się miejscem dzikich ekscesów ze strony warszawskich widzów. Korespondent „Le Monde’u” napisał w swym piśmie, że takiego wybuchu szowinizmu jeszcze nie widział.

Więc cóż ja robię? Jak Panu Redaktorowi wiadomo, jestem jednym z Redaktorów Rozgłośni Polskiej — Radia Wolna Europa, a bywam też czasami w gorącej wodzie kąpany. Pod wpływem meczowej emocji staję przed mikrofonem i walę o tym meczu, co mi się położyło na sercu.

Powiedziałem, zapomniałem.

Aż oto w sporo dni po tej prezentacji przed mikrofonem, ktoś mi wtyka w rękę „Tygodnik Powszechny” z podkreślonym na czerwono artykułem „Mecz”.

Autor: Kisiel. Stefan Kisielewski. Inaczej: sprężysta ręka ze świetnym piórem, bystre oko notujące skrętnie dziwy tego świata, no i wspinały muzyczny słuch, który uczynił z niego znakomitość w dziedzinie etud, preludii i symfonii.

Czytam artykuł Kisielewskiego. Czytam po raz drugi. Nie wierzę. Jeszcze raz czytam. Nie wierzę. A przecież stoi jak wół:

„Aliści — pisze w „Tygodniku Powszechnym” swą znakomitą polszczyzną Kisiel — w parę dni potem (to znaczy po meczu, który wywołał słuszne oburzenie Kisielewskiego) słuchałem na ten temat przez Radio Wolna Europa pogadanki p. Czesława Straszewicza. Pan Straszewicz twierdził, że zachowanie na meczu było „zdrowym odruchem”, przestrzegł tylko, że należy zachowywać ostrożność i nie dawać zbyt dużą otwartością żeru „obcej propagandzie”.

Po tym passusie, Kisiel dodał kojącym tonem: „Hm, pana Czesława Straszewicza cenię jako wybitnego pisarza, sądzę natomiast, że na sprawach dzisiejszej Polski zna on się tyle co koza na pieprzu i że raz po raz wyświadcza nam iście niedźwiedzią przysługę”.

Nie ta „koza na pieprzu” mnie ubodła, nie mam pretensji do patentu na wszystkie rozumy, ubodł mnie tekst!

Czy ja naprawdę powiedziałem przed mikrofonem Radia Wolna Europa, że zachowanie się publiczności na meczu Polska — ZSSR było „zdrowym odruchem”? Czy ja tak rzeczywiście powiedziałem? Boże miły! Ktoś tu musiał zwirować, Kisiel lub ja.

Mam niezbyt tęgą pamięć, za to skrętnie zachowuję kartki, z których czytam do mikrofonu. Nie jestem improwizatorem, nigdy nie mówię lecz czytam.

W zachowanych kartkach z niepomierną ulgą przeczytałem następujące moim własnym głosem wypowiedziane później słowa:

„Myślę, że zawody piłkarskie Polska — ZSRR w Warszawie, a raczej ich przebieg, są zjawiskiem niepokojącym. Politycznie szkodliwym. Pomijając korzystny cyfrowy wynik, jakiż rezultat? Sto tysięcy warszawskich widzów dobrało się, mówiąc w przenośni — do żywej skóry reprezentacji sowieckiej. Do żywej skóry szowinizmu rosyjskiego. Zrobiło wszystko, aby jedenastu reprezentantów Rosji nie miało wątpliwości, że znajdują się wśród stu tysięcy wrogów. Niemal w każdych warunkach taka demonstracja jest politycznie szkodliwa. Warunki, w jakich znajduje się Polska, podnoszą tę szkodliwość do kwadratu. Nie ma sensu prowokować bestii, jeśli się znajduje w jej łapach. Nie ma sensu budzić wybuchów szowinizmu i nienawiści. Bezcelowe drażnienie bestii jest politycznym nonsensem. Korzyści żadnej, ryzyko nie najmniejsze”.

Hm, pomyślałem sobie, pana Stefana Kisielewskiego cenię jako wybitnego pisarza, sądzę natomiast, że chociaż pióro w rękę ma świetne, jego wzrok widzi czego zwykli ludzie nie widzą, ale ów wybory kisielowy słuch — przynajmniej chwilowo — nawalił.

Kisiel pisze w „Tygodniku Powszechnym”, że słyszał. Słyszał na własne uszy, a nie z czyjegoś nasłuchu, mam pełne prawo sądzić. Co usłyszał? Powiedziałem: źle się stało. Kisiel usłyszał: dobrze się stało. Ja powiedziałem: nie, on usłyszał: tak. Jest takie przysłowie polskie, które mówi: „Słuchaj uchem, a nie brzuchem”. Mnie jest z tego powodu bardzo przykro, bo jak powiedziałem, mam wiele powodów aby Kisielewskiego miłować.

Sądzę, Panie Redaktorze, że tę moją wewnętrzną, na temat kisielowy turbacje nie zakłóca harmonii, której zawsze jest nam raczej potrzeba.

Dłoń ściskam.

Cz. STRASZEWICZ

Szanowny Panie Redaktorze!

Chociaż przyjemnie czytać za życia własny nekrolog, proszę o poprawienie pewnych nieścisłości, zawartych w „Liście z Australii” p. A. Chciuka (*Kultura*, kwiecień 1961):

— Nigdy nie byłem właścicielem apteki, więc przed wstąpieniem do seminarium duchownego nie mogłem jej „rozbudować”.

— Zaslugę stworzenia w Australii rzeczywistego Archiwum Polonii Australijskiej przypisać należy bez żadnych zastrzeżeń O. Józefowi Janowskiemu, T.J., a stworzenie Domów Dziecka jest wyłączną zasługą ofiarnych pracowników w stolicach stanowych Australii. Jako wydawca polskiego tygodnika popierałem te akcje, jednak ani ich nie zapoczątkowałem, ani nie wprowadziłem w życie.

— P. Roman Gronowski nie jest (jakby wynikało z „Listu z Australii”) tylko czasowym redaktorem „Tygodnika Katolickiego”. Po przekazaniu przeze mnie aktywów pisma (w urzędzeniach i gotówce) stał się jego właścicielem. „Wrócić” więc do „Tygodnika Katolickiego” nie mogę.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia.

K. E. TRZECIAK, C.M.

Sao Paulo, 5 czerwca 1961 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Dla mojego pokolenia, ściślej mówiąc dla roczników zbliżonych do mojego wieku, dla młodzieńców przeżywających w Rosji zakwitanie swojego sumienia i umysłu, filozofia Brzozowskiego, jego utwory beletrystyczne i publicystyczne, w dużym stopniu miały znaczenie zwrotnic na drogach naszego rozwoju. One zaszczyliły w nas poczucie prawdziwej i godnej wolności indywidualnej, utrwaliły znaczenie jej wartości, nauczyły nas myśleć i czuć niezależnie i pozaklasowo, nawet pozamarksistowsko, co w owym czasie (1903-1908) ze względu na ścisłe kontakty z rewolucyjną inteligencją rosyjską, nie było łatwe.

Przeboleliśmy potworne oszczerstwo, czy tragiczną prawdę w rozmaity sposób, przetrwaliśmy ciężką próbę, jednak nie przestaliśmy cenić i rozumieć wartości prac niezwykłego człowieka, czcić jego pamięć, zawsze uwzględniając, że nawet w najgorszym aspekcie jego „sprawy”, mógł on paść ofiarą piekielnych zawiłości ówczesnych warunków polskiego i rewolucyjnego istnienia.

Osobiście należę do tych, którzy odpornie przeżyli w sobie, bez uszczerbku dla siebie, wstrząsające zwątpienia. Nigdy nie uwierzyłem, że niezwykły a w naszych młodych oczach wielki, myśliciel i poeta, mógł być małym agentem carskiej policji.

Panu Redaktorowi jest wiadome, jak byłem blisko przez lata z Sawinkowym. Z Burcewowym znałem się i spotykałem od 1917 do 1921 roku. Z jednym i z drugim niejednokrotnie miałem sposobność rozmawiać o Brzozowskim. Sawinkow był przekonany o jego niewinności, zaś Burcew, który w tamtym okresie 1917-1919 już wyraźnie ulegał manii przesładow-

czej na punkcie prowokacji wśród rewolucjonistów... milczał, wzruszał ramionami, nie mówiąc ani tak, ani nie. Lecz tak Sawinkow jak i Burcew byli zgodni, że Bakaj był kanałią najpodlejszego gatunku, kreaturą o tak podlej i ciemnej duszy, że nigdy nie było wiadomo w jakim celu, osobistym, czy służbowym, pograżał szereg ludzi niewinnych.

Dla pana Romana Gula, autora rosyjskich rewelacyjnych powieści i szkiców o rewolucji i rewolucjonistach jest całkowicie obojętne, jeśli chodzi o Brzozowskiego, jaką wartość należy dawać świadectwu Bakaja i w jakim stopniu jego „dokopywanie się” w kloace żandarmerii rosyjskiej, może być ciosem dla honoru wybitnego Polaka.

Jest pocieszające, że Czesław Miłosz, zapoczątkowując odbudowę właściwego znaczenia prac Brzozowskiego w naszej kulturze, staje się wykonawcą szlachetnej misji, której nie może nie sprzyjać każdy Polak na świecie. Współdziałanie z nim naszej paryskiej „Kultury” jest zapowiedzią, że misja Miłosza odpręży wreszcie „wpływy paralizujące, by zacząć myśleć o myślach pisarza Brzozowskiego i przestać spierać się o jego moralność”. (Cytuję słowa C. Miłosza).

Łączę wyrazy szacunku i przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia.

Karol WĘDZIAGOLSKI

Ottawa, 30.5.1961

Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę o zamieszczenie w „Kulturze” następującego listu:

W artykule pt. „Konspiracje w lotnictwie polskim” (dok.) p. Franciszek Kalinowski w numerze 4/162 „Kultury” z 1961 r. w rozdziale: Trzecia konspiracja na str. 94 pisze: „O działaniu konspiracji we Francji mam również bardzo luźne i niepewne wiadomości. Być może, a prawie na pewno, miała ona wiele do czynienia z akcją przeciw gen. Zajęcowskiemu. Wiem konkretnie, że po długich naradach wybrano delegację w osobach kpt. Michowskiego, kpt. Kerna i por. Jakubowskiego dla zażądania, jak mi mówił Michowski, od gen. Sikorskiego usunięcia gen. Zajęca ze stanowiska dowódcy lotnictwa. Ciekawe było w tym to, że nie wytypowano następcy, a po prostu przypuszczano, że gen. Sikorski znajdzie kogoś odpowiedniego. Naczelny Wódz przyjął delegację, wysłuchał argumentów, ale gdy delegacja nie potrafiła dać konkretnych uzasadnień względnie zarzutów przeciw gen. Zajęcowskiemu, Naczelny Wódz zmył głowy delegatom i odesłał ich z niczym do Lyonu”.

Nie wiem, czy rzeczywistym celem tej delegacji było zażądanie usunięcia mnie ze stanowiska dowódcy lotnictwa. Nawiasem dodam, że w tym samym czasie ja sam myślałem o usunięciu „się” z dowództwa lotnictwa i przedstawiłem tę sprawę gen. Sikorskiemu. W czasie pobytu we Francji trzykrotnie taką propozycję czy prośbę przedstawiałem gen. Sikorskiemu. Dzisiaj nie pamiętam, jak w szczegółach sprawa delegacji się przedstawiała; na szczęście pisałem w tym czasie pamiętnik, który Pan Redaktor obiecał drukować w „Kulturze”, oraz prowadziłem notatki z moich czynności i z tego co się działo i dlatego pozwolę sobie zacytować odnośnie ustępy pamiętnika i notatek.

Pod datą dn. 6.12.1939 piszę: „Sikorski... boi się, że mu się lotnicy zbuntują. Zresztą skarżą się na mnie, choć bardziej nie lubią Kalkusa i Uje-

skiego. Właściwie, jak mnie zapewniają, mają do mnie zaufanie, tylko proszą, bym do pracy w sztabie wziął oficerów liniowych z personelu latającego, a nie wiecznych referentów z dawnego dowództwa lotnictwa. Wczoraj właśnie zaprosili mnie do siebie kapitanowie: Kołodyński, Krasnodębski, Orliński, Cwynar, Laguna i Kuzian i odbyliśmy na te tematy przyjacielską rozmowę. Potem zaprosiłem ich do restauracji „Au bon coq”, gdzie było dobre jedzenie, przy czym rozmawialiśmy po przyjacielsku. Nie wiem, czy ci dzielni oficerowie mieli coś wspólnego z tzw. trzecią konspiracją oraz nie mogę wykluczyć faktu, że po pewnym czasie wszyscy, lub niektórzy z nich, wstydzi się tej „poufałości” ze mną.

Pod datą dn. 2.1.1942 piszę: „Poza tym dzisiaj przeżyłem moment kontaktu z 'buntownikami' z Lyonu, którzy przedstawili mi cały memoriał w związku z sytuacją lotnictwa. Jest to już nie pierwsza moja rozmowa z 'młodymi', niestety nie znaleźliśmy jeszcze wspólnej platformy porozumienia, choć ja szukam wyjścia z tego; sądzę, że powinno się ono znaleźć i może wreszcie się znajdzie, tylko warunki zewnętrzne utrudniają te kwestie. Rozmawiałem z nimi kilka godzin i poprosiłem ich na wspólne śniadanie”.

Pod datą dn. 5.1.1940 piszę: „Drugi wypadek, to zreferowanie gen. Sikorskiemu meldunku 'młodych' z lotnictwa, których delegację przedstawiłem mu wieczorem. Sikorski przychylił się do moich wniosków, przyjął ich bardzo dobrze i polecając im słuchać moich rozkazów, zapewnił, że ma do mnie pełne zaufanie. Sądzę, że oczyścimy rzeczywiście atmosferę i w ciągu jakiegoś miesiąca będziemy żyli nowym życiem w lotnictwie” (także w związku z dostarczeniem sprzętu przez Francuzów i rozpoczęciem pracy).

Pod datą dn. 15.1.1940 piszę: „Popołudniu miałem rozmowę z trzema delegatami tzw. ruchu młodych, którzy byli przyjęci przez gen. Sikorskiego. Niestety już wczoraj dowiedziałem się, że jeden z nich (kpt. Kern) zachował się całkiem nie po żołniersku, odmówił wykonania rozkazu i został słusznie ukarany przez płk. Pawlikowskiego. Dałem im pouczenia co do sposobów wychowania, wyraziłem żal, że ten oficer w ten sposób się zachował, że oni dają mi niekompletne informacje, że nie potrafią sami się opanować, wezwaniem ich, by sami dawali przykład spełniania obowiązków i zachęcał do tego wszystkich kolegów. Miałem z nimi ciężką rozmowę, tym bardziej, że zaczynam niektórym z nich nie ufać, myślę że grają tu swoją rolę także ambicje osobiste i krzykactwo”.

W notatkach osobistych pod datą 5.1.1940 pod tytułem: Raport u p. ministra: „1) Sprawa morale lotników. Ich sprawy. Wnioski. Niektóre rzeczy są niesłuszne. Gros rzeczy słusznych. Zasadnicza kwestia do zdecydowania: Czy organizacja możliwa. Czasem były potrzebne. Występują oni z pewnymi kwestiami. Chcą nawet, żebym stanął na czele organu. Odpowiedziałem im wymijająco. Trzeba stworzyć surogat, żeby mogli się wypowiedzieć. Zebranie oficerskie”.

„Wskazałem im na te enuncjacje p. generała, które pokrywają się z ich stanowiskiem. Rozwiniemy je w dalszym ciągu”.

„Czy p. generał ich przyjmie? Sądzę, że byłoby to celowe, w takich chwilach”.

Ograniczam się do cytatu i nie przedstawiam żadnej interpretacji zantowanych faktów.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Józef ZAJĄC

POLSKA SKŁADNICA TANIEJ KSIĄŻKI

Księgarnia Inwalidzkich Warsztatów Pracy i Usług

POLECA pełny KOMPLET Wielkiego dzieła

„NAJNOWSZA HISTORIA POLITYCZNA POLSKI”

WŁ. POBÓG-MALINOWSKIEGO

Tom I., II. i III. Stron 1.980. Cena wraz z przesyłką \$ 20.00

Jesteśmy na rynku księgarskim JEDYNYM źródłem, dysponującym jeszcze pełnymi kompletami tego WIELKIEGO DZIEŁA. ZAPAS nasz jest ograniczony. Oddzielnie sprzedajemy Tom II — \$ 6.50 i Tom III \$ 7.50.

POSIADAMY stale na Składzie WSZYSTKIE wydawnictwa KULTURY. Przyjmujemy prenumeraty. Wysyłamy na żądanie bezpłatnie KATALOGI książek i usług. Posiadamy duży wybór książek z różnych dziedzin.

ZAMÓWIENIA wraz z należnością prosimy kierować na adres: General Agency of Polish War Invalids „POLIN-VALCO”. Co. Inc.

2109, Robinwood Ave. TOLEDO, 2, Ohio. (USA)

AMERYKA-ECHO

Niezależne Pismo Tygodniowe
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem

Daje poważne i wnikliwe artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiet, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$8.00, w Europie \$9.00, w Ameryce Południowej \$6.50 (ze względu na niski kurs miejscowych walut w stosunku do dolara), w Australii \$9.00.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych

— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.

Posiadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.

Po informacje pisać:

AMERYKA-ECHO, INC.

1154 Nebraska Avenue

Toledo 7, Ohio

U. S. A.



ANGLOPOL TRAVEL
HASKOBA HOUSE
121 EARLS COURT RD LONDON SW5 Tel FRE 1155

BILETY
NA CAŁY ŚWIAT

SPROWADZANIE RODZIN.
WYJAZDY DO KRAJU.

Przekazy pieniężne
do Polski **P.K.O.**

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia :
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 3^e trimestre 1961

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon: 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocznia	Rocznia
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20..	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują: Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botânico), Rio de Janeiro; Franciszek Socha-Paprocki, rua Martins Fontes 197, apt. 74, Sao Paulo. Tel.: 34.18.59.	5 dol. am. 19 NF	9 dol. am. 37 NF	
FRANCJA : « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Île, Paris-4	3,50 NF		
HOLANDIA : T. Szpilezynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40	£. izr. 1,70	£. izr. 9,15	£ izr. 17,75
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/O Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: HU 9-0829; Andrzej Manteuffel, 797 Jessie Ave, Winnipeg, Man.; « Zwiakowiac », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; Olgierd Kiersnowski, 36 Bermuda Ave., Toronto 18., Ont.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	4.- DM 5 sh. 6 d.	22 DM 31 sh.	40 DM 60 sh.
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.			
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta pocz. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kalkskärsgatan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, Schenectady, N.Y.; S. Dabczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kwast, 376 Wallingford wood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 2025 Monterey Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczynski, 2025 Monterey Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, St. Santa Barbara, Calif.; E. Posyniak, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; Praca, 2419 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; The Polish Book Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; Imparting Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; K Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T.W. 2.0890; R.J. Sas-Babczynski, 1819 B.W. Commonwealth Ave, Alhambra, Cal.	1 dol. 5 sh. 6 d.	5 dol. 31 sh.	9 dol. 60 sh.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	500 lires	2.800 lires	5.000 lires
WŁOCHY : Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, 2, int. 14, Roma. Tél.: 87-87-89.			

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta
2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF.
Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

TOM LXV BIBLIOTEKI "KULTURY"

PAWEŁ HOSTOWIEC

ESEJE DLA KASSANDRY

Wybór przedwojennych i powojennych esejów autora „Notatnika niespiesznego przechodnia” — odznaczonego w bieżącym roku nagrodą „Kultury” za najlepszy esej.

Str. 300.

Cena egzemplarza 15 NF (22/-; § 3)

TOM LXVI BIBLIOTEKI "KULTURY"

ALEKSANDER HERTZ

ŻYDZI W KULTURZE POLSKIEJ

„Żydokomuna” i „żydorewizjonizm”! Na pozór rzeczy diametralnie różne, w rzeczywistości identyczne. Albowiem w obu wypadkach chodzi o te same treści. Nie ulega wątpliwości, że wśród „rewizjonistów” w Polsce wybitną rolę odgrywają jednostki pochodzenia żydowskiego ...do rewizjonizmu prowadzi tych ludzi ta sama droga, która niegdyś zaprowadziła ich do komunizmu. Jest nią wstręt do konformizmu, jest nią krytycyzm jest nią zamiłowanie do myślenia... „Żydzi i tu okazują się owymi „drożdżami”, budzącymi ferment i niepokój...

...Rewizjonizm jest groźbą dla komunizmu, możliwe że największą ze wszystkich. Albowiem idzie od wewnątrz, jest buntem rozumu i uczucia przeciwko załganiam, obłudzie oficjalnej doktryny...

...W Polsce dzisiejszej antysemityzm jest zjawiskiem szczególnie groźnym Jednostki pochodzenia żydowskiego, zaliczane do „rewizjonistów”, są w pierwszym szeregu bojowników o przyszłość kultury polskiej. Antysemityzm, bijąc w nich, bije w tych, którzy szerzą twórczy ferment, rozsadzając skorupę zakłamanego komunistycznego konformizmu.

Str. 288

Cena egzemplarza 15 NF (22 sh.; § 3,00)